

Dawka geniuszu

Alan Glynn

Najlepsze thrillery psychologiczne,

global conspiracy thrillers, polityczne, przygodowe,

medyczne, technothrillery, military thrillers

GLOBAL CONSPIRACY THRILLERS

ROBERT LUDLUM

DAYIDMORRELL

JAMES COBB

MICHAEL DiMERCURIO

RICHARD HERMAN

GORDON KENT

Dokument Matlocka Iluzja Skorpiona Klątwa Prometeusza Krucjata Bourne'a Mozaika Parsifala Pakt

Holcrofta Program Hades Protokół Sigmy Przymierze Kasandry Tożsamość Bourne'a Transakcja

Rhinemanna Ultimatum Bourne'a Pięta profesja Przymierze ognia

Morski myśliwiec

Podwójny cel

Atak „Wilka Morskiego”

Finałowe starcie

Płomienie pod lodem

Wektor zagrożenia

Zasięg rażenia

Bariera

Honor i służba

Na ratunek Polsce

Morze Trojańskie

Orle szpony

Ostatni feniks

Sam przeciw wszystkim

Niewidzialna ofensywa

Nocna pułapka

POWIEŚCI SENSACyjNO-PRZYGODOWE , -BRIAN CALLISON

Konwój Stollenberga

CLIVE CUSSLER Atlantyda odnaleziona

Błękitne złoto

Cerber

Na dno nocy

Ognisty lód

Wąż

Wir Pacyfiku

Wydobyć „Titanica” ANATOLU ROMOW Miliard dolarów gotówką

THRILLERY MEDYCZNE

ALAN GLYNN PATRICK LYNCH

KEN McCLURE

DAVID SHOBIN

Dawka geniuszu

Ósemka

Zwiastowanie

Dawca

Joker

Rekonstrukcja

Sieć intryg

Spirala Pandory

Dostawca

Kwiat śmieci

THRILLERY POLITYCZNE „•

JOHN ALTMAN Gry szpiegów

FREDERICK FORSYTH

TOM GRACE CHRISTOPHER REICH

GEORGIJ WAJNER

Szpiegowski gambit

Diabelska alternatywa

Dzień Szakala

Falszerz

Ikona

Negocjator

Pięść Boga

Psy wojny

Sieć Pająka

Ogniwo

Konto numerowane

Pierwszy miliard

Polowanie

Pocałunek Midasa

ALAN CLYNN

Dawka geniuszu

THRILLERY PSYCHOLOGICZNE LISAGARDNER Druga córka

DONALD JAMES DAVID MORRELL

Mąż doskonały

Następny wypadek Trzecia ofiara Monstrum Skorpion

Desperackie kroki Droga do Sieny Fałszywa tożsamość Ostre cięcie Przysięga zemsty Rachunek krwi
Rambo. Pierwsza krew Strach w garści pyłu Totem

w przygotowaniu TOM CLANCY Czerwony królik

Przekład Tomasz Wilusz

Przebył długą drogą, by znaleźć się na tym niebieskim trawniku, i musiał czuć, że jego sen jest tuż, na wyciągnięcie ręki. Nie wiedział, że zostawił go już za sobą gdzieś w tym rozległym mroku za miastem, gdzie pośród nocy stały się ciemne poła republiki.

Francis Scott Fitzgerald Wielki Gatsby

Część

Robi się późno. Tracę rachubę czasu, ale wiem, że musi być po jedenastej, może nawet zbliża się północ. Mimo to wolę nie patrzeć na zegarek - bo tylko przypomniabym sobie, jak niewiele czasu mi zostało.

W każdym razie robi się późno.

I jest cicho. Oprócz buczonej maszyny do lodu pod drzwiami i sporadycznie przejeżdżających autostradą samochodów nie słyszę zupełnie nic - żadnego ruchu ulicznego, syren, muzyki, rozmawiających przechodniów czy zwierząt nawołujących się po nocy, jeśli coś takiego w ogóle robią. Nic. Żadnych dźwięków. Ta pełna grozy cisza wcale mi się nie podoba. Może nie powinienem był tu przyjeżdżać. Może należało zostać w mieście i zaczekać, aż migoczące światła spowodują zwarcie w moim funkcjonującym na przyspieszonych obrotach mózgu, a nieustający zamęt i hałas zmogą mnie i wyczerpią cały zapas energii krążącej po moim organizmie. Ale gdybym nie przyjechał tu, do Yermont, do motelu North-view Motor Lodge, dokąd miałbym się udać? Nie mogłem przecież brutalnie wdrzeć się w życie przyjaciół ze swoimi kłopotami, więc nie miałem innego wyjścia, jak tylko zrobić to, co zrobiłem - wsiąść do samochodu i wyjechać z miasta, przebyć setki kilometrów, by znaleźć się w tej cichej, pustej części kraju...

I w tym cichym, pustym pokoju motelowym z trzema elementami wystroju rywalizującymi o mój ą niepodzielną uwagę - dywanem, tapetą i kocem, ozdobionymi różnymi, ale równie wymyślnymi wzorami, nie wspominając o wszechobecnych dziełach sztuki hipermarketowej: nad łóżkiem - zaśniewane góry, obok drzwi - reprodukcja Słoneczników.

Siedzę w wiklinowym fotelu, wszystko wokół jest mi obce. Na kolanach trzymam laptop, na podłodze obok mnie stoi butelka Jacka Daniel-sa. Patrzę w przymocowany do ściany w kącie telewizor, włączony na

CNN, ale ze ściszym dźwiękiem. Na ekranie widać panel komentatorów - doradców do spraw bezpieczeństwa narodowego, korespondentów z Waszyngtonu, ekspertów od polityki zagranicznej - i choć ich nie słyszę, wiem, o czym mówią: o obecnej sytuacji, o kryzysie, o Meksyku.

Wreszcie nie wytrzymuję i spoglądam na zegarek.

Nie mogę uwierzyć, że minęło już prawie dwanaście godzin. Wkrótce z dwunastu zrobi się piętnaście, a potem dwadzieścia i w końcu cała doba. To, co stało się dziś rano na Manhattanie, w zawrotnym tempie cofa się, oddala w czasie i przestrzeni po tych niezliczonych małomiasteczkowych ulicach i tych wszystkich kilometrach autostrady. Jednak to wspomnienie też zaczyna się rozpadać pod potężnym ciśnieniem, pękać i kruszyć na kawałki, jednocześnie, rzecz jasna, pozostając w jakiejś

zastygłej teraźniejszości, od której nie ma ucieczki - niezniszczalne, bardziej prawdziwe i pełne życia od wszystkiego, co widzę w tym pokoju.

Znów zerkam na zegarek.

Na myśl o tym, co się stało, serce zaczyna mi mocniej bić, jakby wpadło w panikę i miało lada chwila gwałtownie wyrwać się z piersi. Ałe przynajmniej głowa mi nie pęka. Wiem, że prędzej czy później zacznie się to silne klucie za gałkami ocznymi przechodzące w nieznośny, rozsadzający czaszkę ból. Na razie jeszcze mam spokój.

Mimo to zostało mało czasu.

No więc od czego zacząć?

Laptop wziąłem ze sobą po to, by przelać wszystko na dysk, sporządzić wierny opis tego, co się stało. A mimo to siedzę i waham się, ślęczę nad materiałem, biję się z myślami, jakbym miał do dyspozycji parę miesięcy i musiał chronić swoją reputację. Rzecz w tym, że nie mam paru miesięcy - raczej parę godzin - a dobre imię już straciłem. Ale i tak czuję, że powinienem zacząć od mocnego uderzenia, czegoś pompatyczno-nego i wzniosłego, czym brodaty wszystkowiedzący narrator z XIX wieku mógłby otworzyć swoją najnowszą dziewięciusetstronicową powieść

Zamaszysty ruch pióra.

To pasowałoby do sytuacji.

Jednak prawda jest taka, że wszystko zaczęło się całkiem prozaicznie, nie było w tym nic pompatycznego ani wzniosłego. Ot, kilka miesięcy temu pewnego popołudnia wpadłem na ulicy na Yernona Ganta.

I chyba właśnie od tego powinienem zacząć.

10

Vernon Gant. Ze wszystkich rozmaitych relacji i zmiennych układów, jakie mogą istnieć we współczesnej rodzinie, ze wszystkich krewnych i powinowatych, jacy mogą wam się trafić - ludzi, z którymi jesteście na zawsze powiązani w dokumentach, na zdjęciach, w głębokich zakamarkach pamięci - biorąc pod uwagę kruchość, a nawet absurdalność więzi, jedna postać góruje nad innymi, jedna jedyna: eksszwagier.

Przemilczana przez pieśniarzy i bajarzy, nie jest to znajomość, która wymagałaby odnawiania. Tym bardziej, jeśli człowiek nie ma z byłą żoną dzieci; wtedy do końca życia raczej nie znajdzie żadnego powodu, by spotkać się z jej bratem. Chyba że przypadkowo wpadnie na niego na ulicy i nie będzie mógł albo nie zdąży odpowiednio szybko odwrócić wzroku.

Było około czwartej po południu w lutowy wtorek, słoneczny i niezbyt zimny. Szedłem szybkim krokiem Dwunastą ulicą, pałac papierosa i kierując się w stronę Piątej Alei. Miałem zły humor i nachodziły mnie czarne myśli o wielu sprawach, przede wszystkim o mojej książce dla Kerr & Dexter - Nakręcanie: Od Haight-Ashbury do Doliny Krzemowej - choć akurat w tym nie było nic niezwykłego, bo ten temat dręczył mnie bez przerwy, cokolwiek robiłem, podczas każdego posiłku, prysznic, meczu w telewizji, każdej nocnej wyprawy do sklepu na rogu po mleko, papier toaletowy, czekoladę

czy papierosy. Z tego, co pamiętam, akurat tamtego popołudnia bałem się, że książka nie będzie się trzymać kupy. Wszystko sprowadzało się do tego, by znaleźć złoty środek między opowiadaniem historii a... opowiadaniem historii -jeśli wiecie, co mam na myśli. Niepokoiłem się, że w tym, co piszę, nie ma żadnej historii, że główna teza książki jest gównem warta. Poza tym myślałem o swoim mieszkaniu na skrzyżowaniu Alei A i Dziesiątej i o tym, że przydałoby się znaleźć większe, ale to także mnie przerażało - trzeba by zdjąć książki z półek, przejrzeć zawartość biurka, spakować wszystko do identycznych pudeł... strata czasu. Myślałem też o mojej byłej kobiecie, Marii, i jej dziesięcioletniej córce Romy. I o tym, że taki układ to nie dla mnie. Marii mówiłem za mało, a przy jej dziecku gęba mi się nie zamykała. Opadły mnie też inne czarne myśli: na przykład o tym, że za dużo palę i czuję ucisk w piersi. Miałem też całą masę innych denerwujących objawów, które pojawiały się co jakiś czas: dziwne bóle, guzki, wysypki, możliwe symptomy jakiejś choroby albo całej masy chorób. Co będzie,

11

jeśli pewnego dnia połączą siły, przejdą do ataku, a ja kopnę w kalendarz?

Myślałem o tym, że fatalnie wyglądam i przydałoby się skoczyć do fryzjera.

Strzepnąłem popiół z papierosa na chodnik. Podniosłem głowę. Róg Dwunastej i Piątej był jakieś dwadzieścia metrów przede mną. Nagle z Piątej wypadł jakiś facet; szedł tak szybko jak ja. Z lotu ptaka wyglądałibyśmy jak dwie cząsteczki chwilę przed zderzeniem. Rozpoznałem go z dziesięciu metrów, on mnie też. Kiedy byliśmy pięć metrów od siebie, obaj zaczęliśmy zwalniać kroku, gestykulować, wytrzeszczać oczy i robić zaskoczone miny.

- Eddie Spinola.

- Yernon Gant.

- Jak się masz?

- Boże, ile to czasu minęło?

Uścisnęliśmy sobie dłonie i poklepaliliśmy się po plecach. Yernon cofnął się o krok i zaczął mi się przyglądać.

- Jezu, Eddie, zmężniałeś, co?

Chodziło o kilogramy, których trochę mi przybyło od naszego ostatniego spotkania przed dziewięcioma czy dziesięcioma lary.

Yernon był wysoki i chudy jak zawsze. Spojrzałem na jego rzadniejące włosy i po chwili milczenia znacząco kiwnąłem głową ich stronę.

- Ja przynajmniej mogę z moim problemem coś zrobić. Zaczął podskakiwać jak bokser i zamarkował lewy sierpowy.

- Mocny w gębie jak zawsze, co? No co tam u ciebie, Eddie?

Był w drogim Inianym garniturze i ciemnych skórzanych butach. Miał ciemne okulary w złotych oprawkach i opaleniznę. Wyglądał i pachniał jak człowiek z forszą.

Co tam u mnie?

Nagle odechciało mi się z nim rozmawiać.

- Pracuję w Kerr & Dexter, wiesz, tym wydawnictwie. Pociągnął nosem i skinął głową, czekając na dalszy ciąg.

- Od paru lat jestem u nich copywriterem, wiesz, podręczniki, instrukcje obsługi i tego typu rzeczy, ale teraz wydają serię ilustrowanych książek o XX wieku - liczą, że wypłyną na fali nostalgii - i zlecili mi napisanie czegoś o związkach między wzornictwem z lat sześćdziesiątych a dziewięćdziesiątych...

- Ciekawe.

- ... Haight-Ashbury i Dolina Krzemowa...

- Bardzo ciekawe.

12

Postawiłem kropkę nad „i”.

- LSD i komputery osobiste.

- Super.

- Gdzie tam. Nie płacą najlepiej, a że książki są krótkie - raptem sto-sto dwadzieścia stron - autor ma niewiele swobody i...

Urwałem. Zmarszczył brwi. -I co?

- No wiesz - tłumacząc się przed nim, czułem, jak przenika mnie nieoczekiwany wstyd i pogarda. Przestąpiłem z nogi na nogę. -No wiesz, cała praca sprowadza się do przygotowywania podpisów pod ilustracje, więc jeśli chcesz udowodnić jakąś tezę, musisz doskonale znać materiał.

- To świetnie, stary. - Uśmiechnął się. - Zawsze chciałeś robić coś takiego, nie?

Zamyśliłem się. W pewnym sensie miał rację. Ale nie w takim, jaki on byłby w stanie zrozumieć. Jezu, pomyślałem, Yernon Gant.

- To musi być czad - powiedział.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Yernon handlował kokainą, ale wtedy miał inny image: długie włosy, skórzane kurtki, miłośnik tao i mebli. Zaczynały powracać wspomnienia.

- Prawdę mówiąc, ciężko mi to idzie - powiedziałem, choć sam nie wiem, po co drążyłem ten temat.

- Serio? - spytał, odsuwając się nieco. Poprawił okulary, tak jakby był zaskoczony moimi słowami, ale mimo to gotów do udzielenia rady, kiedy tylko zrozumie, na czym polega problem.

- Widzisz, tyle jest wątków, sprzeczności... trudno się zdecydować, od czego zacząć. - Utkwiłem wzrok w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, szaroniebieskim mercedesie. - To znaczy, w latach sześćdziesiątych mamy bunt przeciw technologii, powrót do natury, Katalog całej Ziemi i cały

ten syf... dzwoneczki wietrzne, niefuskany ryż i paczulki. Ale mamy też koncerty rockowe, widowiska „światło i dźwięk”, słowo „elektryzujący” i sam fakt, że LSD zostało wyprodukowane w laboratorium... - nie odrywałem oczu od samochodu - ...a w dodatku, posłuchaj tylko, prototyp Internetu, Arpanet, powstał w sześćdziesiątym dziewiątym roku na UCLA. W sześćdziesiątym dziewiątym, chwytasz?

Znów zamilkłem. Chyba powiedziałem mu o rym wszystkim tylko dlatego, że chodziło mi to po głowie przez cały dzień. Po prostu skorzystałem z okazji, by zastanowić się na głos, jak ugryźć temat.

Yernon mlasnął językiem i spojrzał na zegarek.

- Co teraz robisz, Eddie?

13

- Idę ulicą. Nic. Palę papierosa. Nie wiem. Nie mogę się wziąć do pracy. - Zaciągnąłem się. - Czemu pytasz?

- Chyba mógłbym ci pomóc.

Znów spojrzał na zegarek i przez chwilę zdawał się coś obliczać. Patrzyłem na niego z niedowierzaniem, bliski irytacji.

- Chodź, zaraz ci wszystko wyjaśnię - powiedział. - Skoczmy na drinka. - Klasnął w dłonie. - Yamos.

Prawdę mówiąc, nie sądziłem, by był to dobry pomysł. Poza wszystkim, jak mógł mi pomóc w rozwiązaniu problemu, który mu dopiero co przedstawiłem? Zupełny nonsens.

Ale zawahałem się.

Spodobała mi się druga część jego propozycji, ta, która dotyczyła drinka. W moim wahaniu było też, muszę przyznać, coś z odruchu warunkowego - nieoczekiwane spotkanie z Yernonem i spontaniczna decyzja o pójściu do knajpy jakby zaburzyły równowagę chemiczną mojego organizmu. To jego vamos było jak kod albo słowo-klucz dające dostęp do etapu mojego życia, który był zamknięty przez prawie dziesięć lat.

Potarłem nos i powiedziałem:

- Dobra.

- Fajnie. - Przerwał na chwilę powiedział, jakby sprawdzał, czy to dobrze brzmi: - Eddie Spinola.

Poszliśmy na Szóstą do Maxie's, tandetnego baru w stylu retro, który dawniej był meksykańską restauracją El Charro, a jeszcze wcześniej wysypaną trocinami speluną o nazwie Conroy's. Minęło kilka chwil, zanim oswoiliśmy się z oświetleniem i wystrojem wnętrza i znaleźliśmy boks, który odpowiadał Yernonowi. Knajpa była praktycznie pusta - ruch w interesie zaczynał się dopiero koło piątej - ale Gant zachowywał się tak, jakby była sobotnia noc, a on zajmował ostatnie wolne miejsca w ostatnim otwartym barze w mieście. Dopiero gdy zobaczyłem, jak sprawdza pole widzenia z każdego boksu i rozmieszczenie toalet i wyjść, zorientowałem się, że coś się święci. Był spięty i nerwowy, a to rzadko mu się zdarzało - przynajmniej rzadko zdarzało się Yernonowi, którego znałem, a którego jedyną wielką zaletą, bardzo przydatną w handlu koką, było względne opanowanie w

każdej sytuacji. Inni znajomi dealerzy zwykle zachowywali się jak żywe reklamy sprzedawanego przez nich towaru; nie mogli ustać w miejscu i gadali jak najęci. Gant zawsze był cichy, rzeczowy, skromny i potrafił słuchać - może czasem zachowywał się nawet zbyt spokojnie, jak palacz trawki w morzu kokainistów. Prawdę mó-

14

wiać, gdybym go tak dobrze nie znał, mógłbym pomyśleć, że tego popołudnia wciągnął kilka kresek koki i nie wyszło mu to na zdrowie.

Wreszcie usiedliśmy i podeszła do nas kelnerka.

Yernon zabębnił palcami w stolik.

- Co my tu mamy... Dla mnie wódka Collins.

- A dla pana?

- Whisky z sokiem cytrynowym.

Po odejściu kelnerki Yernon wyjął paczkę mentolowych lightów i opróżnione do połowy pudełko zapalek.

- Co u Melissy? - spytałem, gdy zapalił.

Melissa była siostrą Yernona i - przez niecałe pięć miesięcy 1988 roku - moją żoną.

- W porządku - powiedział i zaciągnął się. Wykorzystał do tego wszystkie mięśnie płuc, ramion i grzbietu. - Rzadko ją widuję. Przeniosta się na pomoc stanu, do Mahopac, ma dwójkę dzieci.

-Jaki jest jej mąż?

-Jej mąż? Co, zazdrosny jesteś?-Yernon wybuchnął śmiechem i rozejrzał się po barze, jakby chciał podzielić się z kimś swoim żartem. Nie odpowiedziałem. W końcu opanował się i strzepnął popiół do popielniczki. - To palant. Zostawił ją dwa lata temu bez grosza.

Przykro mi było to słyszeć, ale jednocześnie nie potrafiłem sobie wyobrazić Melissy mieszkającej w Mahopac z dwójką dzieci. Dlatego ta wiadomość niezbyt mnie obeszła, za to przed oczami stanął mi żywy, natrętny obraz Melissy w dniu naszego ślubu, wysokiej i szczupłej, w kremowej jedwabnej sukni, sączącej martini w mieszkaniu Yernona na Up-per West Side... i uśmiechającej się do mnie. Widziałem jej idealnie gładką skórę, rozszerzające się źrenice, proste czarne włosy sięgające do połowy pleców, pełne usta, które nie pozwalały nikomu dojść do słowa...

Kelnerka przyniosła nam drinki.

Melissa przewyższała inteligencją wszystkich wokół, mnie również, a już na pewno starszego brata. Pracowała jako koordynator produkcji w małym piśmie z programem kablówki, aleja zawsze uważałem, że wysoko zajdzie: zostanie naczelną dziennika, reżyserem filmowym, kandydatką do senatu.

- To przykre - powiedziałem, sięgając po drinka. -Tak, szkoda j ej.

Powiedział to tak, jakby chodziło o niegroźne trzęsienie ziemi w jakiejś azjatyckiej republice, o którym właśnie usłyszał w telewizji.

- Pracuje gdzieś? - nie ustępowałem.

15

- Tak, zdaje się, że coś robi. Nie jestem pewien, co. Rzadko z nią rozmawiam.

Byłem zaskoczony. W drodze do baru, podczas poszukiwań odpowiedniego boksu i czekania na zamówione drinki przemykały mi przed oczami migawki z tego krótkiego okresu, który spędziłem z Melissą. Na przykład sceny z mieszkania Yernona w dniu naszego ślubu. To było coś psychotronicznego, odlotowego... Eddie i Melissą, stojący między kolumnami pod ratuszem... Melissą wciągająca kokę, z lusterkiem na kolanach, wpatrzona w swoją piękną twarz między kreskami białego proszku... Eddie w łazience, w różnych łazienkach i w rozmaitych stadiach niedyspozycji... Melissą i Eddie kłócący się o pieniądze i o to, kto gorzej posługuje się zrolowanym dwudziestodolarowym banknotem. Nie był to kokainowy ślub, raczej kokainowe małżeństwo - Melissą kiedyś nazwała to zabawą z koką- więc bez względu na wszelkie prawdziwe uczucia, jakie mogliśmy do siebie żywić, trudno się dziwić, że wytrzymaliśmy ze sobą tylko pięć miesięcy; a może aż pięć miesięcy. Sam nie wiem.

Ale do rzeczy. Teraz najważniejsza była odpowiedź na pytanie, co zaszło między Yernonem a Melissą. Zawsze byli ze sobą bardzo blisko. Pomagali sobie wzajemnie w wielkim złym mieście i jedno było dla drugiego wyrocznią w kwestiach związków, pracy, mieszkań, wystroju. Liczyli się ze sobą do tego stopnia, że gdybym nie spodobał się Yernonowi, Melissą zerwałaby ze mną bez wahania - choć gdybym ja miał w tej sprawie coś do powiedzenia, to wolałbym pozbyć się jej starszego brata. No ale sami rozumiecie, nie było takiej możliwości.

W każdym razie, od tamtej pory minęło dziesięć lat. Najwyraźniej wszystko się zmieniło.

Spojrzałem na Yernona, który znów głęboko zaciągnął się mentolowym lightem. Próbowiałem znaleźć coś do powiedzenia na temat papierosów mentolowych, ale nie mogłem przestać myśleć o Melissie. Chciałem dokładnie poznać jej sytuację, a mimo to nie byłem pewien, jakie -i czy w ogóle - mam do tego prawo. Nie wiedziałem, w jakim stopniu życie Melissy jest moją sprawą.

- Dlaczego palisz to świństwo? - spytałem wreszcie, wyciągając paczkę cameli bez filtra. - Dużo zachodu i żadnych korzyści, mam rację?

- Jasne, ale ostatnio to cała moja gimnastyka. Gdybym palił takie -wskazał głową moje camele -teraz leżałbym pod respiratorem.

Uznałem, że do tematu Melissy spróbuję wrócić później.

- A teraz ty mi powiedz, co porabiasz, Yernon.

- Ano wiesz, to, tamto.

16

To mogło znaczyć tylko jedno - nadal handlował prochami. Normalny człowiek powiedziałby „pracuję w Microsoftzie” albo „jestem kucharzem w Moe's Diner”. A Yernon robił „to, tamto”. Wtedy przyszło mi do głowy, że jego pomoc dla mnie sprowadzi się do zaoferowania mi działki koki po obniżonej cenie.

Cholera, powinienem być się domyślić.

Choć z drugiej strony, czy od razu tego nie odgadłem? Czy to nie z nostalgii zgodziłem się przyjść tu z nim?

Już miałem rzucić jakąś złośliwą uwagę na temat jego niechęci do uczciwej pracy, kiedy powiedział:

- Właściwie to jestem konsultantem. -Co?

- W firmie farmaceutycznej.

Zmarszczyłem brwi i powtórzyłem jego słowa z intonacją pytającą.

- Tak, pod koniec roku wypuszczamy cały asortyment ekskluzywnych produktów i próbujemy stworzyć bazę klientów.

- Co to, jakiś nowy slang? Dawno już w tym nie siedzę, fakt, ale...

- Nie, nie. To nie kit. Prawdę mówiąc - rozejrzał się po barze i lekko zniżył głos - właśnie o tym chciałem z tobą pogadać, o tej twojej... twórczej niemocy.

-Ja...

- Ludzie, dla których pracuję, wyprodukowali niesamowitą substancję. - Sięgnął do kieszeni marynarki po portfel. - Jest w postaci tabletki.

Wyciągnął z portfela niedużą plastikową, hermetycznie zamkniętą torebkę. Otworzył ją i wytrząsnął coś na dłoń. Podsunął mi pod nos małą białą tabletkę bez żadnych oznakowań.

- Masz - powiedział. - Weź ją.

- Co to?

- Weź ją i tyle.

Wyciągnąłem dłoń. Yernon rzucił na nią tabletkę.

- Co to? - powtórzyłem pytanie.

- Jeszcze nie ma nazwy... to znaczy ma symbol laboratoryjny, ale to tylko parę liter plus kod. Nie wymyślili jeszcze nazwy, ale przeprowadzili już wszystkie próby kliniczne i dostali certyfikat FDA - Federalnego Urzędu do spraw Żywności i Leków.

Spojrzał na mnie, jakby to była wyczerpująca odpowiedź.

- No dobra - mruknąłem - to coś nie ma jeszcze nazwy, przeszło pomyślnie wszystkie próby kliniczne i zostało zaakceptowane przez Federalny Urząd do spraw Żywności i Leków. Ale c,o |c^-ki|qs^J&t?

Upiłtyk'wódki i zaciągnął się papieros&ł. ^ u ,c;40Y

s ;•;;%) POLICJI

2-Dawka geniuszu

17

Dokończyłem pierwszą i zabrałem się za drugą. Zapaliłem kolejnego papierosa.

Cały problem polegał na tym, że skoro tego popołudnia miałem pić, wolałbym to robić w jakimś innym barze, gawędząc z jakimś facetem siedzącym na sąsiednim stołku. Wybraliśmy z Yernonem ten lokal, bo był najbliżej, ale z tego, co widziałem, nie miał żadnych innych zalet. W dodatku schodziło się do niego coraz więcej osób, prawdopodobnie pracowników okolicznych biur, i robiło się coraz głośniejsze. Pięciu facetów zajęło sąsiedni boks, usłyszałem, jak ktoś zamawia „chłodzone herbaty z Long Island”. Nie zrozumcie mnie źle, wiem, że to doskonałe lekarstwo na stres związany z pracą, ale nie miałem ochoty być w pobliżu, kiedy ta wybuchowa mieszanka dżinu, wódki, rumu i tequila zacznie działać. Krótko mówiąc, bar Maxie's mi nie odpowiadał, postanowiłem więc jak najszybciej dopić drinka i wyjść stamtąd w cholerę.

Poza tym miałem sporo roboty. Musiałem obejrzeć tysiące zdjęć i wybrać najlepsze - uporządkować je raz, potem drugi, zanalizować i rozebrać na czynniki pierwsze. Cóż więc robiłem w koktajlbarze na Szóstej Alei? Powinienem być w domu, za biurkiem, i męczyć się z historią Lata Miłości i zawiłościami mikroobwodów. Powinienem przeglądać ksero artykułów z „Saturday Evening Post”, „Rolling Stone” i „Wired” ułożone w stertach na podłodze i wszędzie, gdzie tylko znalazłem kawałek wolnego miejsca. Powinienem siedzieć zgarbiony przed monitorem, skąpany w jego niebieskim blasku, i w ciszy i spokoju pracować nad książką.

Ale tego nie robiłem i mimo najlepszych zamiarów jakoś nie zbierałem się do wyjścia. Zamiast tego uległem boskiej mocy whisky, która zagłuszyła wyrzuty sumienia, i wróciłem do rozmyślań o mojej byłej żonie Melissie. Mieszkała na północy stanu z dwójką dzieci i robiła... co? Coś. Yernon nie wiedział, co. Jak mógł nie wiedzieć? W tym, że ja nie pisywałem regularnie do „New Yorkera” czy „Yaniry Fair” ani nie zostałem internetowym guru czy rekinem biznesu, nie było nic zaskakującego, ale nie potrafiłem pojąć, dlaczego takich rzeczy nie robiła Melissa.

Im dłużej o tym myślałem, tym dziwniejsze mi się to wydawało. Potrafiłem bez trudu prześledzić własną wędrówkę krętymi drogami życia, wszystkie moje zbrodnie wobec dobrego smaku, i znaleźć cechy łączące stosunkowo zrównoważonego Eddiego Spinolę, siedzącego teraz w barze i mającego podpisaną umowę na książkę z Kerr & Dexter oraz ubezpieczenie zdrowotne, z, powiedzmy, młodszym, chudszy Eddie, skacowanym i rzygającym na biurko szefa w czasie prezentacji albo buszującym po bieliźniarce swojej dziewczyny w poszukiwaniu narkotyków. Lecz z tą

20

ujarzmioną Melissą, której obraz naszkicował mi Yernon, nie czułem żadnej więzi - albo została zerwana, albo... sam nie wiem.

Przed łaty Melissą była niczym jeden z żywiołów. Miała ugruntowane opinie na każdy temat, od przyczyn drugiej wojny światowej po zalety i wady nowego Lipstick Building na Pięćdziesiątej Trzeciej. Broniła swoich poglądów jak lwica i zawsze mówiła - groźnie, jakby trzymała w ręku pałkę - o

konieczności powrotu do podstawowych zasad. Z Melissą nie było żartów i rzadko - o ile kiedykolwiek - brała jeńców.

PamiętamJakwCzarny Poniedziałek-wdniu krachu na giełdzie \9 października 1987 roku - w barze Nostromo's na Drugiej Alei zaczęliśmy rozmawiać z czterema maklerami, którzy pili wódkę przy sąsiednim stoliku. (Zdaje się, że jednym z nich był Dekę Tauber. Siedział przy stoliku, ściskając w dłoni kieliszek stolicznej). Wszyscy byli oszołomieni, przerażeni i bladzi. Bezustannie zastanawiali się, jak do tego doszło, co to oznaczało, i kręcili głowami z niedowierzaniem. Wreszcie Melissą nie wytrzymała:

- Kurczę, chłopaki, jeśli chcecie skakać z okien, to wasza sprawa. Ale jak mogliście tego nie przewidzieć? - powiedziała.

A potem, sącząc zmrożonąmargaritę i zaciągając się marlboro light, wygłosiła z szybkością karabinu maszynowego tyradę, w której - zanim zrobiły to gazety - zręcznie powiązała kłopoty Wall Street i wielobilio-nowy dług publiczny z chroniczną infantylnością pokolenia urodzonego po wojnie i wychowanego według nowoczesnych metod. Wpędziła tych czterech biedaków w jeszcze głębszą depresję; pewnie nie na to liczyli, kiedy postanowili skoczyć na drinka - niewinną stypę po krachu.

Co stało się z Melissą? - dumałem, sącząc whisky z sokiem. Jak cała jej pewność siebie i twórcza energia mogły znaleźć ujście w czymś tak... banalnym. Nie chcę bagatelizować uroków macierzyństwa, nie zrozumcie mnie źle... ale Melissą była bardzo ambitna.

Wtedy przyszło mi do głowy, że wnikliwy, ścisły umysł mojej ekszo-ny był tym, czego potrzebowałem, jeśli miałem jakoś napisać tę książkę dla Kerr & Dexter.

Jednak potrzebować czegoś, a to zdobyć to, rzecz jasna, dwie różne sprawy. Teraz na mnie przyszła kolej, by wpaść w depresję.

I nagle faceci z sąsiedniego boksu ryknęli śmiechem. Trwało to może z pół minuty, ale w tym czasie ten cudowny płomień w moim brzuchu zamigotał i zgasł. Zaczekałem jeszcze chwilę, bez skutku. Wstałem więc i schowałem do kieszeni papierosy i zapalniczkę.

Spojrzałem na małą białą tabletkę, odwróciłem się do wyjścia, znów popatrzyłem na stolik i zacząłem się zastanawiać. W końcu schowałem wizytówkę Yernona do kieszeni, a tabletkę włożyłem do ust i połknąłem.

21

Cóż, stary, przynajmniej ty się nie zmieniłeś, pomyślałem, wychodząc z baru.

Na zewnątrz zrobiło się wyraźnie chłodniej. Zapadł zmrok, wokół mnie w blasku migocących świateł powoli budziło się nocne życie miasta. Ruch też był większy - typowe późne popołudnie na Szóstej Alei, pełnej samochodów, żółtych taksówek i autobusów wyjeżdżających z West Yillage. Trwała ewakuacja biur, gdziekolwiek spojrzeć, widać było zmęczonych, poirytowanych, śpieszących się ludzi.

Ale kiedy przeciskałem się przez tłum w stronę Dziesiątej, moją uwagę zaprzętało głównie to, jak szybko tabletkę Yernona - czymkolwiek, do cholery, była - zaczęła działać.

Poczułem coś niemal natychmiast po wyjściu z baru. Była to drobna zmiana percepcji, początkowo prawie niedostrzegalna, ale w drodze przez pięć przecznic dzielących mnie od Alei A stopniowo

zyskująca na intensywności, aż wreszcie wszystko wokół stało się aż nadto wyraźne - gra świateł, samochody pełnzące ulicę po mojej lewej stronie, ludzie idący z naprzeciwka. Zauważałem ich ubrania, słyszałem urywki rozmów, migały mi przed oczami ich twarze. Wychwytywałem wszystko, ale nie tak, jakbym wszedł na wyższy poziom świadomości pod wpływem narkotyków. Wydawało się to raczej czymś naturalnym i po jakimś czasie - przeszedłem może dwie, trzy przecznice - zacząłem się czuć tak, jakbym biegł, ćwiczył na siłowni, zmuszał się do najwyższego wysiłku fizycznego. Jednocześnie jednak wiedziałem, że to nie może być naturalne uczucie, bo gdybym rzeczywiście przebiegł taki dystans, dyszałbym ciężko, oparty o jakąś ścianę i błagał kogoś o wezwanie pogotowia. Bieganie? Cholera, kiedy ostatnio to robiłem? Bodaj od piętnastu lat ani razu nie miałem po temu okazji, a mimo to tak właśnie się czułem - w głowie spokój, żadnego szumu, mrowienia, serce nie wali jak młot, nie popadam w obłąd, nie jest mi jakoś wyjątkowo przyjemnie, po prostu jestem trzeźwy i rzeński. Zupełnie jakbym nie wlał w siebie dwóch whisky z sokiem, nie wypalił trzech czy czterech papierosów i nie zjadł na lunch cheeseburgera z frytkami - nie wspominając o innych szkodliwych rzeczach, jakie robiłem w swoim życiu, a które teraz układały mi się przed oczami w zatłuszczo-ną talię kart.

22

I oto po jakichś ośmiu czy dziesięciu minutach nagle jestem zdrów jak ryba?

Wykluczone.

Fakt, że szybko reaguję na prochy - nawet na te najzupełniej zwyczajne, jak aspiryna czy paracetamol. Kiedy coś dostaje się do mojego organizmu, od razu to czuję i doświadczam wszelkich możliwych skutków działania substancji. Na przykład, jeśli na opakowaniu jest napis „może wywołać senność”, to zazwyczaj wpadam w stan zbliżony do łagodnej śpiączki. Nawet na studiach zawsze pierwszy dostawałem kopa po środkach halucynogennych, pierwszy wyczuwałem te subtelne, łagodne zmiany koloru i tekstury otoczenia. Tym razem jednak przebiegało to inaczej. Aż tak szybka reakcja chemiczna była dla mnie czymś zupełnie nowym.

Kiedy znalazłem się na schodach przed moim domem, podejrzewałem, że to, co wzięłem, działało już prawie na pełnych obrotach.

Wszedłem na drugie piętro, mijając po drodze wózki dziecięce, rowery i tekturowe pudła. Nie spotkałem na schodach nikogo i nie jestem pewien, jak zareagowałbym, gdyby ktoś się napatoczył, ale nie stwierdziłem u siebie jakiejś szczególnej chęci unikania ludzi.

Podszedłem do drzwi mieszkania i zacząłem nerwowo grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu klucza - nerwowo, bo myśl o unikaniu czy nieunikaniu ludzi, czy też w ogóle o potrzebie zastanawiania się nad takimi rzeczami, nagle zaczęła budzić we mnie niepokój i poczucie zagrożenia. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że nie mam pojęcia, jak ta sytuacja się rozwinie, i że może się zdarzyć dosłownie wszystko. Cholera jasna, pomyślałem sobie, a jeśli stanie się tu coś dziwnego, jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli spotka mnie coś złego, jeśli zrobi się niebezpiecznie...

Przez chwilę stałem nieruchomo pod drzwiami, wpatrzony w mosiężną wizytówkę z moim nazwiskiem. Próbowałem ocenić swoją reakcję na to wszystko, nadać jej jakieś proporcje, i dość szybko doszedłem do wniosku, że nie lek tu zawinił, lecz ja. Po prostu wpadłem w panikę. Jak jakiś idiota.

Odetchnąłem głęboko, włożyłem klucz do zamka i otworzyłem drzwi. Włączyłem światło i przez kilka sekund patrzyłem na swoje przytulne, trochę przyciasne mieszkanie, które zajmowałem od przeszło sześciu lat. Jednak coś w moim sposobie jego postrzegania musiało się zmienić, bo nagle wydało mi się dziwne, zbyt ciasne, nawet jakby obce, a przede wszystkim nienadające się do pracy.

Przestąpiłem próg i zamknąłem za sobą drzwi.

23

Ledwie zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją na krześle, a już zacząłem zdejmować książki z półki nad wieżą stereo - to nie było odpowiednie dla nich miejsce - i ustawiać je na innej, gdzie lepiej pasowały. Potem rozejrzałem się po pokoju, spięty, zniecierpliwiony, niezadowolony z jakiegoś nieznanego mi powodu. Wkrótce zrozumiałem, że chodzi o to, iż nie wiem, od czego zacząć; w końcu padło na kolekcję blisko czterystu płyt z muzyką klasyczną i jazzem, walających się po całym mieszkaniu, w pudełkach i luzem, bez ładu i składu. Ułożyłem je w kolejności alfabetycznej.

Za jednym zamachem, bez chwili przerwy. Zebrałem je na podłodze na środku pokoju, tworząc dwie sterty, a potem każdą podzieliłem na bardziej szczegółowe kategorie, takie jak swing, be-bop, fusion, barok, opera i tak dalej. Wreszcie płyty z poszczególnych kategorii ułożyłem w kolejności alfabetycznej. Hampton, Hawkins, Herman. Schubert, Schumann, Smetana. Zrobiwszy to, zauważyłem, że nie mam gdzie ich wszystkich postawić, nie było miejsca, w którym zmieściłoby się czterysta kompaktów, więc zabrałem się do przemeblowania pokoju.

Przesunąłem biurko na drugą stronę i tak powstało wolne miejsce, w którym mogłem ułożyć pudła z papierami, do tej pory zajmujące półki. Kiedy te były już wolne, ułożyłem na nich płyty. Następnie przestawiłem kilka mebli, mały stół, na którym jadałem, komodę, telewizor z magnetowidem. Zrobiłem remanent w książkach, odrzucając około stu pięćdziesięciu: głównie tanie kryminały, horrory i powieści science fiction, których nigdy więcej nie przeczytam, więc mogłem lekką ręką ich się pozbyć. Włożyłem je do dwóch plastikowych worków, które wyjąłem z szafy na korytarzu. Wziąłem trzeci i zacząłem przeglądać papiery na biurku i w szufladach. Powyrzucałem rzeczy, które trzymałem bez powodu, takie, których bez wahania pozbyłby się niefortunny wykonawca mojego testamentu, bo niby co miałyby z nimi zrobić... po co komu stare listy miłosne, paski z wypłatą, rachunki za gaz i prąd, pożółkłe maszynopisy nieukończonych artykułów, instrukcje obsługi artykułów trwałego użytku, których już nie miałem, prospekty biur podróży, z których usług ani razu nie skorzystałem... Jezu, pomyślałem, chowając wszystkie te śmieci do wórka, zostawiamy za sobą tyle gówna, którym potem inni muszą zawracać sobie głowę. Nie żebym miał zamiar umierać, rzecz jasna, ale jakiś niepohamowany impuls kazał mi zrobić porządek w mieszkaniu. I przy okazji w moim życiu, bo potem zabrałem się do sortowania materiałów roboczych - teczek wypchanych wycinkami z gazet, ilustrowanych książek, slajdów, plików komputerowych - kierując się myślą, by ruszyć projekt z miejsca, szybko go skończyć i zająć się czymś innym, ambitniejszym.

24

Kiedy na moim biurku zapanował porządek, postanowiłem napić się wody. Suszyło mnie, a od przyjscia do domu nic jeszcze nie piłem. W tamtej chwili nie pomyślałem o tym, że przecież rzadko

pijam wodę. Nie zauważyłem nawet, że dziwne jest całe moje zachowanie - bo zwykle moją pierwszą czynnością po powrocie było wyjęcie piwa z lodówki.

Ale dziwne nie wydało mi się także to, że przechodząc przez salon, przestawiłem kanapę i fotel.

Tak czy inaczej, kiedy pchnąłem drzwi kuchni i włączyłem światło, zrobiło mi się ciężko na sercu. Kuchnia była długa i wąska, z kredensami starego typu i dużą lodówką naprzeciwko wejścia. Wszędzie walały się naczynia, brudne garnki, puste kartony po mleku i płatkach śniadaniowych i zgniecione puszki po piwie. Po jakichś dwóch sekundach wahania wziąłem się do roboty.

Odstawiając ostatni wyszorowany garnek, zerknąłem na zegarek. Miałem wrażenie, że wróciłem niedawno - trzydzieści, czterdzieści minut temu? - ale teraz zorientowałem się, że sprzątam już przeszło trzy i pół godziny. Rozejrzałem się po kuchni, zmienionej nie do poznania. Coraz bardziej zdezorientowany, wróciłem do salonu i przez chwilę patrzyłem w szoku na to, co z nim zrobiłem.

I jeszcze coś - przez te trzy i pół godziny nie zapaliłem ani jednego papierosa, co było w moim przypadku czymś niesłychanym.

Podszedłem do krzesła, na którym zostawiłem marynarkę, wyjąłem z bocznej kieszeni paczkę cameli i przyjrzałem się jej. Kiedy patrzyłem na widniejący na niej znajomy obrazek pustynnego wierzchowca, nagle wydała mi się mała, skurczona, obca. Nie przypominała czegoś, z czym żyłem każdego dnia, co w pewien sposób zrosło się ze mną. I właśnie wtedy poczułem się naprawdę dziwnie. Był to, licząc od końca lat siedemdziesiątych, chyba najdłuższy w moim życiu okres bez papierosa - a mimo to nadal nie miałem ochoty zapalić. Co więcej, od lunchu nic nie jadłem. Ani nie szczałem. Wszystko to było bardzo dziwne.

Schowałem papierosy z powrotem do kieszeni i przez chwilę stałem, patrząc na marynarkę.

Byłem zbity z tropu, bo choć nie miałem wątpliwości, że jestem na haju po tym, co dostałem od Yernona, nie mogłem zrozumieć, jak to działa. No dobra, odstawiłem fajki i posprzątałem mieszkanie - ale o co w tym chodziło?

Odwróciłem się, podszedłem do kanapy i bardzo powoli usiadłem. Rzecz w tym, że czułem się normalnie... ale to się nie liczyło, bo jako urodzony flejtuch wiedziałem, że moje zachowanie przez ostatnie kilka godzin było, delikatnie mówiąc, nietypowe. Co to, do cholery, za lek -

25

środek dla bałaganiarzy? Próbowałem sobie przypomnieć, czy słyszałem albo czytałem o czymś takim, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Po paru minutach postanowiłem wyciągnąć się na kanapie. Położyłem nogi na oparciu i wcisnąłem głowę w poduszkę z myślą, że może uda mi się wywołać jakieś inne efekty, zmienić doznania, trochę popłynąć. Ale niemal od razu zacząłem czuć irytujące napięcie i silny niepokój. Zwiesiłem nogi z kanapy i wstałem.

Najwyraźniej musiałem mieć jakieś zajęcie. Od odległych lat osiemdziesiątych nie miałem okazji poddać się działaniu nieznannej, nieprzewidywalnej i niedostępnej na receptę substancji chemicznej, i teraz żałowałem, że tak beztrosko - i głupio - znów to zrobiłem. Przez jakiś czas krążyłem po pokoju, aż w końcu podszedłem do biurka i usiadłem na obrotowym krześle. Przerzuciłem jakieś papiery

dotyczące podręcznika telekomunikacji, o którym miałem napisać tekst, ale to było zbyt męczące i nie o tym zamierzałem teraz myśleć.

Przerwałem pracę i obróciłem się na krześle, by rozejrzeć się po pokoju. Wszędzie widać było rzeczy przypominające o mojej książce dla Kerr & Dexter- ilustrowane tomy, pudełka slajdów, sterty pism, zdjęcie Aldousa Huxleya przypięte do tablicy na ścianie.

Nakręcanie: Od Haight-Ashbury do Doliny Krzemowej. Choć byłem dość sceptycznie nastawiony do obietnic Yernona Gan-ta, że ta tabletki pomoże mi przezwyciężyć niemoc twórczą, pomyślałem sobie, no dobra, czemużby nie spróbować skupić się na pisaniu - przynajmniej na jakiś czas? Włączyłem komputer.

Mark Sutton, mój przełożony w K & D, podrzucił mi pomysł na tę książkę przed jakimiś trzema miesiącami; od tamtej pory snułem rozważania, krążyłem wokół tematu, rozmawiałem ze znajomymi i udawałem, że coś piszę, ale kiedy teraz spojrzałem na te notatki, dotarło do mnie, jak mało zrobiłem. Miałem dużo innej pracy, jak nie korekty, to teksty reklamowe; byłem zajęty, jasne, ale z drugiej strony, o takie właśnie zlecenie suszyłem głowę Suttonowi, odkąd zacząłem pracę w K & D w 1994 roku - o coś istotnego, coś, co mógłbym podpisać własnym nazwiskiem. Zorientowałem się, że jak tak dalej pójdzie, to zawalę sprawę. Żeby wszystko było jak należy, musiałem napisać wstęp na dziesięć tysięcy słów i obszernie podpisy pod zdjęcia na następne dziesięć-piętnaście tysięcy, a sądząc po tych notatkach, nie ulegało wątpliwości, że na razie sam nie wiem, co chcę w tej książce powiedzieć.

Zebrałem wprawdzie mnóstwo materiałów - biografie Raymonda Loewy'ego, Timothy'ego Leary i Steve'a Jobsa, analizy polityczne i eko-

26

nomiczne, źródła wzorów wykorzystywanych we wszystkim, od tkanin poprzez reklamy, okładki płyt i plakaty, aż po artykuły przemysłowe - ale ile z tego przeczytałem?

Sięgnąłem na półkę nad biurkiem po biografię Raymonda Loewy'ego i przyjrzałem się zdjęciu na okładce - wymuskany, wąsaty Loewy pozujący w swoim bardzo nowoczesnym biurze w 1934 roku. To on wskazał drogę pierwszemu pokoleniu projektantów-stylistów, ludzi potrafiących niemal wszystko. Sam zaprojektował wygląd smukłych autobusów Grey-hound z lat czterdziestych, paczek lucky strike'ów i lodówek Coldspot--Six - wszystkie te informacje zaczerpnąłem z notatki na wewnętrznej okładce książki, nad której kupnem zastanawiałem się w księgarni na Bleeker Street. Wystarczyły, bym uznał, że ta biografia mi się przyda i że Loewy był znaczącą postacią, kimś, o kim muszę wiedzieć jak najwięcej, jeśli rzeczywiście mam poważne plany.

Ale czy zgłębiłem jego życiorys? Oczywiście, że nie. Wystarczy, że dałem za tę cholerną cegłę trzydzieści pięć dolarów. Może jeszcze miałem ją przeczytać?

Otworzyłem książkę RaymondLoewy: Życie. Pierwszy rozdział opowiadał o jego dzieciństwie spędzonym we Francji, przed emigracją do Stanów Zjednoczonych. Zacząłem czytać.

Na ulicy włączył się autoalarm. Wytrzymałem chwilę, w końcu podniosłem głowę - czekałem, miałem nadzieję, że przestanie wyć. Po kilku sekundach zrobiło się cicho i wróciłem do lektury, a kiedy

ponownie utkwiałem wzrok w książce, zauważyłem, że jestem już na dwieście trzydziestej siódmej stronie.

Czytałem przez jakieś dwadzieścia minut.

Byłem oszołomiony, nie mogłem zrozumieć, jak udało mi się przeczytać tyle stron w tak krótkim czasie. Normalnie zajęłoby mi to trzy-cztery godziny. To było niesamowite. Przewertowałem poprzednie kartki, by sprawdzić, czy pamiętam treść. Ku mojemu zaskoczeniu, pamiętałem. W zwykłych okolicznościach zapamiętuję niewielką część tego, co czytam, trudno mi nawet połapać się w co bardziej pogmatwanych fabułach, nie wspominając o danych technicznych czy faktach. Wchodzę do księgarni i patrzę na półki z książkami, powiedzmy, historycznymi albo poświęconymi architekturze czy fizyce, i wpadam w rozpacz. Jak ktokolwiek mógłby ogarnąć cały dostępny materiał na dany temat? Czy choćby w jakiejś jednej specjalistycznej dziedzinie? Zwariować można...

To było niesamowite...

27

Wstałem z krzesła.

No dobra, spytaj mnie o jakiś szczegół z początków kariery Raymon-da Loewy'ego.

Jaki?

Na przykład - no nie wiem - na przykład, od czego zaczynał?

No dobrze, od czego?

Pod koniec lat dwudziestych pracował jako ilustrator w żurnalach, głównie w „Harper's Bazaar”.

No i?

Zajął się wzornictwem przemysłowym, kiedy dostał zlecenie przygotowania projektu nowego powielacza marki Gestetner. Zrobił to w pięć dni. Było to w maju 1929 roku. Tak zaczął, potem projektował wszystko, od spinek do krawatów po lokomotywy.

Chodziłem po pokoju w tę i we w tę, kiwając głową i strzelając palcami.

Kim byli jego współcześni?

Norman Bel Geddes, Walter Teague, Henry Dreyfuss.

Odkaszlnąłem i kontynuowałem, od tej pory na głos -jakbym wygłaszał wykład.

Ich wspólna wizja w pełni zmechanizowanej przyszłości - gdzie wszystko byłoby czyste i nowe - ujrzała światło dzienne na Wystawie Światowej w Nowym Jorku w 1939 roku. Zgodnie z mottem „Jutro dzisiaj!” Bel Geddes zaprojektował największą i najdroższą ekspozycję na zamówienie General Motors. Nazywała się Futurama i przedstawiała wizję Ameryki w stanowiących wówczas daleką przyszłość latach sześćdziesiątych - było to coś w rodzaju dynamicznego, onirycznego prekursora Nowego Pogranicza...

Nie mogłem uwierzyć, że przyswoiłem tak wiele informacji, nawet tych mało znanych - na przykład jakie materiały wykorzystano w zakrojonym na ogromną skalę projekcie rekultywacji terenów Flushing Bay na których później zorganizowano wystawę.

Popiół i przetworzone odpady.

Sześć milionów metrów kwadratowych.

No i jak ja to zapamiętałem? To było absurdalne - ale zarazem, rzecz jasna, fantastyczne, więc czułem się strasznie podekscytowany.

Wróciłem za biurko. Książka miała około ośmiuset stron i uznałem, że nie muszę czytać jej od deski do deski - w końcu kupiłem ją tylko dla ogólnych informacji i w razie czego zawsze mogłem do niej sięgnąć. Dlatego resztę stron tylko pobieżnie przejrzałem. Kiedy skończyłem ostatni rozdział, postanowiłem spróbować streścić wszystko, co przeczytałem.

28

Najistotniejsza informacja, jaką zdobyłem, dotyczyła samego stylu Loewy'ego, zwanego „streamline”. Była to jedna z pierwszych koncepcji wzornictwa czerpiących inspirację z technologii, a zwłaszcza z aerodynamiki. Zgodnie z jej założeniami mechaniczne przedmioty miały być pokryte gładkimi metalowymi powłokami i kapsułami; chodziło o to, by stworzyć społeczeństwo wolne od wszelkiego rodzaju tarć. W tamtych czasach idea ta znajdowała swoje odbicie we wszystkim - muzyce Ben-ny'ego Goodmana, eleganckiej scenerii filmów Freda Astaire'a, na pokładach liniowców, w nocnych klubach i apartamentach, w których z takim wdziękiem tańczyli z Ginger Rogers...

Zrobiłem sobie chwilę przerwy i rzuciłem okiem pomieszkaniu, a potem spojrzałem w okno. Było ciemno i cicho, przynajmniej na tyle, na ile może być w mieście. I w tej chwili uświadomiłem sobie, że jestem szczęśliwy jak nigdy. Cieszyłem się tym uczuciem tak długo, jak się dało - aż wreszcie usłyszałem bicie swojego serca, odmierzające sekundy...

Spojrzałem na książkę, zabębniłem palcami w biurko i wróciłem do pracy.

No dobra... kształty i krzywizny streamline'u tworzyły iluzję nieustającego ruchu. Był to radykalny nowy kierunek. Wpłynął na nasze pragnienia i oczekiwania wobec otoczenia - pociągów, samochodów i budynków, a nawet lodówek i odkurzaczy, nie wspominając o tuzinach innych przedmiotów codziennego użytku. W tym momencie wypadało jednak zadać ważne pytanie: co było pierwsze, iluzja czy pragnienie?

Doznałem olśnienia. Oto pierwsza z kwestii, które będę musiał poruszyć we wstępie. Dlatego że pokazywała pewien proces, który - z pewnymi modyfikacjami - miał powtórzyć się później.

Wstałem, podszedłem do okna i myślałem o tym kilka chwil. Wziąłem głęboki oddech, bo chciałem zrobić wszystko, jak należy.

No dobra.

Wpływ...

Wpływ struktur subatomowych i mikroobwodów na późniejsze projekty, wraz z właściwą latom sześćdziesiątym ideą wspólnego pierwiastka wszechrzeczy, miał swoją analogię w połączeniu wzornictwa wieku maszyn z narastającym w okresie międzywojennym przekonaniem, że człowiek może osiągnąć prawdziwą wolność tylko poprzez zwiększenie wydajności, mobilności i szybkości.

Tak.

Wróciłem za biurko i napisałem na komputerze około dziesięciu stron notatek, wszystko z pamięci. Moje procesy myślowe przebiegały z jasnością, która działała na mnie pobudzająco, i choć było to dla mnie obcym

29

uczuciem, wtedy nie widziałem w nim niczego dziwnego, a poza tym i tak nie mogłem przestać. Ale właściwie nie chciałem przestać, bo w ciągu tej godziny moja praca nad książką posunęła się dalej niż przez trzy ostatnie miesiące.

Dlatego bez żadnej przerwy dla złapania tchu sięgnąłem po następną książkę z półki, opis Krajowej Konwencji Partii Demokratycznej w Chicago w 1968 roku. Przejrzałem ją niespełna godzinę, robiąc przy tym notatki. Przeczytałem też dwie inne, pierwszą o wpływie secesji na wzornictwo w latach sześćdziesiątych i drugą o wczesnych latach Grateful Dead w San Francisco.

W sumie zrobiłem trzydzieści pięć stron notatek. Poza tym przygotowałem szkic pierwszej części wstępu i szczegółowy plan książki. Napisałem około trzech tysięcy słów, a potem przeczytałem cały tekst kilka razy i wprowadziłem niezbędne poprawki.

Około szóstej rano zacząłem zwalniać tempo; do tej pory nie wypaliłem ani jednego papierosa, nic nie zjadłem ani nie musiałem iść do kibla. Czuję się trochę zmęczony i miałem lekki ból głowy, ale nic poza tym. A w porównaniu z innymi momentami, kiedy byłem na nogach o tak wczesnej porze - zgrzytający zębami, niezdolny zasnąć - wiercie mi, zmęczenie i lekki ból głowy to drobiazg.

Wyciągnąłem się wygodnie na kanapie. Spojrzałem w okno i zobaczyłem dach budynku naprzeciwko, a także fragment nieba, na którym powoli kładło się blade światło brzasku. Nasłuchiwałem dźwięków - urywanego charkotu przejeżdżających śmieciarek, rozlegających się od czasu do czasu syren policyjnych, cichego szumu samochodów z okolicznych ulic. Przyłożyłem głowę do poduszki i w końcu zacząłem się odprężyć.

Tym razem nie było żadnego nieprzyjemnego ukłucia niepokoju, po prostu leżałem na kanapie. Ale po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że nadal coś mnie dręczy.

W spaniu na kanapie było coś niechlujnego - rozmywały się granice między jednym dniem a następnym, brakowało poczucia zamknięcia... przynajmniej tak wtedy biegł tok moich myśli. Byłem też przekonany, że za drzwiami sypialni czyha prawdziwy bałagan. Nie zajrzałem tam jeszcze, jakoś udało mi się tego uniknąć podczas gorączki porządkowania, której uległem przez ostatnie dwanaście godzin. Ale teraz wstałem z kanapy, podszedłem do drzwi sypialni i otworzyłem je. Nie myliłem się - było tam jak w chlewie. A że musiałem się przespać, i to w swoim łóżku,

30

zabrałem się do sprzątanía. Robiłem to mniej ochoczo niż w kuchni i salonie, ale lek jeszcze działał i to dało mi dość energii. Kiedy skończyłem, wziąłem długi gorący prysznic, a potem połknąłem dwie tabletki excedri-nu extra-strength, by uśmierzyć ból głowy. Włożyłem czystą koszulę i bokserki, wśliznąłem się do łóżka i zasnąłem może pół minuty po tym, jak moja głowa spoczęła na poduszce.

Tu, w Northwiew Motor Lodge, wszystko jest szare i nijakie. Rozglądam się po pokoju i choć zauważam dziwaczne wzory i tonacje kolorów, nic nie przykuwa mojej uwagi - oczywiście oprócz telewizora, który nadal pracowicie migocze w kącie. W studiu siedzi jakiś brodac z okularach i tweedowej marynarce. Od razu - znając zwyczaj ludzi z castingu - zakładam, że jest historykiem, a nie politykiem, rzecznikiem służb bezpieczeństwa czy choćby dziennikarzem. Moje podejrzenie sprawdza się, kiedy pokazują zdjęcie Pancha Villi, bandyty-rewolucjonisty, a potem bardzo niewyraźny czarno-biały film z, na oko, 1916 roku. Nie zamierzam podgłośnić dźwięku, by to sprawdzić, ale jestem prawie pewien, że widmowe postacie jadące na koniach w stronę kamery ze środka czegoś, co wygląda jak wirująca chmura kurzu (ale jest prawdopodobnie uszkodzeniem kliszy), to wojska interwencyjne zawzięcie depreczając Pancho Yilli po piętach.

A to było w 1916, zgadza się?

Mam wrażenie, że kiedyś to wiedziałem.

Wpatruję się w migające obrazy jak zahipnotyzowany. Materiały filmowe zawsze mnie fascynowały; niesamowite wydawało mi się, że wszystko, co widać na ekranie -jakiś dzień, jakaś chwila - zdarzyło się naprawdę, a uczestniczący w tym ludzie, którzy przemknęli przed kamerą i zostali uwiecznieni na taśmie filmowej, dalej wiedli swoje codzienne życie nieświadomi tego, że ich niezgrabne ruchy przy przechodzeniu przez ulicę czy wysiadaniu z tramwaju zostaną zachowane na dziesiątki lat, a potem odtworzone w innym już świecie.

Dlaczego to mnie nadal obchodzi? Jak mogę w ogóle o tym myśleć?

Nie powinienem się tak rozpraszać.

Kiedy sięgam po butelkę Jacka Daniela stojącą na podłodze obok wiklinowego fotela, przychodzi mi do głowy, że może picie whisky w tej

31

chwili nie jest najlepszym pomysłem. Mimo to podnoszę ją i biorę duży łyk. Potem wstaję i przez chwilę chodzę po pokoju. Ale ta straszna cisza, podkreślana przez buczenie maszyny do lodu, i wirujące wokół mnie jaskrawe barwy powodują, że tracę orientację i uznaję, że najlepiej będzie znowu usiąść i wziąć się do roboty.

Muszę pracować, mówię sobie, i być skoncentrowany.

No dobra, zasnąłem bardzo szybko. Ale nie spałem najlepiej. Przewracałem się z boku na bok i miałem dziwne, bezsensowne sny.

Obudziłem się po wpół do dwunastej - czyli po ilu, czterech godzinach? Dlatego wstając z łóżka, nadal byłem bardzo zmęczony. Ale choć pewnie mógłbym jeszcze jakiś czas poleżeć i spróbować zasnąć, wiedziałem, że nie zmrzyżę oka, raz po raz odtwarzałbym w głowie wydarzenia poprzedniej nocy i

oczywiście jak najdłużej odkładał to, co musiałem zrobić - czyli przejść do salonu, włączyć komputer i sprawdzić, czy wszystko, co pamiętałem, było tylko wytworem mojej wyobraźni.

Wygląd pokoju wskazywał, że nie. Ubrania były schludnie złożone na krześle, a buty równo ustawione na podłodze pod oknem. Szybko wstałem i poszedłem się odlać. Potem ochlapałem twarz zimną wodą, dużą ilością zimnej wody.

Kiedy uznałem, że jestem wystarczająco przytomny, przez chwilę przeglądałem się w lustrze. O dziwo, moja gęba nie wyglądała tak, jak zwykle po przebudzeniu. Nie miałem zapuchniętych oczu, nie wyglądałem groźnie, byłem po prostu zmęczony - choć inne szczegóły, jak za duży brzuch, obwisłe policzki i zaniedbane włosy, nie zmieniły się od poprzedniego dnia. Potrzebowałem też papierosa, choć akurat tego nie było po mnie widać.

Wszedłem ciężkim krokiem do salonu i zdjąłem marynarkę z oparcia krzesła. Wyjąłem camelę z bocznej kieszeni, zapaliłem jednego i napełniłem płuca mocnym, wonnym dymem. Wydychając go, rzuciłem okiem po pokoju i uznałem, że moje niechlujstwo to nie tyle kwestia wyboru, ile wada charakteru, więc nie miałem zamiaru z nim walczyć - byłem też jednak przekonany, że to nie miało żadnego znaczenia, bo gdyby mi zależało na porządku, zapłaciłbym komuś, by go zrobił. Z drugiej strony, to, co zapisałem w pamięci komputera - a przynajmniej to, czego zapisywałem pamiętałem, oby tylko dokładnie - było nie do zdobycia za żadne pieniądze.

Podszedłem do niego i wcisnąłem guzik z tyłu obudowy. Kiedy komputer z szumem obudził się do życia, spojrzałem na równy stos książek leżący na biurku obok klawiatury. Wziąłem do ręki biografię Loewy'ego,

32

ciekaw, jak wiele z niej mógłbym sobie przypomnieć, gdybym musiał. Przez chwilę próbowałem wydobyć cokolwiek z pamięci, fakty czy daty, może jakąś anegdotę, zabawną historyjkę powtarzaną w kręgach projektantów, ale nie potrafiłem się skupić, nic mi nie przychodziło do głowy.

No dobra, ale czego się spodziewałem? Byłem zmęczony. To tak, jakbym poszedł spać o północy, a już o trzeciej nad ranem zabrał się za podwójny akrostych z „Harper's Bazaar”. Potrzebowałem kawy - dwa-trzy kubki rozruszają mój mózg, a potem wszystko wróci do normy.

Otworzyłem plik ze szkicem pierwszej części wstępu do Nakręcania i zacząłem go przeglądać. Czytając, przypominałem sobie treść każdego akapitu, ale nie potrafiłem przewidzieć dalszego ciągu. Ja to napisałem, ale miałem wrażenie, jakbym czytał cudzą pracę.

Z drugiej strony - skłamałbym, gdybym tego nie przyznał - to, co czytałem, było bez porównania lepsze od wszystkiego, co mógłbym napisać w normalnych okolicznościach. Nie był to zwykły szkic, tekst miał wszystkie zalety dobrej, wyszukanej prozy. Był przekonujący, wyważony i dobrze przemyślany - co zawsze przychodziło mi z największym trudem, a czasem wręcz wydawało się niemożliwe. Ilekroć próbowałem nadać Nakręcaniu jakąś strukturę, w głowie roilo mi się wprawdzie od pomysłów, ale kiedy usiłowałem skupić się na którymś z nich albo dokładniej im się przyjrzeć, rozmywały się i rozpraszały, a mnie nie zostawało nic prócz frustracji wywołanej świadomością, że znów muszę zaczynać od nowa.

Tymczasem wyglądało na to, że zeszłej nocy rozgryżłem to choler-stwo za pierwszym podejściem.

Zgasilem papierosa i przez chwilę wpatrywałem się w zdumieniu w ekran.

Odwróciłem się i poszedłem do kuchni, by zaparzyć sobie kawę.

Kiedy napełniałem ekspres i przygotowywałem filtry, a potem obierałem pomarańczę, zauważyłem, że czuję się jak inny człowiek. Wszystko robiłem niepewnie, niczym kiepski aktor, któremu reżyser każe zrobić kawę i obrać pomarańczę w nieprawdopodobnie czystej kuchni.

Nie trwało to jednak długo, bo już wkrótce zacząłem zostawiać po sobie ślady zwiastujące rychły powrót do bałaganiarskiej tradycji. Wystarczyło dziesięć minut, by na pustych blatach pojawił się karton mleka, talerz niedojedzonych rozmoczonych płatków, kilka łyżek, pusty kubek, różnokolorowe plamy, zużyty filtr do kawy, kawałki skórki od pomarańczy i popielniczka z dwoma niedopałkami.

3 - Dawka geniuszu

33

Wszystko wróciło do normy.

Ale niepokój wywołany stanem kuchni był tylko wybiegiem. Chodziło o to, by nie myśleć o tym, że muszę znów zasiąść przed komputerem. Wiedziałem bowiem, czym to się skończy. Spróbuję napisać dalszy ciąg wstępu -jakby to było coś najzupełniej normalnego - i oczywiście utknę. Nie będę w stanie nic zrobić. Potem w rozpaczy wrócę do tego, co napisałem w nocy, i zacznę w tym dłubać - czy raczej dziobać jak sęp -i prędzej czy później to też się posypie.

Westchnąłem ciężko i zapaliłem następnego papierosa.

Rozejrzałem się po kuchni i zastanowiłem się, czy by jej nie posprzątać i przywrócić do stanu nieskazitelnej czystości. Ale ledwie spojrzałem na talerz z płatkami, porzuciłem ten pomysł jako wymuszony i niesponta-niczny. Zresztą nie obchodziła mnie ani kuchnia, ani ustawienie mebli, ani kompaktki ułożone w porządku alfabetycznym - wszystko to było tylko dodatkiem do głównej atrakcji, czy jak kto woli, skutkiem ubocznym. To, co najważniejsze, znajdowało się w salonie, na samym środku mojego biurka.

Zgasilem papierosa, którego zapaliłem zaledwie chwilę wcześniej -czwartego tego ranka - i wyszedłem z kuchni. Nie patrząc na komputer, pomaszerowałem do sypialni, by się ubrać. Potem umyłem zęby. Wróciłem do salonu, wziąłem marynarkę wiszącą na krześle i przetrząsnąłem kieszenie. W końcu znalazłem to, czego szukałem: wizytówkę Yernona.

Yernon Gant - głosiła - konsultant. Dalej był numer jego telefonu domowego i komórki oraz adres -mieszkał na Upper East Side, kto by pomyślał. W prawym górnym rogu widniało małe niewyszukane logo. Przez chwilę myślałem, czy do niego nie zadzwonić, ale nie chciałem, żeby mnie spławił, mówiąc, że jest zajęty i może się ze mną spotkać w środku przyszłego tygodnia. Zależało mi na tym, by zobaczyć się z nim natychmiast, twarzą w twarz, tak bym mógł dowiedzieć się wszystkiego o tym jego, tak to nazwijmy, inteligentnym leku. Chciałem usłyszeć, skąd pochodził, co w nim było i - co najważniejsze -jak mogę zdobyć jego większą ilość.

34

Zszedłem na dół, zatrzymałem taksówkę i kazałem kierowcy jechać na róg Dziewiętnastej i Pierwszej. Odchyliłem się na oparcie i wyjrzałem przez okno. Dzień był słoneczny, rzeński, a ruch niezbyt duży.

Ponieważ pracuję w domu i spotykam się głównie z mieszkańcami Greenwich, Lower East Side i SoHo, rzadko miewam okazję, by wyjechać poza centrum, a zwłaszcza na East Side. Gdy taksówka mijala kolejne boczne ulice, próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłem tak daleko na północy. Manhattan, mimo swojej wielkości i gęstości zaludnienia, jest dość prowincjonalny. Mieszkając tam, wytyczasz swoje terytorium, najczęściej uczęszczane trasy, i tyle. Do niektórych dzielnic możesz nigdy nie zajrzeć, do innych możesz mieć słabość - to zależy od miejsca pracy, związków, a nawet gustów kulinarnych. Zastanawiałem się, kiedy tu byłem ostatnio... może wtedy, gdy poszedłem do tej włoskiej knajpy z polem do gry w bocce, Il Yagabondo, na rogu Trzeciej i którejś tam - ale to było przed co najmniej dwoma laty.

W każdym razie z tego, co widziałem, niewiele się tu zmieniło.

Taksówkarz zatrzymał wóz przy krawężniku naprzeciwko Linden Tower na Dziewiętnastej. Zapłaciłem mu i wysiadłem. To było Yorkville, stara dzielnica niemiecka - stara, bo zostało po niej niewiele śladów, może kilka firm, sklep z alkoholem, pralnia, parę sklepów delikatesowych, na pewno sporo mieszkańców, zwłaszcza tych bardziej leciwych. W przeważającej części, tak przynajmniej czytałem, dzielnica została zabudowana nowymi blokami mieszkalnymi, barami dla samotnych, irlandzkimi pubami i restauracjami tematycznymi, które otwierano i zamykano z niepokojącą częstotliwością.

Wystarczył rzut oka, by się przekonać, że tak to rzeczywiście wygląda. Z miejsca, w którym stałem, widać było puby O'Leary's i Hanni-gan's, a także restaurację o nazwie Cafe Rewolucja Październikowa.

Linden Tower był ciemnym blokiem mieszkalnym z czerwonej cegły, jednym z wielu wzniesionych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza w tej części miasta. Budynki te już na dobre wrosły w pejzaż okolicy, a Linden Tower, jak większość z nich, był za duży, brzydki i zimny.

Yernon Gant mieszkał na szesnastym piętrze.

Przeszedłem przez Pierwszą Aleję, zstąpiłem po schodach na plac i skierowałem się do dużych obrotowych szklanych drzwi. Wyglądało na to, że stale są w ruchu; ludzie bez przerwy wchodzili i wychodzili z budynku. Przy wejściu spojrzałem w górę i aż zakręciło mi się w głowie,

35

kiedy zobaczyłem, jak wysoki jest ten wieżowiec. Nie udało mi się odchylić na tyle, by zobaczyć niebo.

Minąłem recepcję na środku holu i skręciłem w lewo w stronę wind. Było ich osiem, cztery po każdej stronie, więc nie czekałem długo. Rozległ się cichy brzęk, drzwi jednej z wind rozsunęły się i wysiadło troje ludzi. Do środka razem ze mną weszło sześć osób. Wszyscy wcisnęliśmy guziki i zauważyłem, że nikt oprócz mnie nie jedzie wyżej niż na piętnaste piętro.

Sądząc po ludziach, których widziałem w holu i w windzie, Linden Tower zamieszkiwało zróżnicowane towarzystwo. Wiele mieszkań było od dawna objętych kontrolą czynszów, ale część na pewno została pod-najęta za niebotycznie wysokie stawki, co sprawiło, że powstała tu swoista mozaika społeczna.

Wysiadłem na szesnastym piętrze. Jeszcze raz spojrzałem na wizytówkę Yernona i poszukałem jego mieszkania. Musiałem pójść korytarzem i skręcić w lewo. To były trzecie drzwi na prawo. Po drodze nie spotkałem nikogo.

Nacisnąłem dzwonek. Nie zastanawiałem się zbytnio, co mu powiem, jak otworzy, a jeszcze mniej myślałem o tym, jak zareaguję, jeśli go nie będzie, ale kiedy tak stałem, zrozumiałem, że i jedna, i druga ewentualność budziła we mnie duży niepokój.

Usłyszałem jakiś ruch w środku i trzask zamków.

Yernon musiał zobaczyć mnie przez judasza, bo usłyszałem jego głos, zanim jeszcze do końca otworzył drzwi.

- Cholera, stary, szybki jesteś.

Powitalny uśmiech zniknął z mojej twarzy, kiedy tylko go zobaczyłem. Stał przede mną w bokserkach. Miał podbite oko i rozciętą wargę, a jego prawa dłoń była zabandażowana.

-Co się...

-Nie pytaj.

Yernon odwrócił się w progu i skinął na mnie lewą ręką. Wszedłem, ostrożnie zamknąłem drzwi i skierowałem się zanim wąskim korytarzem do dużego salonu. Roztaczał się z niego wspaniały widok - na Manhattanie to normalne, gdy się mieszka na szesnastym piętrze. Okna wychodziły na południe i w niemal równym stopniu ukazywały brzydotę i świetność miasta.

Yernon zwałił się na długą czarną skórzaną kanapę w kształcie litery L. Czułem się nieswojo i nie chciałem patrzeć na niego, więc zacząłem się ostentacyjnie rozglądać.

Pokój był skąpo umeblowany, biorąc pod uwagę jego wielkość. Trochę staroci: antyczne biurko, dwa fotele w stylu królowej Anny, i zwykła

36

lampa. Były też nowe rzeczy: czarna skórzana kanapa, stół z przyciemnionego szkła, pusty metalowy stelaż na butelki wina. Nie można było jednak nazwać wystroju eklektycznym, bo brakowało w nim jakiegokolwiek ładu czy myśli przewodniej. Wiedziałem, że Yernon kiedyś interesował się meblami i kolekcjonował antyki, ale to wyglądało jak mieszkanie człowieka, który porzucił swoje hobby, stracił entuzjazm. Meble były źle dopasowane i wyglądały jak pozostałości z innej epoki - albo z innego mieszkania.

Stałem na środku pokoju, zobaczywszy już wszystko, co było do zobaczenia. Spojrzałem na Yernona w milczeniu, niepewny, od czego zacząć - ale w końcu on zrobił to za mnie. Uśmiech przeciął jego wykrzywioną bólem i paskudnie zniekształconą twarz o zazwyczaj żywych zielonych oczach i wydatnych kościach policzkowych.

- Widzę, Eddie, że jednak cię to interesuje - powiedział.

- Tak... to było niesamowite. To znaczy... serio. Wykrztusiłem to jak gówniarz szukający pierwszej działki, o którym

wspomniałem sarkastycznie poprzedniego dnia, a który teraz przychodził po następną.

- A nie mówiłem?

Pokiwałem głową, po czym - nie mogąc dłużej udawać, że tego nie widzę - powiedziałem:

- Yernon, co ci się stało?

-A jak myślisz, stary? Biłem się. -Z kim?

- Wierz mi, nie chcesz wiedzieć. Milczałem.

Może miał rację.

Kiedy się nad tym zastanowiłem, uznałem, że rzeczywiście nie chcę wiedzieć. Co więcej, byłem lekko poirytowany - gdzieś w głębi ducha modliłem się, by fakt, że Yernon dostał po gębie, nie przeszkodził mi w zdobyciu działki.

- Siadaj, Eddie - mruknął. - Wyluzuj się, opowiedz, jak było. Usiadłem po drugiej stronie kanapy i opowiedziałem mu wszystko.

Nie miałem powodu, by tego nie robić. Kiedy skończyłem, powiedział:

- Tak, to by się zgadzało.

- To znaczy? - spytałem.

- No wiesz, to działa na to, co już w tobie siedzi. Jeśli nie masz oleju w głowie, to nie zrobi z ciebie geniusza.

- Chcesz powiedzieć, że to inteligentny lek?

- Nie do końca. Dużo się mówi o inteligentnych lekach - takich, co to usprawniają procesy myślowe, rozwijają intelekt i tak dalej. Ale większość

37

z nich to tak naprawdę naturalne preparaty uzupełniające dietę, sztuczne odżywki, aminokwasy, tego typu rzeczy. Można by je nazwać podrasowanymi witaminami. To, co wzięłeś, to podrasowany lek. Musiałbyś tyknąć od cholery aminokwasów, żeby nie spać całą noc i przeczytać cztery książki, mam rację?

Skinąłem głową.

Yernon dobrze się bawił.

Ale ja nie. Byłem podminowany i chciałem, żeby przestał pieprzyć i powiedział mi, co wie.

- Jak to się nazywa? - spytałem.

-Nie ma żadnej potocznej nazwy, bo nie jest dostępne na ulicach -i chcemy, żeby tak zostało. Chłopcy z kuchni starają się, by jak najmniej osób wiedziało o jego istnieniu. Nazywają to MDT-48.

„Chłopcy z kuchni”?

- Dla kogo pracujesz? - spytałem. - Mówiłeś, że jesteś konsultantem w jakiejś firmie farmaceutycznej.

Yernon podniósł dłoń i przyłożył ją do twarzy. Wciągnął powietrze przez usta i stęknął cicho.

- Cholera, ale boli.

Nachyliłem się ku niemu. Co miałem zrobić - zaproponować, że przyniosę lód, wezwać lekarza? Czekałem. Słyszał moje pytanie czy powinienem je powtórzyć?

Po jakichś piętnastu sekundach Yernon opuścił rękę.

- Eddie - mruknął, wciąż skrzywiony - nie mogę odpowiedzieć na twoje pytanie. Na pewno to rozumiesz.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

- Przecież wczoraj mówiłeś mi o jakimś produkcie wprowadzanym na rynek, o testach klinicznych i certyfikacie FDA. Jak mam to rozumieć?

- Certyfikat FDA, jeszcze czego - prychnął z pogardą. - FDA aprobuje tylko środki używane w leczeniu. Nie uznaje tych, które zmieniają styl życia.

-Ale...

Miałem mu nawymyślać, ale ugryzłem się w język. Zapewnił, że ten środek ma certyfikat FDA, i wspomniał o testach klinicznych, ale czy naprawdę zależało mu na tym, żebym w to uwierzył?

No dobra, co my tu mamy? Coś o nazwie MDT-48. Nieznaną, nie-przetestowaną, być może niebezpieczną substancję farmaceutyczną wyniesioną z niezidentyfikowanego laboratorium, i to przez niegodnego zaufania człowieka, którego nie widziałem od dziesięciu lat.

38

- To jak? - spytał Yernon, patrząc prosto na mnie. - Chcesz tego więcej?

- Tak - odparłem. - Zdecydowanie.

Ustaliwszy to, zgodnie z obyczajami cywilizowanych dealerów i ich klientów, natychmiast zmieniliśmy temat. Spytałem go o meble i czy nadal zbiera „starocie”, a on mnie o muzykę i czy nadal słucham na cały regulator osiemdziesięciminutowych symfonii skomponowanych przez dawno zmarłych Niemców. Jakiś czas gawędziliśmy o tych rzeczach, a potem opowiedzieliśmy sobie, co porabialiśmy przez ostatnie kilka lat.

Yernon był dość ostrożny - to normalne w jego fachu, ale przez to nie mogłem go do końca zrozumieć. Odniosłem jednak wrażenie, że ma do czynienia z MDT już od dłuższego czasu, może nawet od kilku lat. Wydawało mi się też, że bardzo chce o tym mówić, ale ponieważ wciąż nie

wiedział, czy może mi zaufać, co i rusz urywał w pół zdania i ilekroć był bliski ujawnienia czegoś istotnego, zaczynał się wahać i szybko przechodził na pseudonaukową paplaninę, obfitującą w terminy typu „neuro-przeźnaki”, „obwody mózgu” czy „kompleksy komórka-receptor”.

Poza tym wiercił się na kanapie, co chwila podnosił i prostował lewą nogę, jak futbolista, a może tancerz, sam nie byłem pewien. Kiedy mówił, siedziałem dość spokojnie i słuchałem. Potem ja powiedziałem mu o tym, jak w 1989 roku - niedługo po rozwodzie - musiałem wyjechać z Nowego Jorku. Nie wspominałem, że w dużym stopniu to on się do tego przyczynił, że jego aż nadto regularne dostawy boliwijskiego proszku wpędziły mnie w poważne kłopoty zdrowotne i finansowe, a te z kolei kosztowały mnie utratę posady redaktora nieistniejącego już magazynu o modzie i sztuce, „Chrome”. Powiedziałem mu za to o koszmarnym roku spędzonym na bezrobociu w Dublinie, gdzie łudziłem się, że uda mi się zostać pisarzem, o trzech latach we Włoszech, gdzie uczyłem i robiłem tłumaczenia dla pewnej agencji w Bolonii, a także zdobywałem nowe ciekawe informacje o jedzeniu... na przykład, że warzywa niekoniecznie muszą być dostępne przez cały rok, jak w koreańskich sklepikach, ale mają swoje sezony, pojawiają się na jakieś sześć tygodni, w czasie których gotuje się je na różne sposoby; i tak, kiedy przychodziła pora na szparagi, robiło się risotto ze szparagami, szparagi z jajkami, fettuccine ze szparagami, aż po dwóch tygodniach człowiek gotów był kupić w warzywniaku wszystko, byle nie szparagi. Plotłem straszne bzdury i widziałem, że Yernon jest coraz bardziej niespokojny, więc zmieniłem temat i powiedziałem mu o tym, jak po powrocie z Włoch

39

odkryłem, że technologia wydawnicza zmieniała się tak dalece, iż wszelkie umiejętności, jakie nabyłem pod koniec lat osiemdziesiątych, stały się mniej lub bardziej zbędne. Potem opisałem ostatnie parę lat mojego życia, bardzo spokojne, nieciekawe, w czasie których mało piłem, za to dużo i smacznie jadłem.

Na koniec wspominałem o nadziejach, jakie wiązałem z pisaną właśnie książką.

Nie zamierzałem tak zgrabnie wrócić do najważniejszego tematu, ale Yernon spojrzął na mnie i powiedział:

- Zobaczmy, co się da zrobić.

Trochę mnie tym zdenerwował, ale uczucie to było stłumione przez świadomość, że on rzeczywiście może mi pomóc. Uśmiechnąłem się i uniosłem dłonie.

Yernon skinął mi głową, klepnął się w kolana i powiedział:

- No dobra, a teraz może napijesz się kawy albo coś przekąsisz?

Nie czekając na odpowiedź, wychylił się do przodu i z trudem dźwignął z kanapy. Poszedł do kuchni, oddzielonej od salonu kontuarem i stołkami.

Wstałem i dołączyłem do niego.

Yernon otworzył lodówkę i zajrzał do środka. Nad jego ramieniem widziałem, że jest prawie pusta. Wyjął z niej karton soku Tropicana i zaraz odstawił go z powrotem na miejsce.

- Wiesz co? - powiedział, odwracając się do mnie. - Muszę cię poprosić o przysługę.

- Jaką?

- W takim stanie nie bardzo mogę wyjść z domu, ale później będę musiał... a mój garnitur jest w pralni. Mógłbyś po niego skoczyć? Po drodze kupiłbyś coś na śniadanie.

- Nie ma sprawy. -1 aspirynę?

- Jasne.

Kiedy tak stał przede mną w bokserkach, wyglądał dość żałośnie. Z bliska widziałem bruzdy na jego twarzy i siwe pasemka we włosach wokół skroni. Jego skóra była blada. Dopiero w tej chwili zobaczyłem, co z nim zrobiło ostatnie dziesięć lat. Bez wątplenia on myślał to samo o mnie, tyle że zauważał inne szczegóły. Świadomość tego faktu była dość przygnębiająca, a uczucie to spotęgował jeszcze fakt, że oto próbowałem wkupić się w jego łaski - w łaski mojego dealera - bo przecież właśnie dlatego zgodziłem się pójść po jego garnitur i coś na śniadanie. Byłem zdumiony tym, jak szybko wróciliśmy do starego układu dealer-

40

klient, tej gotowości do poświęcenia własnej godności dla działki, grama hery z koką czy, w tym przypadku, tabletki, która miała mnie kosztować dużą część miesięcznego czynszu.

Yernon przeszedł przez pokój i wyjął portfel ze starej komody. Kiedy przeglądał jego zawartość - zapewne szukając pieniędzy i kwitu z pralni - zauważyłem leżący na stole z przyciemnionego szkła „Boston Globe”. Na pierwszej stronie był artykuł o bulwersujących uwagach sekretarza obrony Caleba Hale'a na temat Meksyku, ale mnie zaintrygowało co innego - po co nowojorczyk miałby czytać „Boston Globe”?

Yernon odwrócił się i podszedł do mnie.

- Kup mi muffma z jajecznicą i serem, do tego kanadyjski bekon i kawę. I coś dla siebie.

Wręczył mi banknot i mały niebieski kwit, który schowałem do kieszeni na piersi marynarki. Spojrzałem na banknot - na posępne, brodate oblicze Ulyssesa S. Granta- i oddałem go Yernonowi.

-Myślisz, że rozmienią pięćdziesiątkę, jak zamówię jednego muffi-na?

- Czemu nie? Sram na nich.

- Ja zapłacę.

- Jak chcesz. Pralnia jest na rogu Osiemdziesiątej Dziewiątej, a bar zaraz obok. W pobliżu jest też kiosk, w którym można kupić aspirynę. Aha, mógłbyś przy okazji wziąć „Boston Globe”?

Spojrzałem na gazetę leżącą na stole. Zauważył to i wyjaśnił:

- To wczorajsza.

- Aha - mruknąłem - a teraz chcesz dzisiejszą? -No.

- Dobra. - Wzruszyłem ramionami i poszedłem przez wąski przedpokój do drzwi.

- Dzięki - rzucił, idąc za mną. - A kiedy wrócisz, coś wymyślimy. Rozumiesz, w kwestii ceny. Wszystko jest do uzgodnienia, dobrze mówię?

- Taa - mruknąłem - to na razie.

Idąc korytarzem w stronę wind, usłyszałem za sobą odgłos zamykanych drzwi.

W drodze na dół musiałem walczyć z wyrzutami sumienia. Powiedziałem sobie, że gość dopiero co dostał wycisk i tylko robię mu przysługę, ale to przywołało wspomnienia. Wróciłem pamięcią do godzin spędzonych na czekaniu na „wiesz, kogo” w rozmaitych mieszkaniach - to zanim jeszcze poznałem Yernona - do sztucznych pogawędek i męczących prób

41

trzymania nerwów na wodzy do czasu, kiedy nadchodziła ta cudowna chwila, gdy człowiek mógł iść w miasto... do klubu albo do domu - lżejszy o osiemdziesiąt dolców, ale cięższy o całego grama.

Dawne czasy.

Od tamtej pory minęło przeszło dziesięć lat.

Więc co ja tu właściwie, do cholery, robiłem?

Wysiadłem z windy i wyszedłem przez obrotowe drzwi na plac. Po przejściu na drugą stronę Dziewięćdziesiątej ulicy ruszyłem w kierunku Osiemdziesiątej Dziewiątej. Wszedłem do kiosku. Yernon nie powiedział, jaką chce aspirynę, więc kupiłem opakowanie mojej ulubionej - excedri-nu extra-strength. Spojrzałem na gazety wyłożone na ladzie - Meksyk, Meksyk, Meksyk - i wziąłem „Globe”. Przebiegłem wzrokiem pierwszą stronę, szukając czegoś, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego Yernon to czyta. Jedyna wzmianka, która zwróciła moją uwagę, dotyczyła zbliżającego się procesu. Zajmowała jeden akapit i kończyła się odesłaniem do obszerniejszego materiału w środku numeru. Międzynarodowa korporacja chemiczna Eiben-Chemcorp miała bronić się w sądzie w Massachusetts przed zarzutami, że pod wpływem produkowanego przez nią niezwykle popularnego środka przeciwdepresyjnego, triburbazine'u, młoda dziewczyna zabiła swoją najlepszą przyjaciółkę, a potem popełniła samobójstwo. Czy Yernon mówił, że pracuje w tej właśnie firmie? Eiben-Chemcorp? Nie, skąd.

Wziąłem gazetę i excedrin, zapłaciłem i wyszedłem z powrotem na ulicę.

Skierowałem się w stronę baru, który nazywał się DeLuxe Luncheo-nette i był jednym z lokali w stylu retro, jakich pełno w mieście. Pewnie przed trzydziestoma laty wyglądał dokładnie tak samo jak teraz, a klientela pewnie też się nie zmieniła, i dlatego stanowił ogniwo łączące współczesność z przeszłością. Albo i nie. Może. Nie wiem. Tak czy inaczej, był obskurny i w porze lunchu dość zatłoczony, stanąłem więc pod drzwiami i czekałem na moją kolej.

Stojący za kontuarem Latynos w średnim wieku mówił:

- Ja tego nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi? Mają tu za mało kłopotów, więc szukają ich tam? - Spojrzał w lewo.

Przy grillu stali dwaj młodzi ludzie, którzy rozmawiali ze sobą po hiszpańsku i wyraźnie się z niego naśmiewali.

Wyrzucił ręce do góry.

42

- Nikogo to już nie obchodzi, wszyscy mają to gdzieś.

Obok mnie troje ludzi w milczeniu czekało na swoje zamówienia. Inni siedzieli przy stolikach. Przy tym, który stał najbliżej mnie, czterej starsi panowie pili kawę i palili papierosy. Jeden z nich czytał „Post”. Po chwili zorientowałem się, że to właśnie do niego kierował swoje uwagi facet zza kontuaru.

- Pamiętasz Kubę? - ciągnął. - Zatokę Świń? Czy to będzie następna Zatoka Świń, następne takie fiasko?

- Nie widzę analogii - powiedział mężczyzna czytający „Post”. -W przypadku Kuby chodziło o komunizm. -Nie odrywał oczu od gazety i mówił z bardzo słabym niemieckim akcentem. - To samo dotyczy amerykańskich interwencji w Nikaragui i Salwadorze. W XIX wieku Stany Zjednoczone stoczyły wojnę z Meksykiem, bo chciały zdobyć Teksas i Kalifornię. To miało sens ze strategicznego punktu widzenia. Ale teraz?

Pozostawił pytanie bez odpowiedzi i czytał dalej.

Barman pospiesznie zapakował dwie porcje, wziął pieniądze i parę osób wyszło. Przesunąłem się kawałek do przodu. Spojrzał na mnie. Zamówiłem to, czego chciał Yernon, oraz kawę i powiedziałem, że przyjdę za parę minut. Kiedy wychodziłem, latynoski barman oznajmił:

- Moim zdaniem powinni przywrócić zimną wojnę. Poszedłem do sąsiadującej z barem pralni i odebrałem garnitur Yer-

nona. Przez chwilę stałem na ulicy i patrzyłem na przejeżdżające samochody. Kiedy wróciłem do DeLuxe Luncheonette, okazało się, że do dyskusji włączył się klient z innego stolika, młody chłopak w dżinsowej koszuli.

- Co, myśli pan, że rząd wpakuje się w coś takiego bez żadnego powodu? To wariactwo.

Facet czytający „Post” odłożył gazetę i rozejrzał się, wyciągając szyję.

- Rządy nie zawsze działają logicznie - powiedział. - Czasem podejmują decyzje sprzeczne z ich własnymi interesami. Weźmy taki Wietnam. Trzydzieści lat...

- O rany, nie wracajmy do tego.

Barman, który wkładał moje zamówienie do torby - i zdawał się do niej właśnie mówić - mruknął:

- Zostawcie Meksykanów w spokoju i tyle. Po prostu zostawcie ich w spokoju.

Zapłaciłem mu i wziąłem torbę.

- Wietnam...

- Wietnam był błędem, zgadza się?

43

- Błędem? Ha. Eisenhower? Kennedy? Johnson? Nixon? Wielkim błędem.

- Słuchaj no...

Wyszedłem z DeLuxe Luncheonette i ruszyłem z powrotem w stronę Linden Tower, z garniturem Yernona w jednej dłoni, a jego śniadaniem i „Boston Globe” w drugiej. Nie bez trudu zmieściłem się w obrotowych drzwiach, a kiedy czekałem na windę, rozbolała mnie^{ewa} ręka.

Wjeżdżając na szesnaste piętro, czułem zapach jedzenia z brązowej papierowej torby i żałowałem, że nie wziąłem dla siebie nic oprócz czarnej kawy. Byłem sam w windzie i zastanawiałem się, czy nie podwędzić Yernonowi plastra kanadyjskiego bekonu. Postanowiłem tego nie robić, uznawszy, że byłoby to żalosne, a poza tym - ponieważ trzymałem garnitur na wieszaku - dość trudne do zrealizowania.

Wysiadłem z windy, ruszyłem korytarzem przed siebie i skręciłem za róg. Zauważyłem, że drzwi do mieszkania Yernona są lekko uchylone. Otworzyłem je szerzej nogą i wszedłem do środka. Zawołałem Yernona i skierowałem się do salonu, ale zanim tam dotarłem, wyczułem, że coś jest nie w porządku. Zebrałem się w sobie, wszedłem do pokoju i stanąłem jak wryty na widok panującego tam bałaganu. Meble - krzesła, komoda, stelaż na wino - były poprzewracane, a obrazy na ścianie przekrzywione. Wszędzie walały się książki, papiery i inne przedmioty i przez chwilę trudno mi było na cokolwiek skupić wzrok.

Kiedy tak stałem jak sparaliżowany, z garniturem, brązową papierową torbą i „Boston Globe”, wydarzyły się dwie rzeczy. Najpierw zobaczyłem Yernona siedzącego na czarnej skórzanej kanapie, a potem, niemal w tej samej chwili, usłyszałem za sobą jakiś dźwięk - kroki czy szuranie. Odwróciłem się, upuszczając garnitur, torbę i gazetę. W przedpokoju było ciemno, ale zauważyłem niewyraźną sylwetkę, która wyskoczyła z drzwi po lewej stronie i wypadła na korytarz. Zawahałem się, serce waliło mi w piersi jak oszałałe. W końcu też wybiegłem z mieszkania. Spojrzałem w jedną i w drugą stronę, ale nie zobaczyłem nikogo. Rzuciłem się w stronę końca korytarza i kiedy miałem wbiec za róg, usłyszałem odgłos zamykanych drzwi windy.

Świetnie, nie będę się musiał z nikim bić. Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem do mieszkania. Wtedy przed oczami stanął mi obraz Yernona na kanapie. Siedział tam i co... był wkurzony, że ma taki bajzel w salonie? Zastanawiał się, kim był intruz? Obliczał koszt renowacji komody?

Żadna z tych możliwości jakoś nie pasowała do tego, co miałem w pamięci. Podchodząc do drzwi, czułem ucisk w żołądku. Wszedłem i skierowałem się do salonu, niemal pewien, co zaraz zobaczę.

44

Rzeczywiście, Yernon siedział na kanapie, dokładnie w tej samej pozycji co poprzednio. Odchylony na oparcie, z rozrzuconymi rękami i nogami, wpatrzony prosto przed siebie - a przynajmniej sprawiający takie wrażenie, bo nie ulegało wątpliwości, że nie jest już w stanie niczego zobaczyć.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem w jego czole otwór po kuli. Mały, okrągły i czerwony. Choć mieszkałem w Nowym Jorku od zawsze, nigdy jeszcze nie widziałem rany postrzałowej, więc patrzyłem na nią przerażony i zafascynowany zarazem. Nie wiem, jak długo tak stałem, ale kiedy wreszcie się ruszyłem, zauważyłem, że drzę i nie mogę nad tym zapanować. Nie potrafiłem też zebrać myśli, jakby ktoś mi wyłączył mózg. Przez chwilę przestępowałem z nogi na nogę, ale to nic nie dało. Nic do mnie nie docierało i nie robiłem tego, co powinienem robić, co oznaczało, że nie robiłem nic. Nagle, jak meteor spadający na ziemię, uderzyła mnie myśl: wezwij zasraną policję, baranie.

Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu telefonu. Znalazłem go na podłodze obok przewróconej antycznej komody. Wszystkie szuflady były wyciągnięte, wokół wałały się papiery i dokumenty. Podszedłem do telefonu, podniosłem słuchawkę i wykręciłem 911. Kiedy ktoś odebrał, zacząłem mówić bez ładu i składu, aż w końcu usłyszałem: „Proszę pana, proszę się uspokoić”, a potem zostałem zapytany, gdzie jestem. Natychmiast połączono mnie z kimś innym, pewnie z komisariatu dzielnicowego, i znów zacząłem coś bełkotać. Gdy w końcu odłożyłem słuchawkę, miałem wrażenie, że w trakcie rozmowy podałem adres Yernona, swoje nazwisko i fakt, że ktoś został zastrzelony.

Ścisnąłem słuchawkę w dłoni, prawdopodobnie w mylnym przekonaniu, że tym samym robię coś konkretnego. Rzecz w tym, że miałem w organizmie nadmiar adrenaliny, więc po krótkim namyśle uznałem, że lepiej będzie zająć się czymś, co wymagałoby skupienia, a przy okazji pozwoliło mi nie patrzeć na ciało Yernona na kanapie. Zaraz jednak zorientowałem się, że bez względu na mój stan psychiczny muszę zrobić coś jeszcze.

Zacząłem przeglądać papiery rozrzucone wokół przewróconej komody i po kilku minutach znalazłem to, czego szukałem: notatnik z adresami. Otworzyłem go na literze M. Na tej stronie widniał tylko jeden numer, Melissy. Była jego jedyną bliską krewną.

Kto inny miał ją powiadomić?

Nie pamiętałem, kiedy ostatnio rozmawiałem z Melissą- dziewięć, może dziesięć lat wcześniej - a teraz miałem przed oczami jej numer telefonu. Za dziewięć, może dziesięć sekund mogłem z nią rozmawiać.

Wykręciłem numer. Usłyszałem sygnał.

45

Cholera.

To wszystko działo się trochę za szybko.

Piiiiiiik.

Klik.

Brzęczenie.

Automatyczna sekretarka. Co miałem, do cholery, zrobić?

Następne pół minuty mojego życia było tak intensywne, jak żadne inne w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu lat. Najpierw musiałem wysłuchać głosu Melissy mówiącego: „Nie ma mnie w tej chwili,

proszę zostawić wiadomość", a potem powiedzieć, że jej brat - będący tu ze mną w jednym pokoju - nie żyje. Kiedy otworzyłem usta i zacząłem wyrzucać z siebie słowa, było za późno i nie mogłem się powstrzymać. Nie pamiętam, co jej powiedziałem, a przynajmniej niedokładnie - tak czy inaczej... kiedy skończyłem i odłożyłem słuchawkę, nagle dotarło do mnie, jakie to wszystko jest dziwne, i na kilka chwil opadły mnie szok, odraza do samego siebie, żal, tęsknota... i moje oczy napełniły się łzami.

Wziąłem kilka głębokich oddechów, próbując się opanować. Kiedy stałem przy oknie, patrząc na miasto tworzące beładną mieszankę stylów architektonicznych, przez głowę bezustannie przebiegała mi jedna myśl: wczoraj o tej porze nawet jeszcze nie wpadłem na Yernona. Przed tym spotkaniem na Dwunastej nie rozmawiałem z nim od prawie dziesięciu lat. Nie miałem też kontaktu z jego siostrą i prawie o niej nie myślałem, a teraz, po upływie niecałej doby, znów wmieszałem się w jej życie i wróciłem do tego okresu mojego życia, który zdawał się zamknięty na zawsze. Jedną z największych zagadek bytu jest to, że przez wiele miesięcy czy nawet lat człowieka może nie spotkać nic ciekawego, a potem w ciągu kilku godzin, a nawet minut zdarza się coś, co wywraca wszystko do góry nogami.

Odwróciłem się od okna, drgnąłem na widok Yernona rozwalonego na kanapie i poszedłem do kuchni. Ona też została dokładnie przeszukana. Szafki były pootwierane i przetrząśnięte, a na podłodze walały się potłuczone talerze i kawałki szkła. Spojrzałem na bałagan w salonie i znów poczułem ucisk w dołku. Poszedłem do sypialni. Wyglądała tak samo jak reszta mieszkania - opróżnione szuflady, przewrócony do góry nogami materac, porozrzucone ubrania, zbite lustro na podłodze.

Zastanawiałem się, po co ktoś miałby robić taki bałagan. Byłem tak rozkojarzony, że dopiero po paru minutach zrozumiałem oczywisty fakt -

46

intruz czegoś szukał. Yernon musiał mu otworzyć - co znaczyło, że go znał - a ja tego człowieka spłoszyłem. Ale czego szukał? Zadając sobie to pytanie, poczułem, że serce zaczyna mi mocniej bić.

Podniosłem jedną z opróżnionych szuflad. Zajrzałem do niej, potem obróciłem ją na drugą stronę. To samo zrobiłem z innymi i dopiero gdy zacząłem zaglądać do pudełek po butach na górnej półce w szafie, zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, zostawiałem odciski palców w całym mieszkaniu, po drugie, przeszukiwałem sypialnię Yernona. Ani jedno, ani drugie nie było dobrym pomysłem. Na razie najbardziej martwiło mnie, że policja znajdzie moje odciski w sypialni. Podałem glinom swoje nazwisko i zamierzałem powiedzieć im prawdę - przynajmniej w dużej części - ale gdyby wyszło na jaw, że tu myszkowałem, podważyłoby to moją wiarygodność. Mógłbym zostać oskarżony o zacieranie śladów albo manipulowanie dowodami, a może nawet o współudział w morderstwie, więc pospiesznie zacząłem sobie przypominać, co po kolei robiłem, i rękawem marynarki wytarłem tyle dotkniętych przeze mnie przedmiotów i powierzchni, ile tylko się dało.

Potem, stojąc w drzwiach, zajrzałem do pokoju, by sprawdzić, czy niczego nie przeoczyłem. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu podniosłem oczy na sufit- i wtedy zauważyłem coś dziwnego. Sufit wyłożony był małymi kwadratowymi płytkami, a jedna z nich, dokładnie nad łóżkiem, wydawała się lekko przekrzywiona. Wyglądała, jakby niedawno była ruszana.

W tej samej chwili usłyszałem w oddali syrenę policyjną. Zawahałem się na chwilę, ale podszedłem do łóżka, stanąłem na nim i sięgnąłem do obluzowanej płytki. Wyjąłem ją i zajrzałem do ciemnego otworu, w którym widać było niewyraźne zarysy rur i przewodów. Włożyłem rękę do środka i po chwili coś wymacałem. Wsunąłem rękę głębiej, napinając mięśnie, i chwyciłem ten przedmiot, po czym wyciągnąłem go na zewnątrz. Była to duża brązowa wyściełana koperta. Upuściłem ją na odwrócony materac i zacząłem nasłuchiwać. Teraz wyły już dwie syreny, może nawet trzy, i to gdzieś blisko.

Włożyłem obluzowaną płytkę na miejsce, zszedłem z łóżka i wziąłem kopertę. Szybko ją rozerwałem i wysypałem zawartość na materac. Najpierw zobaczyłem mały czarny notes, potem gruby zwitek banknotów - zdaje się, że były to same pięćdziesiątki - a na końcu duży plastikowy, hermetycznie zamknięty pojemnik, większą kopię tego, który Yernon poprzedniego popołudnia wyjął z portfela w barze. W środku było - sam nie wiem - trzysta pięćdziesiąt, czterysta, może nawet pięćset tych małych białych tabletek...

47

Patrzyłem na nie z rozdziawionymi ustami - miałem przed sobą kilkaset dawek MDT-48. Pokręciłem głową i przeprowadziłem w pamięci szybkie obliczenia. Pięćset, powiedzmy, razy pięćset... to dawało... 250 000 dolarów. Z drugiej strony, trzy czy cztery pigułki wystarczyłyby, żebym skończył książkę w tydzień. Rozejrzałem się, nagle uświadamiając sobie, że jestem w sypialni Yernona, a syreny - których wycie narastało, kiedy otwierałem kopertę - milkły, i to wszystkie naraz.

Po chwili wahania zebrałem wszystko, co leżało na materacu, i schowałem z powrotem do koperty. Niosąc ją pod pachą, poszedłem do salonu i wyjrzałem przez okno. W dole na ulicy zobaczyłem trzy wozy policyjne z włączonymi kogutami. Zrobiło się spore zamieszanie; pod budynkiem roiło się od policjantów w mundurach, przechodnie przystawali i wymieniali spostrzeżenia, a na Dziewiętnastej zaczynał tworzyć się korek.

Pobiegłem do kuchni i poszukałem plastikowej torby. Znalazłem jedną, z nadrukiem A & P, i schowałem do niej kopertę. Wyszedłem z mieszkania, pamiętając, by go nie zamykać. Na drugim końcu korytarza - w przeciwnym kierunku od wind - były duże metalowe drzwi, na które zwróciłem uwagę wcześniej; rzuciłem się biegiem w ich stronę. Za drzwiami znajdowały się schody ewakuacyjne, a na lewo od nich był zsyp i betonowa wnęka, w której stała miotła i jakieś pudła. Po chwili namysłu wbiegłem schodami na następne piętro, a potem jeszcze jedno wyżej. We wnęcie było kilka nieoznakowanych tekturowych pudeł ustawionych w stos. Schowałem plastikową torbę za nimi i nie odwracając się, zbiegłem po schodach, przeskakując po dwa-trzy stopnie naraz. Wypadłem przez metalowe drzwi i znalazłem się z powrotem na korytarzu.

Kiedy byłem kilka metrów od celu, usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi windy, a potem głosy. Pospiesznie wśliznąłem się do mieszkania. Wpadłem do salonu - a tam, oczywiście, serce znów zamarło mi w piersi na widok Yernona.

Nie mogąc złapać tchu, stałem na środku pokoju, dysząc ciężko. Położyłem dłoń na piersi i pochyliłem się, jakbym miał zaraz dostać ataku serca. W tym momencie usłyszałem delikatne pukanie do drzwi i męski głos:

- Halo... halo... - Chwila ciszy, a potem: - Policja.

- Tu jestem - powiedziałem lekko urywanym głosem. Podniosłem wcześniej upuszczony garnitur i torbę ze śniadaniem.

Położyłem jąna szklanym stole, a garnitur na kanapie.

Z przedpokoju wyłonił się dwudziestokilkuletni policjant w mundurze.

48

- Czy pan... Edward Spinola? - spytał, zaglądając do małego notesu.

- Tak - odparłem i nagle opadły mnie wyrzuty sumienia; poczułem się jak oszust i łajdak. - Tak, to ja.

W;

ków.

ciągu następnych dziesięciu minut do mieszkania wdarła się mi-niarmia policjantów w mundurach, detektywów w cywilu i techni-

Jeden z mundurowych wziął mnie na stronę - do kuchni - i przesłuchał. Zapisał moje nazwisko, adres, numer telefonu, spytał mnie, gdzie pracuję i skąd znałem denata. Odpowiadając, patrzyłem, jak specjaliści oglądają Yernona, robią zdjęcia i przyczepiają karteczki. Obserwowałem też dwóch facetów w cywilu, którzy przykucnęli przy antycznej komodzie, wciąż przewróconej na bok, i przeglądali papiery rozrzucone na podłodze. Podawali sobie dokumenty, listy i koperty i wymieniali uwagi, których nie słyszałem. Inny mundurowy stał przy oknie i mówił do krótkofalówki, a następny był w kuchni i zaglądał do kredensów i szuflad.

Wszystko to widziałem jak we śnie. Cały ta scena miała jakiś specyficzny, skoordynowany rytm i choć w niej uczestniczyłem, choć stałem i odpowiadałem na pytania, wydawało mi się, że nie jestem częścią tego wszystkiego - zwłaszcza kiedy Yernon został schowany do czarnego worka i wywieziony na wózku.

Po chwili jeden z detektywów w cywilu podszedł do mnie, przedstawił się i odprawił mundurowego. Nazywał się Foley. Był średniego wzrostu, łysiejący i gruby, miał na sobie ciemną marynarkę i stary procho-wiec. Zapytał mnie, kiedy i w jakich okolicznościach znalazłem zwłoki. Zrelacjonowałem mu wszystko, oprócz tego, co wiązało się z MDT. Na dowód, że mówię prawdę, wskazałem uprany garnitur i brązową torbę zjedzeniem.

Garnitur został rozłożony na kanapie, tuż nad miejscem, w którym wcześniej spoczywało ciało Yernona. Zawinięty w folię, wydawał się niesamowity, widmowy, jak widok samego Yernona, wizualne echo, ślad. Foley też patrzył przez chwilę na garnitur, ale bez emocji - wyraźnie nie postrzegał go tak jak ja. Wziął ze szklanego stolika brązową papierową torbę. Otworzył, wyjął zawartość - dwie kawy, muffina, kanadyjski bekon,

4-Dawka geniuszu

przyprawy - i położył wszystko na blacie w równym rzędzie, jak kości prezentowane w laboratorium medycyny sądowej.

- Jak dobrze znał pan tego... Yernona Ganta? - spytał.

- Wczoraj zobaczyłem go po raz pierwszy od dziesięciu lat. Wpadłem na niego na ulicy.

- Wpadł pan na niego na ulicy - spojrzał na mnie, kiwając głową. -Czym się zajmował?

- Nie wiem. Dawniej handlował meblami.

- Aha - powiedział Foley - czyli był handlarzem? -Znaczy...

- Co pan tu właściwie robił?

- Cóż... - odchrząknąłem -jak wspomniałem, wpadłem wczoraj na niego i postanowiliśmy się spotkać, rozumie pan, powspominać stare dzieje.

Foley rozejrzał się.

- Powspominać stare dzieje - powtórzył - powspominać stare dzieje.

Najwyraźniej lubił powtarzać takie wyrażenia pod nosem, jakby zastanawiał się nad nimi, ale bez wątplenia chodziło mu przede wszystkim o to, by zakwestionować ich wiarygodność i wytrącić przestuchiwanego z równowagi.

- Tak - potwierdziłem, nie skrywając irytacji - powspominać stare dzieje. Jest w tym coś złego?

Foley wzruszył ramionami.

Miałem niepokojące przeczucie, że będzie chciał mnie osaczyć, znaleźć luki w moich zeznaniach, a potem skłonić do przyznania się do czegoś. Jednak w miarę, jak zadawał mi kolejne pytania, coraz częściej zerkał na kawę i zawiniętego w papier muffina, jakby zależało mu tylko na tym, żeby usiąść, coś przekąsić i może przy okazji przejrzyć gazetowe komiksy.

- Co z rodziną, bliskimi? - spytał. - Wie pan coś o nich? Powiedziałem mu o Melissie i o tym, że zadzwoniłem do niej i zostawiłem wiadomość na sekretarce.

Spojrzał na mnie.

- Zostawił pan wiadomość? -Tak.

Na chwilę autentycznie się zamyślił, po czym rzucił:

- Wrażliwiec z pana, co?

Nie zareagowałem, choć miałem ogromną ochotę dać mu w pysk. Jednocześnie jednak wiedziałem, że trafił w sedno. Postąpiłem rzeczywiście okropnie. Pokręciłem głową i odwróciłem się do okna. Już sama

wiadomość była zła - a co gorsza, Melissa usłyszy ją ode mnie, i to nagraną na automatycznej sekretarce. Westchnąłem ciężko i zdałem sobie sprawę, że nadal lekko drzę.

W końcu spojrzałem na Foleya, oczekując następnych pytań, ale żadne nie padły. Detektyw zdjął plastikową pokrywkę z kubka i rozwijał papier, w który zapakowany był opiekany muffin. Znów wzruszył ramionami i spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: „No co? Głodny jestem”.

Po mniej więcej dwudziestu minutach zostałem wyprowadzony z mieszkania i zawieziony na komisariat, by złożyć oficjalne zeznanie. W drodze nikt się do mnie nie odzywał, a ponieważ w głowie kłębiły mi się dziesiątki myśli, nie zwracałem większej uwagi na otoczenie. Przerwałem milczenie, dopiero gdy znalazłem się w dużym, pełnym ruchu biurze i usiadłem przy biurku kolejnego grubego detektywa o irlandzkim nazwisku.

Brogan.

Zadawał te same pytania co Foley i okazywał mniej więcej tyle samo zainteresowania odpowiedziami. Potem musiałem czekać jakieś pół godziny na twardej ławce, aż zeznanie zostanie wpisane do komputera i wydrukowane. W pomieszczeniu panował spory ruch, co chwila ktoś wchodził i wychodził, więc ciężko mi było się skupić.

W końcu zostałem ponownie wezwany do Brogana, który poprosił mnie, żebym przeczytał i podpisał swoje zeznanie. Kiedy je przeglądałem, on siedział w milczeniu, bawiąc się spinaczem. Zanim skończyłem, zadzwonił telefon i detektyw rzucił do słuchawki „uhm?” Milczał przez kilka sekund, mruknął jeszcze ze dwa razy „uhm”, a potem krótko opowiedział, co się stało. Byłem już bardzo zmęczony i nie chciało mi się go słuchać, więc dopiero kiedy z jego ust padły słowa „tak, pani Gant”, nastawiłem uszu.

Rzeczowa relacja Brogana trwała jeszcze chwilę, po czym nagle detektyw powiedział:

- Tak, jasne, jest tu. Już go daję. - Wyciągnął do mnie słuchawkę. W ciągu paru sekund, jakie minęły, zanim przystawiłem ją do ucha, czułem, jak nieopisane ilości adrenaliny dostają się do mojego krwioobiegu.

-Cześć... Melissa?

- Tak, Eddie, to ja. Dostałam twoją wiadomość. Cisza.

- Słuchaj, przepraszam, że zawiadomiłem cię o tym w ten sposób, ale wpadłem w panikę i...

- Nie przejmuj się. W końcu po to są automatyczne sekretarki. -No... tak... - Spojrzałem na Brogana z niepokojem. -Naprawdę

mi przykro z powodu Yernona.

- Tak. Mnie też. Jezu. - Mówiła wolno, miała zmęczony głos. - Ale jedno ci powiem, Eddie, wcale nie jestem zaskoczona. Od dawna się na to zносиło.

Nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć.

- Wiem, że to brzmi okropnie, ale wplątał się w pewne... - zawiesiła na chwilę głos -... pewne sprawy. Ale chyba nie powinnam o tym mówić przez telefon?

- Lepiej nie.

Brogan nadal bawił się spinaczem i wyglądał, jakby słuchał kolejnego odcinka swojego ulubionego serialu radiowego.

- Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy usłyszałam twój głos - ciągnęła Melissa - i początkowo z wrażenia nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Musiałam odsłuchać wiadomość drugi raz. - Zrobiła trochę zbyt długą przerwę. - No to... co robiłeś u Yernona?

- Wczoraj po południu przypadkiem spotkałem go na Dwunastej -powiedziałem, praktycznie odczytując leżące przede mną zeznanie -i umówiliśmy się dziś w jego mieszkaniu.

- To wszystko jest takie dziwne.

- Moglibyśmy się spotkać? Chciałbym... Nie mogłem dokończyć zdania.

Co chciałbym?

Przez chwilę panowała cisza.

W końcu Melissa powiedziała:

- W najbliższym czasie będę miała dużo spraw na głowie, Eddie. Muszę zająć się pogrzebem i Bóg wie, czym jeszcze.

- Może ci pomóc? Czuję.

-Nie, nie musisz niczego czuć. Zadzwoń do ciebie, kiedy... kiedy znajdę trochę czasu. Wtedy porozmawiamy. Co ty na to?

- Zgoda.

Chciałem dodać coś jeszcze, spytać, jak jej się wiedzie, skłonić ją do mówienia, ale to był już koniec.

- Dobrze... to do zobaczenia - powiedziała i rozłączyliśmy się. Brogan pstryknął spinaczem na biurko, nachylił się ku mnie i kiwnął

głową w stronę zeznania.

Podpisałem je i oddałem mu.

- To wszystko? - spytałem.

- Na razie. Gdyby był nam pan potrzebny, zadzwonimy.

52

Otworzył szufladę i zaczął czegoś szukać. Wstałem i wyszedłem.

Na ulicy zapaliłem papierosa i kilka razy zaciągnąłem się głęboko.

Spojrzałem na zegarek. Było parę minut po wpół do czwartej.

Wczoraj o tej porze to wszystko jeszcze się nie zaczęło.

Wkrótce nie będę już mógł tak myśleć. Może to i dobrze; przynajmniej nie będę dłużej się łudził, że istnieje choć cień nadziei na odkupienie, na to, by wrócić w czasie i wszystko naprawić, dostać moralny zwrot kosztów za własne błędy.

Szedłem bez celu przez parę minut, po czym zatrzymałem taksówkę. Jadąc w stronę centrum, po raz kolejny odtwarzałem w pamięci rozmowę z Melissa. Mimo tematu przebiegała spokojnie - co niezmiernie mnie ucieszyło. Jednak w głosie Melissy coś się zmieniło, coś, na co zwróciłem uwagę już wcześniej, kiedy służyła jej sekretarce. Wydawał się jakiś niższy, smutniejszy - ale co było tego przyczyną? Rozczarowanie? Papierosy? Dzieci?

Zresztą, co ja mogłem wiedzieć?

Wyrzałem przez okno. Za szybą migały numery ulic - pięćdziesiątki, czterdziestki, trzydziestki - jakby poziom ciśnienia zmniejszał się, pozwalając mi wejść w atmosferę. Im dalej od Linden Tower, tym lepiej się czułem - ale nagle coś mi się przypomniało.

Melissa powiedziała, że Yernon wplątał się w pewne sprawy. Prawdopodobnie to w ich następstwie został najpierw pobity, a potem zamordowany. Tymczasem ja, kiedy Yernon leżał martwy na kanapie, przeszukałem jego sypialnię i znalazłem zwitek banknotów, notes i pięćset tabletek. Schowałem to wszystko i okłamałem policję. To z pewnością oznaczało, że i ja wplątałem się w pewne sprawy.

Mnie też mogło grozić niebezpieczeństwo.

Czy ktoś mnie widział? Raczej nie. Kiedy wróciłem z baru, intruz był już w sypialni i natychmiast uciekł. Mógł zobaczyć co najwyżej moje plecy, w najgorszym razie mignęła mu moja twarz, kiedy się odwróciłem - tak jak jego sylwetka mignęła mnie.

Jednak ten człowiek lub ktokolwiek inny mógł obserwować Linden Tower. Mogli mnie zauważyć, kiedy zszedłem na dół w eskorcie policji, pojechać za mną na komisariat - śledzić mnie w tej chwili.

Kazałem taksówkarzowi się zatrzymać.

Stanął przy krawężniku na rogu Dwudziestej Dziewiątej i Drugiej. Zapłaciłem mu i wysiadłem. Rozejrzałem się. Wyglądało na to, że w tej

53

samej chwili co my nie zatrzymał się żaden inny samochód - ani samochody - choć pewnie mogłem coś przeoczyć. Tak czy inaczej, ruszyłem szybkim krokiem w stronę Trzeciej Alei, zerkając co kilka sekund przez ramię. Na rogu Dwudziestej Ósmej i Lexington poszedłem na stację metra i pojechałem na Union Square, a stamtąd kolejką miejską aż na Ósmą Aleję. Tam wysiadłem i autobusem wróciłem na Pierwszą.

Miałem zamówić taksówkę i jakiś czas pokrążyć po okolicy, ale znalazłem się tak blisko domu i byłem tak zmęczony - a poza tym szczerze przekonany, że nikt mnie nie śledził - że dałem za wygraną. Zszedłem pod Czternastą i pieszo wróciłem do domu.

Wydrukowałem swoje notatki i szkic wstępu. Usiadłem na kanapie, by wszystko przejrzeć -jeszcze raz upewnić się, że to nie złudzenie - ale byłem tak zmęczony, że niemal od razu zasnąłem.

Obudziłem się po kilku godzinach z bolącym karkiem. Za oknem było ciemno. Wokół wałały się kartki - na moich kolanach, kanapie, podłodze. Przetarłem oczy, zrobiłem porządek i zacząłem czytać. Po paru minutach wiedziałem już, że nie uległem żadnemu złudzeniu. Co więcej, rankiem zamierzałem wystać cały materiał Markowi Suttonowi z K & D, by mu przypomnieć, że nadal pracuję nad tym projektem.

No dobrze, skoro przeczytałem już wszystkie notatki, to co teraz? Próbowałem zająć się sortowaniem papierów leżących na biurku, ale nie mogłem się na tym skupić, a poza tym właściwie zrobiłem to już zeszłej nocy. Pozostawało więc - nie było sensu udawać, że mogę tego uniknąć czy choćby przełożyć na później - wrócić do Linden Tower po kopertę. Trochę się bałem, więc zacząłem myśleć o jakimś przebraniu - ale jakim?

Poszedłem do łazienki, wziąłem prysznic i ogoliłem się. Znalazłem trochę żelu i rozprowadziłem go po włosach, przyglądając je i zaczesując do tyłu. Potem poszukałem w szafie w sypialni jakiegoś nietypowego dla mnie ubrania. Miałem jeden szary garnitur, którego nie nosiłem od ponad dwóch lat. Wyjąłem też jasnoszarą koszulę, czarny krawat i czarne półbuty. Wszystko to położyłem na łóżku. Jedyny kłopot z garniturem polegał na tym, że spodnie mogły już na mnie nie pasować - ale jakoś się w nie wcisnąłem, z koszulą też się udało. Kiedy zawiązałem krawat i wło-

54

żyłem buty, wstałem i przejrzałem się w lustrze. Wyglądałem idiotycznie -jak jakiś przekarmiony mafioso, który był zbyt zajęty jedzeniem lingu-ini i robieniem kantów, by kupować sobie nowe ubrania - ale to nie miało znaczenia. Byłem do siebie niepodobny, a o to chodziło.

Znalazłem starą teczkę, która czasem przydawała mi się w pracy, i postanowiłem wziąć ją ze sobą. Jeszcze raz przejrzałem się w lustrze pod drzwiami i wyszedłem.

W poszukiwaniu taksówki zawędrowałem aż na Pierwszą Aleję, modląc się, by nie zobaczył mnie nikt znajomy. Wreszcie po raz drugi tego dnia wyruszyłem na obrzeża Manhattanu. Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej - był wieczór, miasto tonęło w światłach, ja miałem na sobie garnitur i trzymałem na kolanach teczkę. Była to ta sama trasa, ta sama podróż, ale miałem wrażenie, że odbywa się w innym wszechświecie, takim, w którym nie byłem pewien, kim jestem i co robię.

Przyjechałem pod Linden Tower.

Wymachując teczką, wszedłem rażnym krokiem do holu, w którym panował jeszcze większy ruch niż poprzednio. Ominąłem dwie kobiety niosące papierowe torby z zakupami i skierowałem się w stronę wind. Wraz ze mną czekało kilkanaście osób, ale byłem zbyt spięty, by przyjrzeć się którejkolwiek z nich. Jeśli pakowałem się w jakąś pułapkę, mówi się trudno - wpadnę w nią i tyle.

Jadąc na górę, czułem, jak serce zaczyna mi mocniej bić. Wcisnąłem guzik dwudziestego czwartego piętra; zamierzałem zejść schodami na osiemnaste. Miałem też nadzieję, że po jakimś czasie zostanę sam w windzie, ale tak się nie stało. Kiedy wjechaliśmy na dwudzieste czwarte piętro, było ze mną sześć osób; trzy wysiadły razem ze mną. Dwie poszły w lewo, a trzecia, czterdziestoparoletni mężczyzna w garniturze, w prawo. Idąc za nim, zaklinałem go w duchu, by poszedł prosto, by nie skręcił w boczny korytarz.

Skręcił, więc zatrzymałem się i postawiłem teczkę na podłodze. Wyjąłem portfel i zacząłem ostentacyjnie w nim grzebać, jakbym czegoś szukał. Odczekałem chwilę, po czym podniosłem teczkę. Ruszyłem dalej i wszedłem za róg. Korytarz był pusty. Odetchnąłem z ulgą.

Ale niemal w tej samej chwili usłyszałem za plecami dźwięk otwieranych drzwi windy i śmiech. Przyspieszyłem kroku, w końcu zacząłem biec. Kiedy wpadałem w metalowe drzwi prowadzące na schody ewakuacyjne, obejrzałem się i mignęły mi dwie sylwetki na drugim końcu korytarza.

55

Z nadzieją, że nikt mnie nie zauważył, stałem nieruchomo przez kilka sekund i próbowałem złapać oddech. Uspokoiwszy się nieco, ruszyłem szarymi schodami w dół, przeskakując po dwa stopnie. Na antresoli na dwudziestym pierwszym piętrze usłyszałem głosy dochodzące z dołu - a przynajmniej tak mi się wydawało - więc nieco zwolniłem. Panowała jednak zupełna cisza, więc znów przyspieszyłem.

Na osiemnastym piętrze zatrzymałem się i postawiłem teczkę na podłodze. Patrzyłem przez chwilę na stos nieoznakowanych tekturowych pudeł we wnęce.

Nie musiałem tego robić. Mogłem wyjść z budynku i o wszystkim zapomnieć - zostawić tę paczuszkę, niech znajdzie ją ktoś inny. W przeciwnym razie zmieni się całe moje życie. To wiedziałem na pewno.

Odetchnąłem głęboko i sięgnąłem za pudła. Wyjąłem plastikową torbę z nadrukiem A & P. Sprawdziłem, czy koperta jest w środku i czy nic z niej nie zniknęło. Potem schowałem torbę do teczki.

Odwróciłem się i zacząłem schodzić na dół.

Na dziesiątym piętrze uznałem, że mogę już spokojnie wyjść na korytarz i zjechać na parter windą. Ani w holu, ani na placu nic się nie zdarzyło. Poszedłem na Drugą Aleję i zatrzymałem taksówkę.

Po dwudziestu minutach stałem już pod swoim domem.

Na gorze natychmiast zdjąłem garnitur i wzięłem szybki prysznic, by wypłukać żel z włosów. Przebrałem się w dżinsy i T-shirt. Wyjąłem piwo z lodówki, zapaliłem papierosa i poszedłem do salonu.

Usiadłem za biurkiem i wysypałem zawartość koperty na blat. Najpierw wzięłem do ręki mały czarny notes. Były w nim nazwiska i numery telefonów. Niektóre z nich Yernon wykreślił - część na dobre, inne po prostu zastąpił nowymi. Przejrzałem notes, ale nie znalazłem żadnego znajomego nazwiska. Musiałem zobaczyć na przykład nazwisko Deke'a Taubera i kilka innych, które powinny wyglądać znajomo, ale wtedy żadne z nich nie rzuciło mi się w oczy.

Schowałem notes z powrotem do koperty i zacząłem liczyć pieniądze.

Dziewięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt dolarów.

Wziąłem sześć pięćdziesiątek i włożyłem do portfela.

Odsunąłem klawiaturę, by zrobić miejsce na biurku, i zacząłem liczyć tabletki. Ułożyłem je w stosikach po pięćdziesiąt; powstało ich dziewięć i zostało jeszcze siedemnaście pigułek. Za pomocą złożonej kartki wsypałem czterysta sześćdziesiąt siedem tabletek do plastikowego po-

56

jemnika. Przez chwilę patrzyłem na nie, niezdecydowany, i w końcu wyjąłem dziesięć. Włożyłem je do małej ceramicznej miski na drewnianej półce nad komputerem. Resztę pieniędzy i pojemnik z tabletkami schowałem z powrotem do dużej brązowej koperty, którą zaniósłem do sypialni. Wsadziłem ją do pudełka po butach, które położyłem na dnie szafy i zastoniłem kocem i stertą starych pism.

Zastanawiałem się, czy nie wziąć jednej z tabletek i rzucić się w wir pracy. Postanowiłem jednak tego nie robić. Byłem zmęczony, musiałem odpocząć. Zanim jednak poszedłem spać, usiadłem na kanapie w salonie i wypiliśmy jeszcze jedno piwo, wpatrując się w ceramiczną miskę na półce nad komputerem.

N U

8

Od tamtej chwili wszystko staje się trochę zamazane. Patrząc wstecz - z wiklinowego fotela w Norttwiew Motor Lodge - pamiętam następny dzień, czwartek, i dwa kolejne jako tylko... dni, odrębne jednostki czasu, mające początek i koniec... człowiek wstaje i po upływie x godzin idzie do łóżka. Każdego ranka brałem MDT-48 i skutki były mniej więcej takie same jak za pierwszym razem, to znaczy dostawałem kopa niemal natychmiast, ani na chwilę nie wychodziłem z mieszkania i pracowałem produktywnie - bardzo produktywnie - dotąd, aż efekty działania leku mijały.

Pierwszego dnia spławiłem kilku znajomych i nawet odwołałem jakieś spotkanie, na które byłem umówiony w piątek wieczorem. Skończyłem wstęp - w sumie jedenaście tysięcy słów - i opracowałem plan książki, a poza tym, co najważniejsze, wymyśliłem sposób rozwiązania problemu podpisów pod ilustracjami. Nie mogłem ich przygotować, nie wiedząc, których ilustracji użyję, postanowiłem więc zająć się selekcją, by mieć ten czasochłonny proces z głowy. Zajęło mi to kilka godzin. Normalnie trwałoby cztery do sześciu tygodni, ale uznałem, że szkoda czasu. Zebrałem istotne materiały - wycinki, artykuły, okładki płyt, pudełka slajdów, kopie stykowe - i rozłożyłem na podłodze na środku pokoju. Zacząłem je przeglądać i podjąłem całą serię szybkich, stanowczych decyzji. Wkrótce miałem już wstępną listę ilustracji i mogłem zacząć przygotowywać podpisy.

Nagle jednak przyszło mi do głowy, że kiedy to zrobię - a nie mogło mi to zająć więcej niż jeden dzień - to książka będzie już gotowa. Po dwóch dniach pracy. No dobra, ale przecież ślęczałem nad nią od wielu miesięcy, zbierałem materiały, dzień w dzień o niej myślałem. Sporządziłem konspekt. Studiowałem źródła. Wymyśliłem tytuł.

61

Zgadza się?

Może. Ale nie mogłem zignorować faktu, że w przypadku takiego endomorficznego ślimaka jak ja - którego system wartości opierał się na przekonaniu, że brak dyscypliny to coś, co należy ze wszech miar cenić - wykonanie tak wielkiej pracy w dwa dni było czymś niezwykłym.

Po co z tym walczyć?

W piątek rano dalej pracowałem nad podpisami. W porze lunchu byłem już pewien, że skończę je tego dnia, postanowiłem więc zadzwonić do Marka Suttona z Kerr & Dexter, by mu powiedzieć, na jakim jestem etapie. Ale jego bardziej interesował podręcznik telekomunikacji, o którym miałem pisać.

- Jak ci z nim idzie?

- Już prawie skończyłem - skłamałem. - Dostaniesz tekst w poniedziałek rano.

I tak będzie.

- Świetnie. No to o czym chciałeś pogadać, Eddie? Powiedziałem mu o stanie prac nad Nakręcaniem i spytałem, czy

chce przeczytać to, co napisałem. -Cóż...

- Wygląda nieźle. Pewnie trzeba będzie tu i ówdzie wnieść parę poprawek...

- Eddie, termin masz dopiero za trzy miesiące.

- Wiem, wiem, ale pomyślałem sobie, że może są do wzięcia jakieś inne pozycje z tej serii, może mógłbym napisać... coś jeszcze?

-Do wzięcia? Eddie, wszystkie zostały przydzielone, przecież wiesz. Tobie, Deanowi, Clare Dormer. Co jest grane?

Miał rację. Mój dobry znajomy Dean Bennett pisał Wenus, studium o najpiękniejszych kobietach stulecia, a Clare Dormer, psychiatra i autorka kilku głośnych artykułów o chorobach związanych ze sławą, pracowała nad Dziećmi ekranu, analizą sposobu ukazywania dzieci w klasycznych sitcomach. Przygotowywane były też trzy inne pozycje. Zdaje się, że jedna z nich miała tytuł Najwspanialsze budowle.

Nie mogłem sobie przypomnieć, o czym były dwie pozostałe.

- A co z następną serią? - spytałem. - Jeśli te książki będą się dobrze sprzedawać...

-Na razie nie planujemy następnej serii, Eddie.

- Ale jeśli będą się dobrze sprzedawać?

Usłyszałem ciche westchnienie, dowodzące jego zniecierpliwienia.

- Wtedy pomyślimy. - Zamilkł na chwilę, po czym spytał uprzejmie: - Jakież propozycje?

Właściwie nie zastanawiałem się nad tym, ale bardzo chciałem wziąć się za jakiś nowy projekt, więc przyciskając słuchawkę policzkiem do ramienia, rzuciłem okiem po półkach i zacząłem sypać pomysłami.

- A może by tak, daj mi chwilę... - Wpatrywałem się w grzbiet dużego szarego albumu, który Melissa dała mi po tym, jak obejrzała wystawę fotografii w Muzeum Sztuki Nowoczesnej i pokłóciła się ze mną. -Może coś o najsłynniejszych zdjęciach prasowych? Można by zacząć od tej niesamowitej fotografii komety Halleya. Z 1910 roku. Albo od zdjęcia Bruna Hauptmanna, pamiętasz, z egzekucji? Jest jeszcze katastrofa kolejowa w Kansas w 1928... - Nagle mignął mi przed oczami obraz zmiażdżonych wagonów w ciemnych kłębach dymu i kurzu. - I... co jeszcze?... Adolf Hitler siedzący z Hindenburgiem i Hermannem Goeringiem przed pomnikiem bohaterów bitwy pod Tannenbergiem. - Kolejna migawka, tym razem rozkojarzony Hermann Goering trzymający w rękach coś, co zaskakująco przypomina laptopa. - A dalej mamy... bomby nad Paryżem. Lądowanie na plażach Normandii. Kuchenna debata w Moskwie między Chruszczowem a Nixonem. Poparzony napalmem wietnamski dzieciak. Pogrzeb Chomeiniego. - Wciąż patrząc na grzbiet książki, dosłownie widziałem wszystkie te obrazy, przesuujące się jeden po drugim jak na mikrofiszce. Potrząsnąłem głową i powiedziałem: - Muszą być tysiące innych. - Odwróciłem się od półek i milczałem przez chwilę. - Albo, sam nie wiem, można pisać o wszystkim, o plakatach filmowych, reklamach, dwudziestowiecznych gadżetach, jak otwieracz do puszek, kalkulator czy kamera wideo z magnetowidem. Czy o samochodach.

Kiedy wyliczałem te propozycje - jednocześnie przytrzymując się biurka - zauważyłem, że w mojej głowie krystalizują się kolejne, bardziej konkretne pomysły. Do tej chwili zajmowałem się przede wszystkim swoją książką. Nie myślałem o serii jako o całości, ale teraz dotarło do mnie, że Kerr & Dexter podchodzi do niej dość niedbale. Prawdopodobnie traktowali ją tylko jako odpowiedź na podobne przedsięwzięcie konkurencyjnego wydawnictwa- coś, o czym usłyszeli przypadkiem i na czym też chcieli skorzystać. Wydawało się jednak, że kiedy już postanowili się za to wziąć, uznali, że to wystarczy - zrobili, co do nich należało. Aby przetrwać na rynku, dotrzymać kroku konglomeratom - jak mawiał Artie Meltzer, wiceprezes K & D - firma musiała się rozwijać, ale przydzielenie takiego projektu Markowi było działaniem pozornym. Nie miał odpowiednich środków, ale wiadomo było, że i tak to weźmie, bo nie potrafił powiedzieć „nie”. A Artie mógł o tym zapomnieć do czasu, aż trzeba będzie obarczyć kogoś winą za klępkę.

Tyle że nie zauważył jednego: ta seria była naprawdę dobrym pomysłem. Fakt, inni będą robić podobne rzeczy, ale tak to już jest. Chodziło o to, żeby być pierwszym i lepszym. Materiał - ikonografia XX wieku -był łatwo dostępny, gotowy i tylko czekał na dobre opracowanie, ale z tego, co widziałem, Sutton zatrzymał się w pół kroku. Jego pomysłem brakowało myśli przewodniej i struktury.

- Dalej mamy, no nie wiem, wielkie wydarzenia sportowe. Babę Ruth. Tiger Woods. Albo program badań kosmicznych. Mógłbym tak gadać bez końca.

- Hmmm.

- A czy te wszystkie książki nie powinny mieć podobnych tytułów? - ciągnąłem. - Takich, które rzucałyby się w oczy, na przykład moja nazywa się Nakręcanie: Od Haight-Ashbury do Doliny Krzemowej, więc Deana, zamiast prostego Wenus, mogłaby być... Oblicza Wenus: Od... Pickford do Paltrow albo Od Garbo do Spencer, coś w tym stylu. Jeśli Clare chce swoją książkę ograniczyć do chłopców, to można by dać jej tytuł... Synowie: Od Beavera do Borta. Nie wiem. Jeśli nadamy temu jakąś formułę, łatwiej będzie to sprzedać.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

- Co ja mam powiedzieć, Eddie? - spytał w końcu Mark. - Jest piątek po południu. Mam parę rzeczy do zrobienia na dzisiaj.

Wyobraziłem sobie Marka siedzącego za biurkiem, na którym leży nietknięty lub nadgryziony cheeseburger, szczupłego intelektualistę zmagającego się z nawałem pracy, beznadziejnie zakochanego w swojej sekretarce, rytualnie upokarzającej go, ilekroć ich spojrzenia się krzyżowały. Zajmował gabinet bez okien na jedenastym piętrze dawnej siedziby Zarządu Portu na Ósmej Alei i tam spędzał większość swojego życia- z wieczorami, weekendami i wolnymi dniami włącznie. Poczujęm przypływ pogardy dla niego.

-Niech ci będzie - powiedziałem. - Słuchaj, Mark, pogadamy w poniedziałek.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zacząłem robić notatki dotyczące kształtu, jaki chciałbym nadać całej serii, i w ciągu mniej więcej dwóch godzin przygotowałem propozycję dziesięciu tytułów, z krótkimi planami i listami najważniejszych ilustracji. Co dalej? Musiałem dostać zamówienie. Nie mogłem pisać sobie a muzom.

Wciąż byłem wkurzony obojętnością Marka, więc postanowiłem zadzwonić do Meltzera i powiedzieć mu o moim pomysśle. Wiedziałem, że Mark i Artie nie przepadają za sobą i że Artie ucieszy się z okazji, by dać Markowi popalić, ale czy w związku z tym przystanie na moją propozycję, to już zupełnie inna sprawa.

64

Połączyłem się z nim od razu i zacząłem mówić. Nie wiem, jak to się stało, ale pod koniec rozmowy praktycznie wymusiłem na Meltzerze restrukturyzację firmy i przekonałem go, że seria o XX wieku będzie największą atrakcją wydawniczą wiosny. Chciał zjeść ze mną kolację, ale dostali z żoną zaproszenie do The Hamptons na weekend i nie mógł się od tego wykręcić -żona zabiłaby go. Wydawał się jednak ożywiony, nie chciał odkładać słuchawki, jakby czuł, że ta doskonała okazja już wymyka mu się z rąk...

- W przyszłym tygodniu - powiedziałem - spotkamy się w przyszłym tygodniu.

Przez resztę dnia pisałem tekst o podręczniku telekomunikacji dla Marka i notowałem swoje przemyślenia dla Artiego - nie widząc w tym żadnej sprzeczności, nie myśląc o tym, że być może swoim działaniem doprowadziłem do tego, że posada Marka Suttona była zagrożona.

Co się tyczy samego kopa po MDT - w tamten czwartek i piątek -właściwie niczym nie różnił się od poprzedniego, nie dawałjakiejs szczególnej przyjemności, tylko znów obudził we mnie coś, co mogę opisać jako nagły, niesłabnący przypływ zapału do pracy. Z mieszkaniem nie mogłem zrobić nic ponad

to, co już zrobiłem - no, chyba żebym przeprowadził ogólny remont, zmienił meble, pomalował ściany, zerwał płytki z podłogi. Ale nie miałem na to ochoty, więc pozostało mi tylko dać ujście przepelniającej mnie energii, pisząc tekst reklamowy i notatki. Musicie wziąć pod uwagę to, jak na ogół wygląda tego rodzaju praca - na przykład, jej częścią może być oglądanie talk-show, beczynne siedzenie na kanapie z gazetą, a nawet spanie. Zadanie w końcu zostawało wykonane, ale w sposób niezauważalny dla kogoś, kto obserwowałby mnie tylko przez dzień lub dwa.

W czwartkową noc spałem pięć godzin, i to całkiem dobrze, ale w piątek było gorzej. Obudziłem się o wpół do czwartej nad ranem i przeleżałem godzinę w łóżku, zanim w końcu dałem za wygraną i wstałem. Zaparzyłem kawę i wziąłem MDT - co oznaczało, że o piątej znów działałem na pełnych obrotach, ale nie miałem nic konkretnego do roboty. Mimo to udało mi się spędzić w mieszkaniu cały dzień i znaleźć zajęcie. Przestudiowałem książki do nauki włoskiego, które kupiłem w Bolonii i których nigdy nie przeczytałem. Podczas pobytu we Włoszech nauczyłem się języka na tyle, by radzić sobie na co dzień, a nawet robić proste tłumaczenia, ale nie miałem ani jednej prawdziwej lekcji. Większość znajomych Włochów chciała ćwiczyć angielski, więc podstawowe wyrażenia wystarczały mi z powodzeniem. Teraz jednak poświęciłem kilka godzin na analizę czasów i innych najważniejszych struktur gramatycznych - trybu warunkowego, stopniowania, zaimków, strony zwrotnej - i co ciekawe,

5 - Dawka geniuszu

65

wszystko to wydawało mi się znajome, co chwila powtarzałem pod nosem: „Taa, no jasne, o to chodzi”.

Zrobiłem całą serię trudnych ćwiczeń z jednej z książek i nieźle mi to poszło. Wygrzebałem stary numer tygodnika „Panorama” i kiedy przeglądałem notki o lokalnych politykach, projektantach mody i trenerach piłkarskich i czytałem długi artykuł o yigrze, czułem, jak z najgłębszych zakamarków mojego umysłu wydobywają się dawno zapomniane słowa. Potem wziąłem klasyczną powieść Alessandra Manzonię /promessi sposi, którą kupiłem w najlepszych zamiarach, ale nawet do niej nie zajrzałem, i tak nie byłbym w stanie jej zrozumieć, jak początkujący uczeń angielskiego próbujący czytać BleakHouse Dickensa. Mimo to zabrałem się do lektury i wkrótce ku swojemu zaskoczeniu zorientowałem się, że bardzo mi się podoba ta niezwykle barwna rekonstrukcja życia w Lombardii na początku XVII wieku. Prawdę mówiąc, kiedy odłożyłem książkę po około dwustu stronach, prawie nie zauważyłem, że przez cały ten czas czytałem w obcym języku. A odłożyłem ją nie dlatego, że mi się znudziła, ale ponieważ bez przerwy nachodziła mnie myśl, że może z mówieniem po włosku pójdzie mi równie dobrze jak z czytaniem.

Po kilku minutach wahania wyjąłem notatnik z adresami. Znalazłem numer starego znajomego z Bolonii i wykręciłem go. Czekając na połączenie, spojrzałem na zegarek. We Włoszech było popołudnie.

- Pronto.

- Ciao Giorgio, sono Eddie, da New York.

- Eddie? Cazzo. C orne s tai?

-Abbastanzabene, SentiGiorgio, volevochiedertiunacosa... -I tak dalej. Dopiero po półgodzinie - kiedy już przedyskutowaliśmy kryzys meksykański, rozpad małżeństwa Giorgia i tegoroczne spumante - Giorgio zorientował się, że mówimy po włosku. Dotąd niemal zawsze rozmawialiśmy po angielsku, a w języku Dantego co najwyżej wymienialiśmy uwagi o dodatkach do pizzy czy pogodzie.

Był zdumiony, a ja musiałem mu powiedzieć, że zapisałem się na intensywny kurs.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, wróciłem do lektury I promessi sposi i skończyłem jądo południa. Potem złapałem się za historię Włoch i ugrzęzłem w sieci odniesień do cesarzy, papieży, państw-miast, inwazji, cholery, zjednoczenia, faszyzmu... To z kolei skłoniło mnie do postawienia bardziej szczegółowych pytań dotyczących historii najnowszej, na które nie mogłem znaleźć odpowiedzi, bo nie miałem odpowiednich materiałów -na przykład o układ Mussoliniego z Watykanem z 1929 roku, o wpływ CIA na wynik wyborów w 1948, lożę masońskąP2, Czerwone Brygady, porwa-

66

nie i zabójstwo Aldo Moro pod koniec lat siedemdziesiątych... Bettino Craxiego w latach osiemdziesiątych, Di Piętro i tangentopoli w dziewięćdziesiątych. Oczami wyobraźni widziałem obraz stłoczonych, obfitujących w wydarzenia stuleci, szybko następujących jedno po drugim, by potem bezradnie runąć jak kolumny ku współczesności i rozpaść się na niespokojne, gorączkowe dekady, lata, miesiące. Miałem wrażenie, że dostrzegam sieci spisków i oszustw - historie, zabójstwa, zdrady - wirujące na wrzecionie czasu, oplatające swoimi nićmi także moje ciało. Byłem też przekonany, że przy odpowiedniej koncentracji mógłbym wszystko to objąć umysłem i zrozumieć, zobaczyć w tym byt fizyczny o określonej strukturze chemicznej... niemal namacalny, nawet jeśli tylko przez jedną ulotną chwilę...

Kiedy w sobotę wczesnym wieczorem poczułem, że MDT przestaje działać, mój zapał do analizy złożonych procesów historycznych jakby nieco przygasł. Dlatego wziąłem następną tabletkę. Tyle że robiąc to, naruszyłem ustalony porządek i utraciłem poczucie czasu i ładu w moim życiu. Przyjęcie następnej dawki bez żadnej przerwy wzmocniło efekty działania leku, w wyniku czego wkrótce uświadomiłem sobie, że nie mogę wysiedzieć w mieszkaniu i po prostu muszę wyjść.

Zadzwoiłem do Deana i spotkałem się z nim godzinę później w Zola's na MacDougal Street. Minęło trochę czasu, zanim zapanowałem nad swoim głosem, przestałem wyrzucać z siebie niebывale zawiłe zdania i dostosowałem się do sytuacji - ponieważ nie licząc paru rozmów telefonicznych, to było moje pierwsze poważne spotkanie w cztery oczy z kimkolwiek, odkąd zacząłem brać MDT, nie wiedziałem, jak się będę czuł ani jakie zrobię wrażenie.

Przy drinkach zaczęliśmy rozmawiać o Marku Suttonie i Artietn Meltzerze, przedstawiłem też Deanowi swoje pomysły dotyczące rozszerzenia serii książek o XX wieku. Dziwnie na mnie patrzył. Marszczył brwi, wyraźnie niepewny co do mojego stanu psychicznego. Obaj byliśmy w K & D wolnymi strzelcami, poznaliśmy się w firmie przed paroma laty. Żywiliśmy zdrowy brak szacunku dla wszystkiego, co się z nią wiązało, i nie przepadaliliśmy za ciężką pracą, więc moje wywody na temat propozycji wydawniczych i przewidywanych przychodów musiały wydać mu się, delikatnie mówiąc, niezwykle. Trochę przystopowałem, ale potem zacząłem snuć paranoidalne teorie dotyczące włoskiej polityki, z nieco większą pasją i bardziej szczegółowo, niż mógł się tego po mnie spodziewać. Zauważyłem, że zwrócił uwagę na jeszcze jedno - i pewnie tylko dlatego nie zarzucił mi, że jestem

naćpany po uszy - mianowicie na fakt, że nie paliłem. Postanowiłem więc jeszcze bardziej namieszać mu w głowie i wziąłem od niego papierosa, ale tylko jednego.

67

Po jakimś czasie zjawili się kilku znajomych Deana - małżeństwo w średnim wieku, Paul i Ruby Baxterowie, oboje architekci, i młoda kanadyjska aktorka imieniem Susan. W czasie kolacji rozmawialiśmy o wielu sprawach i dla wszystkich szybko stało się jasne, że z mojej strony stolika płynąc będą przemyślane, przerażająco klarowne poglądy na niemal każdy temat. Wdałem się z Pauliem w długi spór dotyczący zalet Bruck-nera i Mahlera. Uraczyłem ich wywodem o latach sześćdziesiątych, wzbogaconym o krótką dygresję o Raymondzie Loewym i stylu streamline. Potem przeszedłem do dalszych rozważań na temat historii Włoch i natury czasu, co z kolei stało się punktem wyjścia do długiego wykładu o niedostatkach zachodniej teorii politycznej w obliczu szybkich zmian na całym świecie. Raz czy dwa razy poczułem się, jakbym opuścił własne ciało i oglądał siebie samego z góry, i w tych ulotnych chwilach, kiedy pracowicie przebijałem się przez gąszcz składni i latynizmów, właściwie nie wiedziałem, co mówię, nie miałem pojęcia, czy to w ogóle trzyma się kupy. Mimo to moje słowa spotykały się z dość dobrym przyjęciem -czegokolwiek dotyczyły - i choć trochę się obawiałem, że posuwam się za daleko, wyczułem w Paulu to samo, co wcześniej w Artiem Meltzerze - silną potrzebę rozmowy ze mną, jakbym go podnosił na duchu, dodawał mu siłę, dostarczał życiodajnej energii. Złudzeniem nie było także to, że nieco później Susan zaczęła ze mną flirtować, niby przypadkowo trącając mnie ramieniem czy patrząc mi w oczy. Żeby mieć z nią na jakiś czas spokój, wróciłem do dyskusji z Pauliem o Brucknerze i Mahlerze -ale nie pytajcie mnie, czemu to zrobiłem, choć temat zaczynał mnie nudzić, a dziewczyna była olśniewająco piękna.

W każdym razie po kolacji wyruszyliśmy na obchód nocnych klubów - najpierw do Dumy, potem do Virgil's, Moon i w końcu do Hexago-nu. Nie pamiętam, kiedy dokładnie to się stało, ale w jakiejś łazience wziąłem jeszcze jedno MDT. Pamiętam tylko tę właściwą wszystkim toaletom atmosferę, ludzi odbijających się w lustrach wokół mnie, pogrążonych w bełkotliwych rozmowach, opartych o białe kafelki, patrzących na samych siebie - pijanych, nakręconych, dezorientowanych -jakby przypadkowo wypadli z własnego życia.

Pamiętam, że czułem się naelektryzowany.

Coraz bardziej oszołomiony Dean poszedł do domu po drugiej, podobnie jak Susan. Za to dołączyli do nas znajomi Paula i Ruby, a po jakimś czasie znajomi ich znajomych. Potem Paul i Ruby się zmyli, a ja znalazłem się w dużym mieszkaniu na Upper West Side z grupą ludzi,

68

których widziałem pierwszy raz w życiu. Wszyscy siedzieli wokół szklanego stolika i wciągali kreski koki, a mimo to potrafiłem ich przegadać. W pewnym momencie zobaczyłem swoje odbicie w dużym zdobnym lustrze wiszącym nad kominkiem ze sztucznego marmuru i zauważyłem, że jestem w centrum uwagi i że o czymkolwiek mówię - Bóg jeden wie, że to mógł być dowolny temat - wszyscy bez wyjątku mnie słuchali. Około piątej rano, albo piątej trzydzieści, a może szóstej - nie pamiętam - poszedłem z dwoma nowymi znajomymi na śniadanie do baru na Amsterdam. Jeden z nich, Kevin Doyle, był bankowcem inwestycyjnym w Van Loon & Associates i mówił, że może mi podrzucić pewne

informacje, dobre informacje, i pomóc w założeniu portfela akcji. Nalegał, żebyśmy spotkali się w tym tygodniu, w jego gabinecie, na lunchu, a nawet na kawie, kiedy tylko będzie mi pasowało.

Drugi tylko siedział obok i przez cały czas na mnie patrzył.

W końcu - ponieważ prędzej czy później każdy musi pójść spać - znów zostałem sam. Przez resztę dnia przemierzałem miasto, głównie pieszo, i oglądałem rzeczy, na które do tej pory nie zwracałem większej uwagi, na przykład te ogromne wieżowce mieszkalne na Central Park West, z wieżami na dachu i gotyckimi gzymsami. Zawędrowałem na Times Square, do Gramercy Park i na Murray Hill. Wróciłem w stronę Chelsea, a potem skierowałem się do dzielnicy finansowej i Bartery Park. Popłynąłem promem na Staten Island, stojąc na pokładzie i delektując się podmuchami świeżego, ożywczego wiatru. Pojechałem metrem z powrotem na obrzeża miasta i odwiedziłem muzea i galerie, do których nie zaglądałem od lat. Poszedłem na koncert muzyki kameralnej do Lincoln Center, zjadłem późne śniadanie w Julian's, przeczytałem „New York Timesa” w Central Park i obejrzałem dwa filmy Prestona Sturgesa w kinie w West Yillage.

Później spotkałem się z paroma osobami w Zola's i w końcu w poniedziałek nad ranem wróciłem do domu i położyłem się spać.

Następne trzy czy cztery tygodnie zlały się ze sobą w jeden długi ciąg. Ani na chwilę nie przestawałem być... jak to nazwać? Na haju? Naćpany? Odjechany? Nabuzowany? Nagrzany? Żadne z tych określeń w najmniejszym stopniu nie oddaje tego, co czuje człowiek biorący MDT.

69

Jednak bez względu na to, czy nazwiecie mnie ćpunem, czy nie, brałem jedną, niekiedy dwie tabletki dziennie i od czasu do czasu udawało mi się uciąć sobie godzinną drzemkę. Miałem wrażenie, że ja, czy raczej moje życie rozrasta się błyskawicznie i że już niedługo rozmaite miejsca, które zajmowałem, dosłownie i w przenośni, przestaną mi wystarczać i w wyniku tego znajdą się pod dużym ciśnieniem, którego może nawet nie wytrzymają.

Schudłem. Straciłem rachubę czasu, więc nie wiem, w jak długim okresie udało mi się tego dokonać, ale musiało to trwać osiem do dziesięciu dni. Moja twarz nieco wyszczuplała i czułem się lżejszy i sprawniejszy. Nie chodziło o to, że nie jadłem. Po prostu przestawiłem się na sałatki i owoce. Zrezygnowałem z sera, chleba, mięsa, chipsów i czekolady. Nie piłem piwa ani napojów gazowanych, za to dużo wody. Prowadziłem aktywny tryb życia. Obciąłem sobie włosy.

I kupiłem nowe ubrania. Trudno mi było wytrzymać w zatęchłym mieszkaniu ze skrzypiącymi deskami podłogowymi, ale nie zamierzałem dłużej męczyć się z ubraniami, które sprawiały, że czułem się jak element jego wystroju. Dlatego wyjąłem ze schowanej w szafie koperty dwa tysiące dolarów i poszedłem na SoHo. Zajrzałem do kilku sklepów, po czym pojechałem taksówką na Piątą Aleję. W ciągu godziny kupiłem ciemnoszary garnitur, bawełnianą koszulę i jedwabny krawat od Armaniego, ja-snobrązowe skórzane buty w A. Testoni i parę rzeczy do noszenia na co dzień w Barney's. Nigdy jeszcze nie wydałem tylu pieniędzy na ubrania, ale było warto, bo sam fakt posiadania nowych, drogich ciuchów dodawał mi luzu i pewności siebie - a także sprawiał, że czułem się jak inny człowiek. Żeby sprawdzić, jak prezentuję się w nowym garniturze, poszedłem na spacer po mieście - jakbym brał samochód na próbną przejażdżkę - i chodziłem po Madison Avenue i dzielnicy finansowej, przebijając się przez tłum. Często zauważałem swoje odbicie w oknach biurowców, w ciemnych

szklanych płytach, i widziałem szczupłego faceta, który zdawał się dokładnie wiedzieć, dokąd zmierza i co robi, kiedy już tam dotrze.

Wydawałem pieniądze także na inne rzeczy. Bywało, że wchodziłem do luksusowych sklepów, wypatrywałem ładnych, elegancko ubranych ekspedientek, po czym kupowałem coś na chybił trafił - wieczne pióro Mont Blanc, zegarek Pulsar - tylko po to, by doświadczyć tego dzieciennego, odurzająco-erotycznego uczucia, jakie się ma w towarzystwie pięknej, wyperfumowanej kobiety będącej na twoje usługi. W stosunku do mężczyzn byłem bardziej agresywny, zadawałem szczegółowe pytania

70

I

i wymieniałem się z nimi informacjami; na przykład kupując zestaw płyt z dziewięcioma symfoniami Beethovena zagranych na oryginalnych instrumentach, wdałem się ze sprzedawcą w dyskusję o sensowności powrotu do osiemnastowiecznych technik wykonawczych. Także wobec kelnerów i barmanów zachowywałem się nietypowo. Kiedy chodziłem do takich lokali, jak Soleil, La Pigna czy Ruggles - a zacząłem odwiedzać je regularnie - byłem trudnym klientem... nie da się tego inaczej nazwać. Na przykład spędzałem nieprzyzwoicie dużo czasu na studiowaniu listy win albo zamawiałem dania, których nie było w menu, bądź na poczekaniu wymyślałem jakiś skomplikowany nowy koktajl, który barman miał mi natychmiast przygotować.

Później chodziłem na koncerty do Sweet Basil i Village Vanguard i nawiązywałem rozmowy z ludźmi przy sąsiednich stolikach; a choć dzięki rozległej znajomości jazzu na ogół potrafiłem postawić na swoim, niektórych to wyraźnie irytowało. Nie chodziło o to, że byłem złośliwy, wręcz przeciwnie, ale zagadywałem wszystkich, w wielkim skupieniu, na każdy temat, wyciągając z nich do ostatniej kropli wszystko, co się dało wyciągnąć - intrygi, konflikty, nudę, błażostki, plotki... nie miało to znaczenia. Większość poznanych przeze mnie osób nie była do tego przyzwyczajona i część z nich wytręcało to z równowagi.

Miałem też coraz większą świadomość wpływu, jaki wywieram na kobiety, które poznawałem - a czasem nawet nie tyle poznawałem, co widziałem... kilka stolików dalej albo po drugiej stronie zatłoczonej sali. Wydawało się, że jest między nami jakieś wzajemne zauroczenie, którego przyczyny nie potrafiłem wyjaśnić, ale które prowadziło zarówno do intymnych, szczerych rozmów, jak i do dość napiętych - ponieważ nie zawsze byłem pewien, jak to rozegrać. Pewnego razu, podczas koncertu Lestera Bowiego w Sweet Basil, trzydziestoparoletnia rudowłosa kobieta, na którą wcześniej zwróciłem uwagę, w przerwie między utworami przysiadła się do mojego stolika. Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Odwzajemniłem uśmiech. Przywołałem kelnera i miałem ją spytać, czego się napije, kiedy lekko potrząsnęła głową i powiedziała:

-Non.

Poprosiłem więc kelnera o rachunek. Kiedy wychodziliśmy przy dźwiękach ognistej muzyki Lestera Bowiego, zauważyłem, że moja nowa znajoma zerka na stolik, przy którym siedziała wcześniej. Podążyłem oczami za jej wzrokiem. Zobaczyłem kobietę i mężczyznę, którzy patrzyli na nas i zdaje się, że wykonywali jakieś niepewne gesty; przez tę krótką

71

chwilę miałem wrażenie, że ich mowa ciała wyraża narastający niepokój, może nawet strach. Ale kiedy tylko wyszliśmy z lokalu, rudowłosa kobieta wzięła mnie za ramię, lekko pchnęła naprzód i powiedziała:

- O Boże - miała silny francuski akcent - już nie mogłam znieść tych wyjących trąbek. - Zaśmiała się i ścisnęła moje ramię, przyciągając mnie do siebie, jakbyśmy znali się od lat.

Miała na imię Chantal i przyjechała z Paryża na wakacje z siostrą i szwagrem. Próbowałem rozmawiać z nią po francusku, dość nieudolnie, ogromnie ją jednak tym ująłem i po dwudziestu minutach czułem się, jakbym naprawdę znał ją od lat. Kiedy szliśmy Piątą Aleją w stronę Flatiron Building, opowiedziałem jej, jak policjanci przeganiali młodych mężczyzn, którzy zbierali się na Dwudziestej Trzeciej, by zaglądać przechodzącym kobietom pod spódnicę wzbijane podmuchami wiatru. Podmuchy te brały się stąd, że północny koniec gmachu był dość mocno pochylony; wyjaśnienie to przerodziło się w wykład na temat zabezpieczeń przed wiatrem i konstrukcji wczesnych drapaczy chmur, coś, co nie każda dziewczyna w takich okolicznościach chciałaby usłyszeć, ale sądząc z reakcji, moja opowieść o kratownicach i dźwigarach była ciekawa, zabawna, a nawet intrygująca. Na Dwudziestej Trzeciej Chantal stanęła przed Flatiron Building, czekając, aż coś się stanie, ale tego wieczoru prawie w ogóle nie wiało i jej długa granatowa spódnica tylko lekko zafalowała. Była tym wyraźnie zawiedziona i wyglądała, jakby chciała tupnąć ze złości. Wzięłem ją za rękę i poszliśmy dalej.

Na rogu Piątej Alei i Dwudziestej Dziewiątej skręciliśmy w prawo. Po chwili powiedziała mi, że jesteśmy przed jej hotelem. Dodała, że przez cały dzień robiły z siostrą zakupy, więc po całym pokoju walają się torby, pudełka, papiery, nowe buty, paski i inne rzeczy. Kiedy zrobiłem lekko zdziwioną minę, westchnęła i powiedziała, że bym nie zwracał uwagi na bałagan.

Rano zjedliśmy śniadanie w pobliskim barze, a potem spędziliśmy kilka godzin w muzeum sztuki. Ponieważ Chantal miała być w Nowym Jorku jeszcze przez tydzień, umówiliśmy się na następne ioflanfeT ten na następne - no i, co nieuniknione, na tym się nie sSzyL L którymś razem spędziliśmy całą dobę zamknięci w jej pokoju i w tym czasie między innymi uczyła mnie francuskiego. Myślę, że była Lit czona tym, jak dobrze mi szło, bo podczas naszego ostatniego spoLZ~ w marokańskiej restauracji w Tribeca, rozmawialiśmy już prawie wyłącznie po francusku.

f"twie wy-

72

Chantal powiedziała mi, że mnie kocha i jest gotowa rzucić wszystko, by zamieszkać ze mną na Manhattanie. Zrezygnowałaby ze swojego mieszkania w Bastylji, z pracy w agencji pomocy zagranicznej, z życia w Paryżu. Czułem się przy niej naprawdę dobrze i myśl o rozstaniu sprawiała mi przykrość, ale musiałem jej to wyperswadować. Nigdy jeszcze nie poszło mi tak łatwo z kobietą, więc nie chciałem kusić losu. Poza tym nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, jak moglibyśmy pogodzić nasz związek z moim narastającym uzależnieniem od MDT. Tak czy inaczej, nasze spotkanie było czymś nierzeczywistym - zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, co jej o sobie powiedziałem. Otóż podałem się za analityka inwestycyjnego pracującego nad nową strategią prognoz rynkowych opartą na teorii złożoności. Wyjaśniłem też, że nie mogę jej zabrać do swojego mieszkania na Riverside Drive, bo jestem żonaty - nieszczęśliwie, rzecz jasna. Chwila rozstania była ciężka, ale mimo to z przyjemnością słuchałem, jak piękna kobieta mówi - przez łzy i to po francusku - że zawsze będę żył w jej sercu.

Było też parę innych podobnych spotkań. Pewnego ranka poszedłem do mojego znajomego, Deana, po książkę. Wychodząc z budynku, nawiązałem rozmowę z młodą kobietą mieszkającą na piętrze. Wiedziałem od Deana, który opowiadał mi kiedyś o swoich sąsiadach, że jest samotną programistką, ma dwadzieścia sześć lat, nie pali, interesuje się dziewiętnastowieczną sztuką amerykańską. Już wcześniej mijaliśmy się kilka razy na schodach, ale jak to bywa w nowojorskich blokach mieszkalnych, gdzie królują alienacja i paranoja, o chronicznej nieuprzejmości nie wspominając, ostentacyjnie się ignorowaliśmy. Tym razem uśmiechnąłem się do niej i zagadałem:

- Cześć. Piękny dzień.

Wyglądała na zaskoczoną, patrzyła na mnie przez nanosekundę czy dwie, po czym odparła:

- Jeśli jest się Billem Gatesem. Albo Naomi Campbell.

- No, może - powiedziałem i oparłem się niedbale o ścianę - ale skoro jest aż tak źle, to może postawię ci drinka?

Spojrzała na zegarek.

- Drinka? Jest wpół do jedenastej rano. Gdzie ty żyjesz, w krainie zabawek?

Parsknąłem śmiechem.

- Kto wie?

W lewej dłoni trzymała torbę z A & P, a pod prawą pachą ścisnęła dużą książkę w twardej oprawie. Skinąłem głową w jej stronę.

73

- Co czytasz?

Westchnęła przeciągle, jakby chciała powiedzieć: „Słuchaj, facet, jestem zajęta... może kiedy indziej”. Wreszcie odparła zmęczonym głosem:

- Książkę o Thomasie Cole'u.

- Widok z Mount Holyoke - powiedziałem bez namysłu. -Northampton, Massachusetts, po burzy - Zakole. - Nie mogłem oprzeć się pokusie, by dodać: - I §36. Olej na płótnie, sto trzydzieści na sto dziewięćdziesiąt centymetrów.

Zmarszczyła brwi i patrzyła na mnie przez chwilę. Postawiła plastikową torbę na podłodze. Wyjęła książkę spod pachy, przytrzymała ją nieporadnie i zaczęła wertować.

- Tak - powiedziała pod nosem - Zakole, to ten. Piszę... - dalej przeglądała książkę w zamyśleniu - piszę pracę na kurs o Cole'u i... tak - podniosła oczy na mnie - Zakole.

Znalazła właściwą stronę i podsunęła mi ją, ale żebyśmy oboje dobrze zobaczyli obraz, musieliśmy nieco się do siebie przysunąć. Była dość niska, miała ciemne jedwabiste włosy i nosiła zieloną chustę wysadzaną małymi bursztynowymi koralikami.

- Pamiętaj - powiedziałem - zakole to jarzmo, symbol panowania nad dziką przyrodą. Cole nie wierzył w postęp, jeśli pod tym pojęciem rozumieć karczowanie lasów i układanie torów kolejowych. Napisał kiedyś, że wszystkie wzgórza i doliny - nawiasem mówiąc, nie jest to poezja najwyższych lotów - wszystkie wzgórza i doliny stały się ołtarzami mamony.

- Hhm. - Zastanawiała się chwilę. Potem zrobiła taką minę, jakby coś jej przyszło do głowy. - Znasz się na tym?

Tydzień wcześniej zwiedziłem z Chantal muzeum sztuki i sporo zapamiętałem z katalogów i tablic wiszących na ścianach, a poza tym niedawno czytałem Amerykańskie wizje Roberta Hughesa i mnóstwo rzeczy Thoreau i Emersona, więc czułem, że stoję na pewnym gruncie.

- Tak, jasne. Nie jestem ekspertem, ale co nieco wiem. - Lekko nachyliłem się ku niej i popatrzyłem na jej twarz, oczy. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. - Chcesz, żebym ci pomógł z tą pracą?

- Zrobiłbyś to? - spytała cicho. - Mógłbyś... to znaczy, nie jesteś zajęty?

- Nie zapominaj, żyję w krainie zabawek, więc nie muszę nigdzie pracować.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

Poszliśmy do jej mieszkania i w jakieś dwie godziny napisaliśmy szkic pracy. Cztery godziny później wreszcie wytoczyłem się z budynku.

74

Kiedy indziej poszedłem do biura Kerr & Dexter, by zanieść tam jakiś tekst, i wpadłem na Clare Dormer. Choć spotkałem ją wcześniej może raz czy dwa, przywitałem ją bardzo ciepło. Właśnie wyszła od Marka Suttona, z którym rozmawiała o kontrakcie, postanowiłem więc przedstawić jej pomysł, by w swojej książce ograniczyła się tylko do seriali pokazujących chłopców, poczynając od Leave U to Beaver, a kończąc na Simpsonach, i dała jej tytuł Synowie: od Beavera do Barta. Roześmiała się serdecznie i klepnęła mnie grzbietem dłoni w pierś.

Nagle zamarła, jakby doznała olśnienia.

Dwadzieścia minut później byliśmy razem na cichej klatce schodowej na jedenastym piętrze i dzieliliśmy się papierosem.

W takich sytuacjach przypomiinałem sobie, że tylko gram pewną rolę, że wszystko to jest przedstawieniem, ale często przychodziło mi na myśl, że może się mylę. Będąc pod wpływem MDT, czułem się, jakbym tracił z oczu moje stare, ja", które rozpływało się we mgłę za grubą szybą z przydymionego szkła. To było tak, jakbym próbował mówić językiem, który kiedyś znałem, ale teraz praktycznie zapomniałem i choćbym chciał, nie mogłem się na niego przestawić - a przynajmniej nie bez głębokiego skupienia czy wysiłku woli. Często wygodniej było w ogóle nie zawracać sobie tym głowy - bo i po co? - ale jednym ze skutków tego był fakt, że nieco więcej trudności sprawiały mi kontakty z ludźmi, których dobrze znałem, a przynajmniej, którzy dobrze znali mnie. Zaimponować człowiekowi zupełnie obcemu, przyjąć nową tożsamość, a nawet nowe nazwisko - to było ekscytujące i łatwe, ale kiedy spotykałem kogoś takiego jak choćby Dean, zawsze czułem na sobie jego lekko

zdziwiony, przenikliwy wzrok. Widziałem też, jak walczy z samym sobą, jak chce rzucić mi rękawicę, nazwać mnie pozerem, błaznem, aroganckim kutasem, a jednocześnie pragnie spędzić ze mną jak najwięcej czasu i jak najlepiej go wykorzystać.

W tym okresie rozmawiałem też kilka razy z ojcem, a to męczyło mnie jeszcze bardziej. Był na emeryturze i mieszkał na Long Island. Od czasu do czasu dzwonił, by zapytać, co u mnie słychać, i gawędziliśmy przez kilka minut, ale teraz nagle zacząłem wdawać się z nim w rozmowy, jakie zawsze pragnął prowadzić ze swoim synem, a jakich jego niewdzięczny syn unikał - bezsensowne pogaduszki na temat biznesu i rynków. Mówiliśmy o gwałtownym wzroście cen akcji firm wysokich technologii i zastanawialiśmy się, kiedy ten balon wreszcie pęknie. Dyskutowaliśmy o fuzji Waldrop z CLX, o której pisały wszystkie gazety.

75

Jak to wpłynie na ceny akcji? Kto będzie nowym prezesem? Początkowo wyczuwałem w głosie starego podejrzliwą nutę, jakby myślał, że sobie z niego żartuję, ale w końcu wyzbył się wątpliwości i chyba pogodził z tym, że po wielu jałowych latach znoszenia liberalnych i ekologicznych fanaberii syna wszystko wróciło do normy. I jeśli nie było tak w stu procentach, to niewiele do tego brakowało. Te dyskusje naprawdę mnie wciągały i być może po raz pierwszy w życiu rozmawiałem z ojcem tak, jak rozmawiałbym z każdym innym człowiekiem. Uważałem jednak, by nie przekroczyć pewnej granicy, bo to było co innego niż psychologiczne gierki z Deanem. Na drugim końcu linii był mój ojciec, coraz bardziej poruszony, coraz śmieiej żywiący dawno uśpione nadzieje: czy Eddie wreszcie znajdzie prawdziwą pracę? Czy zacznie zarabiać, jak należy? Czy da mu wnuka?

Po każdej rozmowie z nim czułem się wyczerpany, jakbym właśnie tego wnuka urodził, bez niczyjej pomocy stworzył jakąś dynamiczną kopię samego siebie. Potem, niczym w filmie przyrodniczym pokazującym w przyspieszeniu przebieg jakiegoś procesu, moje stare, ja"- zgorzkniałe, znękanе, rozsypujące się - nagle kurczyło się i rozpadało, co czyniło walkę o odzyskanie poczucia własnej tożsamości jeszcze trudniejszą.

Jednak chwile niepokoju były rzadkością i z tego okresu pamiętam głównie wielką przyjemność, jaką sprawiała mi moja nieustająca aktywność. Nie miałem chwili spoczynku. Przeczytałem nowe biografie Stalina, Henry'ego Jamesa i Irvinga Thalberga. Nauczyłem się japońskiego z książek i kaset. Grałem w szachy w sieci i rozwiązywałem niekończące się łamigłówki. Pewnego dnia zadzwoniłem do lokalnej stacji radiowej, by wziąć udział w konkursie, i wygrałem roczny zapas produktów do pielęgnacji włosów. Godzinami surfowałem po Internecie i nauczyłem się wielu rzeczy - których, oczywiście, robić nie musiałem, na przykład układania kwiatów, przyrządzania risotto, hodowli pszczół i rozbierania silnika samochodu.

Jedno, co naprawdę chciałem zrobić - odkąd sięgam pamięcią - to nauczyć się czytania nut. Znalazłem stronę internatową, na której cały proces był szczegółowo opisany, i szybko pojąłem, o co chodzi z kluczami wiolinowymi i basowymi, akordami, oznaczeniami tonacji i tak dalej. Wyszedłem z domu i kupiłem całą stertę arkuszy nutowych, poczynając od podstawowych rzeczy - kilku znanych piosenek - po coś bardziej ambitnego - parę koncertów i symfonię (Drugą Mahlera). W ciągu paru godzin przebrnąłem przez wszystko oprócz Mahlera, do którego podse-

76

dłem z ostrożnością, żeby nie powiedzieć czią. Ponieważ zapis był skomplikowany, przestudiowanie go zajęło mi o wiele więcej czasu, ale w końcu udało mi się wniknąć w cudowny wir pełnych bólu melodii i godnych horroru fanfar, niebiańskich smyczków i porywających chórów. Kiedy około drugiej nad ranem dotarłem do majestatycznej kulminacji - Was du geschlagen, Zu Gott wird es dich tragen! - czułem gęsią skórkę na całym ciele, a oczy zaszyły mi łzami.

Następnym krokiem było sprawdzenie, czy potrafiłbym coś zagrać, poszedłem więc na Canal Street i kupiłem względnie niedrogi syntezator, który ustawiłem obok komputera. Znalazłem kurs internetowy i zacząłem ćwiczyć gamy i inne podstawowe rzeczy, ale wcale nie było to łatwe i niewiele brakowało, bym zrezygnował. Jednak po kilku dniach coś jakby zaskoczyło i okazało się, że potrafię zagrać parę niezłych kawałków. Nim minął tydzień, grałem numery Duke'a Ellingtona i Billa Evansa, a wkrótce potem tworzyłem już własne improwizacje.

Przez jakiś czas wyobrażałem sobie swoje koncerty w klubach, tour-nee po Europie, zalewający mnie deszcz wizytówek prezesów firm nagraniowych, ale szybko uświadomiłem sobie coś bardzo ważnego: byłem dobry, ale nie aż tak. Potrafiłem jako tako zagrać Stardust i It Never Entered My Mind i pewnie dałbym sobie radę z obiema księgami Das wohl-temperierte Klavier Bacha, gdybym ćwiczył non stop przez następne pięćset godzin - ale pytanie brzmiało: czy naprawdę chciałem przez następne pięćset godzin ćwiczyć grę na fortepianie?

A tak właściwie, to co ja w ogóle chciałem robić?

Mniej więcej w tym czasie zacząłem być niespokojny. Dotarło do mnie, że jeśli mam dalej brać MDT, muszę jakoś ukierunkować swoje życie, bo przeskakiwanie od jednego hobby do następnego nie wystarczy. Potrzebowałem planu, jakiegoś rozsądnego pomysłu na życie - musiałem pracować.

Była też jeszcze jedna, ważniejsza kwestia. Co miałem zrobić z czterystoma pięćdziesięcioma tabletkami? Część z nich mogłem sprzedać za 500 dolarów od sztuki, więc pierwsze, co mi przyszło do głowy to, cóż... że mógłbym nimi handlować, i to osobiście. Ale jak właściwie miałem to robić? Stać na rogu ulicy? Wcisnąć je bywalcom nocnych klubów? Spróbować opchnąć w jakimś pokoju hotelowym większą ilość towaru oprychowi z pistoletem? Było zbyt wiele komplikacji i niewiadomych. Poza tym szybko doszedłem do wniosku, że nawet gdybym sprzedał choć połowę tabletek za pełną cenę, to 120 000 dolarów było niczym w porównaniu

77

z potencjalnymi zyskami, jakie mógłbym osiągnąć, biorąc MDT i wykorzystując je w sposób twórczy, rozsądny. Ot, na przykład prawie skończyłem już Nakręcanie i mogłem bez wysiłku napisać inne książki z tej serii.

Czym innym miałem się więc zająć?

Sporządziłem zarys kilku projektów. Mogłem na przykład wycofać Nakręcanie z Kerr & Dexter i zrobić z tego szersze studium - więcej tekstu, mniej ilustracji. Miałem też pomysł na scenariusz o życiu Aldousa Huxleya, koncentrujący się na okresie jego pobytu w Los Angeles. Przyszło mi także do głowy, że mógłbym napisać książkę o gospodarczej i społecznej historii jakiegoś produktu, cygar, opium, szafranu, czekolady czy jedwabiu, książkę, na podstawie której powstałby potem nakręcony z dużą pompą dokumentalny serial telewizyjny. Myślałem o wydawaniu pisma, założeniu agencji

tłumaczeń albo firmy produkcyjnej, wprowadzeniu nowej usługi internetowej czy choćby - sam nie wiem - wynalezieniu i opatentowaniu elektronicznego gadżetu, który po pół roku stanie się niezastąpiony, znany na całym świecie i sprawi, że moje nazwisko trafi do panteonu największych eponimów XX wieku - Kodak, Ford, Hoover, Bayer... Spinola.

Jednak wszystkie te pomysły miały jedną wadę: były za mało oryginalne lub zbyt mgliste. Wcielenie w życie każdego z nich zajęłoby mnóstwo czasu i wymagało dużego kapitału, a nie istniała żadna gwarancja, że w końcu - bez względu na to, jak kurewsko byłem bystry - którykolwiek z nich wypali czy okaże się na tyle atrakcyjny, by się dobrze sprzedać. Dlatego zacząłem myśleć o studiach podyplomowych. Oszczędnie używając MDT, mogłem w miarę szybko zdobyć wymaganą liczbę punktów i zacząć nową karierę... Problem polegał na tym, że nie wiedziałem, jaką. Zostać prawnikiem? Architektem? Dentystą? Naukowcem? Kiedy zacząłem rozważać wszystkie te możliwości, wróciłem pamięcią dwadzieścia lat wstecz i zakręciło mi się w głowie. Czy naprawdę chciałem znów wdepnąć w całe to gówno - egzaminy, prace semestralne, użeranie się z profesorami? Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Cóż więc mi pozostaje? - zapytałem sam siebie.

No a jak myślisz? Zarabianie pieniędzy.

Zarabianie pieniędzy... ale jak?

Telefonicznie.

Że co?

Giełda, głupku.

78

10

Wydawało się to oczywiste. Codziennie czytałem biznesowe strony gazet, od czasu do czasu dyskutowałem o tych sprawach z ojcem, a nowo poznanym kobietom podawałem się za analityka finansowego, więc następnym logicznym krokiem było zajęcie się tym na serio - na przykład day-tradingiem na moim pececie, obracaniem opcjami, kontraktami terminowymi, derywatami itp. Byłoby to lepsze od każdej roboty, jaką mógłbym sobie znaleźć, no i miało tę dodatkową zaletę, że ostatnimi czasy gra na giełdzie stała się modna. Jedyny problem polegał na tym, że nie do końca rozumiałem, czym są opcje, kontrakty terminowe i derywaty - w każdym razie nie znałem się na tym na tyle, by zacząć nimi handlować. Jasne, w towarzyskiej rozmowie mogłem sobie poradzić, ale na niewiele mi się to zda, gdy przyjdzie do wyłożenia na stół prawdziwej forsy.

Potrzebowałem godziny lub dwóch w towarzystwie kogoś, kto objaśniłby mi szczegółowo, jak funkcjonuje rynek, i pokazał mechanizmy day--tradingu. Pomyślałem o Kevinie Doyle'u, facecie, z którym parę tygodni wcześniej jadłem śniadanie, pracowniku Van Loon & Associates. Ale przypomniałem sobie, że był dość sztywny i wyglądał na ważniaka z Wall Street, który gardzi płótkami handlującymi na pececie. Dlatego obdzwoniłem znajomych dziennikarzy zajmujących się biznesem i rozpuściłem wiadomość, że dostałem od K & D zlecenie na napisanie fragmentu książki o fenomenie day-tradingu. Jeden z nich odezwał się po jakimś czasie i powiedział, że może mnie umówić ze swoim

znajomym, który od roku zajmuje się internetowym day-tradingiem i chętnie o tym opowie. Uzgodniliśmy, że pójdę do niego, pogadam z nim, zrobię notatki i zobaczę go w akcji.

Gość nazywał się Bob Holland i mieszkał na rogu Wschodniej Trzydziestej Trzeciej i Drugiej. Otworzył mi w bokserkach, zaprowadził do salonu i spytał, czy mam ochotę na kawę z ekspresu. Większą część pokoju zajmował długi mahoniowy stół, na którym stały trzy terminale komputerowe i ekspres marki Gaggia. Między jego drugim końcem a ścianą tkwił rower treningowy. Bob Holland wyglądał na czterdzieści kilka lat, był szczupły i żyłasty, i miał rzednące siwe włosy. Stał przed jednym z terminali i wpatrywał się w ekran.

- Wszedłeś do jaskini smoka, Eddie, więc będziesz musiał... - jedną ręką bezwiednie skubał swoje bokserki, a drugą wpisywał coś na komputerze -... wybaczyć mi, że jestem tak ubrany. - Wciąż rozkojarzony, wskazał ekspres i bezgłośnie powiedział: - Kawa.

79

Zająłem się ekspresem i rozejrzałem wokół. Nie licząc stołu i jego bezpośredniego sąsiedztwa, pokój sprawiał wrażenie zaniedbanego. Był ciemny, zatęchły i wyglądał, jakby dawno w nim nie odkurzano. Meble i wystrój wydawały się nieco zbyt wymyślne - jak na tego spartanina i skupionego wojownika Nasdaq.

Uznałem, że jakieś trzy do sześciu miesięcy wcześniej wziął rozwód.

Nagle, po długim okresie głębokiej koncentracji i sporadycznego stukania w klawisze - w czasie którego sączyłem kawę - Holland zaczął mówić.

- Wiele osób uważa, że kupując akcję, nabywa się proporcjonalny udział w interesie. - Mówił powoli, jakby wygłaszał wykład, ani na chwilę nie odrywał oczu od monitora. - W konsekwencji, aby ustalić wartość proporcjonalnego udziału, trzeba oszacować wartość całego interesu. Nazywa się to analizą fundamentalną i opiera na badaniu stanu finansów firmy - perspektyw rozwoju, projektowanych dochodów, przepływu gotówki i tak dalej. - Zawiesił głos, wcisnął kilka klawiszy i kontynuował. - Można też patrzeć na same liczby, niemal nie zważając na stojącą za nimi firmę czyjej obecną wycenę. Tym zajmują się analitycy kwantyta-tywni, czyli „kwanci”. Chodzące komputery. Ich zdaniem takie kryteria jak doświadczenie w zarządzaniu czy potencjał rynkowy są zbyt subiektywne. Kupują i sprzedają, polegając wyłącznie na wartościach dających się zmierzyć, posługują się skomplikowanymi algorytmami, by znaleźć najdrobniejsze rozbieżności cenowe na rynkach. - Zerknął na mnie. - Rozumiesz?

Skinąłem głową.

- No i jest jeszcze analiza techniczna. Chodzi o to, by zwracać uwagę na prawidłowości rządzące ceną i liczbą akcji i, najprościej mówiąc, spróbować zrozumieć psychologię kapitału.

Mówiąc to, wpatrywał się w ekran, a ja dalej kiwałem głową.

- Tyle że obrót akcjami to nie nauka, Eddie. To znaczy, giełdy nie da się wpisać w ramy żadnego systemu i dlatego słyszy się brednie o „irracjonalnej żywołowości” czy próby objaśnienia zachowania rynków za pomocą psychiatrii, biologii albo nawet neurochemii. Nie żartuję. Ostatnio pojawiły się sugestie, że przyczyną braku ostrożności inwestorów jest fakt, iż duża część brokerów i maklerów

bierze prozac. - Wzruszył ramionami. - Krótko mówiąc, ponieważ nikt nic nie wie, nie należy się dziwić, że większość inwestorów kieruje się w działaniu kombinacją trzech podstawowych metod, które właśnie wymieniłem.

Przez następną godzinę Bob Holland stał przy stole - wyglądał, jakby miał za sobą trudny mecz tenisowy - i rozwijał te myśli, a poza tym

80

opowiadał ze szczegółami o opcjach, kontraktach terminowych, derywatach, a także obligacjach, funduszach wysokiego ryzyka, rynkach globalnych i tak dalej. Robiłem notatki, ale słysząc jego wyjaśnienia, uświadamiałem sobie, że w gruncie rzeczy wszystko to rozumiem i że, co więcej, w moim mózgu uaktywniają się duże zasoby wiedzy, którą pewnie nieświadomie gromadziłem przez lata.

Kiedy skończył mówić o sprawach ogólnych - zasadach funkcjonowania banków inwestycyjnych i zarządzaniu funduszami inwestycyjnymi - przeszedł do tematu day-tradingu.

- No i są też tacy ludzie jak ja - powiedział - nowi pariasi Wall Street. Dziesięć lat temu tak nazywano gości zajmujących się wykupami kredytowanymi, takich jak Gordon Gekko. Teraz ich miejsce zajęli okularnicy w baseballówkach, którzy siedzą w domu przy komputerach i do-konują trzydziestu-czterdziestu transakcji dziennie, polując na V8, V|6 czy nawet Vr punktu na akcji i zamykając swoje pozycje przed zakończeniem sesji. - Odwrócił się od ekranu i spojrzał na mnie, drugi, może trzeci raz od mojego przyjścia. - Zarzuca się nam, że szkodzimy rynkom i destabilizujemy ceny akcji, ale to pieprzenie w bambus. To samo mówiono w latach osiemdziesiątych o ludziach zajmujących się przejęciami. My jesteśmy przedstawicielami nowej fali, Eddie. Elektroniczny day-trading to owoc technologii i zmian w przepisach. Świat się zmienia, a my z nim. - Znów wzruszył ramionami i odwrócił się do ekranu. - Chodź, coś ci pokażę.

Podszedłem i stanąłem za jego plecami. Na środkowym monitorze, tym, przy którym pracował, widziałem ciasno upakowane kolumny liczb, ułamków i procentów. Pokazał mi coś na ekranie - ATRX, giełdowy symbol firmy biotechnologicznej.

-Na otwarciu kurs akcji tej spółki sięgał około 60 dolarów, a teraz nieco spadł i cena oferowana wynosi 593/g, a cena sprzedaży - wskazał inną część ekranu - 593/4, czyli rozpiętość wynosi 3/r Rzecz w tym, że dzięki najnowszemu oprogramowaniu i zmianom w przepisach wprowadzonym przez Komisję Papierów Wartościowych mogą dokonywać transakcji w tych widełkach, i to nie ruszając się z tego pokoju.

Zaznaczył rząd liczb po symbolu ATRX i wpatrywał się w nie przez chwilę. Rzucił okiem na drugi monitor, wrócił do pierwszego i coś napisał. Zaczekał jeszcze trochę i znów zaczął stukać w klawisze. Potem podniósł rękę do góry i powiedział cicho:

- Jest.

Odwrócił się do mnie i wytłumaczył, co właśnie zrobił. Dzięki nowemu programowi do obrotu akcjami odkrył, że cenę oferowaną

ATRX zgłaszają trzech maklerzy, a cenę sprzedaży dwaj inni. Przyjmując założenie, że ATRX pójdzie w górę, wykorzystał rozpiętość cen, składając ofertę zakupu 2000 akcji za 59V|6, czyli V]6 więcej od najlepszej oferty. Następnie jako pierwszy złożył zamówienie. Pierwsze 2000 akcji wystawionych na sprzedaż na giełdzie trafiło do niego za 597/16. Zaraz potem złożył ofertę sprzedaży za 59"/16, czyli taniej od ceny oferowanej przez maklerów. Jego przewidywania okazały się trafne i akcje niemal natychmiast zostały od niego odkupione. Piętnaście sekund i kilka uderzeń w klawisze wystarczyło, by zarobił przeszło pięćset dolarów.

Spytałem go, ile transakcji tego rodzaju przeprowadza dziennie.

Holland po raz pierwszy się uśmiechnął. Powiedział, że około trzydziestu, głównie w pakietach po 1000-2000 akcji, i rzadko trzyma jakiegokolwiek papiery dłużej niż dziesięć minut.

Uśmiechnął się znowu i dodał:

- No dobra, nie zawsze jest tak, jak w tym przypadku, ale często tak bywa. - Zawiesił głos. - Rzecz w tym, by zauważyć najmniejsze wahania i szybko zareagować.

- To znaczy, że to nie jest tylko kwestia dostępu do najlepszych informacji?

- Jasne, że nie. Przy wszystkich wskaźnikach, jakie ma się do dyspozycji w naszych czasach, człowiek dostaje tylko masę sprzecznych sygnałów.

Teraz, kiedy już udało mi się przyciągnąć jego uwagę, zarzuciłem go pytaniami. Jak długo przygotowywał się do każdej sesji? Ile miał otwartych pozycji w danej chwili? Jakie prowizje płacił?

Odpowiadając na moje pytania, Holland stopniowo odsuwał się od komputerów. Potem zrobił sobie kawę, a kiedy zaczął ją pić, na tyle oderwał się od swojej pracy, by znów zauważyć, że jest w samych bokserkach, i zawstydić się z tego powodu. Przeprosił mnie i poszedł, jak sądziłem, do łazienki.

Podczas jego nieobecności znów rzuciłem okiem na monitory. Niesamowite.. . zarobił 500 dolarów - koszt jednej dawki MDT - w piętnaście sekund! Bardzo chciałem się tego nauczyć, bo jeśli Bob Holland zawierał trzydzieści transakcji dziennie, to ja na pewno mogłem ich zawrzeć sto, a nawet więcej. Kiedy wrócił, w dżinsach i T-shircie, spytałem go, jak najlepiej nauczyć się day-tradingu. Powiedział, że trzeba po prostu obracać akcjami i że większość internetowych brokerów ułatwia zadanie takim laikom jak ja, udostępniając darmowe symulatory gry na giełdzie i udzielając obszernych instrukcji.

- Symulatory -jego ton stawał się coraz bardziej nadęty - są znakomitym sposobem na rozwijanie umiejętności i nabranie pewności siebie w obrocie akcjami, no i nie wymagają podejmowania żadnego ryzyka.

Poprosiłem, by polecił mi jakichś internetowych brokerów i pakiety oprogramowania, a zapisując to wszystko, zadawałem mu kolejne pytania. Holland odpowiadał wyczerpująco, ale widziałem, że jest lekko zaniepokojony, jakby nie spodziewał się po mnie takiego zainteresowania, jakby czuł, że dając mi te informacje, może uwolnić w cyberprzestrzeni jakiegoś frankensteina, zdesperowaną, wygłodniałą istotę zdolną do Bóg wie czego.

Minęło trochę czasu, zanim udało mi się tego dokonać, ale Holland w końcu poświęcił mi całąswojąuwagę. Co więcej, z każdym następnym pytaniem wydawał się coraz bardziej zaniepokojony i jego odpowiedzi były coraz ostrożniejsze.

- Zaczynj od małych transakcji, przez pierwszy miesiąc obracaj pakietami po sto akcji, nie większymi, przynajmniej do czasu, aż poczujesz się pewnie...

-Hhm.

- ... i nie podniecaj się za bardzo, jeśli będziesz miał dobry dzień, to jeszcze nie czyni z ciebie Warrena Buffeta. Na następnej sesji możesz się zupełnie spłukać...

-Hhm.

-.. .a kiedy już zawierasz transakcję, pamiętaj, żeby spróbować przewidzieć, co się będzie działo z kursem, i jeśli stanie się coś dokładnie przeciwnego, natychmiast się wycofuj!

Miałem ochotę zbyć te wszystkie rady machnięciem ręki i Holland zdawał sobie z tego sprawę. Jednak głównym powodem, dla którego jego słowa do mnie nie trafiały, było to, że im usilniej mnie przestrzegał, tym bardziej paliłem się do tego, by zając się tym jak najszybciej.

Kiedy chowałem notes do kieszeni marynarki i zbierałem się do wyjścia, Holland nieco podniósł stawkę.

- Wiesz, gra na giełdzie może być naprawdę emocjonująca. - Zawiesił głos, a potem wyrzucił z siebie jednym tchem: -Nie pożyczaj pieniędzy od rodziny ani znajomych, Eddie, to znaczy, na grę na giełdzie czy wydobyć się z dołka. - Spojrzałem na niego lekko zaniepokojony. -I nie kłam, by ukryć swoje straty.

W jego głosie brzmiała nuta desperacji. Odniosłem wrażenie, że w ten zawołowany sposób mówi o sobie. I że chce, bym z nim został.

Ja tego nie chciałem, ale zawahałem się. Stałem na środku pokoju i wysłuchałem jego opowieści o tym, jak rzucił posadę kierownika do

83

spraw marketingu, by wziąć się za day-trading, i jak po pół roku zostawiła go żona. Wyznał, że robi się niespokojny i drażliwy, kiedy nie może grać na giełdzie - na przykład w niedzielę czy w środku nocy - i że wokół tego obraca się całe jego życie. Powiedział też, że nie jest w stanie utrzymać pieniędzy na koncie i często nawet nie zavraca sobie głowy otwieraniem wyciągów przysyłanych z biura maklerskiego.

- Bo nie chcesz wiedzieć, jak dużo straciłeś? - spytałem.

Skinął głową.

Potem zebrało mu się na głębsze wyznania i zaczął mówić o swojej skłonności do wpadania w nałogi, jak nie takie, to inne...

W tym czasie byłem w stanie myśleć tylko o tym, jak cudowny, jak bardzo podobny do krótkiej, lecz fantazyjnej jazzowej solówki był ten piętnastosekundowy pokaz elektronicznego day-tradingu. Wkrótce nie rozumiałem już, co Holland mówi, bo byłem nieobecny duchem, upojony wizją roztaczających się przede mną perspektyw. Uświadomiłem sobie, że Holland błędził w ciemnościach, polował tu i tam na szesnastą część punktu, częściej na tym tracąc niż zyskując. Ze mną tak nie będzie. Ja będę wiedział, co robić - instynktownie. Będę wiedział, które akcje kupować, kiedy to robić i dlaczego.

Będę w rym dobry.

Kiedy wreszcie się stamtąd wyrwałem i wróciłem na Dziesiątą, nadal byłem oszołomiony. Ledwie jednak otworzyłem drzwi mieszkania i wszedłem do salonu, zrobiło mi się ciasno, jakbym nagle urósł - jakbym niczym Alicja miał zaraz objąć głowę ramieniem i wystawić łokieć przez okno. Zacząłem się też czuć lekko pokrzywdzony, zirytowany tym, że jeszcze nie zarobiłem mnóstwa pieniędzy na day-tradingu - pokrzywdzony i rozpaczliwie spragniony dóbr materialnych... nowego garnituru albo lepiej dwóch, kilku par butów, nowych koszul i krawatów i może też innych rzeczy, na przykład lepszej wieży, nagrywarki DVD, laptopa, przyzwoitej klimatyzacji i więcej przestrzeni, szerszego przedpokoju, wyższych sufitów. Dręczyło mnie poczucie, że jeśli nie posunę się naprzód, nie wzniosę wyżej, nie ulegnę przemianie, nie przeobrażę się w kogoś innego, pewnie w końcu, sam nie wiem, eksploduję...

Włączyłem scherzo z Dziewiątej Brucknera i zacząłem maszerować po mieszkaniu jak jednoosobowa dywizja czołgów, mamrocząc pod nosem, rozważając różne możliwości. Jak miałem posunąć się naprzód? Od czego zacząć? Wkrótce jednak uświadomiłem sobie, że nie mam wielkiego wyboru, bo w szafie zostało już tylko kilka tysięcy dolarów, mniej

84

więcej drugie tyle trzymałem na koncie - a spójrzmy prawdzie w oczy, kilka tysięcy dolarów plus kilka tysięcy dolarów to wciąż tylko kilka tysięcy dolarów.

Mimo to wziąłem wszystko, co zostało w szafie, i znów wybrałem się na zakupy. Tym razem poszedłem na Czterdziestą Siódmą i kupiłem dwa czternastocalowe telewizory, laptopa i trzy pakiety oprogramowania - dwa do analizy inwestycyjnej i trzeci do obrotu akcjami w sieci. Nie zważając na przestrogi Boba Hollanda, że nadmiar informacji prowadzi do powstania sprzecznych sygnałów, kupiłem „Wall Street Journal”, „Financial Times”, „New York Times”, „Los Angeles Times”, „Washington Post” i najnowsze numery „The Economist”, „Barrons”, „Newsweek”, „The Nation”, „Harper's”, „Atlantic Monthly”, „Fortune”, „Forbes”, „Wired”, „Variety” i około dziesięciu innych tygodników i miesięczników. Wziąłem też kilka zagranicznych pism, takich, które przynajmniej będę mógł spróbować przejrzeć - oczywiście „Il Sole 24 Ore” i „Corriere della Sera”, ale także „Le Figaro”, „El Pais” i „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Po powrocie zadzwoniłem do znajomego elektryka i poprosiłem, żeby mi powiedział, jak podłączyć dwa nowe telewizory do gniazdka kablówki. Wyraźnie miał przed tym opory i chciał wpaść, by zrobić

to osobiście, ale uparłem się, żeby mi to wytłumaczył- a ja wszystko sobie zanotuję. W normalnych okolicznościach odważyłbym się co najwyżej podłubać przy wtyczce czy wymienić bezpiecznik; teraz jednak szybko wykonałem jego instrukcje co do joty i wkrótce w salonie stały już trzy sprawnie działające telewizory. Potem podłączyłem mój nowy laptop do komputera, zainstalowałem oprogramowanie i wszedłem do Internetu. Obejrzałem różne internetowe biura maklerskie i za pomocą karty kredytowej i przelewu bankowego założyłem konto w jednej z mniejszych firm. Potem wziąłem kupione wcześniej pisma i starannie porozkładałem je, otwarte na interesujących mnie artykułach, w całym mieszkaniu, wszędzie, gdzie był kawałek wolnego miejsca - na biurku, stole, krzesłach, półkach, kanapie, podłodze.

Następne kilka godzin zleciało w mgnieniu oka. Przez cały ten czas krążyłem niespokojnie przed telewizorami, chłonąc informacje - i to w tempie, przy którym błady wszystkie moje dotychczasowe dokonania. Każdy z nich włączony był na inny serwis informacyjny lub finansowy -CNN, CNNfn i CNBC, trzy rzeki wpływające do jednego wielkiego oceanu informacji, analiz i opinii. Internetowe biuro maklerskie, w którym

85

i k

się zarejestrowałem - The Klondike Index - zamieszczało aktualne notowania, komentarze ekspertów, najświeższe wiadomości i hiperlinki z przeróżnymi narzędziami do analizy i grami symulacyjnymi. Na drugim komputerze zaglądałem na takie strony, jak Bloomberg, The Street.com, Quote.com, Raging Bull i The Motley Fool. Od czasu do czasu robiłem sobie przerwę, a wtedy rzucałem się na tony papieru gazetowego i czytałem artykuły o wszystkim i niczym... o Meksyku, ale też o genetycznie zmodyfikowanej żywności, o rozmowach pokojowych na Bliskim Wschodzie, o britpopie, o kryzysie w przemyśle stalowym, o statystykach przestępczości w Nigerii, o handlu elektronicznym, o Tomie Cruisie i Nicole Kidman, o separatystach baskijskich, o międzynarodowym handlu bananami...

O wszystkim, jak leci.

Rzecz jasna, tak naprawdę nie miałem pojęcia, co właściwie robię., nie było w tym żadnej spójnej strategii, czytałem, co popadnie, ale wierzyłem, że im więcej zgromadzę danych - i to z wielu dziedzin - tym | bardziej będę pewny siebie, kiedy przyjdzie czas na podejmowanie decyzji w ułamku sekundy.

Zresztą- skoro już o tym mowa - na co właściwie czekałem? Z finansowego punktu widzenia nie miałem wielkiej swobody działania, ale gdybym naprawdę chciał, mógłbym w każdej chwili wziąć się do day--tradingu. By złożyć zamówienie, wystarczyło wybrać spółkę, wprowadzić dane dotyczące typu transakcji i liczby akcji, a potem kliknąć na widniejący na ekranie napis Wyślij zamówienie.

Postanowiłem zacząć następnego ranka.

O dziesiątej rano odwróciłem się na krzesło obrotowym i rzuciłem okiem po mieszkaniu. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zmieniło się nie do poznania. Nie wyglądało już schludnie, bardziej przypominało, jak to ujął Bob Holland, jaskinię jakiegoś maniaka. Ponieważ jednak siedziałem w tym już zbyt głęboko, by czuć obrzydzenie, odwróciłem się z powrotem do komputerów i zacząłem szukać akcji do kupienia. Przestudiowałem niekończące się listy przygotowywane przez ekspertów, osoby dobrze poinformowane i wytrawnych graczy giełdowych, ale w końcu zdałem się na instynkt i

skupiłem uwagę na średniej wielkości firmie software'owej z Pała Alto o nazwie Digicon, która sprawiała wrażenie gotowej do skoku w górę. Właśnie miała za sobą długi okres wahań w wąskim przedziale cenowym, ale wyglądało na to, że lada chwila się z niego wyrwie. Faktycznie, w czasie, jaki zajęło mi zastanawianie

86

się nad Digiconem i przepuszczenie istotnych danych przez programy do analizy, cena akcji wzrosła o pół punktu. Firma, w której miałem konto, Klondike, pobierała wysokie prowizje i naliczała spore odsetki, ale dawała dźwignię finansową wynoszącą do 50% początkowego depozytu. Dlatego złożyłem zamówienie na 200 akcji Digiconu po 14 dolarów. Przez następne pół godziny kupiłem w sumie 500 akcji sześciu innych firm, wykorzystując wszystkie dostępne fundusze, a przez resztę dnia obserwowałem ich zachowanie, wypatrując sygnałów wskazujących konieczność sprzedaży.

Do wczesnego popołudnia akcje wszystkich wybranych przeze mnie firm oprócz jednej poszły w górę, choć w różnym stopniu. Szybko zdecydowałem, których się pozbyć. Digicon, na przykład, osiągnął poziom 173/8, ale uznałem, że wyżej nie pójdzie, więc sprzedałem moje udziały i zarobiłem przeszło 600 dolarów - minus prowizja i opłata transakcyjna, rzecz jasna. Akcje jednej ze spółek wzrosły z 18V2 punktu do 243/4, a innej z 31 do 367/16. Dzięki temu, że sprzedawałem je w odpowiednim momencie, udało mi się zwiększyć moje fundusze z około 7000 dolarów do prawie 12 000, a w ciągu ostatnich dwóch godzin sesji pozbyłem się wszystkiego oprócz US-Cova. Akcje tej spółki nie drgnęły przez cały dzień, mimo że wszystko zapowiadało ich rychły wzrost. Irytowało mnie to, bo kiedy je wybierałem, czułem dziwne mrowienie w żołądku - a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Tak czy inaczej, wszystkie inne akcje poszły w górę i nie rozumiałem, czemu akurat te nie chcą się dostosować.

Niezrażony, złożyłem zamówienie na dodatkowych 650 akcji US--Cova po 22 dolary. Po jakichś dwudziestu minutach rozległo się piknięcie i US-Cova ruszyła z miejsca. Skoczyła najpierw o dwa, potem o trzy punkty. Patrzyłem, jak cena akcji idzie w górę. Kiedy dobiła do 36 dolarów, wpisałem polecenie sprzedaży, ale odczekałem jeszcze chwilę i wysłałem je dopiero wtedy, kiedy akcje sięgnęły 39 dolarów, co dawało wzrost o 17 dolarów w ciągu niewiele ponad godziny.

Kiedy sesja dobiegła końca, na koncie miałem przeszło 20 000 dolarów. Jeśli odjąć 7000, z którymi zaczynałem, i różne opłaty, oznaczało to, że w jeden dzień zarobiłem około 12 000 dolarów. Oczywiście na giełdzie to było małe piwo, ale jako copywriter często nie zarabiałem tyle w pół roku. Z jednej strony, to było coś niesamowitego, ale z drugiej uderzyło mnie, jak niewiarygodne miałem szczęście: siedem strzałów i siedem trafień, i to na przeciętnej sesji, kiedy indeks giełdowy wzrósł o zaledwie dwanaście punktów. To było niezwykle. Jak zatem tego dokonałem? Czy rzeczywiście po prostu dopisało mi szczęście? Próbowałem

87

odtworzyć wszystko w pamięci, prześledzić moje działania i sprawdzić, czy rozpoznam, jakie sygnały wychwytiłem, co sprawiło, że zainteresowałem się tymi stosunkowo mało znanymi spółkami, ale okazało się to zadaniem ponad moje siły. Ponownie przejrzałem dziesiątki wykresów przedstawiających ogólne tendencje, uruchomiłem programy do analizy i w pewnym momencie zacząłem czołgać się po rozłożonych na podłodze gazetach i pismach, szukając artykułu, który mógł

coś sugerować - podsunąć mi jakąś myśl, wskazać jakiś kierunek czy wręcz przeciwnie. Nie wiedziałem, jak to zrobiłem, i tyle. Może usłyszałem coś w telewizji, jakąś uwagę wypowiedzianą przez kogoś z setki analityków. Albo natknąłem się na jakąś wzmiankę w którymś chat-roomie, na liście dyskusyjnej czy w internetowym zinie.

Szukanie w pamięci powodów, dla których wybrałem akurat te akcje, przypominało wciskanie pasty do zębów z powrotem do tubki i wkrótce dałem sobie z tym spokój. Jedynym wnioskiem, jaki zdołałem wyciągnąć, był ten, że prawdopodobnie w równym stopniu posłużyłem się analizą fundamentalną i kwantytatywną. Choć być może następnym razem nie uda mi się dobrać identycznych proporcji ani odtworzyć warunków z tego dnia, z pewnością byłem na dobrym tropie. Chyba że, rzecz jasna - nie mogłem znieść tej myśli - to wszystko rzeczywiście było dziełem przypadku, szczęśliwym trafem na wielką skalę. Tak naprawdę w to nie wierzyłem, ale musiałem się upewnić i dlatego nie mogłem się doczekać następnej sesji. Oznaczało to konieczność dalszego zbierania informacji i - oczywiście - tykania MDT-48.

Tej nocy spałem trzy czy cztery godziny, więc kiedy się obudziłem -a właściwie zerwałem na dźwięk autoalarmu - minęło trochę czasu, zanim zorientowałem się, gdzie, a nawet kim jestem. Wcześniej przyśnił mi się niezwykle wyrazisty sen, rozgrywający się w dawnym mieszkaniu Melissy na Union Street w Brooklynie. Właściwie niewiele się w nim działo, ale miał w sobie coś z wirtualnej rzeczywistości, z ujęciami z ręki i szczegółowymi zbliżeniami, a nawet dźwiękami... takimi, jak sugestywne wycie kaloryferów, trzask drzwi w głębi korytarza, dziecięce głosy dochodzące z ulicy.

Oko snu - punkt widzenia, kamera - sunęło nisko nad sosnową posadzką przez kolejne pokoje, zauważając wszystko: słoje drewna, każdą krętą linię, każdy sęk, kłęby kurzu, egzemplarz „The Nation”, pustą butelkę po grolschu, popielniczkę. Potem w kadrze powoli pojawiła się bosa prawa stopa Melissy, jej skrzyżowane nagie nogi i granatowa jedwabna halka, która zmarszczyła się, gdy Melissa pochyliła się, lekko odśladnia-

jąc piersi. Długie błyszczące czarne włosy spływały na jej ramiona i częściowo zasłaniały twarz. Siedziała na krześle i paliła papierosa, pogrążona w zadumie. Wyglądała wspaniale. Ja siedziałem na podłodze i wyglądałem -jak mi się wydawało - nieco gorzej. Po kilku sekundach wstałem i punkt widzenia chwiejnie podniósł się razem ze mną. Kiedy się obróciłem, wszystko obróciło się razem ze mną i, jakbym filmował z ręki, objąłem wzrokiem czarno-białe zdjęcia na ścianie, fotografie starego Nowego Jorku, które Melissa tak bardzo lubiła; zobaczyłem też nieużywany kamienny kominek i wiszące nad nim lustro, w którym przez chwilę widziałem samego siebie, chudego, młodego, w starej sztruksowej kurtce. Dalej były otwarte drzwi sypialni, a w nich Yernon, długowłosa, w skórzanej kurtce, z którą nigdy się nie rozstawał. Dobrze mu się przyjrzałem, jego błyszczącym zielonym oczom i wydatnym kościom policzkowym, i przez parę sekund miałem wrażenie, że coś do mnie mówi. Jego wargi poruszały się, ale nic nie słyszałem...

I nagle wszystko prysnęło, autoalarm wył żałośnie na Dziesiątej, a ja zwieszałem nogi z łóżka - oddychając głęboko, czując się, jakbym właśnie zobaczył ducha.

Co nieuniknione, przed oczami znów stanął mi Yernon, tyle że ten, którego zobaczyłem dziesięć lat później - prawie tysy, o zniekształconej, poobijanej twarzy, rozwalony na kanapie innego mieszkania, w innej dzielnicy...

Wbiłem wzrok w dywan przy łóżku, w zdobiące go fantazyjne, powtarzające się bez końca wzory i powoli pokręciłem głową. Odkąd przed kilkoma tygodniami zacząłem brać MDT, prawie w ogóle nie myślałem o Yernonie Gancie - mimo że, jakby na to nie spojrzeć, zachowałem się wobec niego paskudnie. Na litość boską, nie zważając na to, że leżał martwy w sąsiednim pokoju, praktycznie splądrowałem jego sypialnię, a potem go okradłem. Nawet nie poszedłem na jego pogrzeb - wmawiając sobie, bez żadnego uzasadnienia, że tak chciała Melissa.

Wstałem i szybko poszedłem do salonu. Wyjąłem dwie tabletki z ceramicznej miski na drewnianej półce nad komputerem - którą napełniałem każdego dnia - i połknąłem je. Wszystko, co zabrałem Yemonowi, powinno trafić do jego siostry - Melissie pewnie przydałoby się tych dziewięć patoli, o prochach nie wspominając.

Ze ściśniętym żołądkiem włożyłem rękę za komputery, by je włączyć. Potem zerknąłem na zegarek.

4.58.

Przecież teraz mógłbym dać jej dwa razy tyle - a nawet o wiele więcej, jeśli moja druga sesja przebiegnie pomyślnie - ale czy nie byłaby to forma przekupstwa?

89

Nagle zrobiło mi się niedobrze.

Nie tak wyobrażałem sobie odnowienie znajomości z Melissą. Pobiegłem do łazienki i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Rzuciłem się na podłogę i nachyliłem nad sedesem. Ale nic się nie działo, nie mogłem zwymiotować. Nie ruszałem się stamtąd przez dwadzieścia minut, oddychając ciężko, przyciskając policzki do zimnej białej porcelany, aż w końcu to uczucie przeszło. A raczej uczucia... bo najdziwniejsze było to, że kiedy wstałem, wróciłem do salonu i usiadłem za biurkiem, by wziąć się do pracy, nie miałem już mdłości - ani wyrzutów sumienia.

Tego dnia na giełdzie wiele się działo. Wybrałem akcje pięciu średnich i mało znanych spółek i doskonale na tym wyszedłem. Wcześniej, przy kawie, zauważyłem wzmianki w kilku artykułach - i na niezliczonych stronach internetowych - o US-Cova i jej nadzwyczajnych wynikach podczas poprzedniej sesji. Tu i ówdzie wspomniano też o Digiconie i jednej czy dwóch innych firmach, ale nikt nie potrafił wysnuć żadnych ogólnych wniosków mogących wyjaśnić to, co się stało, ani w żaden sposób powiązać ze sobą wszystkich tych spółek. Ocena większości ekspertów była zgodna: „a to dopiero zagadka”, więc choć prawdopodobieństwo siedmiu celnych trafień pod rząd było naprawdę znikome, miałem za mało danych, by wykluczyć możliwość, że po prostu dopisało mi szczęście.

Wkrótce jednak stało się jasne, że chodzi w tym o coś innego. Ponieważ - tak jak poprzedniego dnia - ile razy trafiałem na interesującą spółkę, coś się ze mną działo, następowała fizyczna reakcja. Uczucie to mogę porównać do wyładowania elektrycznego, które następowało zwykle tuż pod mostkiem i powodowało lekki przypływ energii, która szybko rozchodziła się na całe moje ciało, a potem zdawała się wypełniać cały pokój, wyostrzając kolory i dźwięki. Miałem wrażenie, że jestem połączony z jakimś rozległym systemem, niczym małe, ale aktywne włókno pulsujące na płycie obwodu drukowanego. Pierwsza spółka, którą wybrałem - nazwijmy ją V - poszła w górę pięć minut po wysłaniu przeze mnie zlecenia zakupu. Miałem ją na oku i jednocześnie węszyłem po różnych stronach internetowych w poszukiwaniu innych obiecujących firm. Dlatego też, coraz bardziej pewny siebie, przez cały poranek

szalałem na giełdzie, przeskakiwałem z jednych akcji na drugie, sprzedawałem V z zyskiem i natychmiast wkładałem cały dochód w W, którego z kolei pozbywałem się w odpowiedniej chwili, by sfinansować wejście w X.

90

Jednak wraz z pewnością siebie rośnie moje zniecierpliwienie. Chciałem mieć więcej żetonów do gry, większy kapitał, większe pole manewru. Wczesnym przedpołudniem doszedłem już do prawie 35 000 dolarów, co nie było złym osiągnięciem, ale żeby naprawdę zaznaczyć swoją obecność na rynku, potrzebowałem na początek przynajmniej dwa, a raczej trzy, cztery razy tyle.

Zadzwoiłem do Klondike, ale dawali maksymalnie pięćdziesięcio-procentową dźwignię. Ponieważ nigdy nie miałem do czynienia z kierownikiem mojego banku, nie zamierzałem się do niego zwracać. Nie sądziłem też, by którykolwiek z moich znajomych miał 75 000 dolarów na zbyciu ani by jakkolwiek uczciwa kasa pożyczkowa dała mi tyle pieniędzy do ręki - więc, ponieważ potrzebowałem ich już teraz i wiedziałem, co mogę z nimi zrobić, wyglądało na to, że zostało mi tylko jedno wyjście.

11

Włożyłem kurtkę i wyszedłem z mieszkania. Idąc Aleją A, minąłem Tompkins Square Park i skierowałem się w stronę Trzeciej, do baru, który często odwiedzałem. Facet stojący za ladą, Nestor, był miejscowy i wiedział o wszystkim, co działo się w okolicy. Od dwudziestu lat serwował kawę, muffiny, cheeseburgery i zapiekanki z tuńczykiem, i był naocznym świadkiem wszystkich radykalnych zmian, które tu zaszły, wielkiego sprzątnięcia, napływu klasy średniej, podstępnej inwazji wieżowców. Ludzie przychodzili i odchodzili, ale Nestor został, relikwiarz starej dzielnicy, którą nawet ja pamiętałem z dzieciństwa - Loisaidy, latynoskiego kwartału chodników towarzyskich, starych grających w domino, dźwięków salsy i merengue dobiegających z każdego okna, i Al-phabeta City, pełnego wypalonych budynków, handlarzy narkotyków i bezdomnych mieszkających w tekturowych pudełkach w Tompkins Square Park. Często gawędziłem z Nestorem o tych zmianach, a on opowiadał mi historie - niektóre mroźne krew w żyłach - o ludziach z okolicy, starych, sklepikarzach, glinach, radnych, dziewczynkach, dealerach, lichwiarzach. To właśnie było dla niego charakterystyczne - znał wszystkich, nawet mnie, anonimowego odludka, który mieszkał na Dziesiątej już prawie pięć lat i pracował jako dziennikarz czy ktoś taki. Dlatego kiedy wszedłem do jego lokalu, usiadłem przy kontuarze i spytałem, czy zna kogoś, kto mógłby

91

szybko dostarczyć mi trochę gotówki - lichwiarskie odsetki nie stanowiły przeszkody - nawet nie mrugnął okiem, tylko przyniósł mi kawę i powiedział, żebym chwilę zaczekał.

Kiedy obsłużył kilku klientów i uprzątnął dwa czy trzy stoliki, podszedł do 'mnie, wytarł blat i rzekł:

- Dawniej robili w tym Włosi, nie? Głównie Włosi, aż... Urwał.

Aż co? Aż John Gotti dostał w dupę, a Sammy Byk został świadkiem koronnym? Miałem zgadywać? To też było typowe dla Nestora, często zakładał, że wiem więcej, niż to było w rzeczywistości. A może po prostu zapominał, z kim rozmawia.

- Aż co? - spytałem.

- Aż John junior przejął interesy. Teraz to jeden wielki burdel. Był in blisko.

- To znaczy?

- Rosjanie. Z Brighton Beach. Kiedyś współpracowali z Włochami, a przynajmniej nie wchodzili sobie w drogę, ale teraz jest inaczej. Podobno ludzie Johna juniora nie mogliby teraz obrobić nawet kiosku z cygarami.

Nigdy nie wiedziałem, co myśleć o Nestorze: był tylko dobrym słuchaczem czy w jakimś stopniu siedział w tym wszystkim? Nie miałem pojęcia. Z drugiej strony, dlaczego miałbym cokolwiek wiedzieć? Kim ja w końcu byłem, do cholery?

- Ostatnio zajmuje się tym jeden gość, Giennadij - ciągnął Nestor. - Często tu przychodzi. Mówi jak imigrant, ale nie daj się na to nabrać. Jest twardy jak wszyscy jego wujowie, którzy wyszli z gułagów. Dla nich ten kraj jest śmiechu wart.

Wzruszyłem ramionami. Nestor spojrzał prosto na mnie.

- To wariaci, Eddie. Mówię ci. Przetną ci skórę w pasie, a potem ściągną przez głowę, zawiążą w węzeł i zaczekają, aż się udusisz.

Przerwał na chwilę, by to do mnie dotarło.

- Nie żartuję. Tak właśnie postępowali mudżahedini z rosyjskimi jeńcami w Afganistanie. Takie rzeczy się zapamiętuje. Ludzie się uczą. - Znów wziął się do wycierania kontuaru. - Kiedy przyjdzie Giennadij, porozmawiam z nim, ale zastanów się, czy wiesz, co robisz.

Cofnął się nieco i spytał:

- Chodzisz na siłownię? Świetnie wyglądasz. Uśmiechnąłem się do niego, ale nic nie powiedział. Wyraźnie zbity

z tropu, zajął się innym klientem.

92

Siedziałem tam przez mniej więcej godzinę i wypłem cztery kawy. Przejrzałem parę gazet, a potem przez jakiś czas szperałem w stale rozrastającej się bazie danych w mojej głowie, szukając informacji o rosyjskiej mafii - Organizacji, Brighton Beach, Małej Odessie.

Próbowałem nie myśleć za wiele o tym, co powiedział mi Nestor.

W porze lunchu zrobił się spory ruch i zacząłem podejrzewać, że tracę czas, ale kiedy już miałem wstać i wyjść, Nestor skinął na mnie zza kontuaru. Rozejrzałem się dyskretnie i zobaczyłem w drzwiach dwudziestokilkuletniego mężczyznę. Był szczupły, żyłasty, miał na sobie brązową skórzaną kurtkę i ciemne okulary. Usiadł w wolnym boksie na tyłach baru. Nie ruszyłem się z miejsca i kątem oka patrzyłem, jak Nestor podaje mu kawę i zamienia z nim kilka słów.

Wrócił za kontuar, po drodze zabierając kilka talerzy. Położył je obok mnie i szepnął:

- Poręczyłem za ciebie, możesz iść z nim pogadać. - Z palcem wymierzonym we mnie dodał: -Nie narób mi wstydu, Eddie.

Skinąłem głową i obróciłem się na stołku. Poszedłem na tył baru. Usiadłem naprzeciwko Giennadija i kiwnąłem mu głową na powitanie.

Zdjął okulary i odłożył je na bok. Miał niesamowite niebieskie oczy, starannie wypielegnowany zarost i był niepokojąco chudy i dobrze zbudowany. Heroina? Próżność? Zresztą, co ja mogłem wiedzieć? Czekałem, aż coś powie.

Ale nie odezwał się. Po niedorzecznie długiej chwili niemal niezauważalnie skinął głową, co uznałem za zachętę do mówienia. Odkaszlnąłem więc i powiedziałem:

- Potrzebuję krótkoterminowej pożyczki w wysokości 75 000 tysięcy dolarów.

Giennadij przez chwilę bawił się płatkami lewego ucha, po czym pokręcił głową.

Czekałem, aż powie coś jeszcze, ale wyglądało na to, że to koniec.

- Dlaczego? - spytałem. Prychnął sarkastycznie.

- Siedemdziesiąt pjat' tysjacji? - Znów potrząsnął głową i upił łyk kawy. Mówił z bardzo silnym rosyjskim akcentem.

- Tak - potwierdziłem - 75 000 dolarów. Czy to aż taki problem? Jezu.

Wiedziałem, że gdyby przyszło co do czego, ten typ bez mrugnięcia okiem wbiłby mi nóż w serce - a jeśli Nestor mówił prawdę, to byłby dopiero początek - ale jego zachowanie mnie denerwowało i nie miałem ochoty mu odpuścić.

93

-Tak -powiedział- zasrany prabliem. Wiżutiebjiapierwyjraz. I już mi się nie podobasz.

- Nie podobam? A co to ma z czymkolwiek wspólnego, do cholery? Przecież nie zapraszam cię na randkę.

Drgnął - może nawet zamierzał sięgnąć po nóż czy pistolet - ale potem zmienił zdanie i tylko rzucił okiem przez ramię, pewnie wkurzony na Nestora.

Postanowiłem iść na całość.

- Myślałem, że wy, Rosjanie, jesteście ważniakami - no wiesz, że jesteście twardzi, panujecie nad wszystkim.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Potem odzyskał zimną krew i z jakiegoś powodu zdecydował się odpowiedzieć.

- Szło, ja nad czymś nie panuję? Ja skazał „niet". Teraz to ja prychnąłem sarkastycznie. Znieruchomiał i warknął:

- Pierdolsja. Szto o nas wiesz?

- Prawdę mówiąc, całkiem sporo. Słyszałem o Maracie Balaguli, przekręcić z podatkiem od paliw i układzie z rodziną Colombo. Jest jeszcze... Michaił... - zawiesiłem głos i udałem, że ciężko mi wymówić to nazwisko -... Szmuszkiewicz?

Po jego minie poznałem, że nie jest do końca pewien, o czym mówię. Pewnie był jeszcze dzieckiem, kiedy w latach osiemdziesiątych tak zwany wianuszek fikcyjnych firm naftowych sprowadzał paliwo z Ameryki Południowej i fałszował formularze podatkowe. Poza rym, kto wie, o czym rozmawiali ze sobą ci młodszy gangsterzy - w każdym razie na pewno nie o wielkich przekrętach poprzedniego pokolenia.

- No i... szto? - powiedział. - Ty glina? -Nie.

Kiedy nic do tego nie dodałem, zaczął wstawać.

- No, Giennadij - powiedziałem - wyluzuj?

Wyszedł z boksu i spojrzał na mnie z góry, najwyraźniej zastanawiając się, czy zabić mnie tu i teraz, czy też zaczekać, aż wyjdziemy. Sam nie mogłem uwierzyć w swoją zuchwałość, ale coś mi mówiło, że nic mi nie grozi, że nie może mnie spotkać nic złego.

- Właściwie to zbieram materiały do książki o was - powiedziałem. - Tyle że szukam odpowiedniej perspektywy... kogoś, z czyjego punktu widzenia mógłbym opowiedzieć całą historię... - zawiesiłem na chwilę głos, po czym przeszedłem do sedna - kogoś takiego jak ty, Giennadij.

Przestąpił z nogi na nogę i wiedziałem, że jest mój.

- Kajok książki? - spytał zaskakująco cichym głosem.

94

I

- To będzie powieść - odparłem. - Na razie dopiero nabiera ogólnych zarysów, ale chcę, by była to historia epicka, triumf nad przeciwnościami losu i tak dalej. Od gułagów do... - Urwałem, lekko zagubiony, świadom, że mogę stracić jego zainteresowanie. - To znaczy, wystarczy pomyśleć - ciągnąłem - do tej pory wszystkim trzęśli makaroniarze, ale cała ta szopka z pięcioma rodzinami, ludźmi honoru, pif-paf tu, pif-paf tam, stała się przeżytkiem. Ludzie chcą czegoś nowego. - Podczas gdy zastanawiał się nad moimi słowami, postanowiłem postawić kropkę nad „i”. - No i mój agent uważa, że ze sprzedażą praw do filmu nie będzie kłopotu.

Giennadij zawahał się, po czym usiadł z powrotem w boksie, czekając na dalszy ciąg.

Na gorąco udało mi się nakreślić mętłą fabułę skupiającą się na młodym Rosjaninie z drugiego pokolenia, który pnie się po szczeblach Organizacji. Dorzuciłem odniesienia do Sycylijszczyków i Kolumbijczyków, ale co chwila gestem ręki dawałem Giennadijowi znać, że on lepiej zna szczegóły. Wkrótce odwróciłem kota ogonem i to on zaczął więcej mówić -choć dość kulawą angielszczyzną. Zgadzał się z niektórymi moimi propozycjami, inne odrzucał, ale zwietrył zapach sławy i teraz nic go nie mogło powstrzymać.

Oczywiście w ogóle tego nie zaplanowałem i nie wierzyłem, że ujdzie mi to na sucho, ale najśmielsze posunięcie było jeszcze przede mną. Gdy Giennadij zgodził się zostać konsultantem „projektu” i ustaliliśmy podstawowe zasady współpracy, wróciłem do tematu pożyczki. Powiedziałem mu, że wydałem już zaliczkę na poczet książki i że te siedemdziesiąt pięć patyków to dług karciany, który muszę spłacić - i to jeszcze dziś.

Dobra, dobra, dobra.

Ta sprawa stała się dla Giennadija irytującą błahostką. Wyjął komórkę i zamienił z kimś kilka szybkich zdań po rosyjsku. Potem, nie rozłączając się, zadał mi serię pytań. Jaki jest mój numer ubezpieczenia? Prawa jazdy? Od kogo wynajmuję mieszkanie, kto jest moim szefem w pracy? Z jakiego banku korzystam i jakie mam karty kredytowe? Wyjąłem kartę ubezpieczenia społecznego i odczytałem odpowiednie numery. Podałem nazwiska i wszystko, czego ode mnie chciał, a on przekazał te informacje po rosyjsku osobie na drugim końcu linii.

Załatwiwszy to, Giennadij schował telefon i wrócił do rozmowy

O projekcie. Po piętnastu minutach komórka zadzwoniła. I tym razem rozmawiał po rosyjsku; w pewnym momencie zakrył telefon dłonią

1 szepnął:

95

- Dobra, wsio wparjadku. No to... jak? Siedemdziesiąt'pjať? Ty pewien? Chcesz więcej? Sto?

Po chwili namysłu skinąłem głową. Kiedy skończył rozmawiać, powiedział:

- Pół godziny.

Schował telefon i położył dłonie na stoliku.

— No dobra - spytał - to kto budiet w głównej roli?

Punktualnie pół godziny później zjawił się inny młody facet. Gien-nadij przedstawił mi go imieniem Leon. Był chudy i nawet trochę podobny do Giennadija, ale nie miał takich oczu jak on - prawdę mówiąc, wyglądał, jakby chirurgicznie usunięto mu wszystko to, co u Giennadija najbardziej rzucało się w oczy. Może byli braćmi, kuzynami, i może -zacząłem myśleć - może dałoby się to jakoś wykorzystać. Przez chwilę rozmawiali po rosyjsku, a potem Leon wyjął z kieszeni kurtki grubą brązową kopertę, położył ją na stoliku, wysunął się z boku i bez słowa wyszedł. Giennadij pchnął kopertę w moją stronę.

- Idę ci na rękę, panimajesz? Pięć rat, pięć tygodni, dwadcat' dwa i poi każda. Będę przychodzić w każdy... - zawiesił głos i przez chwilę wpatrywał się w kopertę - .. .piątek rano, pierwszy raz za dwa tygodnie. -Podniósł kopertę. - To nie żart, Eddie, bierzesz to... i jesteś mój. - Skinąłem głową. - Podać więcej szczegółów?

Potrząsnąłem głową.

Uznałem, że te szczegóły - w najlepszym razie - dotyczyłyby nóg, kolan, rąk, żeber, kijów baseballowych, noży sprężynowych, może nawet elektrycznych ościeni.

-Nie. - Znów pokręciłem głową. - W porządku. Rozumiem.

Teraz, kiedy już miałem gotówkę, chciałem jak najszybciej stamtąd uciec, ale nie mogłem dać po sobie poznać, że mi się spieszy. Okazało się jednak, że Giennadij musi iść, bo jest już spóźniony na następne spotkanie. Wymieniliśmy się numerami telefonów i zanim wyszedł, uzgodniliśmy, że dzwoniemy się w przyszłym tygodniu. On sprawdzi parę rzeczy, a ja popracuję nad charakterystyką, a może nawet rozbudową postaci głównego bohatera powieści, która w trakcie naszej rozmowy niezauważalnie przeistoczyła się w scenariusz.

Giennadij założył ray-bany i był gotów do wyjścia. Najpierw jednak podał mi rękę. Zrobił to w milczeniu, z poważną miną.

Potem wstał i wyszedł.

96

Zadzwoiłem do Klondike z automatu w barze. Powiedziałem, jak wygląda sytuacja, a oni podali mi adres banku na Trzeciej Alei, gdzie mogłem wpłacić gotówkę, która natychmiast zostanie przelana na moje konto.

Podziękowałem Nestorowi za pomoc i pojechałem taksówką na róg Sześćdziesiątej Pierwszej i Trzeciej. Otworzyłem kopertę i dotknąłem studolarowych banknotów ułożonych w pliki. Nigdy w życiu nie widziałem takiej gotówki i aż kręciło mi się w głowie, kiedy na nią patrzyłem. Uczucie to stało się jeszcze silniejsze, kiedy oddałem pieniądze kasjerowi i przyglądałem się, jak je przelicza.

Wróciłem na Dziesiątą i znów wziąłem się do roboty. Podczas mojej nieobecności kupione przeze mnie akcje dramatycznie poszły w górę, dzięki czemu mój kapitał wzrósł do 50 000 dolarów. To oznaczało, że razem z pieniędzmi od Giennadija miałem do dyspozycji prawie 150 000. Ponieważ do końca sesji zostało raptem parę godzin - przez co nie było czasu na studiowanie materiałów - od razu rzuciłem się w wir pracy. Śledziłem ceny, żonglowałem akcjami, kupowałem, sprzedawałem, przeskakiwałem między rzędami liczb na ekranach komputerów.

Moje działania nabierały coraz większego impetu i ich zwieńczenie nadeszło późnym popołudniem, kiedy to akcje dwóch spółek - nazwijmy je Y i Z - uznawanych za inwestycje wysokiego ryzyka, ale o dużym potencjale, poszły gwałtownie w górę. Dzięki Y mój kapitał wzrósł do 200 000 dolarów, a Z powiększyła tę kwotę o następne 50 000. Były to pełne napięcia, męczące godziny, ale czułem przyjemny dreszcz emocji wywołanych walką w wydawałoby się niesprzyjających okolicznościach i przyptywem adrenaliny, która wędrowała po moim organizmie - niemal tak samo, jak kursy akcji po wykresach.

Mimo odnoszonych sukcesów, a może właśnie z ich powodu, zaczęło mnie ogarniać poczucie niespełnienia. Miałem wrażenie, że mógłbym robić coś więcej, niż tylko obracać akcjami na pepecie, i że taka giełdowa partyzantka na dłuższą metę mi nie wystarczy. Tak naprawdę chciałem wiedzieć, jak to jest handlować od wewnątrz, na najwyższych szczeblach. .. jakie to uczucie kupować miliony akcji naraz...

Zadzwoiłem do Kevina Doyle'a - bankowca inwestycyjnego, z którym zjadłem śniadanie kilka tygodni wcześniej - i umówiłem się z nim na drinka w The Orpheus Room.

Podczas naszego ostatniego spotkania bardzo chciał mi pomóc w założeniu portfela akcji, więc pomyślałem, że może mógłbym to i owo z niego wyciągnąć, uzyskać parę wskazówek, jak wejść do pierwszej ligi.

7 - Dawka geniuszu

97

siebie, odnoszącemu tyle sukcesów, było nie do twarzy z brakiem zdecydowania.

- Eee... być może... - podrapał się po nosie - ..mógłbyś... czemu nie spróbujesz sił w firmie day-tradingowej?

Spytałem go, na czym polegałaby różnica.

- Cóż, nie jesteś odizolowany, siedzisz w sali z grupą innych maklerów i zgodnie z zasadą, że w takim towarzystwie nikt nikomu nie życzy niepowodzenia, wszyscy sobie pomagają i wymieniają się informacjami. Poza tym większość firm daje duże limity wydatków, pięć do dziesięciu razy wyższe od depozytu. Można też nauczyć się lepiej wyczuwać zachowanie rynków - zaczynał odzyskiwać właściwy rytm - bo często jest to tylko kwestią oceny ogólnego klimatu i podjęcia decyzji, czy mu ulec, czy też... sam nie wiem... - wzruszył ramionami - iść pod prąd.

Spytałem go, czy może polecić mi jakąś firmę.

- Słyszałem o kilku dobrych, niektóre nawet mają siedziby na samej Wall Street lub w jej okolicy. Choć moim zdaniem, Eddie, nieźle sobie radzisz w pojedynkę.

Zapisałem nazwy, które mi podał, i podziękowałem mu. Potem napiliśmy się.

- Czwierć miliona w dwa dni. - Gwizdnął na znak podziwu. - Jaką stosujesz strategię?

Miałem przedstawić mu skrócony opis wydarzeń, kiedy za nami wyrosli dwaj faceci w garniturach i jeden z nich klepnął Kevina w plecy.

- Hej, Doyle, stary koniu, co tam u ciebie?

Byli ważniakami z sektora finansowego, którzy pachnieli pieniędzmi, i kiedy Kevin przedstawił im mnie, ale nie dodał, że jestem dyrektorem generalnym czy wiceprezesem takiej czy innej firmy, przestali zwracać na mnie uwagę. Potem, w trakcie rozmowy o wschodzących rynkach Ameryki Łacińskiej i o sztucznie napędzanym wzroście kursów spółek wysokich technologii, widziałem po Keyinie, że boi się, iż lada chwila wrócę do tematu day-tradingu na pececie - i to w obecności tych ludzi. Gdy zacząłem zbierać się do wyjścia, chyba nieco mu ulżyło.

Powiedziałem mu, że zadzwonię za kilka dni i dam znać, jak mi idzie.

Lafayette Trading miała siedzibę na Broad Street, kilka przecznic od gmachu giełdy nowojorskiej. W głównej sali skąpo umeblowanego kompleksu biur na trzecim piętrze znajdowało się dwadzieścia

stołów tworzących duży prostokąt. Na każdym z nich stały terminale i komputery dla co najmniej trzech osób, a z pięćdziesięciu paru maklerów, których

100

zobaczyłem po przyjściu tam po raz pierwszy - wszyscy byli mężczyznami i siedzieli na wygodnych krzesłach - przeszło połowa nie ukończyła jeszcze trzydziestki, a wielu miało na sobie džinsy i czapki baseballówki.

Układ był taki: ty wpłacałeś minimum 25 000 dolarów, a Lafayette udostępniała niezbędny sprzęt i oprogramowanie. W zamian pobierali prowizję w wysokości dwóch centów od każdej akcji będącej przedmiotem danej transakcji. Każdemu, kto tego potrzebował, a potrzebowała tego większość osób, dawali także sporą dźwignię finansową. Zarejestrowałem się u nich, wpłaciłem 200 000 dolarów i załatwiłem sobie limit wydatków dwa i pół raza większy od początkowego wkładu - co faktycznie oznaczało, że na początku tego nowego etapu mojej kariery finansowej miałem do dyspozycji pół miliona dolarów.

Rano musiałem odbyć krótki kurs wprowadzający. Wczesne popołudnie spędziłem na pogawędkach z innymi graczami i rozglądaniu się po sali. Zgodnie z tym, co mówił Kevin, w Lafayette panowała atmosfera przyjaźni i współpracy. Przebywając tam, miało się poczucie, że łączy nas jeden cel, że wszyscy razem walczymy przeciwko wielkim inwestorom z gmachu stojącego parę przecznic dalej. Jednak dość szybko zauważyłem, że i tu potworzyły się frakcje, że jest kilka wybijających się osobowości i że nie zawsze łatwo będzie odczytać układ sił. Oczywiście miałem okazję zaobserwować różne style działania. Na przykład facet siedzący po mojej lewej stronie bez przerwy gorączkowo stukał w klawisze i zdawał się nie korzystać z żadnych materiałów ani analiz.

- Co to za akcje? - spytałem, wskazując symbol widoczny na jego monitorze.

- Nie wiem - wymamrotał, nie odrywając oczu od ekranu - mają dużą rozpiętość cen i idą w górę, a to mi wystarczy.

Inni gracze wydawali się ostrożniejsi i dość skrupulatnie przygotowywali się do każdej transakcji - patrzyli w telewizory przymocowane do ściany, biegali od swoich stołów do terminalu Bloomberga na końcu sali albo ślęczeli nad niekończącymi się wykresami na swoich monitorach. W każdym razie, kiedy uznałem, że oswoiłem się z atmosferą sali, poszedłem pracować na przydzielonym mi stanowisku i zacząłem szukać interesujących akcji. Ale że był to mój pierwszy dzień, nie szarżowałem i kiedy przed kończącym sesję dzwonkiem pozamykałem swoje pozycje, w sumie zarobiłem tylko jakieś 5000 dolarów. Biorąc pod uwagę moje dotychczasowe osiągnięcia, nie była to zawrotna suma, ale niektórzy z innych graczy nie podzielali mojego zdania. Jako nowy, wzbudziłem w sali spore zainteresowanie, żeby nie powiedzieć podejrzliwość. Ktoś spytał mnie dość niepewnie, czy chcę skoczyć z kilkoma chłopakami na drinka

101

Wśród szmeru głosów i stukotu klawiszy wyłoniły się dwa obozy - część graczy zamierzała trzymać akcje, a inni planowali pójść w moje ślady i dokonać krótkiej sprzedaży Medifluku; wśród nich byli Jay i jego sąsiad. Faceci w baseballówkach zachowali akcje, ale powstrzymywali się od komentarzy - przynajmniej głośnych. Ja wciąż garbiłem się nad terminalem, starając się nie zwracać niczyjej uwagi,

choć atmosfera była naelektryzowana i odnosiło się wrażenie, że jestem uzurpatorem, który zapragnął sięgnąć po władzę. Oczywiście nie miałem takiego zamiaru, ale rzecz w tym, że naprawdę byłem pewien, że MEDX to niewypał - i tak też się okazało.

Późnym popołudniem, zgodnie z moimi przewidywaniami, akcje runęły na łeb, na szyję. Zaczęło się około 15.15, ku konsternacji mniej więcej dwóch trzecich osób obecnych w sali. Na zamknięciu sesji kurs MEDX wynosił 17'2, co dawało spadek o 36V2 punktu od najwyższego poziomu dnia, czyli 54 punktów.

Kiedy rozległ się dzwonek kończący sesję, grupka siedząca przy stole naprzeciwko mnie zaczęła wiwatować. Podeszli, by się przedstawić -i uświadomiłem sobie, że wraz z nimi, Jayem, jego sąsiadem i paroma innymi osobami, właśnie powołałem do życia własną klikę. Nie tylko dlatego, że akurat oni skorzystali z mojej sugestii; chyba chodziło też o skalę i rozmach moich poczynań. Sprzedałem 5000 akcji MEDX i zarobiłem przeszło 180 000 dolarów. Większość z nich nie zgarnełaby tyle przez cały rok i byli tym zachwyceni - zobaczyli, że ryzyko popłaca i że na giełdzie można zarobić naprawdę duże pieniądze.

Jeden z trzech facetów w baseballówkach skinął mi głową z drugiego końca sali, co chyba miało oznaczać, że uznaje swoją przegraną. Potem szybko wyszedł ze swoimi kumplami, więc nie miałem okazji powiedzieć mu - wielkodusznie, a może protekcyjnie - żeby się nie przejmował, w końcu to oni pierwsi znaleźli te akcje. Nie dałem się wyciągnąć na drinka, ale jeszcze długo siedziałem w sali, rozmawiałem z innymi maklerami i próbowałem dowiedzieć się jak najwięcej o funkcjonowaniu takich firm day-tradingowych jak ta.

Następnego ranka po przyjeździe do Lafayette znalazłem się w centrum uwagi. Jednocześnie jednak wiedziałem, że jest to dla mnie dzień próby. Byłem pewien, że wszyscy zachodzą w głowę, czy miałem farta, czy też naprawdę wiem, co robię.

Jak się okazało, okres próbny trwał tylko kilka godzin. Wkrótce zainteresowała mnie firma zajmująca się przechowywaniem danych, JKLS,

104

i szepnąłem Jayowi, że zaraz rozpocznę pokrycie akcji po obecnej cenie z natychmiastową krótką sprzedażą. Jay, który niepostrzeżenie objął rolę mojej prawej ręki, przekazał tę informację sąsiadom i po niecałej minucie cała sala obracała JKLS. Tego ranka puściłem w obieg jeszcze kilka innych wskazówek, z których skorzystało parę osób. Jednak wczesnym popołudniem, kiedy kurs JKLS zaczął gwałtownie lecieć w dół i rozległy się wiwaty, po szybkiej analizie innych moich sugestii nawet najwięksi sceptycy przeszli na naszą stronę.

Kiedy o czwartej zabrzmiał dzwonek kończący sesję, sala była moja.

Przez następnych kilka dni „jama” w Lafayette była wypełniona do ostatniego miejsca - przychodzili wszyscy stali klienci, pojawiło się też kilka nowych twarzy. Trzymałem się mojej strategii krótkiej sprzedaży i poprowadziłem natarcie na całą serię przereklamowanych i przewartościowanych spółek. Instynkt nie zawiódł mnie ani razu i czułem dreszcz emocji, kiedy widziałem, że ich kursy zachowują się zgodnie z moimi przewidywaniami. Inni bacznie mnie obserwowali i naturalnie byli ciekawi, jak to

robię, ale ponieważ dobrze wychodzili na moich sugestiach, nikt nie odważył się zapytać mnie o to wprost. No i dobrze, bo nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Wyglądało na to, że kieruje mną instynkt - ale oparty na szerokiej wiedzy, którą dzięki MDT-48 zdobyłem szybciej, niż ktokolwiek w Lafayette mógł się tego domyślić.

To wyjaśnienie też mi jednak nie wystarczało. W kraju istniało wiele doskonale wyposażonych i hojnie finansowanych wydziałów do spraw analiz, z siedzibami czy to w pozbawionych okien pokojach na zapleczu banków inwestycyjnych i domów maklerskich, w których tłoczyli się bladzi, bezimienni „kwanci” ślęczący nad liczbami po świt, czy też w salach pełnych nagrodzonych Noblem matematyków i ekonomistów, w instytucjach takich jak Instytut Santa Fe czy MIT. Jak na kogoś, kto działał w pojedynkę, przetwarzałem wiele informacji, ale mimo to nie miałem szans w rywalizacji z takimi ekipami.

Więc jak to się działo?

Po pierwszej sesji w moim drugim tygodniu w Lafayette spróbowałem przeanalizować rozmaite możliwości - może chodziło o lepsze informacje albo bardziej wyostrzony instynkt, reakcje zachodzące w mózgu czy jakąś tajemniczą synergię między tym, co organiczne, a produktami technologii? Ale kiedy tak siedziałem przy swoim stole, wpatrzony nieobecny wzrokiem w ekran, z tych rozważań powoli wyłoniła się wszechogarniająca wizja ogromu i piękna samej giełdy. Usiłując objąć to umysłem, wkrótce zrozumiałem, że choć podatna na zużyte metafory -

105

nazywana oceanem, nieboskłonem, numerycznym odwzorowaniem boskiej woli - giełda rzeczywiście jest czymś więcej niż tylko rynkiem akcji. Dzięki swojej złożoności i nieustającym zmianom, dwudziestoczegodzinna sieć systemów transakcji była niczym innym, jak szablonem ludzkiej świadomości, a elektroniczny rynek być może stanowił pierwszą nieśmiałą próbę stworzenia zbiorowego układu nerwowego, globalnego mózgu. Co więcej, w tamtej chwili wydawało mi się, że odkryłem interaktywną kombinację kabli, mikrochipów, obwodów, komórek, receptorów i synaps, umożliwiającą uzyskanie zbieżności między umysłem a siecią elektroniczną - byłem podłączony i naładowany, mój umysł był żywym fraktalem, lustrzanym odbiciem większej sprawnie funkcjonującej całości.

Przypomniałem sobie, że tego rodzaju osobiste objawienia (wypisane, powiedzmy, na ciemnym niebie, jak chciałby Nathaniel Hawthorne) są specjalnością ludzi nie zrównoważonych i chorych na umyśle. Ale ze mną musiało być inaczej, wszystkie moje wnioski na pewno dało się udowodnić - w końcu po sześciu dniach w Lafayette miałem za sobą nieprzerwane pasmo sukcesów, a na koncie zgromadziłem ponad milion dolarów.

Tego wieczoru poszedłem z Jayem i kilkoma innymi chłopakami na drinka do knajpy na Fulton Street. Po wypiciu trzech piw, wypaleniu kilku papierosów i wysłuchaniu niezliczonych mądrości dotyczących day-tradingu postanowiłem puścić parę spraw w ruch - uznałem, że nadszedł czas to i owo zmienić. Zdecydowałem się wpłacić zadatek na mieszkanie - większe od tego, w którym mieszkalem do tej pory, i położone w innej dzielnicy, może w Gramercy Park czy nawet Brooklyn Heights. Postanowiłem też wyrzucić wszystkie stare ciuchy, meble i inne rzeczy, których tyle nagromadziło się przez lata, i kupić tylko to, co najbardziej niezbędne. Co najważniejsze, uznałem, że pora dać sobie spokój z day-

tradin-giern i zająć się czymś na większą skalę, może zarządzaniem finansami, obsługą funduszy wysokiego ryzyka czy rynkami globalnymi.

Grałem na giełdzie dopiero nieco ponad tydzień, nie miałem więc pojęcia, od czego zacząć, ale w mieszkaniu, jak na zawołanie, czekała na mnie wiadomość od Kevina Doyle'a.

- Cześć, Eddie, tu Kevin. Słyszę o tobie same ciekawe rzeczy Co ty wyczyniasz? Zadzwoń.

Nawet nie zdejmując kurtki, podniosłem słuchawkę i wykręćłem jego

numer.

106

- Halo.

- No co takiego słyszałeś? Chwila ciszy.

- Chodzi o Lafayette, Eddie. Wszyscy o tobie mówią.

- O mnie?

- Tak. Byłem dziś na lunchu z Carlem i paroma innymi osobami i w czasie rozmowy ktoś wspomniał, że słyszał plotki o pewnej firmie day-tradingowej z Broad Street... i o jakimś spekulancie, który osiąga fenomenalne wyniki. Po lunchu zasięgnąłem języka, no i padło twoje nazwisko.

Uśmiechnąłem się do siebie.

-Tak?

— A to jeszcze nie wszystko. Później znów rozmawiałem z Carlem i powiedziałem mu, co usłyszałem. Bardzo go to zaciekało, a kiedy wspomniałem, że jesteś moim dobrym znajomym, stwierdził, że chciałby cię poznać.

- To świetnie, Kevin. Powiedz mu, że się zgadzam. Kiedy tylko mu będzie pasowało.

- Masz czas jutro wieczorem?

- Jasne.

- Zaraz oddzwonię. Natychmiast się rozłączył.

Podszedłem do kanapy, usiadłem i rozejrzałem się. Wkrótce się stąd wyniosę- najwyższy czas. Wyobraziłem sobie przestronny elegancki salon domu w Brooklyn Heights. Widziałem siebie stojącego przy wykuszonym oknie wychodzącym na jedną z tych wysadzanych drzewami ulic, którymi często spacerowaliśmy z Melissąw drodze z Carroll Gardens do miasta; ba, nawet myśleliśmy o tym, by zamieszkać w tej okolicy. Cran-berry Street. Orange Street. Pineapple Street.

Znów zadzwonił telefon. Wstałem, przeszedłem przez pokój i podniosłem słuchawkę.

- Eddie, tu Kevin. Drink jutro wieczorem? W Orpheus Room?

- Super. O której?

- O ósmej. Ale może spotkajmy się pół godziny wcześniej, uzgodnimy parę spraw.

- Jasne. Odłożyłem słuchawkę.

Kiedy tak stałem z ręką na słuchawce, zaczęło mi się kręcić w głowie i na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami. Potem, nie zdając sobie sprawy z tego, że w ogóle się ruszyłem - nagle zauważyłem, że jestem na

107

drugim końcu pokoju i wyciągam rękę do oparcia kanapy, by złapać nowagę.

row-

Dopiero wtedy zorientowałem się, że od trzech dni nic nie jadłem.

12

Przyszedłem do Orpheus Room przed Kevinem i usiadłem przy barze. I Zamówiłem wodę sodową.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać po tym spotkaniu, ale nie wątpiłem, że będzie ciekawie. Nazwisko Carla Van Loona nie schodziło z łamów gazet i magazynów przez całe lata osiemdziesiąte, było wręcz synonimem tamtej dekady i właściwego jej bezkrytycznego uwielbienia chciwości. Może ostatnimi czasy rzeczywiście stał się cichy i nieśmiały, ale wtedy był zaangażowany w kilka głośnych przedsięwzięć na rynku nieruchomości, w tym w budowę gigantycznego i kontrowersyjnego biurowca na Manhattanie. Uczestniczył też w kilku najszynniejszych wykupach kredytowanych, a także w niezliczonych fuzjach i przejęciach.

W tamtych czasach Van Loon i jego druga żona, dekoratorka wnętrz Gabby De Paganis, nie opuszczali żadnej imprezy charytatywnej i gościli na poświęconych wyższym sferom stronach każdego numeru magazynów „New York”, „Quest” i „Town and Country”. Ja widziałem w nim członka galerii postaci rodem z komiksów - wraz z takimi ludźmi, jak Al Sharpton, Leona Helmsley i John Gotti - kształtujących życie publiczne tamtej epoki, życie, o którym wieści tak łąpczywie chłonęliśmy każdego dnia, by potem pod byle pretekstem toczyć o nich niekończące się dyskusje i rozbiierać je na czynniki pierwsze.

Pamiętam na przykład, jak w 1985 czy 1986 roku, w Cafe Vivaldi w West Yillage Melissa zaczęła snuć wywody na temat projektowanego Van Loon Building. Van Loon od dawna pragnął, by tytuł najwyższego drapacza chmur wrócił do Nowego Jorku, i zaproponował postawienie szklanego pudła na miejscu starego hotelu St Nicholas na Czterdziestej Ósmej. Jego wysokość miała przekraczać czterysta pięćdziesiąt metrów, ale po niezliczonych protestach stanęło na nieco poniżej trzystu.

- O co, do cholery, chodzi z tymi drapaczami chmur? - powiedziała wtedy Melissa, podnosząc filiżankę z kawą. - Jeszcze nam nie przeszło? Drapacze chmur może i kiedyś były najważniejszym symbolem kapitalizmu, a nawet samej Ameryki, czymś, co Ayn Rand, mając na myśli

108

I

Woolworth Building widziany z nowojorskiego portu, nazwała „palcem Bożym” - ale przecież już ich nie potrzebowaliśmy, nie potrzebowaliśmy ludzi pokroju Carla Van Loona próbujących nanieść swoje dziecinne fantazje na panoramę miasta. Tak czy inaczej, mówiła dalej, kwestia wysokości jest nieistotna, stanowi temat zastępczy, ponieważ drapacze chmur to tylko billboardy firm produkujących maszyny do szycia, sieci handlowych, koncernów prasowych i producentów samochodów. A budynek Van Loona niby co miałyby reklamować? Zastrane obligacje śmieciowe? Jezu.

W takich sytuacjach Melissa trzymała filiżankę kawy z rzadko oglądaną elegancją- stosownie oburzona, ale nigdy nie rozlała nawet jednej kropli i zawsze była gotowa w razie potrzeby obrócić wszystko w żart i zacząć śmiać się z samej siebie.

- Eddie.

I zawsze uspokajała się w ten sam sposób - bez względu na to, jak bardzo była poruszona. Lekko pochylała głowę, czasem kręciła filiżanką z resztką kawy, potem nieruchomiała i milkła, a jedwabiste kosmyki delikatnie opadały jej na twarz.

- Eddie?

Odwrociłem się od kontuaru. Zobaczyłem Kevina, który wpatrywał się we mnie.

Podąłem mu rękę.

- Kevin.

- Eddie.

- Jak się masz?

- W porządku.

Kiedy wymienialiśmy uścisk dłoni, próbowałem wymazać sprzed oczu obraz Melissy. Spytałem, czy chce drinka - absoluta z lodem. Przytaknął. Potem przez kilka minut rozmawialiśmy o błahostkach, aż w końcu Kevin zaczął przygotowywać mnie do spotkania z Van Loonem.

- Jest... chimeryczny. Jednego dnia może być twoim najlepszym kumplem, a następnego w ogóle cię nie zauważać, więc niech cię nie zrazi jego dziwne zachowanie.

Skinąłem głową.

- Aha, jeszcze jedno... na pewno nie muszę ci o tym mówić, ale... odpowiadając na jego pytania, nie rób przerw, nie wahaj się, on tego nie znosi.

Znów przytaknąłem.

- Widzisz, siedzi po uszy w całej tej sprawie MCL-Parnassus z Han-kiem Atwoodem i... sam nie wiem.

MCL-Parnassus, jeden z największych koncernów medialnych na świecie, posiadający telewizję kablową, studio filmowe i wydawnictwo, należał do firm, które dziennikarze zajmujący się biznesem nazywali „megalitami”.

- Co to za sprawa z Atwoodem? - spytałem.

-Nie jestem pewien, trzymają wszystko w ścisłej tajemnicy. - Przerwał na chwilę i dodał: - I broń Boże nie pytaj go o to, cokolwiek się będzie działo.

Widziałem po Kevinie, że zastanawia się, czy dobrze postąpił, organizując to spotkanie. Co chwila zerkał na zegarek, jakby gonił go jakiś termin. Mniej więcej za dziesięć ósma dopił resztę wódki, zamówił następną i zapytał:

- No, Eddie, o czym właściwie zamierzasz z nim rozmawiać?

- Nie wiem - odparłem ze wzruszeniem ramion. - Pewnie opowiem mu o moich przygodach w świecie day-tradingu i o akcjach, które kupowałem.

Kevin zdawał się oczekiwać czegoś więcej - ale czego? Nie potrafiłem mu wytłumaczyć, czemu zawdzięczałem swoje sukcesy, mogłem co najwyżej wspomnieć o jakiejś niewytłumaczalnej zdolności, która się we mnie rozwinęła; powiedziałem więc tylko:

- Miałem szczęście, Kevin. To znaczy... nie zrozum mnie źle... pracowałem nad rym, dużo czytam, ale... wszystko ułożyło się po mojej myśli.

Kevinowi takie banały nie mogły wystarczyć - nawet jeśli nie zdobył się na to, by głośno to powiedzieć. Właśnie wtedy zrozumiałem, że we wszystkim, co mówił do tej pory, znać było niepokój, obawę, że jeśli nie dowie się czegoś o mojej strategii i tym samym nie będzie miał nic do zaoferowania Van Loonowi, w końcu będzie musiał oddać mnie w jego ręce - a sam stanie mu się do niczego niepotrzebny.

Nie mogłem jednak nic na to poradzić.

Czułem się dość dobrze. Po tym, jak poprzedniego wieczoru zasnąłem, zjadłem cały talerz makaronu in bianco. Potem wziąłem kilka witamin i preparatów wzmacniających i poszedłem do łóżka. Spałem około sześciu godzin, czyli tyle, a może nawet więcej niż przez cały ostatni miesiąc. Nadal brałem dwie tabletki MDT dziennie, ale teraz czułem się tak rześki i opanowany - no i pewny siebie -jak nigdy dotąd.

Van Loon wszedł do baru dostojnym krokiem, jakby kamera śledziła każdy jego ruch od chwili, gdy wysiadł z limuzyny. Wysoki, szczupły

110

i nieco przygarbiony, nadal prezentował się imponująco. Wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat, był opalony, a nieliczne kosmyki, jakie zostały mu na głowie, miały barwę czystego srebra. Mocno ucisnął mi dłoń, a potem zaprosił nas obu do swojego stałego stolika w kącie.

Nie widziałem, by coś zamawiał, czy choćby wymienił spojrzenia z barmanem, ale parę sekund po tym, jak usiedliśmy - ja z moją wodą sodową, Kevin z absolutem - dostał drinka, który wyglądał jak

idealne martini. Kelner podszedł, postawił kieliszek na stoliku i zniknął, a wszystko to zrobił z dyskrecją, która najwyraźniej była zarezerwowana przez kierownictwo lokalu dla wyjątkowych klientów.

-No więc, Eddie Spinola- spytał Van Loon, patrząc mi prosto w oczy - na czym polega twój sekret?

Czułem, jak Kevin sztywnieje.

- Leki - odparłem bez namysłu - biorę specjalne leki.

Van Loon parsknął śmiechem. Potem wznosił martini w toaście i powiedział:

- Cóż, mam nadzieję, że to stała recepta.

Tym razem ja się zaśmiałem, wziąłem swoją wodę sodową i wypilem jego zdrowie.

Ale na tym się skończyło. Nie drążył tematu. Ku nieskrywanej irytacji Kevina, zaczął mówić o swoim nowym gulfstreamie V, o kłopotach, jakie z nim ma, i o tym, jak musiał czekać szesnaście miesięcy na to cholerstwo. Kierował te wszystkie uwagi bezpośrednio do mnie i odniosłem wrażenie - robił to zbyt ostentacyjnie, by było to przypadkowe - że rozmyślnie ignoruje Kevina. Dlatego przyjąłem za pewnik, że nie wrócimy do tematu mojego „sekretu”. Rozmawialiśmy - właściwie to Van Loon mówił - o innych rzeczach, na przykład o cygarach i o tym, że ostatnio próbował kupić cygarniczkę Kennedy'ego, jak się okazało, bez skutku. Albo o samochodach -jego ostatnim nabytkiem było maserati, za które musiał zabulić prawie „dwie duże stowy”.

Van Loon był arogancki i wulgarny, niemal w pełni odpowiadał wyobrażeniu, jakie wyrobiłem sobie na podstawie jego publicznego ima-ge'u sprzed dekady, ale, o dziwo, polubiłem go. To, jak skupiał się na pieniądzach i różnych ekstrawaganckich sposobach ich wydawania, miało pewien urok. Kevin, w odróżnieniu od niego, zdawał się koncentrować wyłącznie na zarabianiu; przy pierwszej okazji skierował rozmowę na temat giełdy, wykorzystując, że dołączył do nas znajomy Van Loona, dotychczas siedzący przy innym stoliku. Był to Frank Pierce, kolejny weteran lat osiemdziesiątych, który dawniej pracował w Goldman Sachs, a teraz prowadził prywatny fundusz inwestycyjny. Kevin niezbyt subtelnie

111

wspominał o wykorzystywaniu matematyki i zaawansowanego oprogramowania do przechytrzenia rynków. Nie odezwałem się.

Za to Frank Pierce, który był dość pulchny i miał małe świdrujące oczka, powiedział:

- Gówno prawda. Myślisz, że gdyby to było możliwe, ktoś by tego nie zrobił wcześniej? - Rozejrzał się i dodał: - Wszyscy prowadzimy analizę kwantytatywną, wszyscy robimy obliczenia, ale od lat słyszymy o tych innych metodach, niby znanych tylko wtajemniczonym. To bzdura. To tak, jakby próbować zmienić metale nieszlachetne w złoto. Nie da się tego zrobić. Nie da się przechytrzyć rynku, ale zawsze znajdzie się jakiś palant z masą dyplomów i kucykiem, który będzie innego zdania.

- Z całym szacunkiem - Kevin zwracał się do Pierce'a, ale równocześnie próbował wciągnąć mnie do rozmowy - są ludzie, którym udało się przechytrzyć rynek, a przynajmniej tak się wydaje.

-1 niby jak to zrobili?

Kevin zerknął na mnie, ale nie zamierzałem połączyć haczyka. Musiał poradzić sobie sam.

- Cóż - powiedział - kiedyś nie dysponowaliśmy taką technologią jak teraz i nie mieliśmy możliwości przetwarzania tak wielu informacji. Jeśli przeanalizuje się wystarczająco dużo danych, zauważalne stają się pewne prawidłowości, a niektóre z nich mogą pozwolić przewidzieć przyszłe tendencje.

- Gówno prawda - powtórzył Frank Pierce.

To trochę wytrąciło Kevina z rytmu, ale nie dawał za wygraną.

- Dzięki zastosowaniu złożonych systemów i analizy szeregów czasowych można... można zidentyfikować obszary prawdopodobieństwa. Potem łączy się je, by uzyskać mechanizm rozpoznawania prawidłowości... - wyraźnie tracił pewność siebie, ale zabrnął za daleko, by się wycofać - ... a na tej podstawie można sporządzić model przewidywania tendencji rynkowych.

Spojrzał na mnie błagalnie, jakby chciał powiedzieć: „Eddie, proszę cię, czy jestem na właściwym tropie? Czy tak właśnie to robisz?”

- Prawidłowości, też coś - prychnął Pierce. - A myślisz, że my jak się dorobiliśmy? - Wychylił się do przodu i wskazał pulchnym palcem siebie i Van Loona. - No? - Popukał się w prawą skroń i powiedział: -Zro-zu-mie-nie. O to chodziło. Zrozumienie zasad biznesu. Trzeba wiedzieć, kiedy wartość spółki jest przeszacowana, a kiedy niedoszacowana. Że nie możesz się zakładać, jeśli nie stać cię na przegraną.

Van Loon spojrzał na mnie.

112

- Eddie? - spytał tonem gospodarza talk-show.

- Trudno się z tym nie zgodzić - odparłem cicho.

- Ale? - mruknął Pierce. - Tacy ludzie zawsze mają jakieś „ale”.

- Tak - potwierdziłem - jest pewne „ale”. To kwestia szybkości... -nie miałem pojęcia, jaki będzie dalszy ciąg - ...ponieważ, cóż, dziś nie ma już czasu na ocenę sytuacji. Okazje pojawiają się i w mgnieniu oka przepadają. Stoimy u progu ery zdecentralizowanego podejmowania decyzji w sieci przez miliony, a potencjalnie setki milionów indywidualnych inwestorów na całym świecie, ludzi, którzy mają możliwość przenoszenia wielkich sum pieniędzy w czasie krótszym od kichnięcia, bez wzajemnych konsultacji. Dlatego zrozumienie nie odgrywa tu żadnej roli - a jeśli nawet, to nie chodzi o zrozumienie sposobu działania spółek, tylko o znajomość psychologii tłumu.

Pierce machnął ręką.

-1 co, potrafiłbyś mi wyjaśnić, dlaczego rynki przeżywają boom albo upadają? Na przykład, dlaczego akurat dzisiaj? I nie jutro czy wczoraj?

- Nie, nie potrafiłbym. Ale to są zasadne pytania. Dlaczego dane miałyby układać się w przewidywalne prawidłowości? Dlaczego rynki finansowe miałyby mieć jakąkolwiek strukturę? - Urwałem, czekając,

aż ktoś coś powie, a kiedy nikt się nie odezwał, ciągnąłem: - Bo rynki są produktem ludzkiej działalności, a ludzie ulegają ogólnym tendencjom.

Kevin był blady jak ściana.

- A ogólne tendencje, rzecz jasna, na ogół są takie same... po pierwsze, niechęć do ryzyka, i po drugie, trzymanie się reszty stada.

- E tam - zachnął się Pierce.

Ale na tym poprzestał. Mruknął do Van Loona coś, czego nie usłyszałem, po czym spojrzął na zegarek. Kevin wciąż siedział nieruchomo, z oczami wbitymi w dywan, wręcz zdruzgotany. Czyli cały sekret, zdawał się myśleć, tkwi w pieprzonej ludzkiej naturze? Jak mam to obrócić na swoją korzyść?

Tymczasem ja byłem mocno onieśmielony. Właściwie nie zamierzałem nic mówić, ale co miałem zrobić, skoro Van Loon zaprosił mnie do dyskusji? No i się doigrałem. Zacząłem gadać i wyszedłem na przemądrzałego palanta. „Zrozumienie nie gra roli”? Kim jestem, żeby uczyć dwóch miliarderów zarabiania pieniędzy?

Tak czy inaczej, po paru minutach Frank Pierce przeprosił nas i wyszedł, nie żegnając się ani ze mną, ani z Kevinem.

Potem Van Loon pozwolił, by rozmowa zesłała na bardziej ogólne tematy. Dyskutowaliśmy o Meksyku i o tym, jak irracjonalna postawa rządu wpłynie na rynki. W pewnym momencie, wciąż mocno poruszony,

8 - Dawka geniuszu

113

przytapałem się na tym, że wyliczam dane porównawcze dotyczące PKB per capita w latach 1960 i 1995, które musiałem gdzieś przeczytać, ale Van Loon przerwał mi i stwierdził, że jestem zbyt ostry. Nie zgodził się z kilkoma rzeczami, które powiedziałem, i miał rację. Zauważyłem też, że raz czy dwa dziwnie na mnie spojrzął, jakby miał lada chwila wezwać ochronę i kazać wyrzucić mnie za drzwi.

Ale nieco później, kiedy Kevin poszedł do toalety, powiedział: - Najwyższy czas pozbyć się tego błazna. - Wzruszył ramionami. -Nie zrozum mnie źle, Kevin to wspaniały facet. Doskonały negocjator. Ale czasem... Jezu.

Spojrzął na mnie, oczekując potwierdzenia.

Uśmiechnąłem się półgębkiem, niepewny, jak zareagować.

Czyli to stało się znowu; wywołałem u niego tę samą reakcję co u pozostałych - Paula Baxtera, Artiego Meltzera i Kevina Doyle'a - dziwny niepokój połączony z pragnieniem mojego towarzystwa.

- No, Eddie, pij do dna. Mieszkam pięć przecznic stąd. Idziemy do mnie na kolację.

Kiedy wychodziliśmy we trójkę z Orpheus Room, zorientowałem się, że nikt nie zapłacił rachunku. Zaraz jednak coś sobie przypomniałem. Carl Van Loon był właścicielem Orpheus Room, ba, całego

budynku -bezpłciowej stalowo-szklanej konstrukcji na Pięćdziesiątej Czwartej, między Park a Lexington. Pisali o tym przed paroma laty, przy okazji otwarcia lokalu.

Na ulicy Van Loon bezceremonialnie spławił Kevina, mówiąc mu, że zobaczą się rano. Kevin zawahał się, ale powiedział:

- Oczywiście, Carl. Do zobaczenia jutro.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę i obaj odwróciliśmy wzrok, zażenowani. Kevin poszedł, a ja ruszyłem z Van Loonem Pięćdziesiątą Czwartą w stronę Park Avenue. O dziwo, nie czekała na niego żadna limuzyna. Wtedy przypomniało mi się coś jeszcze, artykuł mówiący o zamiłowaniu Van Loona do spacerów, zwłaszcza po swoim „kwartale”, jakby to w jakiś sposób upodabniało go do szarego człowieka.

Weszliśmy do budynku na Park Avenue, w którym mieszkał. Krótka jazda windą z holu do jego apartamentu nie przyniosła żadnych niespo-, dzianek, wszystkie elementy były na miejscu: odźwierny w uniformie, turkusowy marmur, mahoniowe płytki, mosiężne kratki grzejników. Zaskoczyły mnie wprawdzie niewielkie rozmiary kabiny, za to jej wnętrze

114

I

było eleganckie i intymne. Pomyślałem, że dzięki temu samo przebywanie w niej w połączeniu z wrażeniem ruchu - oczywiście w towarzystwie odpowiedniej osoby - wytwarza swego rodzaju erotyczne napięcie. Nie sądziłem, by bogacze wymyślali takie rzeczy na poczekaniu; tego rodzaju dodatkowe korzyści z luksusu były po prostu szczęśliwym skutkiem ubocznym posiadania pieniędzy.

Apartament znajdował się na trzecim piętrze. Ledwie wyszliśmy na korytarz, mój wzrok przykuły marmurowe schody wznoszące się majestatycznie ku następnej kondygnacji. Wysokie sufity były fantazyjnie otynkowane, a wzdłuż ich krawędzi biegnęły fryzy, powoli ściągające spojrzenie ku dołowi, gdzie na ścianach wisały duże obrazy w złożonych ramach.

Jeśli porównać kabinę windy do konfesjonału, to ten apartament był całą katedrą.

Van Loon zaprowadził mnie na drugą stronę korytarza do, jak powiedział, „biblioteki”. Określenie okazało się trafne - było to ciemne pomieszczenie pełne książek, z perskimi dywanami na podłodze, ogromnym marmurowym kominkiem i kilkoma czerwonymi skórzanymi kanapami. Stało w nim też wiele drogich francuskich mebli - stołów z drewna orzechowego, na których normalny człowiek nie ośmieliłby się czegokolwiek postawić, i delikatnych krzesel, na których nie poważyłby się usiąść.

- Cześć, tatusiu.

Van Loon rozejrzał się, lekko zaskoczony. Najwyraźniej nie spodziewał się tu nikogo zastać. Na drugim końcu, ledwie widoczna na tle ściany książek w skórzanych oprawach, stała młoda kobieta trzymająca w rękach otwartą grubą księgę.

- Och! - Van Loon odkaszlnął. - Powiedz panu Spinoli dobry wieczór, kochanie.

- Dobry wieczór, kochanie.

Głos był cichy, ale brzmiała w nim pewność siebie. Van Loon cmoknął na znak dezaprobaty.

- Ginny.

Miałem ochotę powiedzieć: „W porządku, nie mam nic przeciwko, żeby twoja córka tak się do mnie zwracała. To mi się nawet podoba”.

Yirginia Van Loon, dziewiętnastoletnia córka Carla, przyprawiła mnie o drugi tego wieczoru erotyczny dreszczyk. Do niedawna Ginny często gościła na pierwszych stronach brukowców za sprawą swojego uzależnienia od narkotyków i kiepskiego gustu, jeśli chodzi o mężczyzn. Dopiero kiedy ojciec zagroził, że ją wydziedziczy, przestała szaleć. Przynajmniej tak się mówiło.

115

- Słuchaj, Ginny - powiedział Van Loon - muszę przynieść coś z gabinetu, więc może zanim wrócę, zabawisz pana Spinolę rozmową?

- Oczywiście, tatusiu.

Van Loon zwrócił się do mnie:

- Chcę, żebyś rzucił okiem na pewne dokumenty.

Skinąłem głową, nie mając pojęcia, o czym on mówi. Kiedy wyszedł, spojrzałem badawczo na jego córkę.

- Co czytasz? - spytałem, próbując zapomnieć chwilę, kiedy ostatnio zadałem komuś to pytanie.

- Właściwie nic. Sprawdzam coś w jednej z tych książek, których tatuś tyle nakupował, kiedy się tu sprowadził.

Przeszedłem na środek pomieszczenia, by widzieć ją wyraźniej. Miała krótkie, nastroszone jasne włosy i była w tenisówkach, dzinsach i różowym topie bez rękawów, który odsłaniał jej brzuch. W pępku tkwiła mała złota obrączka, która migotała w świetle przy każdym jej ruchu.

- Co sprawdzasz?

Oparła się o szafę z wyćwiczoną niedbałością, ale fakt, że starała się utrzymać w rękach otwartą grubą księgę, nieco popsuł efekt.

- Słowo „krewki”.

- Aha.

— Matka właśnie powiedziała mi, że mam krewki temperament... no i żeby trochę ochłonąć, postanowiłam tu przyjść i zajrzeć do tego słownika. - Podniosła książkę, jakby prezentowała ją w sali sądowej jako dowód. - To dziwne słowo, nie sądzi pan? „Krewki”.

- Znalazłaś je? - Skinąłem głową w stronę słownika.

- Nie, zaintrygowało mnie „kłącze”.

- Krewki, czyli pełen życia, gwałtowny, porywczy - powiedziałem, okrążając największą z czerwonych skórzanych kanap, by znaleźć się bliżej niej.

Ginny Van Loon wpatrywała się we mnie przez sekundę.

- Nieźle, panie Spinola, nieźle - powiedziała, zatraskując słownik z głośnym hukiem. Gdy schowała go na miejsce, spytała: - Nie jest pan biznesowym partnerem tatusia, prawda?

Zastanowiłem się chwilę nad odpowiedzią.

-Nie wiem. Może. Zobaczymy.

Obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów. Nagle zrobiło mi się nieswojo i zacząłem żałować, że nie kupiłem nowego garnituru. Ten nosiłem już od dłuższego czasu i czułem się w nim trochę skrępowany.

- Ale nie jest pan jego stałym współpracownikiem? I nie... - Zawiesiła głos.

116

-Co?

- Chyba nie czuje się pan najlepiej... w takim stroju. Spojrzałem na swój garnitur i usiłowałem znaleźć coś, co mógłbym

o nim powiedzieć. Nic mi nie przyszło do głowy.

- No to co pan robi dla tatusia? Jakie usługi pan świadczy?

- A kto mówi, że świadczę jakieś usługi?

-Carl Van Loon nie ma przyjaciół, panie Spinola, tylko ludzi, którzy dla niego pracują. Co robi pan?

O dziwo, nie zabrzmiało to arogancko ani złośliwie. Jak na dziewiętnastoletnią dziewczynę, była niesamowicie opanowana i coś mi kazało po prostu powiedzieć jej prawdę.

- Jestem spekulantem giełdowym, ostatnio mam niezłe wyniki. Przyszedłem tutaj, jak sądzę, by udzielić twojemu ojcu pewnych... porad.

Uniosła brwi, rozłożyła ręce i dygnęła lekko, jakby chciała powiedzieć: voila.

Uśmiechnąłem się.

Znów oparła się o szafę z książkami i powiedziała:

-Nie lubię giełdy.

- Dlaczego?

- Bo jest okropnie nudna. Dziwne, że wokół niej obraca się życie tylu ludzi.

Teraz to ja uniosłem brwi.

- Ludzie nie mają już dealerów czy psychoanalityków, tylko maklerów - podjęła. - W ćpaniu czy psychoanalizie najważniejszy jest człowiek. To on jest podmiotem, który ma być wymaglowany, odma-glowany czy coś takiego. Ale gra na giełdzie to uleganie potężnemu, bezosobowemu systemowi, który wytwarza chciwość, a potem się nią żywi...

-Ja...

- ...i nie jest to chciwość indywidualna, lecz zbiorowa, wspólna wszystkim, którzy w tym uczestniczą. Był pan kiedyś w Vegas, panie Spinola? Widział pan te wielkie sale z niekończącymi się rzędami automatów do gier? Całe ich hektary? Myślę, że taka właśnie jest współczesna giełda - pełna smutnych, zdesperowanych ludzi, którzy tkwią przy automatach i marzą o wielkiej wygranej.

-Łatwo ci mówić.

- Może i tak, ale to nie znaczy, że tak nie jest.

Kiedy rozmyślałem nad odpowiedzią, drzwi za moimi plecami otworzyły się i do biblioteki wszedł Van Loon. -No i jak, Eddie, nie nudziłeś się?

117

Podszedł dziarskim krokiem do stolika przed jedną z kanap i rzucił na blat grubą teczkę.

- Nie - odparłem i natychmiast odwróciłem się do Ginny. Zastanawiałem się, co powiedzieć. - No to czym się zajmujesz... ostatnio?

- Ostatnio. - Uśmiechnęła się. - Dyplomatycznie pan to ujął. No cóż, ostatnio jestem... jakby to nazwać... na odwyku od sławy?

- No dobrze, skarbie - powiedział Van Loon. - Starczy. Czmychaj stąd. Mamy ważne sprawy do omówienia.

- Czmychaj? - powtórzyła Ginny, unosząc brwi. - To dopiero słowo.

- Hmm... - mruknąłem, udając głęboko zamyślonego - moim zdaniem, jego pochodzenie prawdopodobnie jest nieznanne.

Zastanowiła się nad tym chwilę, po czym, sunąc obok mnie w stronę drzwi, szepnęła głośno:

- Z panem jest podobnie, panie Spinola... kochanie.

- Ginny.

Zerknęła na mnie, ignorując ojca, i wyszła.

Kręcąc głową z dezaprobatą, Van Loon spojrział na drzwi biblioteki, by sprawdzić, czy córka dobrze zamknęła. Wziął teczkę ze stolika i powiedział, że będzie ze mną szczerzy. Słyszał o cyrkowych sztuczkach, które robiłem w Lafayette, i nie zrobiło to na nim szczególnego wrażenia, ale teraz, kiedy miał okazję poznać mnie osobiście i porozmawiać ze mną, był skłonny przyznać, że nieco rozbudziłem jego ciekawość.

Podał mi teczkę.

- Eddie, chcę poznać twoje zdanie na ten temat. Weź to do domu, przestuduj papiery, nie spiesz się. Powiedz mi, czy widzisz tam coś godnego zainteresowania.

Słuchając go, przejrzałem zawartość teczki i zobaczyłem długie fragmenty tekstu pisanego drobnym drukiem, a także niezliczone strony pełne tabel, wykresów i diagramów.

- Nie muszę chyba dodawać, że wszystko to jest ściśle tajne. Skinąłem głową.

Odpowiedział mi tym samym gestem, po czym spytał: -Napijesz się czegoś? Gosposi niestety nie ma, a Gabby... jest w złym humorze, więc na kolację nie ma co liczyć. - Urwał, jakby szukał rozwiązania tego problemu, ale szybko dał za wygraną. - Pieprzyć to - mruknął. - Zjadłem obfity lunch. - Spojrzał na mnie, najwyraźniej czekając na odpowiedź na zadane przed chwilą pytanie. - Może być szkocka.

118

- Oczywiście.

Van Loon podszedł do barku w kącie biblioteki. Nalewając szkocką do szklanek, mówił do mnie przez ramię.

- Nie wiem, coś ty za jeden ani co knujesz, Eddie, ale co do jednego nie mam wątpliwości: nie jesteś z tej branży. Znam wszystkie reguły, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś nie znał żadnej. Rzecz w tym, że to mi się podoba. Widzisz, dzień w dzień mam do czynienia z absolwentami szkół biznesu i nie wiem, skąd to się bierze, ale wszyscy mają takie same miny, zupełnie jakby byli jednocześnie pewni siebie i wystraszeni. Mam już tego dosyć. - Zawiesił głos. - Chcę przez to powiedzieć, że nie obchodzi mnie twoja przeszłość ani nawet to, że być może do tej pory o bankach inwestycyjnych czytałeś tylko na stronach finansowych „New York Tim-sa”. Liczy się to... - odwrócił się ze szklankami w dłoniach i jedną z nich wskazał swój brzuch -.. że masz tu ogień i jeśli do tego jesteś bystry, nic nie może stanąć ci na przeszkodzie.

Podszedł do mnie i podał mi szklankę szkockiej. Wziąłem ją, odkładając teczkę na kanapę. Wzniósł toast, ale w tej chwili zadzwonił telefon.

- Cholera.

Postawił szklankę na stoliku i znów poszedł w kąt biblioteki, gdzie obok barku na antycznym biurku stał telefon. Podniósł słuchawkę.

- Tak? - Przez chwilę milczał. - Uhm. Dobra. Tak. Tak. Dawaj go. Zastonił słuchawkę dłonią, odwrócił się do mnie i powiedział:

- Muszę to odebrać, Eddie. Ale usiądź sobie. Wypij drinka. Uśmiechnąłem się lekko.

- To nie potrwa długo.

Kiedy Van Loon znów się odwrócił i zaczął mówić zniżonym głosem do słuchawki, ja upiłem łyk whisky i usiadłem na kanapie. Byłem zadowolony, że nam przerwano, ale nie wiedziałem, dlaczego - przynajmniej przez pierwszych kilka sekund. Wreszcie zrozumiałem: chciałem mieć trochę czasu na

to, by pomyśleć o Ginny i o jej opinii na temat giełdy, i o tym, że podobnego wyводу spodziewałbym się po Melissie. Miałem wrażenie, że mimo oczywistych różnic obie kobiety coś łączyło - przenikliwa inteligencja, a także sposób mówienia mający siłę rażenia rakiety balistycznej. Na przykład: choć Ginny najczęściej nazywała swego ojca „tatusiem”, to raz powiedziała o nim „Carl Van Loon”, okazując nie tylko wysublimowaną obojętność, ale i przedstawiając go jako człowieka głupiego, próżnego i samotnego. Takiego jak ja.

Tłumaczyłem sobie, że komentarze Ginny można zlekceważyć, składając je na karb taniego i łatwego nihilizmu dobrze wykształconej nastolatki. Ale jeśli tak było, to dlaczego tak mnie poruszyły?

119

Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki małą plastikową saszetkę, otworzyłem ją i wytrząsnąłem na dłoń tabletkę. Upewniwszy się, że Van Loon stoi odwrócony do mnie plecami, wrzuciłem ją do ust i popiłem dużym łykiem whisky.

Potem sięgnąłem po teczkę, otworzyłem na pierwszej stronie i zacząłem czytać.

Akta zawierały informacje o grupie małych i średnich przedsiębiorstw, od sieci handlu detalicznego, poprzez firmy software'owe, aż po spółki zajmujące się lotnictwem, kosmonautyką i biotechnologią. Materiał był treściwy i obszerny. Szczegółowe dane o wszystkich prezesach oraz innych kluczowych pracownikach, a do tego analiza techniczna ruchów cen w ciągu ostatnich pięciu lat. Zacząłem czytać o kształtowaniu się kursów i innych rzeczach, które jeszcze przed kilkoma tygodniami byłyby dla mnie niezrozumiałym bełkotem, skutecznym środkiem usypiającym.

Czego Van Loon ode mnie chciał? Żebym stwierdził oczywisty fakt, że Laraby, teksaska firma zajmująca się przechowywaniem danych, której akcje wzrosły o 20 000% w ciągu pięciu lat, jest dobrą długofalową inwestycją? Czy też, że tego samego nie można powiedzieć o brytyjskiej sieci handlowej Watson's, która właśnie odnotowała największe straty w historii, a której prezes, sir Colin Bird, miał już na koncie podobne „osiągnięcia” w szacownej szkockiej firmie ubezpieczeniowej Islay Mutual? Czy Van Loon naprawdę liczył na to, że ja, niezależny copywriter, doradzę mu, jakie akcje ma kupować, a jakie sprzedawać? Gdzie tam, pomyślałem. Ale skoro nie chodziło o to, to czego ode mnie chciał?

Po piętnastu minutach Van Loon znów zakrył słuchawkę dłonią i powiedział:

- Przepraszam, że to tak długo trwa, Eddie, ale to ważna sprawa.

Pokręciłem głową na znak, by się mną nie przejmował, i podniosłem teczkę, pragnąc pokazać, że mam ciekawe zajęcie. Wrócił do rozmowy, a ja do studiowania dokumentów.

Im dłużej czytałem, tym prostszy, a nawet prostacki wydawał mi się jego zamysł. Poddał mnie próbie. Na razie byłem dla niego tylko bezczelnym neofitą z ogniem w sercu, kimś, kto powinien się przerazić na widok tak wielkiej ilości skondensowanych informacji. Nie mógł wiedzieć, że w moim obecnym stanie przestudiowanie ich nie wymagało najmniejszego wysiłku. Tak czy inaczej, by mieć co robić, postanowiłem podzielić

120

I

spółki na trzy kategorie - niewypały, pewniaki i te, których nie dało się jednoznacznie zakwalifikować.

Po następnych piętnastu minutach Van Loon wreszcie odłożył słuchawkę i sięgnął po swojego drinka. Tak jak wcześniej, wznosił toast i stuknęliśmy się szklankami. Odniosłem wrażenie, że z trudem tłumi uśmiech. Chciałem go spytać, z kim rozmawiał, ale uznałem, że byłoby to niestosowne. Pragnąłem też zadać mu całą masę pytań na temat córki, ale wydawało mi się, że nie jest to odpowiedni moment - nie żeby taki kiedykolwiek miał nadejść.

Zerknął na teczkę leżącą obok mnie.

- No jak, rzuciłeś na to okiem?

- Tak, panie Van Loon. To interesujące.

Wypił jednym haustem większość drinka, postawił szklankę na stoliku i usiadł na drugim końcu kanapy.

- Jakies pierwsze wrażenia?

Przytaknąłem skinieniem głowy, odkaszlnąłem i zacząłem swoją gadkę o eliminowaniu niewypałów i pewniaków. Wyrecytowałem listę czterech czy pięciu firm, które miały najlepsze perspektywy. Szczególnie poleciłem kupno akcji Janeksu, kalifornijskiej spółki z branży biotechnologicznej, nie na podstawie jej dotychczasowych wyników, tylko z uwagi na, jak to wyrzuciłem z siebie jednym tchem, „prężną strategię ochrony rozrastającego się portfela patentów na drodze sądowej”. Zarekomendowałem też akcje francuskiego giganta przemysłu maszynowego BEA, uzasadniając to równie wymownym faktem, że firma pozbywa się wszystkiego oprócz działu produkcji światłowodów. Na poparcie moich słów przytoczyłem stosowne dane i cytaty, między innymi ze stenogramu sprawy sądowej, w której uczestniczył Janex. Van Loon przyglądał mi się z zaciekawieniem i dopiero pod koniec mojego wywodu dotarło do mnie, że musiało go zaintrygować, iż ani razu nie zajrzałem do teczki -wszystko wyrecytowałem z pamięci.

Patrząc na dokumenty, powiedział niemal szeptem:

- Tak. Janex... BEA. Zgadza się.

Widziałem, że nad czymś się zastanawia - ze zmarszczonym czołem obliczał, jaką część tych dokumentów mogłem przeczytać w czasie, jaki zajęła mu rozmowa telefoniczna.

-To... niesamowite.

Wstał i przez chwilę chodził po bibliotece. Było oczywiste, że teraz oblicza coś innego.

- Eddie - powiedział w końcu, zatrzymując się w pół kroku i wskazując telefon na antycznym biurku - właśnie rozmawiałem z Hankiem

121

Atwoodem. Umówiliśmy się na lunch w czwartek. Chcę, żebyś do nas dołączył.

Hank Atwood, prezes MCL-Parnassus, nazywany jednym z „architektów kompleksu rozrywkowo-przemysłowego”. -Ja?

- Tak, Eddie, i co więcej, chcę, żebyś u mnie pracował.

W odpowiedzi zadałem mu pytanie, którego zgodnie z obietnicą daną Kevinowi miałem unikać.

- Co to za sprawa z Atwoodem, panie Van Loon?

Popatrzył mi w oczy, odetchnął głęboko, a potem powiedział, choć z wyraźną niechęcią:

- Negocjujemy przejęcie z Abraxas. - Zawiesił głos. - A właściwie przez Abraxas.

Abraxas był drugim co do wielkości dostawcą Internetu w kraju. Kapitalizacja rynkowa tej istniejącej od trzech lat spółki wynosiła 114 miliardów dolarów, jej zyski jak dotąd były niewielkie, w odróżnieniu od ambicji. W porównaniu z szacownym MCL-Parnassus, który posiadał aktywa liczące nawet około sześćdziesięciu lat, Abraxas był kwilącym niemowlakiem.

- Abraxas wykupuje MCL? - spytałem, z trudem skrywając niedowierzanie.

Niemal niezauważalnie skinął głową.

Otworzył się przede mną cały kalejdoskop możliwości.

- Prowadzimy negocjacje - powiedział - pomagamy im spisać umowę, dograć wszystkie sprawy finansowe i tak dalej. - Zamilkł na chwilę. - Nikt o tym nie wie, Eddie. Ludzie wiedzą, że rozmawiam z Hankiem Atwoodem, ale nie znają powodu. Gdyby to wyszło na jaw, mogłoby mieć duży wpływ na notowania obu spółek, a z umowy byłyby nici... więc...

Spojrzał na mnie i zamiast dokończyć myśl, tylko wzruszył ramionami.

- Proszę się nie obawiać, nikomu nie powiem ani słowa - zapewniłem.

- I zdajesz sobie sprawę, że gdybyś zaczął obracać akcjami którejkolwiek z tych spółek - powiedzmy, jutro w Lafayette - złamałbyś przepisy ustanowione przez Komisję Papierów Wartościowych i Giełd...

Skinąłem głową.

- ... i mógłbyś trafić do więzienia?

- Słuchaj, Carl - powiedziałem, ośmielając się zwrócić do niego po imieniu - możesz mi zaufać.

122

- Wiem, Eddie - odparł. Przerwał na chwilę, by wziąć się w garść, po czym mówił dalej: - To bardzo złożony proces, który właśnie wszedł w najważniejsze stadium. Nie powiedziałbym, że utknęliśmy w martwym punkcie, ale... potrzebujemy kogoś, kto spojrzy na to świeżym okiem.

Poczułem, że serce zaczyna mi mocniej bić.

-Na Czterdziestej Ósmej pracuje dla mnie cała armia ludzi z tytułem MBA, ale problem polega na tym, że znam ich sposób myślenia. Wiem, co powiedzą, zanim jeszcze otworzą usta. Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto jest szybki i nie będzie mi wciskał kitu.

Nie wierzyłem własnym uszom - Carl Van Loon miałby potrzebować kogoś takiego jak ja?

- Daję ci wielką szansę, Eddie, i nie obchodzi mnie... nie obchodzi mnie, kim jesteś... bo mam dobre przecucia. - Wziął szklankę ze stolika i wypił do dna. - Zawsze tak właśnie działałem.

Pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

- To będzie największa fuzja w historii amerykańskiego biznesu. Walcząc z lekkimi mdłościami, odwzajemniłem uśmiech.

-No to jak, panie Spinola, co pan na to? Próbowałem coś wymyślić, ale nadal byłem w szoku.

- Słuchaj, jeśli potrzebujesz trochę czasu do namysłu, nie ma sprawy.

Van Loon pochylił się, wziął moją szklankę. Kiedy szedł w stronę barku, by nalać następnego drinka, czułem, jak przyciąga mnie wielka siła jego entuzjazmu - i nieuniknione, niespodziewane przeznaczenie. Wiedziałem, że nie mogę zrobić nic innego, jak tylko przyjąć jego propozycję.

13

Wyszedłem od Van Loona po mniej więcej godzinie. Kiedy odprowadzał mnie do drzwi, nie natknąłem się na Ginny, ale w tamtej chwili byłem w takiej euforii, że gdybym musiał z nią porozmawiać - czy z kimkolwiek innym - pewnie plótłbym coś bez ładu i składu.

Wieczór był chłodny. Idąc Park Avenue, rozmyślałem o tych kilku ostatnich tygodniach. Był to dla mnie niezwykły okres. Nic mi nie stało na drodze, nie miałem żadnych zahamowań; odkąd skończyłem dwadzieścia

123

lat, nigdy nie patrzyłem w przyszłość z takim optymizmem i - co najważniejsze - bez paraliżującego lęku przed tykającym zegarem. Dzięki MDT--48 przyszłość nie była już dla mnie wyrzutem, zagrożeniem ani cennym kruszcem, którego ubywało z każdym dniem. Do końca następnego tygodnia mogłem tak wiele zdziałać, że wydawało się, iż dzieli mnie od niego cała wieczność.

Na Pięćdziesiątej Siódmej, kiedy czekałem na zielone światło, wezbrało we mnie silne poczucie wdzięczności za to wszystko - choć nie wiedziałem, dla kogo. Towarzyszyło mu ogromne, wręcz fizyczne podniecenie. Po chwili, na środku ulicy, zdarzyło się coś dziwnego - wypełniające mnie uczucia stały się jeszcze intensywniejsze i zakreśliło mi się w głowie. Wyciągnąłem rękę, by się czegoś przytrzymać, ale niczego nie złapałem i musiałem dojsć chwiejnym krokiem aż do ściany po drugiej stronie ulicy.

Kilka osób ominęło mnie szerokim łukiem.

Zamknąłem oczy i próbowałem nabrać tchu, a kiedy otworzyłem je po kilku sekundach - przynajmniej wydawało mi się, że tyle czasu minęło - zeszywniałem z przerażenia. Zauważyłem, że nie jestem już na Pięćdziesiątej Siódmej, tylko przecnicę dalej, na rogu Pięćdziesiątej Szóstej.

Powtórzyło się to samo, co spotkało mnie poprzedniego wieczoru w moim mieszkaniu. Przeniosłem się w inne miejsce, nie zauważając, że w ogóle się ruszyłem. Zupełnie jakbym miał chwilowy zanik pamięci - jakby czas nagle przeskoczył naprzód niczym wadliwa płyta kompaktowa.

Poprzedniego wieczoru zdarzyło się to, bo długo nie miałem nic w ustach - byłem zajęty, rozkojarzony, zapomniałem o jedzeniu. A przynajmniej tak sobie to wytłumaczyłem.

Od tamtej pory nic nie jadłem, więc może na tym polegał problem. Choć byłem nieco zaniepokojony, nie chciałem za długo rozpamiętywać tego, co się stało. Powoli poszedłem Pięćdziesiątą Szóstą w stronę Le-xington, wypatrując restauracji.

Znalazłem bar na Czterdziestej Dziewiątej i usiadłem w boksie przy oknie.

- Co podać, złotko?

Zamówiłem krwisty befsztyk z polędwicy, frytki i surówkę.

- A do picia? Kawę.

124

Bar świecił pustkami. Jedynymi klientami byli facet przy kontuarze, para w sąsiednim boksie i zajęta malowaniem ust starsza pani w następnym.

Kiedy kelnerka przyniosła kawę, wypilem kilka łyków i próbowałem się odprężyć. Potem postanowiłem skupić się na spotkaniu z Van Loonem. Zauważyłem, że na myśl o nim budziły się we mnie mieszane uczucia.

Z jednej strony, zaczynałem mieć lekkie obawy co do przyjęcia jego oferty - oprócz zagwarantowanej minimalnej pensji miałem dostać opcje na zakup akcji, ale główną część moich zarobków miały stanowić prowizje. Ich źródłem miały być udane transakcje, które zarekomenduję, w których zawarciu będę pośredniczył bądź - posługując się zawiłą składnią odzwierciedlającą mój sposób myślenia- na których sfinalizowanie będę miał jakiś wpływ, jak w przypadku umowy między MCL a Abraxasem. Zadałem sobie jednak pytanie: na jakiej podstawie Van Loon zaproponował mi tak korzystny układ? Z uwagi na nieuzasadnione przekonanie, że mam choćby blade pojęcie, jak „spisywać” poważne umowy czy „dogrywać sprawy finansowe”? Wykluczone. Van Loon domyślał się, że jestem krętaczem, więc nie powinien wiele się po mnie spodziewać. Na co w takim razie liczył? I czy uda mi się spełnić te oczekiwania?

Kelnerka przyniosła befsztyk z frytkami.

- Smacznego.

- Dzięki.

Z drugiej strony, byłem w stu procentach pewien, że łatwo owinę sobie Hanka Atwooda wokół palca. W artykułach o nim roiło się od mętnych określeń typu „wizja”, „oddanie”, „motywacja”, więc wydawało mi się, że bez trudu podziałam na niego tak, jak na wszystkich wokół. Znalazłbym się wtedy w uprzywilejowanej pozycji, ponieważ jako nowy prezes MCL-Abraxas, Hank Atwood nie tylko będzie cieszył się poważaniem prezydenta i innych światowych przywódców, ale i sam stanie się jednym z nich. Mocarstwa oparte na potędze militarnej były przeżytkiem. We współczesnym świecie liczyła się tylko „hiperpotęga”, zelektronizowana globalna anglojęzyczna kultura rozrywkowa. To ona niepodzielnie władała sercami, umysłami i portfelami kolejnych pokoleń młodych ludzi - a Hank Atwood, z którym wkrótce się zaprzyjaźnię, miał stanąć na jej czele.

Nagle jednak, bez żadnego ostrzeżenia, znów zaczęła, dręczyć mnie myśl, że Carl Van Loon przejrzy na oczy i wycofa swoją ofertę.

Co wtedy stanie się ze mną?

Podeszła kelnerka i przyniosła dzbanek z kawą.

Skinąłem głową. Napełniła filiżankę.

- Co się stało, złotko? Befszytk nie smakuje?

125

Spojrzałem na talerz. Prawie nie tknąłem jedzenia.

- Nie, nie, wszystko w porządku - powiedziałem, podnosząc na nią oczy. Była tęgą czterdziestoparoletnią kobietą o dużych oczach i bujnych włosach. - Trochę się martwię o przyszłość, to wszystko.

- O przyszłość? - Wybuchnęła głośnym śmiechem i odeszła, trzymając dzbanek kawy w górze. - Nie ty jeden, złotko, nie ty jeden.

Kiedy wróciłem do domu, na automatycznej sekretarce migało czerwone światełko. Wcisnąłem guzik „play” i zacząłem. Nagrało się siedem wiadomości - pięć czy sześć więcej niż w ciągu przeciętnego wieczoru.

Usiadłem na skraju kanapy i wbiłem wzrok w aparat.

- Eddie, tu Jay. Chciałem ci tylko powiedzieć... mam nadzieję, że się na mnie nie wkurzysz... ale rozmawiałem dziś z dziennikarką z „Post” i dałem jej twój numer. Słyszała o tobie i chce napisać artykuł, więc... przepraszam, powinienem cię spytać o zgodę, ale... w każdym razie... do jutra.

Klik.

- Tu Kevin. - Długa przerwa. - No i jak było na kolacji? O czym rozmawialiście? Zadzwoń, jak wrócisz. - Kolejna długa przerwa, po czym odłożył słuchawkę.

Klik.

- Eddie, mówi twój ojciec. Co u ciebie? Może mi podpowiesz, jakie akcje kupić? (Śmiech). Słuchaj, w przyszłym miesiącu jadę na Florydę z Szypułami. Zadzwoń. Nie cierpię tych cholernych automatów.

Klik.

- Panie Spinola, mówi Mary Stern z „New York Post”. Dostałam pański numer od Jaya Zollo z Lafayette Trading. Chciałabym z panem porozmawiać, możliwie najszybciej. Zadzwonię później albo rano. Dziękuję.

Klik. Przerwa.

- A ty czego nie dzwonisz? - Cholera, zapomniałem o Gienna-diju. - Mam pomysły na ten twój scenariusz.

Klik.

- To znowu ja, Kevin. Palant jesteś, Spinola, wiesz? -Mówił bełkotliwym głosem.-Za kogo ty się, kutasie, uważasz? Za zasranego Mikę'a Ovitza? Czekaj, powiem ci coś o ludziach... -

126

W tym momencie rozległ się stłumiony dźwięk, jakby coś się przewróciło. Potem usłyszałem dochodzące z oddali „o cholera” i połączenie zostało przerwane. Klik.

- Wiesz co? Pieprz się. Pieprzę cię, pieprzę twoją matkę, pieprzę twoją siostrę. Klik. I to wszystko. Koniec wiadomości.

Wstałem z kanapy, poszedłem do sypialni i zdjąłem garnitur.

W sprawie Kevina nie mogłem nic zrobić. Musiał zostać moją pierwszą ofiarą. Jayem Zollo, Mary Stern, Giennadijem i moim starym postanowiłem zająć się rano.

Poszedłem do łazienki i wziąłem gorący prysznic. Nie zamierzałem tracić czasu na myślenie o duperelach. Kiedy skończyłem się myć, włożyłem bokserki i T-shirt. Usiadłem za biurkiem, tyknąłem następne MDT i zacząłem robić notatki.

W słabo oświetlonej bibliotece apartamentu na Park Avenue Van Loon nakreślił mi sedno problemu. Jak należało się spodziewać, chodziło o brak zgody stron w kwestii wyceny. Obecny kurs MCL wynosił 26 dolarów za akcję, ale od Abraxas żądali 40 dolarów - co dawało 54-procentową premię, znacznie wyższą od przeciętnej w transakcjach tego typu. Van Loon musiał znaleźć sposób, by zredukować cenę, jakiej żądała MCL, bądź przekonująco uzasadnić jej wysokość przedstawicielom Abraxasa.

Powiedział, że rano prześle mi pocztą kurierską jakieś materiały, ważne dokumenty, na które musiałem rzucić okiem przed czwartkowym lunchem z Hankiem Atwoodem. Postanowiłem, że zanim dostanę te „ważne dokumenty”, sam trochę się rozejrzę.

Wszedłem do Internetu i odwiedziłem setki stron dotyczących finansów spółek. Poznałem podstawy formułowania umów o przejęcie i przeanalizowałem kilkadziesiąt przykładów. Przez resztę nocy wędrowałem szlakiem kolejnych linków, w pewnym momencie zacząłem nawet studiować skomplikowane matematyczne wzory do ustalania wartości opcji na zakup akcji.

O piątej rano zrobiłem sobie przerwę i pooglądałem telewizję - powtórki Star Treka i Ironside.

Około dziewiątej kurier przyniósł materiały obiecane przez Van Loo-na. Była to kolejna gruba teczka, zawierająca roczne i kwartalne raporty, oceny analityków, wewnętrzne kalkulacje kosztów i plany operacyjne.

127

Poświęciłem cały dzień na przebrnięcie przez to wszystko i późnym popołudniem uznałem, że teraz już będzie z górki. Chciałem, by lunch z Han-kiem Atwoodem odbył się teraz, a nie za dwadzieścia godzin, ale ponieważ przyswoiłem już tyle informacji, ile potrzebowałem, doszedłem do wniosku, że zasłużyłem na trochę relaksu.

Próbowałem się przespać, ale nie mogłem się odprężyć - nawet na tyle, by się zdrzemnąć na kilka minut. Telewizji też miałem już dosyć, więc w końcu postanowiłem pójść gdzieś, wypić parę drinków i się wyluzować.

Przed wyjściem z mieszkania zmusiłem się do tego, by łyknąć garść preparatów witaminowych i zjeść parę owoców. Zadzwoiłem też do Jaya Zollo i Mary Stern, którzy próbowali mnie złapać przez cały dzień. Powiedziałem wyraźnie zaniepokojonemu Jayowi, że źle się czuję i dziś nie przyjdę. Mary Stern wyjaśniłem, że nie chcę z nią rozmawiać, nie obchodzi mnie, kim jest, i że ma przestać zawracać mi głowę. Nie zadzwoniłem do Giennadija ani do starego.

Schodząc na dół, obliczyłem, że nie zmrzyłem oka już od prawie czterdziestu godzin, a w ciągu poprzednich trzech dób w sumie spałem nie więcej niż sześć. Choć tego nie czułem ani nie było tego po mnie widać, zdawałem sobie sprawę, że powinienem być kompletnie wyczerpany.

Był wczesny wieczór i panował spory ruch, jak tamtego pamiętnego dnia po spotkaniu w koktajlbarze na Szóstej Alei. Nie zamówiłem więc taksówki, tylko szedłem pieszo - a właściwie płynąłem - ulicami z niejasnym poczuciem, że jestem w rzeczywistości wirtualnej, którą cechowały ostre kontrasty barw i lekko zaburzone postrzeganie głębi. Ilekroć skręcałem za róg, moje ruchy wydawały się automatyczne, sztywne i sterowane z zewnątrz, dlatego po jakichś dwudziestu pięciu minutach, kiedy nagle odbiłem w bok i wszedłem do baru w Tribeca o nazwie Kongo, poczułem się, jakbym trafił na kolejny poziom jakiejś rozbudowanej gry komputerowej o niezwykle realistycznej grafice - długi drewniany kontuar po lewej stronie, wiklinowe stołki, antresola z balustradą i wielkie rośliny w doniczkach, sięgające sufitu.

Usiadłem przy kontuarze i zamówiłem dżin z tonikiem.

Nie było dużego tłoku, choć ten stan rzeczy pewnie miał się wkrótce zmienić. Po mojej lewej stronie na stołkach siedziały dwie kobiety, odwrócone od kontuaru, a wokół nich stało trzech mężczyzn. Dwaj bez przerwy mówili, a reszta towarzystwa słuchała, sącząc drinki i paląc papiero-

128

sy. Tematem dyskusji była NBA, Michael Jordan i wielkie dochody, jakie zawdzięczała mu cała koszykówka. Nie wiem, kiedy dokładnie czas znów zaczął przeskakiwać naprzód jak uszkodzony kompakt, ale nie miałem nad tym żadnej kontroli i mogłem tylko biernie obserwować każdy przebieg świadomości, jakby był on - wraz z większą, nieznaną całością - czymś, co spotyka kogoś innego, nie

mnie. Pierwszy przeskok zdarzył się nagle, w chwili, kiedy sięgnąłem po drinka. Ledwie dotknąłem zimnej, wilgotnej szklanki, niespodziewanie, nie robiąc świadomie żadnego ruchu, znalazłem się po drugiej stronie grupy, blisko jednej z kobiet -trzy-dziesięcioletniej brunetki w krótkiej zielonej spódnicy, niezbyt szczupłej, o charakterystycznych niebieskich oczach... moja lewa dłoń krążyła gdzieś w pobliżu jej prawego uda... .. i byłem w połowie zdania...

- .. .no tak, ale nie zapominajcie, że ESPN powstał w siedemdziesiątym dziewiątym roku, i to za dziesięć milionów Getty Oil...

-A co to ma współ...

- Wszystko. To zmieniło wszystko. Dzięki temu śmiałemu przedsięwzięciu koszykarze z uniwersytetów mogli zdobyć sławę z dnia na dzień...

Przez ułamek sekundy widziałem, że jeden z mężczyzn - puciołowaty facet w jedwabnym garniturze - wpija się we mnie wściekłym wzrokiem. Był spięty, spocony, a jego oczy co chwila wędrowały do mojej lewej dłoni, ale wtedy... cyk, cyk, cyk... barman stał przede mną, wymachiwał rękami, zasłaniał mi pole widzenia. Wyglądał na Irlandczyka i miał zmęczone oczy mówiące „proooszę, dość już tego”. Tymczasem za jego plecami - częściowo zasłonięty - puciołowaty facet w jedwabnym garniturze próbował zatamować dłońią krwawienie z nosa...

-Pieprz się, koleś...

- To ty się pieprz...

Kiedy chwiejnym krokiem odszedłem od barmana i wytoczyłem się na ulicę, chłodne wieczorne powietrze musnęło włoski na moim karku. W drzwiach stała kobieta w krótkiej zielonej spódnicy i kogoś odpychała. Powiedziała coś, czego nie usłyszałem, szybko ominęła barmana, unikając jego wyciągniętych rąk, i już pół sekundy później - nie wiadomo, czemu - szła ze mną pod rękę, kilka przecznic dalej.

A potem byliśmy razem w kabinie, w toalecie nocnego klubu albo baru, a ja odsuwałem się od tej kobiety, wychodziłem z niej - jej nogi były rozłożone na tle chromu, białej porcelany i czarnych kafelków... rozdarta zielona spódnica zwisała z deski klozetowej, bluzka była rozpięta, między piersiami błyszczały krople potu. Kiedy oparłem się o drzwi,

9 - Dawka geniuszu

129

pospiesznie zapinając rozporek, ona nie ruszyła się z miejsca, tylko rytmicznie kiwała głową z boku na bok, nie otwierając oczu. W tle słychać było jakąś pulsującą muzykę, szum suszarek do rąk, podniesione głosy i szaleńczy śmiech, z sąsiedniej kabiny dochodziły odgłosy - takie miałem wrażenie - zapalania zapalniczek i głębokich wdechów...

W tej chwili zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem sekundę później, szedłem przez zatłoczony parkiet, rozpychając się łokciami i warcząc na ludzi. Po kilku minutach znów byłem na ulicy, przedzierając się przez tłum i lawirowałem wśród samochodów. Potem, zdaje się, wsiadłem do żółtej taksówki, zatopiłem się w tanim plastikowym obiciu tylnego siedzenia i patrzyłem przez szybę na

kiczowate smugi neonów, które rozciągały miasto to w jedną, to w drugą stronę, jak nitki kolorowej gumy do żucia. Przypominam sobie też, że bolała mnie prawa ręka, i to mocno, od ciosu zadanego temu gościowi z Konga - nawiasem mówiąc, nie mogłem uwierzyć, że zrobiłem coś takiego. Tak czy inaczej, znalazłem się w holu restauracji na Upper West Side - lokalu o nazwie Ak-cjum - i bezceremonialnie włączyłem się do rozmowy z obcymi ludźmi, tym razem byli to miejscowi bywalcy galerii sztuki. Podałem się za kolekcjonera i przedstawiłem jako Thomas Cole. Tak jak do tej pory, ciągle zdawało mi się, że zaczynam zdanie od środka...

- . . .i już w 1804 Szlachetny Dzikus stał się Demonicznym Indianinem, widać to na przykładzie Zabójstwa Jane McCrea Yanderlyna, naprężone mięśnie, wzniesiony tomahawk potwora gotowy do rozłupania kobiecie głowy... - Sam byłem zaskoczony tym, co mówię, ale nie mogłem wcisnąć pauzy, musiałem to znosić i biernie obserwować. A potem znów było cyk, cyk, cyk i nagle siedzieliśmy przy stole, i jedliśmy kolację.

Po mojej lewej stronie był sztywny facet ze szpakowatą brodą, ubrany w artystycznie wymiętą płócienną kurtkę, pewnie krytyk sztuki, a po prawej kobieta obcięta na pazia, której przy każdym ruchu wystawały kości. Naprzeciwko mnie siedział potężnie zbudowany Latynos w garniturze, gęba mu się nie zamykała. Mówił po angielsku, ale ciągle powtarzał, że norteamericano to, norteamericano tamto, i to dość lekceważącym tonem. Po kilku chwilach zdałem sobie sprawę, że człowiekiem tym jest Rodolfo Alvarez, znany meksykański malarz, który niedawno przeprowadził się na Manhattan i podjął się odtworzenia na podstawie zapisków zniszczonego malowidła ściennego Diego Rivery, które w 1933 roku miało trafić do głównego holu RCA Building.

Człowiek na rozstajach dróg, z nadzieją i optymizmem oczekujący wyboru lepszej przyszłości.

130

Po jego lewej ręce siedziała piękna ciemnowłosa kobieta w czarnej sukni. Była to zmysłowa Donatella, jego żona. Czytałem o nich w „Yaniry Fair”. Co ja, do cholery, robiłem w tym towarzystwie?

- Cóż za ironia - mówił szpakowaty - „wybór” lepszej przyszłości.

- A co w tym ironicznego? - usłyszałem, jak pytam, a potem wzdycham ciężko. - Jeśli nie ty wybierasz swoją przyszłość, to kto zrobi to za ciebie?

- No cóż - powiedziała Donatella Alvarez, uśmiechając się, i to do mnie - typowe północnoamerykańskie myślenie, prawda, panie Cole?

- Słucham? - spytałem, lekko zbity z tropu.

- Chodzi mi o czas - odparła ze spokojem. - Dla was to linia prosta. Oglądacie się na przeszłość i możecie ją ignorować, jeśli chcecie. Patrzenie ku przyszłości i, jeśli uznacie to za konieczne, możecie ją ulepszyć siłą woli. Możecie postanowić, że będziecie doskonali...

Wciąż się uśmiechała, a ja wydobyłem z siebie tylko:

- No i co?

- Dla nas, w Meksyku - powiedziała bardzo powoli, jakby tłumaczyła coś małemu dziecku - przeszłość, teraźniejszość i przyszłość... współistnieją.

Wpatrywałem się w nią, ale nie minęło kilka sekund, a już była pogrążona w dyskusji z kimś innym.

Od tej chwili rzeczywistość stawała się coraz bardziej rwana, chaotyczna. Pamiętam niewiele - głównie jakieś silne doznania zmysłowe, na przykład dziwny kolor i wygląd mały w winie... kłęby gęstego dymu z cygar, duże, lśniące kolorowe plamy. Mam wrażenie, że widziałem setki tubek farb i pędzli ułożonych równo na drewnianej podłodze, i kilkanaście płócien, niektóre były zwinięte, inne, oprawione w ramy, leżały jedno na drugim.

Wkrótce malowane postacie, jaskrawe i rozdęte, zaczęły mieszać się z prawdziwymi ludźmi w przerażającym kalejdoskopie i zauważyłem, że wyciągam rękę w poszukiwaniu oparcia i tonę w głębokich, czystych jeziorach oczu Donatelli Alvarez, stojącej na drugim końcu zatłoczonego poddasza...

A zaraz potem następna migawka... pusty korytarz hotelowy... wcześniej byłem w jakimś pokoju, na pewno, ale nie pamiętałem, w czym, ani co się w nim zdarzyło, ani jak tam w ogóle trafiłem. Kolejny błysk i nie byłem już na korytarzu hotelowym, tylko szedłem przez most Brooklyń-ski, szybko, w równym rytmie. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że rytm ten wyznaczały ruchy lin nośnych migoczących w geometrycznych deseniach na tle rozjaśniającego się nieba.

131

Zatrzymałem się i odwróciłem.

Spojrzałem na znajomy pocztówkowy widok centrum Manhattanu, świadom, że nie potrafię dokładnie odtworzyć ostatnich ośmiu godzin mojego życia, ale że przynajmniej jestem już w pełni trzeźwy, czujny, zmarznięty i obolały. Szybko uznałem, że powód, dla którego wybrałem się do Brooklynu, na pewno stracił na ważności, zaginał w skamieniałej konfiguracji energii, której nie da się wskrzesić. Dlatego ruszyłem z powrotem w stronę centrum i poszedłem - a właściwie, jak się okazało, pokuśtykałem - do mojego mieszkania na Dziesiątej.

14

Mówię, że pokuśtykałem, bo najwyraźniej w którymś momencie skręciłem sobie lewą kostkę. A kiedy rozebrałem się, by wziąć prysznic, zauważyłem, że jestem cały w sińcach. To wyjaśniało, dlaczego byłem taki obolały - przynajmniej częściowo - ale oprócz tych sinych placków na mojej piersi i żebrach zauważyłem coś jeszcze... coś, co wyglądało jak ślad po przypaleniu papierosem na prawym przedramieniu. Dotknąłem małej czerwonej plamki, nacisnąłem ją, drgnąłem z bólu i powoli powiodłem palcem po skórze wokół niej - a robiąc to, czułem głęboki niepokój, narastające przerażenie ściskające mnie jak kleszcze w splocie słonecznym.

Jednak przewyciężyłem strach, bo nie chciałem myśleć ani o tym, co mogło się zdarzyć w jakimś pokoju hotelowym, ani o czymkolwiek innym. Za kilka godzin miałem spotkanie z Carlem Van Loonem i Han-kiem Atwoodem i tym, czego potrzebowałem najbardziej - a na pewno bardziej od paralizującego ataku paniki - było doprowadzenie się do porządku.

I koncentracja.

Wziąłem więc dwie tabletki, ogoliłem się, ubrałem i zacząłem przeglądać notatki, które zrobiłem poprzedniego dnia.

Umówiłem się z Van Loonem, że przyjdę do jego biura na Czterdziestej Ósmej około dziesiątej rano. Mieliśmy omówić sytuację, porównać nasze wnioski i być może opracować wstępny plan działania. Potem pójdziemy na lunch z Hankiem Atwoodem.

Jadąc taksówką na Czterdziątą Ósmą, próbowałem skupić się na zawitych sprawach finansowych, ale co chwila powracały niepokojące

132

myśli o poprzedniej nocy i o tym, do jak wielkiej lekkomyślności jestem zdolny.

Ośmiogodzinny zanik pamięci.

Czy nie był to znak ostrzegawczy?

Wtedy jednak przypominałem sobie, jak kiedyś, wiele lat temu, wymiotowałem w łazience - dosłownie rzygałem krwią do umywalki - po czym od razu wróciłem do salonu, do małego stosiku towaru na środku stołu... i do papierosów, wódki i elastycznej, płynnej i pozbawionej wątku rozmowy...

A potem - po dwudziestu minutach - wszystko zaczynało się od nowa.

I tak w kółko.

Czyli... najwyraźniej nie był to znak ostrzegawczy.

Na Czterdziestej Siódmej wysiadłem i przecnicę dzielącą mnie od Van Loon Building przeszedłem piechotą. Kiedy wchodziłem do holu głównego, moje utykanie było już prawie niezauważalne. Osobista asystentka Van Loona przywitała mnie i zaprowadziła do dużego kompleksu biur na sześćdziesiątym pierwszym piętrze. Zauważyłem, że ogólny wystrój budynku - na korytarzach i w ogromnej recepcji - cechowała perfekcyjna, choć przyprawiająca o lekki zawrót głowy mieszanka tradycji z nowoczesnością, przepychu z oszczędnością- imponująca, doskonała synteza mahoni, kości słoniowej, marmuru, stali, chromu i szkła. Dzięki temu firma robiła wrażenie dostojnej, szacownej instytucji i sprawnie zorganizowanego, trzymającego rękę na pulsie przedsiębiorstwa, zatrudniającego głównie, muszę przyznać, ludzi o jakieś piętnaście lat młodszych ode mnie. Mimo to miałem silne uczucie, że tu nic nie jest poza moim zasięgiem, że struktura takiej organizacji jest delikatna i cienka jak pajęczna sieć i ugnie się pod najbliższym naciskiem. Wystarczy wyciągnąć rękę.

Kiedy jednak usiadłem w recepcji, pod wielkim logo firmy Van Loon & Associates, znów zmienił mi się nastrój i opadły mnie wątpliwości.

Jak ja tu trafiłem?

Czemu pracowałem w prywatnym banku inwestycyjnym?

Dlaczego miałem na sobie garnitur?

Kim byłem?

Nawet teraz nie jestem pewien, czy znam odpowiedzi na te pytania. Przed kilkoma minutami - w łazience Northwiew Motor Lodge - przy wtórze przeszywającego ściany i czaszkę buczenia i grzechotu

maszyny do lodu gapiłem się w niewielkie lustro nad poplamioną umywalką, wypatrując choćby najmniejszego śladu tego człowieka, który zaczął się kształtować ze sztucznie wywołanych chemicznych impulsów i kontrimpulsów,

133

z tego neodpartego ataku aktywności. Szukałem wskazówek co do tego, kim mógłbym się stać - grubą rybą, niszczycielem czy też duchowym spadkobiercą Jaya Goulda - ale w swoim odbiciu nie zobaczyłem niczego szczególnego, widziałem tylko siebie... znajomą, tysiące razy goloną głowę.

Czekałem w recepcji prawie pół godziny, wpatrując się w obraz, który uznałem za oryginalnego Goyę, wiszący na ścianie naprzeciwko mnie. Recepcjonistka była niezwykle miła i od czasu do czasu posyłała mi uśmiechy. Wkrótce zjawił się Van Loon. Podszedł do mnie z radosną miną, klepnął mnie w plecy i zaprosił do swojego biura, które było wielkości mniej więcej połowy Rhode Island.

- Przepraszam za spóźnienie, Eddie, ale byłem za granicą. Przeglądając jakieś dokumenty leżące na biurku, wyjaśnił, że przyleciał prosto z Tokio swoim nowym gulfstreamem V.

- Od wtorku zdążyłeś polecieć do Tokio i wrócić? - spytałem. Skinął głową i stwierdził, że skoro czekał szesnaście miesięcy na

nowy samolot, to musiał sprawdzić, czy wart był tych 37 milionów dolarów plus drobne. Po chwili dodał, że spóźnił się nie z winy samolotu, tylko przez korki na Manhattanie. Miałem wrażenie, że bardzo mu zależy na tym, bym to zrozumiał.

Kiwnąłem więc głową, by pokazać, że rozumiem.

- No i jak, Eddie - usiadł za biurkiem i wskazał mi fotel - miałeś okazję rzucić okiem na te dokumenty?

- Tak, oczywiście. -No i?

- Były interesujące. -No i?

- Nie sądzę, żebyś mógł mieć kłopoty z uzasadnieniem ceny żądanej przez MCL - zacząłem, wierząc się na fotelu. Nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony.

- Dlaczego?

- Bo w umowę wplecione są pewne bardzo istotne opcje, kwestie strategiczne, których nie widać na pierwszy rzut oka.

- Na przykład?

-Największe korzyści może przynieść rozbudowa infrastruktury szerokopasmowej, która jest Abraxasowi bardzo potrzebna...

- Dlaczego?

-Żeby mógł bronić się przed agresywną konkurencją, jakimś innym portalem, który mógłby wprowadzić możliwość szybszego ładowania i odtwarzania plików i tak dalej.

Kiedy mówiłem - niemal półprzytomny z wyczerpania - docierało do mnie, jak wielka przepaść dzieli informację od wiedzy, ogromną liczbę danych, które przyswoiłem przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, od ułożenia ich w spójny wywód.

- Rzecz w tym - ciągnąłem - że rozbudowa szerokopasmowego dostępu do Internetu jest kosztowna i bardzo ryzykowna, ale ponieważ Abraxas już ma jeden z wiodących portali, tak naprawdę wystarczy mu, by przedstawił wiarygodną groźbę wprowadzenia własnych szerokopasmowych łączy.

Van Loon wolno pokiwał głową.

- Wykupując MCL, Abraxas uzyskuje tę wiarygodność, bez konieczności dokończenia rozbudowy, a przynajmniej nie od razu.

- Jak to?

- MCL jest właścicielem Cablepleksu, zgadza się? Dzięki temu jest obecny w 25 milionach domów, więc choć być może będzie musiał unowocześnić swoje systemy, ma doskonałą pozycję wyjściową. Tymczasem Abraxas może zmniejszyć wydatki MCL na rozbudowę łączy szerokopasmowych, opóźniając wypływ gotówki z firmy, ale jednocześnie rezerwując sobie możliwość wznowienia prac, gdyby była taka potrzeba... - Znów miałem to samo uczucie, którego doświadczyłem już parę razy po wzięciu MDT: że chodzę po werbalnej linii, że rozmawiam z kimś i mówię z sensem, ale jednocześnie nic a nic nie rozumiem. - ...i pamiętaj, Carl, możliwość opóźnienia tego rodzaju inwestycji może mieć ogromną wartość.

- Ale ryzyko pozostaje, prawda? To znaczy, chodzi o to szerokie pasmo? Bez względu na to, czy zrobi się to teraz, czy później?

-No pewnie, ale nowa firma utworzona na mocy tej umowy prawdopodobnie i tak będzie musiała w to zainwestować, bo wtedy łatwiej jej będzie negocjować z innymi dostawcami usług szerokopasmowych, co dałoby dodatkową korzyść w postaci redukcji nadmiaru zdolności produkcyjnych.

Van Loon uśmiechnął się.

- No to, kurwa, nieźle. Też się uśmiechnąłem.

- Tak, myślę, że to trzyma się kupy. Jakby na to nie spojrzeć, sytuacja jest korzystna. No i są jeszcze inne opcje, rzecz jasna.

Widziałem, że Van Loon patrzy na mnie i myśli. Wyraźnie nie był pewien, o co mnie teraz spytać... a nuż wszystko zacznie się sypać i jednak wyjdę na idiotę. W końcu jednak zadał jedyne sensowne pytanie w tych okolicznościach.

- Jak to wygląda na papierze?

Wziąłem z jego biurka notes i wyjąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki długopis. Pochyliłem się i zacząłem liczyć. Po napisaniu kilku linijek powiedziałem:

- Wykorzystałem model wyceny Blacka-Scholesa, by pokazać, jak wartość opcji zmienia się jako procent inwestycji bazowej... -przewróciłem kartkę i pisałem dalej na następnej - ...i zrobiłem to, uwzględniając szeroki zakres profilów ryzyka i ram czasowych.

Przez następnych piętnaście minut pisałem zapamiętałe, przypominając sobie rozmaite wzory matematyczne, za pomocą których poprzedniego dnia ilustrowałem moje wnioski.

- Jak widzisz - powiedziałem, kiedy skończyłem, i wskazałem długopisem odpowiedni wzór - opcja na usługi szerokopasmowe plus cała reszta podnosi wartość akcji MCL o co najmniej dziesięć dolarów.

Van Loon znów się uśmiechnął.

- Świetna robota, Eddie. Nie wiem, co powiedzieć. To wspaniałe. Hank będzie zachwycony.

Około dwunastej piętnaście, po dokładnym sprawdzeniu wszystkich obliczeń, zebraliśmy papiery i wyszliśmy z biura. Van Loon zarezerwował stolik w Four Seasons. Ruszyliśmy w stronę Park Avenue, a potem bez pośpiechu przeszliśmy cztery przecznice dzielące nas od Seagram Building.

Przez większą część ranka, wyczerpany i zubożnięty, funkcjonowałem jak na autopilocie. Ale kiedy znalazłem się z Van Loonem przy wejściu do restauracji Four Seasons, przeszedłem przez hol i zobaczyłem gobeliny Miro i skórzane siedzenia zaprojektowane przez samego Mięsa van der Rohe, poczułem przyptyw energii. To, że byłem tu, u stóp Seagram Building, największej architektonicznej świętości, uświadomiło mi nie-rzeczywistość całej mojej sytuacji dobitniej niż umiejętność mówienia po włosku, przeczytania kilku książek w jedną noc czy nawet przechytrzenia giełdy i nakreślenia finansowej struktury fuzji dwóch wielkich firm. Ponieważ w normalnych okolicznościach nigdy nie znalazłbym się w takim miejscu, nie wszedłbym jakby nigdy nic do legendarnego Grill Room, z podwieszonymi pod sufitem prętami z brązu i boazerią z francuskiego orzecha, nie sunąłbym między stolikami zajmowanymi przez ambasadorów, kardynałów, prezesów korporacji, prawników z branży rozrywkowej i prezenterów telewizyjnych.

Ł choć może wydawało się to dziwne, byłem... szczęśliwy, że jestem częścią tego wszystkiego...

136

Maitre d' zaprowadził nas do jednego ze stolików pod balkonem. Kiedy usiedliśmy i zamówiliśmy drinki, zadzwoniła komórka Van Loona. Odebrał z ledwo słyszalnym burknięciem, słuchał przez chwilę, po czym złożył ją z powrotem. Odkładając telefon, spojrzał na mnie z niewyraźnym, lekko nerwowym uśmiechem.

- Hank trochę się spóźni - powiedział.

- Ale przyjdzie? -Tak.

Przez chwilę bawił się serwetką.

- Słuchaj, Eddie, chcę cię o coś spytać - powiedział w końcu. Przełknąłem ślinę, niepewny, czego się spodziewać.

- Wiesz, że w Van Loon & Associates mamy małą salę maklerską? Pokręciłem głową.

- W każdym razie mamy coś takiego i pomyślałem sobie, że... ta twoja doskonała seria w Lafayette?

-Tak?

- To było naprawdę imponujące. Kelner przyniósł nam drinki.

- Początkowo, kiedy Kevin powiedział mi o tym, wcale tak nie uważałem, ale potem zainteresowałem się tym bliżej, no i... - patrzył mi w oczy, kiedy kelner stawiał na stoliku dwie szklanki, dwie małe butelki wody mineralnej, Toma Collinsa i wódkę z martini - .. .wygląda na to, że wiesz, co robisz.

Napiłem się martini.

Nie odrywając ode mnie oczu, Van Loon dodał:

-1 potrafisz dobrze wybierać.

Widziałem, że aż rwie się do tego, by mnie spytać, jak to robię. Wiercił się na krześle i patrzył prosto na mnie, niepewny, z kim właściwie ma do czynienia, nękany myślą, że może ja rzeczywiście stosuję jakiś system i że święty Graal jest tu, w restauracji Four Seasons, przy jego stoliku. Był zaintrygowany, a zarazem lekko zaniepokojony, ale hamował się, krążył wokół tematu, próbował sprawiać wrażenie, że to w gruncie rzeczy nic ważnego. Jednak w tym, jak to robił, było coś żałosnego i nieporadnego - brakowało mu wyczucia i zacząłem czuć dla niego lekką pogardę.

Gdyby jednak spytał mnie o to wprost, co bym mu odpowiedział? Czy udałoby mi się wcisnąć mu jakiś kit o teorii złożoności i wyższej matematyce? Czy nachyliłbym się ku niemu, postukał palcem w prawą skroń i szepnął: „zro-zu-mie-nie, Carl”? Czy wyznałbym, że ja rzeczywiście biorę specjalne leki i że od czasu do czasu ukazuje mi się Maryja

137

Dziewica? Czy powiedziałbym prawdę? Czy mógłby:

się?

m się oprzeć poku-

Nie wiem.

I miałem się tego nigdy nie dowiedzieć.

Po kilku minutach przysiadł się do nas znajomy Van Loona. Zostaliśmy sobie przedstawieni i przez chwilę wymienialiśmy uprzejmości, ale dwaj starsi panowie szybko przeszli do dyskusji na temat gulfstreama V, a ja z zadowoleniem wtopiłem się w tło. Widziałem, że Van Loon jest podenerwowany - rozdarty między chęcią skupienia uwagi na mnie a pragnieniem kontynuowania rozmowy ze swoim kumplem miliarderem. Ja jednak byłem już nieobecny duchem, myślałem tylko o rychłym przybyciu Hanka Atwooda.

Z tego, co o nim pisały gazety, wynikał jeden oczywisty fakt. Choć był szarym finansistą, który zajmował się głównie tym, co większość uważała za nużące zmagania z liczbami i punktami

procentowymi, Henry Bryant Atwood cieszył się też dużą popularnością. Oczywiście przed nim były już inne „gwiazdy” finansjery - w branży prasowej czy we wczesnym Hollywood, rządzonym przez nieznaną angielskiego potentatów z cygarami w zębach, którzy szybko oddali stery wykształconym na elitarnych uczelniach księgowym ze Wschodniego Wybrzeża. Większość ludzi nie zdawała sobie jednak sprawy, że od połowy lat osiemdziesiątych punkt ciężkości znów się przesunął. Aktorzy, piosenkarze i supermodelki nadal cieszyli się popularnością, ale rozrzedzone powietrze czystej sławy niepostrzeżenie powiało w stronę finansistów w szarych garniturach.

Hank Atwood był gwiazdą nie ze względu na urodę, której nie posiadał, ani nawet nie z uwagi na to, że oferowany przez niego towar stanowił esencję ludzkich snów - genetycznie zmodyfikowaną żywność światowej wyobraźni. Hank Atwood był gwiazdą, bo zarabiał niewiarygodnie dużo pieniędzy.

I o to właśnie chodziło. Artystyczny przekaz był martwy, stał się czymś, o czym decydowały komitety. Prawdziwa treść kryła się w liczbach - a liczby, wielkie liczby, były wszędzie. Trzydzieści siedem milionów dolarów za prywatny odrzutowiec. Proces zakończony ugodą kosztującą 250 milionów dolarów. Wykup kredytowany za 30 miliardów. Majątek osobisty wynoszący przeszło 100 miliardów dolarów...

138

I w tej właśnie chwili - kiedy snułem te rozważania o coraz to większych liczbach - wszystko zaczęło się sypać.

Z niewiadomego powodu nagle zwróciłem uwagę na ludzi siedzących przy stoliku za moimi plecami. Byli to mężczyzna i kobieta, może developer i producentka albo dwoje prawników - nie wiedziałem, nie słuchałem, co mówią - ale w tonie głosu mężczyzny było coś, co przeszło mnie jak ostrze noża.

Odchyliłem się lekko do tyłu, jednocześnie zerkając na Van Loona i jego znajomego. Na tle boazerii z orzecha dwaj miliarderzy wyglądali jak duże drapieżne ptaszyska siedzące w jakimś suchym kanionie - ale ptaszyska stare, o opadających łbach i kaprawych ślepiach, wiekowe myszołowy. Van Loon właśnie opowiadał ze szczegółami, jak to musiał wytłumić swój poprzedni samolot, challengerą takiego czy innego, i w trakcie tego monologu z moim mózgiem stało się coś dziwnego. Jak odbiornik radiowy automatycznie wyszukujący częstotliwości wyciszył głos Carla Van Loona:

- ...widzisz, żeby uniknąć nadmiernych drgań, potrzebne są takie izolatory, którymi owija się śruby łączące wewnątrz z kadłubem - z gumy silikonowej, tak to się chyba nazywa...

I zaczął odbierać głos faceta siedzącego za mną:

- ...w dużym hotelu, gdzieś w centrum... mówili o tym w telewizji... tak, Donatella Alvarez, żona tego malarza, znaleźli ją na podłodze w pokoju hotelowym, najprawdopodobniej ktoś ją napadł, dostała w głowę... teraz jest w sypialce - zdaje się, że policja jest już na tropie - sprzątaczką z hotelu widziała, jak ktoś stamtąd wychodził wcześniej rano, facet podobno kulał...

Odsunąłem się nieco z krzesłem.

„...facet podobno kulał...”

Głos za moimi plecami mówił dalej:

-.. .no i oczywiście to, że jest Meksykanką, jeszcze bardziej komplikuje sytuację...

Wstałem i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że wszyscy w restauracji zastygli, odłożyli noże i widelce i podnieśli głowy, czekając, aż coś powiem - ale oczywiście tak nie było. Tylko Carl Van Loon patrzył na mnie z gwałtownie narastającym niepokojem. Powiedziałem bezgłośnie „łazienka”, odwróciłem się i wstałem. Szedłem szybko między stolikami, szukając najbliższego wyjścia.

Wtedy zauważyłem kogoś nadchodzącego z drugiej strony sali - niskiego, łysiejącego mężczyznę w szarym garniturze. Był to Hank Atwood. Rozpoznałem go ze zdjęć w gazetach. Sekundę później minęliśmy się,

139

nieporadnie przeciskając się między dwoma stolikami i wymieniając uprzejme burknięcia. Przez krótką chwilę byliśmy tak blisko siebie, że czułem zapach jego wody kolońskiej.

Wyszedłem na Pięćdziesiątą Drugą i wziąłem kilka dużych haustów powietrza. Kiedy tak stałem na chodniku i rozglądałem się, miałem poczucie, że wtapiając się w ten tłum zabieganych ludzi, zrzekłem się prawa do przebywania w Grill Room i że więcej mnie tam nie wpuszczą.

Na razie jednak i tak nie zamierzałem tam wracać i jakieś dwadzieścia minut później zauważyłem, że krążę bez celu po Park Avenue South, świadomie ukrywając swoje utykanie, rozpaczliwie próbując cokolwiek sobie przypomnieć. Nic to jednak nie dało... wiedziałem, że byłem w pokoju hotelowym, i widziałem siebie idącego pustym korytarzem. Ale to wszystko, poza tym miałem w głowie zupełną pustkę.

Tak naprawdę jednak nie wierzyłem... to znaczy... nie zrobiłem tego... nie mogłem...

Szedłem przez następne pół godziny - w lewo Union Square, potem w prawo Pierwszą- i wróciłem do domu kompletnie oszołomiony. Wchodząc na górę, kurczowo trzymałem się nadziei, że może się przestyszałem, że uległem złudzeniu - że nastąpił kolejny przeskok, coś się zacięło... W każdym razie wkrótce miałem poznać prawdę, bo jeśli to rzeczywiście się stało, to będą o tym mówić w wiadomościach, więc wystarczyło włączyć radio albo którąś z lokalnych stacji telewizyjnych...

Jednak tym, co po wejściu do mieszkania zauważyłem najpierw, było migające czerwone światełko na automatycznej sekretarce. Niemal zadowolony z tego, że mogę czymś zająć myśli, wcisnąłem „play”. Nie zdejmując garnituru, stanąłem w bezruchu jak idiota i utkwiałem wzrok w przeciwległej ścianie, czekając na wiadomość.

Rozległ się cichy szum towarzyszący przewijaniu taśmy, a potem -klik.

- Cześć, Eddie. Tu Melissa. Chciałam do ciebie zadzwonić już wcześniej, serio, ale... wiesz, jak to jest...
- Mówiła lekko bełkotliwie, ale to był jej głos, głos Melissy, i słyszałem go tu, w swoim salonie. - I coś przyszło mi do głowy. Mój brat... czy on ci coś dawał? To znaczy... nie chcę rozmawiać o tym przez telefon, ale... tak czy nie? Bo... - usłyszałem grzechot kostek lodu w szklance - ...bo

140

jeśli tak, to powinieneś coś wiedzieć... Ten towar... - zawiesiła głos jakby próbowała wziąć się w garść-
...ten towar, MDT ileś tam, jest bardzo, bardzo niebezpieczny... to znaczy, nawet sobie nie
wyobrażasz, jak bardzo. - Przełknąłem ślinę i zamknąłem oczy. -

Dlatego słuchaj, Eddie, nie wiem, może się mylę, ale... zadzwoń, dobra? Zadzwoń.

li

Część III

15

W wiadomościach o drugiej usłyszałem, że Donatella Alvarez, żona meksykańskiego malarza, jest w stanie śpiączki wywołanej silnym ciosem zadany w głowę. Zdarzyło się to w pokoju na czternastym piętrze hotelu w centrum miasta. Podano niewiele szczegółów i nikt nie wspominał o kulejącym mężczyźnie.

Siedziałem na kanapie, wciąż w garniturze, i czekałem na coś więcej, cokolwiek - następny biuletyn, jakieś materiały filmowe, analizę. Zupełnie jakbym myślał, że siedząc na tyłku z pilotem zwisającym bezwładnie z dłoni, coś robię, ale cóż innego byłoby lepsze? Może miałem zadzwonić do Melissy i spytać, czy mniej więcej to miała na myśli?

Niebezpieczny?

To znaczy jaki? Pod jego wpływem można rozwalić komuś głowę? Trafić do szpitala? Wpaść w śpiączkę? Umrzeć?

Oczywiście nie miałem zamiaru zadać jej takich pytań, ale w głębi duszy dręczył mnie niepokój. Czy naprawdę to zrobiłem? Czy to samo -albo coś podobnego - zdarzy się ponownie? Czy przez „niebezpieczny” Melissa rozumiała niebezpieczny dla innych, czy dla mnie?

Czy byłem kompletnie nieodpowiedzialny?

Co tu się, do cholery, działo?

Przez całe popołudnie skupiałem się intensywnie na każdym serwisie informacyjnym, jakbym mógł samą siłą woli zmienić kluczowy szczegół całej historii - sprawić, by to nie stało się w pokoju hotelowym albo by Donatella Alvarez nie była w śpiączce. Między kolejnymi serwisami oglądałem programy kulinarne, opery mydlane, reklamy i choć byłem świadom, że chłonę masę zupełnie nieprzydatnych informacji, nie mogłem nic na to poradzić. Położyć plastry z kurczaka na pokrytej cienką warstwą oleju brytfannie i posypać nasionami sezamowymi. Zadzwoń pod ten bezpłatny numer TERAZ, a dostaniesz 15% zniżki na GUTBustera 2000,

10-Dawka geniuszu

145

- Dał się przekonać?

- Ogólnie tak. Mówi, że może wykorzystać nasze wyliczenia, ale musimy je jeszcze raz sprawdzić w jego obecności.

- Świetnie. Jasne. Oczywiście. Kiedy tylko zechcesz.

- Hank pojechał nad morze, ale wraca... zdaje się we wtorek, tak, więc może wpadnij do mojego biura w poniedziałek, to coś ustalimy.

- Świetnie... i słuchaj, Carl, jeszcze raz przepraszam, naprawdę mi przykro.

- Jesteś pewien, że nie chcesz pójść do mojego lekarza? Jest...

- Nie, ale dziękuję za propozycję.

- Przemysł to.

- Dobra. Do zobaczenia w poniedziałek.

Po rozmowie z Van Loonem stałem przez parę minut przy telefonie, wpatrzony w otwarty notatnik z adresami.

Z nerwów kotłowało mi się w żołądku.

Wreszcie podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer Melissy. Kiedy czekałem, aż odbierze, czułem się tak jak wtedy w mieszkaniu Yerno-na na szesnastym piętrze, gdy to wszystko się zaczynało, w ostatnich trzeźwych chwilach przed tym, jak nagrałem się na jej automatyczną sekretarkę, a potem zacząłem szperać w sypialni jej brata...

- Halo.

- Melissa?

- Eddie. Cześć.

- Dostałem twoją wiadomość.

- Uhm. Słuchaj... tego... - miałem wrażenie, że próbuje się opanować - ...to, co powiedziałam, przyszło mi do głowy dopiero dziś. Nie wiem. Mój brat był palantem. Od jakiegoś czasu handlował takim dziwnym lekiem. No i pomyślałam o tobie, więc zaczęłam się martwić.

Jeśli nawet Melissa wcześniej coś piła, teraz wydawała się przyga-szona, może miała kaca.

- Nie masz się czym przejmować - powiedziałem, uznając w ułamku sekundy, że tak będzie najlepiej. - Yernon niczego mi nie dał. Spotkałem go na dzień przed tym, jak... przed tym, co się stało. I rozmawialiśmy o różnych sprawach... ale o niczym szczególnym.

Westchnęła.

- To dobrze.

- Ale dzięki za troskę. - Zawiesiłem głos. - Co u ciebie?

- W porządku.

Krępująca cisza.

W końcu Melissa powiedziała:

- A u ciebie?

- Też dobrze. Pracuję.

- Czym się zajmujesz?

To była rozmowa, którą odbylibyśmy w tych okolicznościach - tu i teraz - nieunikniona rozmowa, którą odbylibyśmy w tych okolicznościach...

- Od paru lat jestem copywriterem. - Zamilkłem na chwilę. - W Kerr & Dexter. Tym wydawnictwie.

Teoretycznie było to prawdą, ale tylko teoretycznie.

- Tak? To świetnie.

Jednak dla mnie wcale nie było to takie świetne - ani w niczym nie przypominało prawdy, okres mojej pracy w Kerr & Dexter wydawał się odległy, nierzeczywisty, zmyślony.

Nie chciałem już dłużej rozmawiać z Melissa. Odkąd odnowiliśmy naszą znajomość - cóż, że przelotnie - czułem, że bez przerwy ją okłamuję. Mówiąc więcej, tylko pogorszyłbym sytuację.

- Słuchaj, zadzwoniłem, bo chciałem to wyjaśnić... ale... teraz muszę już kończyć.

- W porządku.

- Nie chodzi o to, że...

- Eddie?

- Tak?

- Mnie też nie jest łatwo.

- Rozumiem.

Nie potrafiłem nic innego wymyślić.

- No to trzymaj się. -Pa.

Pragnąc zająć czymś myśli, odszukałem w notatniku numer komórki Giennadija. Wykręciłem go i zaczekałem.

- Tak?

- Giennadij? -Tak.

- Mówi Eddie.

- Eddie. Czego chcesz? Rrobotu mam. Przez chwilę wpatrywałem się w ścianę.

- Napisałem scenariusz. Ma około dwudzie...

149

- Dasz mi to rano.

- Giennadij... - Rozłączył się. - Giennadij?

Odłożyłem słuchawkę.

I

Zapomniałem, że jutro piątek. Giennadij miał przyjść po pierwszą i ratę spłaty pożyczki. Cholera.

Pieniądze nie stanowiły problemu. Mogłem wypisać mu od ręki czek na całą sumę, plus honorarium i dodatek za to, że jest, jaki jest, ale to nie wystarczy. Powiedziałem, że mam gotowy scenariusz. Teraz musiałem go napisać do rana - w przeciwnym razie Giennadij pewnie będzie mnie dźgał dotąd, aż nabawi się czegoś w stylu łokcia tenisisty.

Nie byłem w odpowiednim nastroju na pisanie czegoś takiego, ale uznałem, że przynajmniej będę miał zajęcie, więc wszedłem do Internetu i przejrzałem trochę materiałów. Zapoznałem się z terminologią i nakreśliłem fabułę luźno opartą na niedawnym procesie członków mafii na Sycylii, którego szczegółowy opis znalazłem na włoskiej stronie internetowej. Po północy miałem już dwudziestopięciostronicowy scenariusz Stróża kodu, historii Organizacji.

Potem przez dłuższy czas przeglądałem ogłoszenia pośredników w handlu nieruchomościami. Postanowiłem następnego ranka zadzwonić do kilku największych biur na Manhattanie i wreszcie zrobić pierwszy krok na drodze do wynajęcia - a może nawet zakupu - nowego mieszkania.

Wreszcie położyłem się i przez cztery czy pięć godzin spałem, na tyle, na ile to ostatnio było możliwe.

Giennadij przyszedł około wpół do dziesiątej. Wpuściłem go przez domofon i powiedziałem, że mieszkam na drugim piętrze. Minęła cała wieczność, zanim wspiął się schodami na górę, i kiedy w końcu zjawił się w moim salonie, wyglądał na wyczerpanego i zirytowanego.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Uniósł brwi i rozejrzył się. Potem rzucił okiem na zegarek.

Wydruk scenariusza schowałem wcześniej do koperty. Wyjąłem ją z biurka i podałem mu. Potrząsnął nią, jakby chciał sprawdzić, ile waży. Potem spytał:

- Gdzie pieniądze?

- Tego... zamierzałem wypisać ci czek. Ile to miało być?

- Czek?!

Skinąłem głową i nagle poczułem się głupio.

150

I

- Czek? - powtórzył. - Pojechało cię? Co to, my instytucja finansowa?

- Giennadij, słuchaj...

- Zamknij ryj. Jak nie dasz dziś pieniędzy, masz przerąbane... pani-majesz?

-Zdobędę je.

- Jaja ci utnę.

- Będę miał pieniądze. Jezu. Nie pomyślałem.

- Czek - prychnął z pogardą. - No nie.

Podszedłem do telefonu i podniosłem słuchawkę. Wystarczyło kilka udanych dni w Lafayette, bym nawiązał niezwykle serdeczne stosunki z usłużnym i rumianym kierownikiem mojego banku, Howardem Lewi-sem, więc zadzwoniłem do niego, powiedziałem, czego potrzebuję -dwadzieścia dwa i pół gotówką- i spytałem, czy mógłbym je odebrać za piętnaście minut.

Żaden problem, absolutnie, panie Spinola.

Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się. Giennadij stał przy moim biurku, plecami do mnie. Wymamrotałem coś pod nosem, by zwrócić jego uwagę. Spojrzał na mnie.

-No i?

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

- Chodźmy do mojego banku.

W milczeniu pojechaliśmy taksówką na róg Dwudziestej Trzeciej i Drugiej. Chciałem poruszyć temat scenariusza, ale ponieważ Giennadij miał wyraźnie kiepski humor, uznałem, że lepiej będzie się nie odzywać. Wziąłem gotówkę od Howarda Lewisa i dałem Giennadijowi na ulicy. Schował ją w tajemniczej wewnętrznej kieszeni kurtki. Biorąc kopertę ze scenariuszem, powiedział:

- Przejrzę to.

I odszedł Drugą Aleją bez słowa pożegnania.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zgodnie z moim nowym postanowieniem, by jeść przynajmniej raz dziennie, zamówiłem w barze kawę i muffina z jagodami.

Potem poszedłem na Madison Avenue. Dziesięć przecznic dalej zatrzymałem się pod biurem pośrednika w handlu nieruchomościami o nazwie Sullivan, Draskell. Wszedłem do środka, zapytałem o parę spraw i zacząłem rozmawiać z agentką o nazwisku Alison Botnick. Miała czterdzieści kilka lat i była ubrana w stylową granatową jedwabną suknię

z dopasowanym do niej długim płaszczem z zapinanym kołnierzem. Dość szybko zorientowałem się, że choć miałem na sobie dzinsy i sweter, i wyglądałem jak sprzedawca w winiarni - albo niezależny copywriter - ta kobieta nie wiedziała, kim jestem naprawdę, musiała więc uważać. W końcu mogłem okazać się jednym z tych nowych internetowych miliarderów szukających dwunastopokojowego apartamentu na Park. W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo, a ja trzymałem ją w niepewności.

Idąc tu, myślałem, że gotów jestem wydać około 300 000 dolarów na mieszkanie - 500 000 góra - ale teraz przyszło mi do głowy, że biorąc pod uwagę moją pozycję w firmie Van Loona i perspektywy współpracy z Hankiem Atwoodem, nie było powodu, bym nie mierzył wyżej - dwa czy trzy miliony dolarów, może nawet więcej. Kiedy stałem w eleganckiej recepcji Sullivan, Draskell, wertowałem wydrukowane na błyszczącym papierze broszury reklamujące luksusowe apartamenty w nowych budynkach o nazwach Merkury czy Niebiański i słuchałem argumentów Alison Botnick, kładącej nacisk na słowa-klucze - luksus, płynność, popyt, blisko, blisko, blisko - czułem, że moje oczekiwania rosną z każdą sekundą. Widziałem też, jak sama agentka - odjąwszy mi piętnaście lat i wyobraziwszy sobie mnie w T-shircie UCLA i czapce baseballówce - wmówiła sobie, że ja naprawdę jestem miliarderem internetowym. Podsyciłem to wrażenie, kiedy machnięciem ręki zbyłem jej sugestię, że biorąc pod uwagę, ile papierów trzeba wypełnić, by uzyskać akceptację przeciętnej spółdzielni, pewnie nie chcę mieszkania spółdzielczego.

- Zarządy stają się bardzo wybredne - powiedziała - nie żebym...

- Oczywiście, że nie, ale kto chciałby być wykluczony bez walki? Przemyślała to.

- W porządku.

Ta wzajemna manipulacja, która rozbudziła nasze zainteresowanie - moje jako nabywcy, jej jako pośrednika - mogła skończyć się tylko jednym: prezentacjami. Alison Botnick najpierw zabrała mnie do czteropokojowego przedwojennego mieszkania spółdzielczego w East Seventies między Lexington i Park. Pojechaliliśmy tam taksówką i kiedy rozmawialiśmy o giełdzie i o tym, co teraz jest na topie, miałem przyjemne uczucie, że panuję nad sytuacją - jakbym osobiście zaprojektował oprogramowanie kierujące tym krótkim interludium i wszystko działało, jak należy.

Mieszkanie, które obejrzeliliśmy na Siedemdziesiątej Czwartej, wyglądało nieszczerólnie. Miało niskie sufity i niewiele naturalnego światła. Było też ciasne i zbyt zagracone.

- Tak to już jest z tymi przedwojennymi mieszkaniami - powiedziała Alison, kiedy schodziliśmy z powrotem do holu głównego. - Rury prze-

152

ciekają, trzeba wymieniać kable, więc jeśli człowiek nie chce po prostu wszystkiego wyrzucić i zacząć od nowa, nie warto w nie inwestować.

W tym przypadku w grę wchodziłoby 1,8 miliona dolarów.

Potem poszliśmy obejrzeć 288-metrowe poddasze w Flatiron District. Do lat pięćdziesiątych mieściły się tam zakłady odzieżowe, przez większą część lat sześćdziesiątych budynek stał pusty, a sądząc po wystroju, obecny właściciel wyprowadził się nie później niż na początku lat osiemdziesiątych. Alison

powiedziała, że jest inżynierem, który pewnie kupił je za grosze, ale teraz żądał 2,3 miliona dolarów. Mieszkanie mi się podobało, na pewno miało potencjał, ale znajdowało się w zbyt szarej i mało uczęszczanej okolicy.

Na koniec Alison zabrała mnie na sześćdziesiąte siódme piętro drapacza chmur, który dopiero co został zbudowany w miejscu starych magazynów kolejowych na West Side. Niebiański, wraz z innymi luksusowymi apartamentowcami, teoretycznie miał stanowić największą atrakcję nowego projektu ożywienia centrum miasta, a dokładniej obszaru między West Chelsea a Hell's Kitchen.

- Jeśli dobrze się pan rozejrzy, to widać, jak wiele tu pustych placów - powiedziała Alison, niczym architektoniczny wizjoner - od Dwudziestej Szóstej po Czterdziestą Drugą, na zachód od Dziewiątej, wszystkie tereny są gotowe do przebudowy. A dzięki nowej stacji Penn zwiększy się ruch - co dzień będzie przybywać tysiące ludzi.

Kiedy nasza taksówka skierowała się na zachód w stronę rzeki Hudson, zrozumiałem, że Alison ma rację. Te okolice aż prosiły się o to, by ściągnąć tu klasę średnią i zrobić z tej dzielnicy mekkę burżuazji i bohemy artystycznej.

- Proszę mi wierzyć - ciągnęła - wkrótce zacznie się największy bój o ziemię w tym mieście od pięćdziesięciu lat.

Wznoszący się wśród opuszczonych magazynów Niebiański był olśniewającym monolitem o stalowym szkielecie pokrytym zabarwionym na brązowo szkłem. Kiedy taksówka zatrzymała się na dużym placu u stóp budynku, Alison zaczęła recytować informacje, które jej zdaniem najwyraźniej powinienem poznać. Niebiański miał dwieście piętnaści metrów wysokości, siedemdziesiąt pięter i sto osiemdziesiąt pięć mieszkań - a oprócz tego kilka restauracji, klub fitness, salę projekcyjną, wybiegi dla psów, „inteligentny” system recyklingu, piwnicę winną, duże pomieszczenie do przechowywania cygar, dachowy taras z tytanowymi ściankami...

Kiwałem głową, jakbym zapisywał to sobie w pamięci do późniejszej analizy.

- Nawet człowiek, który zaprojektował ten budynek, zastanawia się, czy tu nie zamieszkać - powiedziała.

153

W przestronnym holu głównym stały marmurowe kolumny z różowymi żyłkami, podtrzymujące wyłożony złotą mozaiką sufit; było tu jednak niewiele mebli i dzieł sztuki. Winda zawiozła nas na sześćdziesiąte siódme piętro w -jak mi się wydawało - dziesięć sekund, choć musiało to trwać dłużej. Apartament, który miałem zobaczyć, nie był jeszcze w pełni wykończony, więc Alison poprosiła mnie, bym nie zwracał uwagi na nagie żarówki i wystające druty.

- Ale... - odwróciła się do mnie i zniżyła głos do szeptu, wkładając klucz do drzwi - ...niech pan tylko zobaczy widoki...

Weszliśmy do otwartego, przypominającego poddasze pomieszczenia i choć zauważyłem korytarze rozchodzące się w różne strony, moją uwagę przyciągnęły przede wszystkim wielkie okna po drugiej stronie pustego białego pokoju. Podłoga była przykryta plastikową płachtą, a kiedy szedłem po niej, pół kroku przed Alison, moim oczom stopniowo ukazał się cały Manhattan. Stając przy oknie,

wyrżałem na skupisko drapaczy chmur wznoszących się prosto przede mną, Central Park widoczny po lewej stronie i dzielnicę finansową po prawej.

Widziane stąd, pod wydawałoby się nieprawdopodobnym kątem, wszystkie najstłynniejsze budynki miasta były na swoim miejscu - ale zarazem miałem wrażenie, że są zwrócone, a nawet patrzą, w moim kierunku. Alison była tuż za mną. Poczujęm zapach jej perfum, usłyszałem cichy szelest jedwabiu.

- No i - powiedziała - co pan sądzi?

- To niesamowite - odparłem i odwróciłem się do niej.

Kiwała głową i uśmiechała się. Miała żywe zielone oczy, a w nich błysk, którego do tej pory nie zauważyłem. Prawdę mówiąc, nagle zaczęła mi się wydawać o wiele młodsza.

- No więc, panie Spinola - powiedziała, patrząc mi w oczy - jeśli wolno, mogę spytać, czym się pan zajmuje?

- Bankowością inwestycyjną - odparłem po chwili wahania. Skinęła głową.

- Pracuję u Carla Van Loona.

- Rozumiem. To musi być ciekawe.

- Fakt.

Kiedy rozważała tę informację, być może próbując przypisać mnie do którejś z kategorii klientów, rozejrzałem się po pokoju o nagich ścianach i niewyłożonym do końca płytkami suficie, i próbowałem sobie wyobrazić, jak mógłby wyglądać, gdyby stały w nim meble i był zamieszkały. Pomyślałem też o pozostałej części mieszkania.

- Ile jest pokoiów? - spytałem.

154

- Dziesięć.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę - dziesięciopokojowe mieszkanie - ale to mnie przerosło. Bezwiednie wróciłem do okna i wyrżałem na miasto. Urzeczony jak wcześniej, syciłem oczy jego panoramą. Na Manhattanie był słoneczny dzień, bezchmurne niebo, i stojąc tu, czułem się wniebowzięty.

- Ile wynosi cena?

Alison zajrzała do notesu i przerzuciła kilka kartek, mamrocząc w skupieniu; miałem wrażenie, że robiła to tylko dla wzmocnienia efektu. Wreszcie powiedziała:

- Dziewięć i pół.

Cmoknąłem językiem i gwizdnąłem.

Zajrzała na inną stronę notesu i odsunęła się nieco w lewo, jakby teraz naprawdę popadła w zamyślenie.

Znów wyrząłem przez okno. Owszem, to było dużo pieniędzy, ale to nie znaczyło, że nie mogłem ich zdobyć. Gdybym dalej zajmował się day-tradingiem z takimi sukcesami jak do tej pory i odpowiednio rozegrał sprawę z Van Loonem, nie było powodu, bym nie mógł załatwić sobie jakiegoś pakietu finansowego.

Zerknąłem na Alison i odkaszlnąłem.

Odwróciła się i uśmiechnęła uprzejmie.

Dziewięć i pół miliona dolarów.

Wcześniej wydawało się, że między nami jakby zaiskrzyło, ale na wspomnienie pieniędzy to wrażenie prysło i przez pewien czas oglądaliśmy w milczeniu pozostałe pokoje. Z każdego z nich rozciągał się widok inny niż w salonie, ale równie spektakularny. Wszędzie było mnóstwo światła i przestrzeni, a kiedy przechodziłem przez pomieszczenia mające stać się łazienkami i kuchnią, w głowie wirowały mi wizje onyksu, terakoty, mahoniu, chromu- eleganckie życie w kalejdoskopie płynnych form, równoległych linii, modnych łuków...

W pewnym momencie skontrastowałem to wszystko z moim ciasnym mieszkaniem, wyłożonym skrzypiącymi deskami podłogowymi, i natychmiast zakręciło mi się w głowie, miałem kłopoty ze złapaniem tchu, a nawet wpadłem w lekką panikę.

- Panie Spinola, dobrze się pan czuje?

Stałem oparty o framugę, z dłonią przyciśniętą do piersi.

- Tak, wszystko w porządku... tylko że... -Co?

Podniosłem głowę i rozejrzałem się, by sprawdzić, gdzie jestem... bałem się, że znów miałem chwilowy zanik pamięci. Wydawało mi się,

155

że nie ruszyłem się z miejsca - przynajmniej nie pamiętałem, bym się ruszył - ale nie mogłem być stuprocentowo pewien, że... Że co?

Że z miejsca, w którym stałem, widok był ten sam...

- Panie Spinola?

-Nic mi nie jest, naprawdę, ale muszę już lecieć. Przepraszam. Ruszyłem szybkim krokiem w stronę drzwi wyjściowych. Odwrócony do niej plecami, pomachałem jej i powiedziałem:

- Będę w kontakcie z pani biurem. Zadzwoń. Dziękuję. Wyszedłem na korytarz i skierowałem się do windy.

Kiedy drzwi zamykały się z cichym szumem, miałem nadzieję, że Alison nie pójdzie za mną. Nie poszła.

Wyszedłem z Niebiańskiego i ruszyłem przez plac w stronę Dziesiątej Alei, świadom, że za moimi plecami błyszczy w słońcu kolos z zabarwionego na brąz szkła. Zdawałem sobie też sprawę, że Alison Botnick nadal była na sześćdziesiątym siódmym piętrze, może nawet patrzyła w dół - a przez to z każdym krokiem czułem się coraz bardziej jak robak. Musiałem przejść kilka przecznic Trzydziestą Trzecią i minąć Poczta Główną i Madison Square Garden, zanim wreszcie złapałem taksówkę. Nie oglądając się, wsiadłem i pochyliłem głowę. Na siedzeniu leżał złożony „New York Post”. Wziąłem go i mocno ścisnąłem w rękę.

Nadal nie byłem pewien, czy tam na górze coś się ze mną stało, ale wystarczyła najdrobniejsza oznaka nadciągającego zaniku pamięci, by ogarniał mnie paniczny strach. Siedziałem nieruchomo i czekałem, uważając na każdą najdrobniejszą zmianę percepcji, każdy oddech, wszelkie odchylenia od normy. Po kilku minutach uznałem, że wszystko gra. Przestałem kurczowo ścisnąć gazetę i kiedy skręciliśmy w prawo na Drugą Aleję, znacznie się uspokoiłem.

Rozłożyłem „Post” i spojrzałem na pierwszą stronę. Nagłówek głosił ŚLEDZTWO FBI W SPRAWIE KONTROLERÓW. Był to artykuł o sytuacji w Stanowej Komisji do Spraw Sportu, zilustrowany zdjęciami dwóch urzędników, niewyglądających na nich najlepiej. Jak zwykle w „Post”, na pierwszej stronie nad wignetą widniały trzy nagłówki w ramkach z odsyłaczami do artykułów wewnątrz numeru. W oczu rzucił mi się ten

środkowy, wypisany białymi literami na czerwonym tle. Głosił: ŻONA MEKSYKAŃSKIEGO MALARZA OFIARĄ BRUTALNEJ NAPAŚCI, strona 2. Przez chwilę wpatrywałem się w te słowa i już miałem przewrócić kartkę, by przeczytać artykuł, kiedy zauważyłem sąsiedni nagłówek. Ten - białymi literami na czarnym tle - obwieszczał: TAJEMNICZY SPEKULANT ZBIJA FORTUNĘ, strona 43. Nieporadnie otworzyłem gazetę i kiedy wreszcie udało mi się znaleźć ten artykuł, opublikowany na stronach biznesowych, pierwszym, co zobaczyłem, było nazwisko Mary Stern nad tekstem.

Zakotłowało mi się w żołądku.

Nie mogłem uwierzyć, że napisała o mnie, zwłaszcza po tym, jak się do niej odnosiłem przez telefon - z drugiej strony, może zrobiła to właśnie dlatego. Artykuł zajmował pół strony i towarzyszyło mu wielkie zdjęcie sali w Lafayette. Widać było na nim Jaya Zollo i innych maklerów, odwróconych na krzesłach obrotowych w stronę aparatu.

Zacząłem czytać.

W jednej z firm day-tradingowych na Broad Street zdarzyło się coś niezwykłego. W sali mieszczącej pięćdziesiąt terminali i tyleż czapek base-ballówek drobni spekulanci kłami i pazurami walczą o najmniejsze zyski - tu jedną ósmą punktu, tam jedną szesnastą. W Lafayette Trading każdy pracuje w pocie czoła i panuje tam niezaprzeczalnie napięta atmosfera.

Moje nazwisko pojawiło się w drugim akapicie.

Jednak w ubiegłym tygodniu wszystko się zmieniło. Tajemniczy przybysz, który zjawił się prosto z ulicy, Eddie Spinola, założył konto w firmie i natychmiast rzucił się w wir agresywnej krótkiej

sprzedaży, co wprawiło w osłupienie nawet najbardziej wytrawnych graczy z Lafayette - i przykuło ich do klawiatur, gdyż idąc za jego przykładem, osiągnęli zyski niespotykane w świecie day-tradingu. Wtedy jednak zdarzyło się coś nieoczekiwanego - niekwestionowany Król Szczurów po pierwszym tygodniu działalności w Lafayette, tajemniczy spekulant Eddie Spinola, zdezerterował ...

Nie wierzyłem własnym oczom. Przejrzałem resztę akapitu.

...nie zgadza się na rozmowę... nieufny w stosunku do innych maklerów... udziela wymijających odpowiedzi... nieuchwytny... nie widziano go od wielu dni...

157

Dalej były rozważania, kim jestem i co mogę knuć, a także wypowiedzi różnych osób, w tym zakłopotanego Jaya Zollo. Obok w ramce znalazły się szczegóły moich operacji i tego, jak na nich skorzystali stali bywalcy Lafayette. Jeden zarobił tyle, że mógł wnieść pierwszą ratę wpłaty za mieszkanie, inny zapisał się na od dawna odkładany zabieg dentystyczny, a trzeci spłacił zaległe alimenty.

Czytając o sobie, widząc swoje nazwisko w gazecie, a zwłaszcza na jej biznesowych stronach, czułem się dziwnie. A jeszcze dziwniejsze wydawało mi się to, że były to biznesowe strony „New York Post”.

Wyjrzałem na samochody jadące Drugą Aleją.

Nie wiedziałem, co to wszystko znaczy - dla mojej prywatności, moich stosunków z Van Loonem i tak dalej - ale jednego byłem pewien: nie podobało mi się to.

Taksówka podjechała pod mój dom na Dziesiątej. Byłem tak rozkojarzony po lekturze artykułu w „Post”, że kiedy zapłaciłem kierowcy i wysiadłem, nie zauważyłem grupki ludzi, którzy, jak wkrótce się zorientowałem, byli fotografami i dziennikarzami. Nie znali mnie, nie wiedzieli, jak wyglądam, pewnie podano im tylko mój adres - ale kiedy tylko stanąłem na chodniku, patrząc na nich z niedowierzaniem, musieli natychmiast domyślić się, kim jestem. Nastąpiła chwila ciszy, trwająca najwyżej dwie sekundy, a potem zaczęło się: „Eddie! Eddie! Tutaj! Tutaj!” Pstryk! Pstryk! Pochyliłem głowę, wyjąłem klucz i rzuciłem się naprzód. „Kiedy wracasz do Lafayette, Eddie?” „Spójrz tutaj, Eddie!” „Jaka jest twoja tajemnica, Eddie?” Udało mi się wejść do środka i zatrasnąć za sobą drzwi. Wbiegłem na górę do mieszkania i przypadłem do okna. Wciąż tam byli, około pięciu osób zgromadzonych pod drzwiami budynku. Czy było to konsekwencją artykułu z „Post”? Wszyscy chcieli poznać człowieka, który przechytrył giełdę? Tajemniczego spekulanta? Jeśli chodzi tylko o to, pomyślałem, to dobrze, że nikt nie zorientował się, że jestem tym Thomasem Cole'em, którego policja tak bardzo chce przesłuchać w związku ze sprawą Donatelli Alvarez.

Odwróciłem się od okna.

Na automatycznej sekretarce migotało czerwone światełko. Podeszedłem do niej ociężale i wcisnąłem „play”.

Siedem wiadomości.

Usiadłem na skraju kanapy i zacząłem słuchać. Jay Zollo błagał, bym się z nim skontaktowałem. Mój ojciec, zaskoczony, dopytywał się, czy widziałem ten tekst w gazecie. Giennadij, wkurzony, oświadczył, że jeśli

158

robię sobie z niego jaja, to utnie mi głowę, i to nożem do krojenia chleba. Artie Meltzer serdecznie zapraszał mnie na lunch. Mary Stera tłumaczyła mi, że byłoby łatwiej, gdybym po prostu z nią porozmawiał. Firma rekrutacyjna oferowała mi wysokie stanowisko w dużym domu maklerskim. Ktoś z biura Davida Lettermana - zajmujący się angażem gości do jego programu-powiedział, że jeśli tylko zechcę, to mogę wystąpić w nim jeszcze dziś.

Zwaliłem się na kanapę i wbiłem wzrok w sufit. Musiałem zachować spokój. Nie chciałem takiego zainteresowania, ale jeśli miałem przez to przejść, nie mogłem ani na chwilę tracić zimnej krwi. Sturlałem się z kanapy, wstałem i poszedłem do sypialni, by położyć się wygodnie. Może gdybym przespał się choć godzinę czy dwie, byłbym w stanie nieco jaśniej myśleć. Jednak kiedy tylko wyciągnąłem się na łóżku, wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Byłem rozbudzony, a w głowie kłębiły mi się dziesiątki myśli.

Wstałem więc i powlokłem się do salonu. Przez chwilę snułem się w tę i w tę - od biurka do telefonu, od telefonu do biurka. Potem poszedłem do kuchni i z powrotem, do łazienki i znów do salonu. Wyjrzałem przez okno. Wróciłem na środek pokoju. Ale to było wszystko, już nie miałem dokąd iść - obskoczyłem wszystkie pomieszczenia. Stojąc przy biurku, rozejrzałem się po mieszkaniu i próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądałoby, gdyby było w nim dziesięć pokoi, wysokie sufity i nagie białe ściany. Aż zakręciło mi się w głowie na tę myśl. Zresztą, to wszystko widziałem gdzie indziej - na sześćdziesiątym siódmym piętrze Niebiańskiego - a teraz byłem tu, u siebie...

Odsunąłem się od biurka i oparłem o regał z książkami. Nagle poczułem mdłości i zawroty głowy.

Zamknąłem oczy.

Po chwili zauważyłem, że idę pustym, jasno oświetlonym korytarzem. Z oddali dochodziły jakieś stłumione dźwięki. Wydawało mi się, że moja wędrówka trwa całe wieki, że poruszam się powoli, jak w transie. Nagle skręciłem i ruszyłem przez pokój w stronę szerokiego okna sięgającego podłogi. Nie zatrzymałem się przy nim, tylko sunąłem dalej - z rozkrzyżowanymi ramionami - nad rozległym, z lotu ptaka przypominającym mikroprocesor miastem, podczas gdy za mną, z małym, ale niewytłumaczalnym opóźnieniem, wielka szyba z brązowego szkła roztrzaskała się z ogłuszającym hukiem na milion kawałków...

Otworzyłem oczy i odchyliłem się do tyłu, przerażony nieoczekiwanym widokiem chodnika na Dziesiątej, pojemników na śmieci, zaparkowanych samochodów i głów fotografów krążących jak bakterie pod

159

mikroskopem. Zszedłem tyłem z parapetu, usiłując zachować równowagę, i osunąłem się na podłogę. Oddychając głęboko i pocierając czubek głowy - którą uderzyłem w ramę okna - spojrzałem w zdumieniu na miejsce, w którym byłem przed chwilą... i w którym nadal powinienem być... Powoli

wstałem i przeszedłem przez pokój w stronę regałów, uważając na każdy krok. Dotykałem wszystkiego, co mijałem, by dodać sobie pewności - oparcia kanapy, stołu, biurka. Spojrzałem na miejsce, z którego przyszedłem, i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wydawało mi się niemożliwe, że dopiero co wychylałem się przez okno, i to tak daleko...

Z mocno bijącym sercem wszedłem do łazienki. Musiałem coś zrobić, żeby to się nie powtórzyło. Otworzyłem apteczkę nad umywalką i szybko przejrzałem wszystkie buteleczki, pudełka i zamknięte pojemniki, przybory toaletowe, mydła; środki przeciwbólowe. Znalazłem syrop, który kupiłem zeszłej zimy, ale którego ani razu nie użyłem. Na etykiecie zauważyłem informację, że zawiera kodeinę. Otworzyłem butelkę, spojrzałem w lustro i zacząłem pić. Syrop był okropny, mdły i lepki, i krztusiłem się nim między łykami, ale przynajmniej wiedziałem, że jakiegokolwiek synaptyczne krótkie spięcia powodują te zaniki pamięci, kodeina spowolni moje reakcje, przyprawi mnie o senność prawdopodobnie w wystarczającym stopniu, bym tu został, nieprzytomny, na kanapie czy na podłodze - nieważne gdzie, bylebym tylko nie grasował po mieście...

Wypiłem ostatnią kroplę i wrzuciłem butelkę do małego kosza obok sedesu. Zrobiło mi się niedobrze. Przez chwilę siedziałem na skraju wanny, mocno trzymając się jej boków, i wpatrywałem się w ścianę; bałem się nawet na chwilę zamknąć oczy.

W ciągu następnych pięciu minut, zanim kodeina zaczęła działać, zdarzyły się jeszcze dwa incydenty, oba krótkie jak przerwy między kolejnymi slajdami na pokazie, ale przez to wcale nie mniej przerażające. Ze skraju wanny, nieświadomy, że zrobiłem jakiegokolwiek ruch, przeniósłem się na środek salonu. Stałem tam, chwiejąc się lekko, starając się tym nie przejmować -jakby ignorowanie tego miało sprawić, że coś takiego już się nie powtórzy. Wkrótce potem - cyk, cyk - byłem na klatce schodowej, siedziałem na ostatnim stopniu pierwszego piętra z głową schowaną w dłoniach. Uświadomiłem sobie, że jeszcze jeden taki przeskok i znalazłbym się na ulicy, wśród fotografów i dziennikarzy - może byłbym w niebezpieczeństwie, może stanowiłbym zagrożenie dla innych, a na pewno nie panowałbym nad sobą...

Poczułem jednak, że moje ręce i nogi zaczynają robić się ciężkie, i ogarnęło mnie ogólne znużenie. Wstałem, przytrzymując się poręczy,

160

i odwróciłem się. Powoli wszedłem na drugie piętro. Czułem się, jakbym brnął w melasie, i kiedy dotarłem do drzwi mojego mieszkania, które były szeroko otwarte, wiedziałem, że w najbliższym czasie nigdzie nie pójde.

Minęło parę chwil, zanim dotarło do mnie, że dźwięk, który słyszę, nie jest złudzeniem. Dzwonił telefon, ale zanim przyszło mi do głowy, że w tym stanie nie powinienem odbierać, zobaczyłem swoją rękę sięgającą po słuchawkę i podnoszącą ją do ucha.

- Halo. -Eddie?

Z szoku przez chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu. To była Melissa.

- Eddie?

- Tak, to ja. Przepraszam. Cześć.

Mój głos wydawał się gruby, niewyraźny.

- Eddie, czemu mnie okłamałeś?

- Nie... o cz-czym ty mówisz?

- O MDT. O Yernonie. Doskonale wiesz, o co chodzi. -Ale...

- Właśnie czytałam „Post”, Eddie. Krótka sprzedaż akcji? Przechytrzenie giełdy? Ty? Bądźmy poważni.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu wydusiłem:

- Od kiedy to czytujesz „New York Post”?

- Ostatnimi czasy właściwie tylko to jestem w stanie czytać. Co to znaczyło?

-Nie różu...

- Słuchaj, Eddie, zapomnij o „Post” i o tym, że mnie okłamałeś. Najważniejsze jest MDT. Nadal to bierzesz?

Nie odpowiedziałem. Oczy same mi się zamykały.

- Musisz przestać. Jezu.

Nadal milczałem, ale nie miałem pojęcia, jak długo trwała ta przerwa.

- Eddie? Powiedz coś.

- Dobra... spotkajmy się.

Teraz to ona chwilę milczała, by wreszcie powiedzieć:

- Zgoda, kiedy? -Ty zdecyduj.

Mój język wydawał się gruby i spuchnięty.

- Jutro rano. Nie wiem... o jedenastej trzydzieści, dwunastej?

- Dobra. W mieście?

I - Dawka geniuszu

161

- Zgoda. Gdzie? Zaproponowałem bar na Spring Street.

- W porządku.

I to wszystko. Melissa powiedziała jeszcze:

- Eddie, dobrze się czujesz? Wydajesz się jakiś dziwny. Martwię się o ciebie.

Wpatrywałem się w sęk na jednej z desek parkietu. Zebrałem wszystkie siły i wykrztusiłem:

- Do jutra, Melisso.

I nie czekając na odpowiedź, odłożyłem słuchawkę.

Zataczając się, podszedłem do kanapy i osunąłem się na nią. Był środek popołudnia, a ja właśnie wypiliśmy całą butelkę syropu. Położyłem głowę na oparciu i wbiłem wzrok w sufit. Przez następne pół godziny dochodziły mnie rozmaite dźwięki - brzęk dzwonka, coś jakby łomotanie w drzwi, głosy, dzwoniący telefon, syreny, przejeżdżające samochody - nie były jednak na tyle wyraźne czy intrygujące, by wyrwać mnie ze stanu odrętwienia. Stopniowo zapadłem w najgłębszy sen od kilku tygodni.

17

Byłem nieprzytomny aż do czwartej rano. Przez następne dwie godziny usiłowałem otrząsnąć się z paraliżującej senności. Wreszcie po szóstej, cały obolały, zwlokłem się z kanapy i, powłóczę nogami, poszedłem do łazienki. Wziąłem prysznic. Potem zaparzyłem sobie kawę.

Po powrocie do salonu zapaliłem papierosa i co chwila zerkałem na ceramiczną miskę na półce nad komputerem. Nie chciałem podejść za blisko, bo wiedziałem, że jeśli dalej będę brał MDT, te tajemnicze i coraz bardziej przerażające zaniki pamięci będą powtarzać się coraz częściej. Z drugiej strony, tak naprawdę nie wierzyłem, że to przeze mnie Donatella Alvarez leży w śpiączce. Byłem gotów przyjąć do wiadomości, że coś się stało i że podczas tych zaników pamięci nadal funkcjonowałem na takim czy innym poziomie, poruszałem się, coś robiłem, ale że bym miał kogoś rąbnąć w głowę tępym narzędziem? Podobna myśl przyszła mi do głowy przed kilkoma minutami, kiedy brałem prysznic. Nadal miałem sińce, a także tę małą, zanikającą już plamkę, która wyglądała na ślad po przypaleniu papierosem. Owszem, to był niezbity dowód, że coś się stało, ale raczej nie miało to nic wspólnego ze mną....

162

Podszedłem z ociąganiem do okna i wyjrzałem. Ulica była pusta. Fotografowie i dziennikarze zniknęli bez śladu. Pomyślałem, że przy odrobinie szczęścia tajemniczy spekulant z brukowców przeszedł już do historii. Poza tym, była sobota rano, nic więc dziwnego, że sytuacja się nieco uspokoiła.

Usiadłem z powrotem na kanapie. Po paru minutach powróciłem do pozycji, w której spędziłem całą noc, i nawet zacząłem zapadać w drzemkę. Czułem się przyjemnie senny i nieco rozleniwiony. Już dawno nie było mi tak dobrze i po pewnym czasie skojarzyłem to z faktem, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie wziąłem ani jednej tabletki MDT; była to moja najdłuższa - i jedyna - przerwa od samego początku. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mógłbym to po prostu odstawić, ale teraz pomyślałem sobie - czemu nie? Zaczynał się weekend, zasłużyłem na trochę odpoczynku. Będę musiał nakręcić się przed spotkaniem z Car-lem Van Loonem w poniedziałek, ale na razie mogłem się odprężyć jak normalny człowiek.

Jednak o jedenastej nie byłem już tak zrelaksowany i kiedy szykowałem się do wyjścia, ogarnęło mnie niejasne poczucie zagubienia. Ale że nie dałem sobie dość czasu, by lek na dobre przestał działać, postanowiłem wytrwać w tymczasowej abstynencji - przynajmniej do rozmowy z Melissa.

Na Spring Street zostawiłem słońce za sobą i wszedłem w tonący w półmroku bar, w którym się umówiliśmy. Rozejrzałem się. Ktoś skinął na mnie z boku w kącie i choć z miejsca, w którym stałem, nie widziałem tej osoby wyraźnie, wiedziałem, że to musi być Melissa. Podszedłem do niej.

W drodze z Dziesiątej czułem się naprawdę bardzo dziwnie, jakbym mimo wszystko coś łyknął i skutki tego powoli dawały o znać sobie. Wiedziałem jednak, że jest dokładnie odwrotnie, że podnosi się zasłona skrywająca do tej pory wrażliwe nerwy i uczucia, które od dawna nie widziały światła dziennego. Na przykład, kiedy myślałem o Carlu Van Loonie, Lafayette czy Chantal, początkowo wszystko wydawało mi się jakieś nierzeczywiste, ale gdy dotarło do mnie, że naprawdę brałem w tym udział, przeraziłem się. Na myśl o Melissie czułem się przytłoczony - zalany nawałem wspomnień...

Na moje powitanie podniosła się lekko i pocałowaliśmy się przelotnie. Usiadła z powrotem po swojej stronie boku. Ja zająłem miejsce naprzeciwko niej.

Serce waliło mi w piersi.

163

- Jak się masz? - powiedziałem i od razu zdziwiłem się, że nie zacząłem od skomentowania jej wyglądu, bo zmieniła się nie do poznania.

- W porządku.

Jej włosy były krótkie i ufarbowane na rudobrazowo. Zaokrągliła się - ogólnie, ale najbardziej na twarzy - i miała zmarszczki wokół oczu, co sprawiało, że wyglądała na bardzo zmęczoną. I kto to mówi?, pomyślałem, choć to wcale nie złagodziło szoku.

- A, co u ciebie, Eddie?

- Wszystko gra - skłamałem, po czym dodałem: - Chyba.

Melissa piła piwo i paliła papierosa. Bar był prawie pusty. Przy stoliku pod drzwiami starszy człowiek czytał gazetę, a przy kontuarze siedzieli dwaj młodzi mężczyźni. Ściągnąłem na siebie wzrok barmana i wskazałem piwo Melissy. Skinął głową. Ta zwykła, rutynowa wymiana gestów jaskrawo kontrastowała z ogarniającym mnie niepokojem. Przed kilkoma tygodniami siedziałem naprzeciwko Yernona w koktajlbarze na Szóstej Alei. Teraz, w zgodzie z jakąś niewytłumaczalną logiką snu, byłem tutaj, w towarzystwie Melissy.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała. Potem ostrzegawczo podniosła palec i dodała: -I nie mów, że ja dobrze wyglądam, bo wiem, że to nieprawda.

Pomyślałem, że mimo wszystkich zmian - nadwagi, zmarszczek, zmęczenia - Melissa wciąż była piękna. Ale po tym, co powiedziała, nie wiedziałem, jak dać jej to do zrozumienia, nie przybierając protekcyjnego tonu. W końcu poprzestałem na stwierdzeniu:

- Ostatnio sporo schudłem.

Patrząc mi prosto w oczy, powiedziała:

- Tak działa MDT.

- Pewnie masz rację - powiedziałem i spytałem ją tak cicho, jak tylko mogłem: - Co wiesz o tym wszystkim?

- Cóż - odparła z głębokim westchnieniem - nie będę owijać w bawełnę. MDT jest, a przynajmniej może być śmiertelnie groźny, a jeśli nawet cię nie zabije, to spowoduje poważne i trwałe uszkodzenia mózgu. - Wskazała swoją głowę palcem wskazującym prawej dłoni i powiedziała: - Tak stało się ze mną, ale o tym później. Na razie powiem tylko tyle, że jako jedna z nielicznych miałam szczęście.

Przetknąłem ślinę.

Przyszedł barman z tacą. Postawił przede mną szklanę piwa i czystą popielniczkę. Kiedy zostawił nas samych, Melissa mówiła dalej:

- Łyknęłam tylko dziewięć czy dziesięć tabletek, ale jeden facet wziął ich o wiele więcej, i wiem, że umarł. Inny pechowiec skończył jako warzywo. Matka musiała go codziennie myć gąbką i karmić łyżką.

164

Czułem ucisk w dołku i lekki ból głowy.

- Kiedy to było?

- Jakies cztery lata temu. - Zawiesiła głos. - Yernon nic ci nie mówił?

Potrząsnąłem głową. Wyglądała na zaskoczoną. Wreszcie, jakby przygotowywała się do wielkiego wysiłku, odetchnęła głęboko.

- Cztery lata temu - ciągnęła - Yernon zaprzyjaźnił się ze swoim klientem, który pracował w jakiejś fabryce leków i choć nie powinien, miał dostęp do całej masy nowych środków. Zwłaszcza jeden z nich, który nie miał jeszcze nazwy i nie został przetestowany, był podobno... niesamowity. Żeby sprawdzić jego działanie, Yernon z tym gościem zaczęli namawiać do brania innych ludzi, głównie swoich znajomych. Byli za cwani, by eksperymentować na sobie.

- I ciebie też namówili?

- Początkowo Yernon nie chciał mi tego dać, ale tak to zachwalał, że w końcu sama zaczęłam nalegać. Wiesz, że zawsze byłam ciekawska aż do przesady.

- Nie do przesady.

- W każdym razie, z kilkoma innymi osobami wzięliśmy udział w tym... sama nie wiem... powiedzmy, nieoficjalnym okresie próbnym. - Napiła się piwa. - No i cóż, wzięłam to i było niesamowicie. - Znów przerwała i spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia. - W końcu sam to brałeś, więc wiesz, o czym mówię.

Skinąłem głową.

- Potem wzięłam jeszcze kilka tabletek i zaczęłam się bać.

- Czemu?

- Czemu? Bo... nie byłam głupia. Wiedziałam, że nikt nie mógłby długo wytrzymać tak dużego wysiłku intelektualnego. To był nonsens. Na przykład, pewnego dnia przeczytałam Elegancki wszechświat Briana Greene'a... teoria superstrun, kojarzysz? Zajęło mi to czterdzieści pięć minut i wszystko rozumiałam. - Dopaliła papierosa. - Ale teraz już ni cholery z tego nie pamiętam. - Zgasiła niedopałek w popielniczce. -No i pracowałam wtedy nad serią artykułów o samoorganizujących się systemach adaptacyjnych - o badaniach nad nimi, ich szerszym zastosowaniu i tak dalej. Moje tempo pracy z dnia na dzień zwiększyło się dziesięciokrotnie. Mój szef w „Iroquois” myślał, że ostrzę sobie zęby na jego posiadłość. Dlatego w końcu stchórzyłam. Spanikowałam. Nie mogłam sobie z tym poradzić. Przestałam brać.

Wzruszyła ramionami. -No i?

165

-No i... po kilku tygodniach zaczęłam chorować, miałam bóle głowy, mdłości. Wtedy spanikowałam na dobre. Spytałam Yernona, czy powinnam wziąć jeszcze jedną pigułkę, a może pół, żeby sprawdzić, czy to coś da. A on powiedział mi o facecie, który od tego umarł.

-Jak?

- Nagle zachorował, jego stan gwałtownie się pogarszał - bóle głowy, mdłości, utrata funkcji ruchowych, zaniki pamięci. Po dwóch dniach już nie żył.

- Ile brał?

- Jedną tabletkę dziennie przez miesiąc. Znów przetknąłem ślinę i zamknąłem oczy.

- Eddie, a ile ty tego brałeś?

Patrzyła na mnie tymi niesamowitymi ciemnobrązowymi oczami, przygryzając dolną wargę.

- Dużo. - Cmoknąłem językiem. - Więcej niż ten gość.

- Jezu.

Nastąpiła długa przerwa.

- Czyli musisz nadal mieć zapas - powiedziała w końcu.

- Właściwie nie, to znaczy trochę mi zostało, ale... dostałem to od Yernona. Dał mi to, a potem zginął. Z nikim innym nie miałem kontaktu.

Spojrzała na mnie, lekko zbita z tropu.

- Ten facet, o którym ci mówiłam, umarł, bo wtedy jeszcze nie wiadomo było, co i jak, jakie powinny być dawki, jak silnie to działa i tak dalej - powiedziała. - Poza tym, różni ludzie różnie reagowali. Ale te problemy zostały dość szybko rozwiązane. - Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej. - Yemon zbijał kupę forsy na handlu MDT, a ja nie słyszałam, by od tamtej pory ktokolwiek umarł, więc pewnie to,

co od niego dostałeś, było dobrane specjalnie dla ciebie. To znaczy, zalecił ci odpowiednią dawkę, zgadza się? Wiesz, co robisz?

-Hmm.

Czy powinienem jej wyznać, że Yernon dał mi tylko próbkę i że nie zdążył mi niczego powiedzieć? Zamiast tego spytałem: -A jak było z tobą?

Zapaliła następnego papierosa i przez chwilę jakby zastanawiała się, czy pozwolić mi na zmianę tematu.

Ja też wziąłem papierosa.

Wtedy zaczęła.

- Cóż, naturalnie, kiedy zachorowałam, a ten człowiek umarł, trzymałam się od tego cholerstwa z daleka, w ogóle go nie dotykałam. Byłam

166

przeżazona. W końcu miałam męża i dwójkę małych dzieci. - Kiedy to powiedziała, lekko drgnęła, jakby ktoś zaraz miał jej dać w twarz; jakby uważała, że przyznając się do takiego braku odpowiedzialności, naraża się na surową karę. Po chwili zaczęła mówić dalej. - W każdym razie początkowo zanosilo się na to, że skończy się na silnych bólach głowy i atakach mdłości. Jednak po kilku miesiącach zauważyłam pewne prawidłowości. Kiedy skupiałam się na czymkolwiek dłużej niż dziesięć minut, dostawałam migreny. Nie dotrzymywałam terminów. Stałam się ospała, leniwa. Utyłam. -Zaczęła skubać sweter. - Moją pamięć trafił szlag. Ta seria artykułów? Zapomnij, wszystko się posypało. Wyleciałam z „Iro-quois”. Moje małżeństwo się rozpadło. Seks? A gdzie tam. - Odchyliła się i potrząsnęła głową. - To było cztery lata temu, od tamtej pory jestem zupełnie innym człowiekiem.

- A jak jest teraz?

- Mieszkam w Mahopac i przez cztery dni w tygodniu pracuję w knajpie o nazwie Cicero's. Właściwie nie umiem już czytać - to znaczy, bądźmy poważni, kto czyta „New York Post”?

Czułem się, jakby mój żołądek wypełniał się kwasem siarkowym.

- Nie radzę sobie ze stresującymi sytuacjami, Eddie. Teraz jestem nakręcona, bo cię widzę, ale po tym spotkaniu głowa będzie mnie bolała trzy dni. Wierz mi, drogo za to zapłacę.

Wstała i wysunęła się z boku.

- I muszę się wysikać. A to następny kłopot. - Stała, patrzyła na mnie i drapała się po karku. - Ale po co ja ci o tym mówię?

Machnęła lekceważąco ręką i poszła do ubikacji.

Spojrzałem na drugi koniec sali, wstrząśnięty tym, co usłyszałem. Trudno mi było to pojąć. Przede wszystkim niesamowite wydawało mi się, że siedzieliśmy przy jednym stoliku, piliśmy piwo, rozmawialiśmy -ł że ona, ubrana w dzinsy i obszerny sweter, w tej chwili jest w ubikacji i sika. Ilekroć

w ciągu ostatnich dziesięciu lat myślałem o niej, oczami wyobraźni widziałem szczupłą, pełną życia Melisę, tę o długich czarnych włosach i wydatnych kościach policzkowych, która na moich oczach tysiące razy podciągała spódnice i sikała, ani na chwilę nie przestając mówić. Ale tamta Melissa najwyraźniej rozplynęła się w czasie i przestrzeni i była już tylko duchem. Nigdy więcej jej nie zobaczę, nie wpadnę na nią na ulicy. Zastąpiła ją Melissa, z którą utrzymywałem kontakt, ta, która ponownie wyszła za mąż i miała dzieci, która pracowała w magazynie „Iroquois” i pozwoliła, by jej płodny, nieokiełznany umysł został trwale uszkodzony przez jakiś nieprzetestowany i wcześniej nieznaną produkt farmaceutyczny...

167

I

Łzy napłynęły mi do oczu i poczułem ucisk w gardle. Moje ręce zaczęły drżeć. Co się ze mną dzieło? Minęły nagle dwadzieścia cztery godziny od czasu, kiedy wziąłem ostatnią tabletkę MDT, a już wyglądało na to, że na twardej chemicznej skorupie, która utworzyła się wokół mnie w ostatnich tygodniach, zarysowały się małe pęknięcia. Przez te szczeliny przesączały się silne uczucia i nie wiedziałem, jak sobie z nimi poradzić. Wyobraziłem sobie siebie szlochającego, pełzającego po podłodze, chodzącego po ścianach, i wszystko to wydawało mi się czymś naturalnym, co mogło przynieść ogromną ulgę. Zaraz jednak wróciła Melissa i musiałem spróbować wziąć się w garść. Usiadła naprzeciwko mnie i spytała:

- Dobrze się czujesz? Skinąłem głową.

- Nie wyglądasz dobrze.

- Chodzi o to, że... cieszę się, że znów cię widzę, Melisso, naprawdę. Ale tak mi przykro, że... no wiesz... to znaczy, nie mogę uwierzyć, że ty...

W tej chwili oczy wypełniły mi się łzami, które do tej pory usiłowałem powstrzymać. Zaciśnąłem pięści i wbiłem wzrok w blat.

- Przepraszam - powiedziałem po chwili i uśmiechnąłem się, choć pewnie mój grymas w niczym nie przypominał uśmiechu. Powtórzyłem „przepraszam” i ocierając oczy jedną ręką, kłykcie drugiej wbiłem w drewnianą ławę, na której siedziałem.

Mimo że nie patrzyłem na Melisę, wiedziałem, że ona też stara się wziąć w garść; polegało to na tym, że oddychała głęboko i raz po raz powtarzała pod nosem „cholera”.

- Słuchaj, Eddie - powiedziała w końcu - nie chodzi już o mnie ani o nas... tylko o ciebie.

Te słowa podziałały na mnie uspokajająco i próbowałem zastanowić się, jak je rozumieć.

Melissa mówiła dalej.

- Zadzwoń do ciebie, bo pomyślałam... sama nie wiem, pomyślałam, że jeśli bierzesz czy brałeś MDT, to powinieneś przynajmniej dowiedzieć się, co stało się ze mną. Ale nie miałam pojęcia, że jesteś tak... - pokręciła głową - ..-głęboko. No i kiedy przeczytałam ten artykuł w „Post”...

Zajrzałem do swojej szklanki. Nawet nie tknąłem piwa i raczej nie zamierzałem tego zrobić.

- Day-trading? Krótka sprzedaż akcji spółek biotechnologicznych? Nie mogłam w to uwierzyć. Musisz brać dużo MDT. Skinąłem głową.

168

- Ale co się stanie, jak zapas się skończy, Eddie? Dopiero wtedy będziesz miał prawdziwe kłopoty.

- Może mógłbym rzucić to teraz - powiedziałem, jakbym zastanawiał się na głos. - Albo stopniowo się od tego odzwyczaić. - Zawiesiłem głos i po chwili namysłu dodałem: - Ale nie ma żadnej gwarancji, że to by coś dało, zgadza się?

- Nie ma - potwierdziła. - Na twoim miejscu nie rzucałabym tego od razu. Ja tak zrobiłam. Widzisz, kluczem jest dawkowanie - ile i kiedy bierzesz. Odkryli to już po tym, jak zachorowałam, a tamten facet umarł.

- Czyli powinienem zmniejszyć dawkę? Przyhamować?

- Nie wiem. Tak myślę. Jezu, nie mogę uwierzyć, że Yernon nie powiedział ci o tym wszystkim.

Była szczerze zdumiona. Moja wersja wydarzeń - a przynajmniej ta jej część, którą Melissa poznała do tej pory - najwyraźniej nie trzymała się kupy.

- Yernon nie powiedział mi nic.

Zrozumiałem, że jeśli moja opowieść ma być przekonująca - a zarazem nie w pełni prawdziwa - będę musiał okłamać Melissę, i to w dość wyszukany sposób. Spodziewałem się bardzo niewygodnych pytań, na przykład: Ile razy widziałem się z Yernonem? Skąd wzięłem tak dużo MDT? Dlaczego nie próbowałem dowiedzieć się o tym czegoś więcej? Ale ku mojemu zaskoczeniu, Melissa nie zadała żadnego z nich, w ogóle o nic nie zapytała, i oboje zamilkliśmy na jakiś czas.

Kiedy zapalała następnego papierosa, pomyślałem, że Melissa, którą znałem przed dziesięcioma laty, drążyłaby temat do skutku, domagała się wyjaśnień, zmusiłaby mnie, bym przedstawił jej pełny obraz. Kobieta, która siedziała naprzeciwko mnie, nie miała już w sobie takiego ognia. Widziałem, że jest ciekawa, dlaczego kręcę, ale jednocześnie szkoda jej było czasu i energii na zajmowanie się takimi sprawami. Yernon nie żył. Powiedziała mi, co miała do powiedzenia na temat MDT. Oczywiście martwiła się o mnie. Ale co jeszcze mogła zrobić lub powiedzieć? W domu czekały na nią dzieci, musiała stawić czoło życiu, które wyglądało zupełnie inaczej niż to, jakie sobie wymarzyła czy do jakiego rościła sobie prawo. Była zmęczona.

Zostałem sam.

Melissa podniosła na mnie wzrok.

-Przykro mi, Eddie.

— Jedno pytanie - powiedziałem. - Ten klient Yernona, o którym wspominałaś, ten, który pracował w fabryce leków? Chyba powinienem z nim porozmawiać?

169

Od razu wyczytałem z jej twarzy, że nie jest w stanie mi pomóc.

- Spotkałam go tylko raz, Eddie, cztery lata temu. Nie pamiętam, jak się nazywał. Tom jakiś tam... albo Todd. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Naprawdę mi przykro.

Zaczynałem wpadać w panikę.

— A co z policją? Nie kontaktowali się ze mną od czasu, kiedy znalazłem Yernona. Rozmawiali z tobą? To znaczy... wiedzą, kto go zabił i dlaczego?

- Nie, ale wiedzą, że kiedyś był dealerem, więc pewnie zakładają, że chodziło o... jakieś zabawy z koką.

Przez chwilę milczałem, lekko poruszony użytym przez nią wyrażeniem. Po chwili namysłu, z nutą sarkazmu w głosie, powtórzyłem „zabawy z koką”. Kiedyś Melissa w ten sam sposób określiła nasze małżeństwo. Od razu zrozumiała aluzję i wydawało się, że jeszcze bardziej uszło z niej powietrze.

- Nadal cię to boli?

- Właściwie nie, ale dla mnie to nie były zabawy z koką...

- Wiem. To z jej powodu gadam takie rzeczy.

Mogłem zareagować na sto różnych sposobów, ale ponieważ nic innego nie przyszło mi do głowy, stwierdziłem tylko:

- To były dziwne czasy.

- Fakt.

- Kiedy je wspominam... sam nie wiem... mam wrażenie...

- Jakie?

- Właściwie nie ma co zawracać sobie tym głowy, ale teraz wiele rzeczy zrobiłbym inaczej.

Narzucające się pytanie - „jakich rzeczy?” - przez chwilę wisiało w powietrzu. W końcu Melissa powiedziała:

- Ja też.

Była już wyczerpana, a mnie coraz bardziej bolała głowa, więc uznałem, że nadszedł czas, by oszczędzić nam obojgu dalszego wstydu i bólu wywołanego napiętą rozmową, w którą się nieostrożnie wdaliśmy, a która, jeśli nie będziemy uważać, mogła okazać się ponad nasze siły.

Zebrałem się na odwagę i poprosiłem, by opowiedziała mi o swoich dzieciach. Miała dwie córki, ośmioletnią Ally i sześcioletnią Jane. Są wspaniałe, powiedziała, spodobałyby ci się - błyskotliwe, uparte, nie dają sobie w kaszę dmuchać.

Starczy; pomyślałem, dość już tego. Czuję, że muszę stamtąd wyjść.

Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut, a potem zaczęliśmy się zbierać.

Obiecałem Melissie, że będziemy w kontakcie, że dam jej znać, jak sobie

170

I

radzę, i że może któregoś dnia odwiedzę ją i dziewczynki w Mahopac. Zapisała adres na kartce. Rzuciłem na nią okiem i schowałem do kieszeni koszuli.

Zanim wyszliśmy, Melissa spojrzała mi w oczy i spytała:

- Co zamierzasz zrobić?

Powiedziałem jej, że nie jestem pewien, ale że wszystko będzie dobrze, że zostało mi jeszcze trochę MDT, więc mam spore pole manewru. Będę stopniowo zmniejszać dawkę i zobaczę, co to da. Nic mi się nie stanie. Ponieważ nie wspomniałem jej ani słowem o zanikach pamięci, czułem, że ją okłamuję. Ale nie sądziłem, by w tych okolicznościach mogła to zauważyć.

Skinęła głową. Może i mnie przejrzała - ale nawet jeśli, to co mogła zrobić?

Na Spring Street uściskaliśmy się na pożegnanie. Melissa pojechała taksówką na stację Grand Central, a ja wróciłem pieszo na Dziesiątą.

18

Po powrocie do domu wziąłem dwie tabletki excedrinu extra-strength. Potem położyłem się na kanapie i wbiłem wzrok w sufit, w nadziei, że ból - który koncentrował się za oczami i z każdą chwilą narastał - szybko zelżeje i zniknie bez śladu. Rzadko miewałem bóle głowy, więc nie wiedziałem, czy wywołała go rozmowa z Melissa, czy też był to objaw nagłego odstawienia MDT. Tak czy inaczej - a obie wersje wydawały mi się wtedy prawdopodobne - ogarniał mnie poważny niepokój.

Na domiar złego, pęknięcia na chroniącej mnie skorupie, które pojawiały się od rana, rozszerzały się coraz szerzej i ziały niczym otwarte rany. Raz po razie odtwarzałem w pamięci słowa Melissy, rozdarty między przerażeniem spowodowanym tym, co ją spotkało, i strachem przed tym, co mogło spotkać mnie. Nie dawała mi spokoju myśl o tym, jak szybko i bezpowrotnie nierozważna decyzja, nastrój, kaprys mogły zmienić ludzkie życie. Przypominałem sobie Donatellę Alvarez i było mi trudniej niż do tej pory po prostu wmówić sobie, że nie jestem odpowiedzialny za to, co się z nią stało - za to, jak szybko i bezpowrotnie zmieniło się jej życie. Pomyślałem o czasie spędzonym z Melissa i martwiłem się, zdręczałem, rozpamiętując, co mogłem zrobić inaczej.

Nie, to było niedopuszczalne. Musiałem szybko coś zrobić, bo inaczej będzie ze mną źle - wyląduję w bagnie, rozchoruję się, znajdę się

171

w punkcie, z którego nie ma odwrotu. Dlatego kiedy poczułem lekką ulgę po wzięciu excedrinu - choć ból stał się tylko nieco bardziej znośny - wstałem z kanapy i zacząłem chodzić po mieszkaniu z werwą, jakbym próbował uleczyć się siłą woli.

Wtedy coś mi się przypomniało.

Poszedłem do sypialni i otworzyłem szafę. Próbując nie zważać na łupanie w głowie, pochyliłem się i wyciągnąłem spod koca i sterty pism stare pudełko po butach. Wyjąłem z niego dużą brązową kopertę, w której schowałem pieniądze i tabletki. Zacząłem w niej grzebać, unikając hermetycznie zamkniętego plastikowego pojemnika z przeszło trzystu pięćdziesięcioma pigułkami. Szukałem czegoś innego - małego czarnego notesu Yernona.

Znalazłem go i zacząłem przeglądać strona po stronie. Było w nim mnóstwo nazwisk i numerów telefonów; część z nich została wykreślona i zastąpiona innymi. Tym razem rzuciło mi się w oczy nazwisko Deke'a Taubera, parę innych też wydało mi się znajomych, ale ku mojej irytacji - a sprawdziłem to kilka razy - nie znalazłem w notesie nikogo, kto miałby na imię Tom lub Todd.

A przecież wśród tych wszystkich nazwisk musiał być ktoś, kto mógł mi pomóc, ktoś, z kim mógłbym się skontaktować i uzyskać jakieś informacje. W końcu, pomyślałem, kim byli ci ludzie?

Choć odpowiedź była oczywista, a notes leżał w mojej szafie od wielu tygodni, dopiero teraz doznałem olśnienia - oczywiście była to lista klientów Yernona.

Kiedy uświadomiłem sobie, że wszyscy ci ludzie kiedyś używali MDT i może robili to nadal, byłem w lekkim szoku. Trochę ucierpiało na tym moje poczucie własnej wartości, bo choć nie miałem racjonalnych podstaw, by sądzić, że tylko ja poznałem niesamowite skutki działania MDT, wydawało mi się, że tak naprawdę nikt nie mógł w pełni doświadczyć tego co ja. Ta lekka zawiść nie dawała mi spokoju, kiedy po raz drugi czytałem nazwiska w notesie, ale nagle przyszło mi do głowy coś istotnego. Skoro wszyscy ci ludzie brali MDT, oznaczało to, że jednak można go używać bez bólu głowy i zaników pamięci, nie wspominając o trwałych uszkodzeniach mózgu.

Wziąłem następne dwa proszki od bólu głowy i dalej studiowałem notes. Im dłużej patrzyłem na te nazwiska, tym bardziej niektóre wydawały mi się znajome, aż w końcu udało mi się zidentyfikować mniej więcej połowę. Większość tych ludzi pochodziła ze świata biznesu, praco-

172

wała w nowo powstałych bądź niedużych firmach. Było też kilku pisarzy i dziennikarzy, a także architektów. Oprócz Deke'a Taubera żadna z tych osób nie była szerzej znana. Wszyscy cieszyli się pewnym uznaniem w swoich dziedzinach, więc uznałem, że przydałoby się poznać więcej szczegółów. Włączyłem komputer i wszedłem do Internetu.

Pomyślałem, że najlepiej będzie zacząć od Deke'a Taubera. W latach osiemdziesiątych handlował obligacjami - dużo zarabiał, ale jeszcze więcej wydawał. Któreś z Gantów znało go ze studiów, więc pojawiał się na przyjęciach, w barach i na różnych imprezach, wszędzie, gdzie można było dostać najlepszą kokę. Spotkałem go raz czy dwa, wydał mi się arogancki i odpychający. Po krachu w 1987 roku stracił pracę, przeniósł się do Kalifornii i słuch o nim zaginął.

Jednak przed mniej więcej trzema laty Tauber znów pojawił się w Nowym Jorku, jako przywódca podejrzanej sekty o nazwie Dekedelia, którą utworzył w Los Angeles. Początki były trudne, ale wkrótce liczba członków znacznie się zwiększyła i Tauber zaczął wydawać doskonale sprzedające się książki i kasety wideo. Założył firmę software'ową, otworzył sieć kawiarenek internetowych i wszedł w handel nieruchomościami. Dekedelia stała się biznesem wartym miliony dolarów, zatrudniającym przeszło dwieście osób, w większości członków sekty.

Kiedy przeglądałem informacje o innych ludziach z listy Yernona, zauważyłem pierwszą z dwóch prawidłowości. W ciągu ostatnich trzech czy czterech lat każda z tych osób zrobiła wielki krok naprzód. Weźmy Theodore'a Neala. Po dwudziestu latach tłuczenia nieautoryzowanych biografii ludzi show-biznesu i chałtur w różnych pismach nagle napisał błyskotliwą książkę o życiu Ulyssesa S. Granta, „zapierające dech w piersiach i oryginalne dzieło naukowe”, uhonorowane nagrodą Narodowego Koła Krytyków Literackich. Albo taki Jim Rayburn, prezes małej firmy fonograficznej Thrust, który w ciągu pół roku podpisał kontrakty z takimi artystami hiphopowymi, jak J. J. Rictus, Human Cheese i F. Train, a po następnym pół roku już miał całą półkę nagród Grammy i MTY.

Byli też inni - kierownicy średniego szczebla nagle awansujący na prezesów, adwokaci oczarowujący przysięgłych i uzyskujący nieoczekiwane uniewinnienia, architekci projektujący niesamowite drapacze chmur podczas lunchu, na serwetkach... to było naprawdę niezwykle.

Przez pulsujący ból za moimi oczami przedarła się jedna myśl: MDT--48 od lat był w użyciu. Inni stosowali go tak samo jak ja. Nie wiedziałem tylko, w jakich dawkach i jak często. Ja brałem MDT jak popadnie, jedną, dwie, czasem nawet trzy tabletki naraz, ale nie miałem pojęcia, czy naprawdę tylu potrzebują i czy łykanie większych ilości leku wzmaga

173

jego efekty i przedłuża działanie. Pomyślałem, że to tak jak z kokainą; po pewnym czasie wszystko zaczynało sprowadzać się do głodu. Prędzej czy później, jeśli prochy były dostępne, to właśnie on stawał się najważniejszym z bodźców.

Dlatego aby dowiedzieć się czegokolwiek o dozowaniu MDT, musiałem skontaktować się z kimś z listy - zadzwonić i spytać, co wie. Właśnie kiedy się za to wziąłem, zaczęła rysować się druga, bardziej niepokojąca prawidłowość.

Odłożyłem to do następnego dnia - bo bolała mnie głowa, bo miałem opory przed dzwonieniem do nieznanomych, bo bałem się tego, czego mogłem się dowiedzieć. Co kilka godzin brałem exceedrin i choć dzięki temu ból nieco zelżał, wciąż czułem tępe, nieustające łupanie za oczami.

Nie sądziłem, by udało mi się skontaktować z Dekiem Tauberem, więc pierwszą osobą z listy, do której zadzwoniłem, był dyrektor finansowy niedużej firmy z branży elektronicznej. Pamiętałem jego nazwisko z artykułu w „Wired”.

Odebrała kobieta.

- Dzień dobry - zacząłem - czy mógłbym rozmawiać z Paulem Kapłanem?

Kobieta nie odpowiedziała i przez krótką chwilę myślałem, że połączenie zostało przerwane.

- Halo? - powiedziałem na wszelki wypadek.

- Kto mówi? - spytała zmęczonym i zniecierpliwionym głosem.

- Jestem dziennikarzem - odparłem - z pisma „Electronics Today”...

- Proszę pana... mój mąż zmarł trzy dni temu.

Zatkało mnie. Co miałem powiedzieć? Panowała cisza. Wydawało się, że trwa całą wieczność. W końcu wykrztusiłem:

- Bardzo mi przykro.

Kobieta milczała. Słyszałem w tle stłumione głosy. Chciałem spytać, na co umarł jej mąż, ale nie potrafiłem tego odpowiednio ująć w słowa. Wtedy powiedziała:

-Przepraszam... dziękuję... do widzenia. I koniec.

Jej mąż umarł przed trzema dniami. To nie musiało nic znaczyć. Ludzie umierają każdego dnia.

Wybrałem inny numer i wykręciłem go. Czekałem, wpatrzony w ścianę.

- Tak? Męski głos.

174

- Czy mógłbym rozmawiać z Jerrym Bradym?

- Jeny jest w... — Urwał, po czym spytał: - Kto mówi? Wybrałem ten numer na chybił trafił i teraz uświadomiłem sobie, że

nie mam pojęcia, kim jest Jeny Brady, ani za kogo powinienem się podać; jaki niby mógłbym mieć powód, by dzwonić do niego w niedzielę rano?

- Jestem... jego znajomym.

Po chwili wahania mężczyzna powiedział:

- Jeny leży w szpitalu... -jego głos zadrżał lekko -.. .jest ciężko chory.

- O mój Boże. To straszne. Co mu się stało?

- Właśnie o to chodzi, że nie wiemy. Przed paroma tygodniami zaczął mieć silne bóle głowy, a w zeszły wtorek... nie, to była środa... zemdlął w pracy...

- Cholera.

- . . .a kiedy odzyskał przytomność, powiedział, że od rana kręci mu się w głowie i ma skurcze mięśni. Od tamtej pory na przemian budzi się i mdleje, ma drgawki, wymiotuje.

- Co powiedzieli lekarze?

- Nic konkretnego. Wie pan, jak to jest z lekarzami. Badania nie przyniosły jednoznacznych wyników. Ale coś panu powiem...

Zawiesił głos i cmoknął językiem. Oddychał szybko, jakby palił się do tego, by z kimś porozmawiać, ale nie mógł zapomnieć o tym, że jestem dla niego obcym człowiekiem. Ja sam zastanawiałem się, kim on jest- bratem Brady'ego? Kochankiem?

- Tak? - zachęciłem go.

- Rzecz w tym - podjął, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że teraz już nie ma znaczenia, kim jestem - że od kilku tygodni Jerry zachowywał się dziwnie, jeszcze zanim zaczęły się te bóle głowy. Jakby był czymś zaabsorbowany, a nawet zaniepokojony. A to było do niego zupełnie niepodobne. - Urwał na chwilę. - O mój Boże, powiedziałem „było”.

Zrobiło mi się słabo i oparłem się o ścianę.

- Nie będę panu zabierał więcej czasu - powiedziałem. - Proszę pozdrowić Jerry'ego ode mnie. -1 nie mówiąc nic więcej, odłożyłem słuchawkę.

Zataczając się, podszedłem do kanapy i zwałem się na nią. Leżałem bez ruchu przez pół godziny, przerażony, i raz po raz odtwarzałem w pamięci obie rozmowy.

W końcu wstałem i zmusiłem się, by podejść do telefonu. W notesie było czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, na razie zadzwoniłem do dwóch. Wybrałem inny numer, a potem drugi i trzeci.

175

I za każdym razem słyszałem to samo. Spośród ludzi, z którymi próbowałem się skontaktować, troje nie żyło, a reszta była chora - leżeli w szpitalu bądź w domu i mniej lub bardziej panikowali. W innych okolicznościach można by to uznać za miniepidemię, ale biorąc pod uwagę dużą różnorodność objawów - oraz fakt, że chorzy byli rozrzućeni po Manhattanie, Brooklynie, Queens i Long Island - nie należało się spodziewać, że ktokolwiek powiąże te przypadki ze sobą. Właściwie jedyną cechą wspólną wszystkich tych osób było to, że ich numery telefoniczne znajdowały się w tym małym notesie.

Siedząc na kanapie i masując skronie, spojrzałem na ceramiczną miskę na półce nad komputerem. Nie miałem wyboru. Jeśli nie wrócę do MDT, ból głowy nasili się i wkrótce pojawią się inne objawy, te, o których słyszałem przez telefon - zawroty głowy, mdłości, skurcze mięśni, upośledzenie czynności ruchowych. A potem śmierć. Wszyscy z listy Yernona umierali. Ze mną miałoby być inaczej?

Jednak coś mnie od nich wszystkich różniło, coś bardzo ważnego. Ja mogłem wrócić do MDT, gdybym tylko chciał. Oni nie. Ja miałem spory zapas MDT. Oni nie. Czterdzieści czy pięćdziesiąt osób cierpiało niewymowne męki spowodowane jego odstawieniem, bo ich zapasy wyczerpały się.

A moje nie.

Co więcej, moje dopiero co napocząłem, bo towar przeznaczony najwyraźniej dla wszystkich odbiorców - trafiłby do nich, gdyby Yernon nie umarł - od kilku tygodni był w moich rękach. Miałem z tego powodu potworne wyrzuty sumienia, ale co mogłem zrobić? W szafie zostało przeszło trzysta pięćdziesiąt tabletek, co dawało mi sporo czasu; gdybym miał podzielić się nimi z pięćdziesięcioma innymi osobami, nie skorzystałby na tym nikt. Zamiast umrzeć w tym tygodniu, umarlibyśmy w następnym.

Tak czy inaczej doszedłem do wniosku, że jeśli drastycznie zmniejszę przyjmowaną dawkę MDT, moje zapasy starczą na dłużej, a może przy okazji zapobiegnie to zanikom pamięci, a przynajmniej ograniczy ich liczbę.

Wstałem i podszedłem do biurka. Przez chwilę wpatrywałem się w ceramiczną miskę na półce, ale jeszcze zanim wyciągnąłem do niej rękę, wiedziałem, że coś jest nie tak. Miałem złe przeczucia, byłem zaniepokojony. Wziąłem miskę i zajrzałem do środka. Niepokój natychmiast przerodził się w panikę.

W misce były tylko dwie tabletki.

176

Bardzo powoli, zupełnie jakbym zapomniał, jak to się robi, usiadłem na krześle za biurkiem.

Przed paroma dniami włożyłem do miski dziesięć tabletek i od tamtej pory wziąłem tylko trzy. Co się więc stało z pozostałymi pięcioma?

Zakręciło mi się w głowie i przytrzymałem się oparcia.

Giennadij.

Kiedy poprzedniego dnia skończyłem rozmawiać przez telefon z kierownikiem mojego banku, Giennadij stał przy biurku odwrócony do mnie plecami.

Czy to on zabrał część tabletek?

Wydawało się to niemożliwe; mimo to wyteżyłem umysł, usiłując odtworzyć w pamięci tamto spotkanie. I wtedy sobie przypomniałem -kiedy podniosłem słuchawkę, żeby zadzwonić do Howarda Lewisa, odwróciłem się od Giennadija.

Przez następnych parę minut miałem przed oczami niesamowitą wizję Giennadija na MDT. Ile czasu minie, zastanawiałem się, zanim to trafi na ulicę, zanim ktoś zorientuje się, co to jest, wyprodukuje kopię, nada jej chwytliwą nazwę i zacznie handlować nią w klubach, na tylnych siedzeniach samochodów, na rogach ulic... Mikrodawki zmieszane ze speedem, dziesięć dolców za działkę... Nie sądziłem, by sprawy miały zajść aż tak daleko - przynajmniej na razie, w końcu Giennadij zdobył tylko pięć tabletek. Jednak biorąc pod uwagę działanie MDT, można było spokojnie założyć, że kiedy raz tego spróbuje, raczej nie będzie chciał zachować reszty na później. No i nie zapomni, gdzie to znalazł.

Wyjąłem z miski jedną z dwóch tabletek i starannie przekroiłem ją na pół. Połknąłem jedną połówkę. Potem usiadłem za biurkiem, myśląc o tym, jak drastycznie zmieniła się moja sytuacja w ciągu ostatnich kilku dni, jak wszystko zaczęło się sypać, walić w gruzy i zmierzać ku nieuchronnemu końcowi.

Jakieś dwadzieścia minut później, opadając coraz niżej na huśtawce nastrojów, nagle zdałem sobie sprawę, że ból głowy ustał.

19

Drzez następnych kilka dni każdego ranka przy śniadaniu brałem tylko I pół tabletki. W ten sposób wróciłem do „normalności” na tyle, na ile to było możliwe w tych okolicznościach. Początkowo miałem pewne obawy,

12 -Dawka geniuszu

177

ale kiedy przestały mnie nękać bóle głowy, trochę się odprężyłem i wmówiłem sobie, że być może znalazłem wyjście z sytuacji, a przynajmniej -skoro zostało mi jeszcze prawie siedemset takich dawek - zyskałem dość czasu na jego znalezienie.

Oczywiście, nie było to takie proste.

W poniedziałek rano spałem do dziewiątej. Na śniadanie zjadłem pomarańcze i grzanekę, wypłem kawę, a potem wypaliłem kilka papierosów. Wziąłem prysznic i ubrałem się. Włożyłem nowy garnitur - który nie był już taki nowy - i stanąłem przed lustrem. Musiałem pójść do Carla Van Loona, ale nagle poczułem się skrępowany na myśl, że miałbym gdziekolwiek się wybrać w takim stroju. Wydawało mi się, że wyglądam dziwnie. Chwilę później, kiedy wchodziłem do holu głównego Van Loon Building na Czterdziestej Ósmej, byłem tak onieśmielony, że wręcz czekałem, aż ktoś klepnie mnie w ramię, powie, że to wszystko było jedną wielką pomyłką i że pan Van Loon kazał wyprowadzić mnie z budynku.

Jadąc windą na sześćdziesiąte pierwsze piętro, zacząłem myśleć o umowie, w której zawarciu mieliśmy pośredniczyć z Van Loonem -wykupie MCL-Parnassus przez Abraxas. Od paru dni w ogóle się tym nie przejmowałem, a teraz, kiedy próbowałem przypomnieć sobie jakiegokolwiek szczegóły, wszystko zacierało mi się w pamięci. Po głowie chodziło mi wyrażenie „model wyceny wartości opcji”, powracało raz po razie -model wyceny wartości opcji, model wyceny wartości opcji - ale miałem bardzo mgliste pojęcie, co znaczyło. Wiedziałem też, że „rozbudowa infrastruktury szerokopasmowej” jest istotna, ale nie potrafiłem sobie uprzytomnić, dlaczego. Czułem się, jakbym zbudził się ze snu, w którym mówiłem jakimś obcym językiem, i zorientował się, że na jawie go nie znam, nic a nic z niego nie rozumiem.

Wyszedłem z windy do holu. W recepcji przez chwilę stałem nieruchomo, czekając, aż recepcjonistka zwróci na mnie uwagę. Była to ta sama kobieta, którą widziałem tu w poprzedni czwartek, więc kiedy spojrzała na mnie, posłałem jej uśmiech. Miała jednak taką minę, jakby zobaczyła mnie pierwszy raz w życiu.

- W czym mogę panu pomóc? Mówiła urzędowym, dość zimnym tonem.

- Eddie Spinola - przedstawiłem się - przyszedłem do pana Van Loona.

Zajrzała do terminarza i zaczęła kręcić głową. Wydawało się, że chce mi coś powiedzieć - może że pan Van Loon wyjechał z kraju albo że nie jestem wpisany do terminarza - ale właśnie wtedy z korytarza po lewej

178

stronie recepcji wyłonił się Van Loon we własnej osobie. Miał posępny minę, a kiedy wyciągnął rękę na powitanie, zauważyłem, że jest bardziej zgarbiony, niż mijając go tej pory wydawało.

- Eddie jak się czujesz?

e5 Carl. Już o wiele lepiej. ismy sobie dłonie.

- Świetnie. Świetnie. Wejdz.

Weszliśmy do jego gabinetu. Van Loon usiadł za biurkiem i wskazał mi krzesło.

Westchnął i przez chwilę kręcił głową.

- Ten tekst z piątkowego „Post” to nic dobrego - powiedział. - Nie chcemy żadnego rozgłosu, rozumiemy się?

Sknąłem głową, niepewny, jaki będzie ciąg dalszy.

- Hanl[^] cię nie zna; a negocjacje nadal trzymane są w tajemnicy, więc na razie nie ma się czym martwić. Ale raczej nie powinieneś pokazywać się w Lafayette.

- Jasne

~ Trzymaj się w cieniu. Handluj u nas. Jak już mówiłem, prowadzimy własną saię maklerską. Tam będziesz miał zapewniony spokój i dyskrecję. - Uśmiechnął się. - 1 żadnych zasranych baseballówek.

Ja też się uśmiechnąłem - ale tak naprawdę czułem się bardzo niewyraźnie, byłem podenerwowany, bałem się, że zaraz zacznę wymiotować.

- Później powiem komuś, żeby cię tam zaprowadził.

- Dobrze

- Druga sprawa, o której ci chciałem powiedzieć, to ta, że Hanka nie będzie jutro[^] w mieście. Może to i dobrze. Utknął w Los Angeles, więc nasze spotl[^]anie trzeba będzie przełożyć na... może środek czy nawet koniec przyszłego tygodnia.

- W Porządku - wymamrotałem, z trudem wytrzymując spojrzenie Van Loona. _ Pewnie. . . masz rację, to nawet lepiej.

- Tak. _ Wziął długopis z biurka i zaczął się nim bawić. - Ja też wyjeżdżali[^] więc to daje nam trochę czasu. W czwartek byliśmy trochę zagonieni, [^]je teraz możemy w spokoju doszlifować kwoty i razem przygotować naprawdę doskonały pakiet.

Podmostem głowę i zobaczyłem, że Van Loon coś mi daje. Wyciągnąłem rękę_ był to żółty notes, w którym w zeszły czwartek wyliczałem wartość op[^]ji

- Chcę[^] żebyś rozwinął te prognozy i podliczył wszystko na komputerze. - Odchrząknął. _ A propos, przejrzałem je i mam do ciebie parę pytań.

179

ale kiedy przestały mnie nękać bóle głowy, trochę się odprężyłem i wmówiłem sobie, że być może znalazłem wyjście z sytuacji, a przynajmniej -skoro zostało mi jeszcze prawie siedemset takich dawek - zyskałem dość czasu na jego znalezienie.

Oczywiście, nie było to takie proste.

W poniedziałek rano spałem do dziewiątej. Na śniadanie zjadłem pomarańcze i grzanekę, wypięm kawę, a potem wypaliłem kilka papierosów. Wziąłem prysznic i ubrałem się. Włożyłem nowy garnitur - który nie był już taki nowy - i stanąłem przed lustrem. Musiałem pójść do Carla Van Loona, ale nagle poczułem się skrępowany na myśl, że miałbym gdziekolwiek się wybrać w takim stroju. Wydawało mi

się, że wyglądam dziwnie. Chwilę później, kiedy wchodziłem do holu głównego Van Loon Building na Czterdziestej Ósmej, byłem tak onieśmielony, że wręcz czekałem, aż ktoś klepnie mnie w ramię, powie, że to wszystko było jedną wielką pomyłką i że pan Van Loon kazał wyprowadzić mnie z budynku.

Jadąc windą na sześćdziesiąte pierwsze piętro, zacząłem myśleć o umowie, w której zawarciu mieliśmy pośredniczyć z Van Loonem - wykupie MCL-Parnassus przez Abraxas. Od paru dni w ogóle się tym nie przejmowałem, a teraz, kiedy próbowałem przypomnieć sobie jakiegokolwiek szczegóły, wszystko zacierało mi się w pamięci. Po głowie chodziło mi wyrażenie „model wyceny wartości opcji”, powracało raz po razie - model wyceny wartości opcji, model wyceny wartości opcji - ale miałem bardzo mgliste pojęcie, co znaczyło. Wiedziałem też, że „rozbudowa infrastruktury szerokopasmowej” jest istotna, ale nie potrafiłem sobie uprzytomnić, dlaczego. Czułem się, jakbym zbudził się ze snu, w którym mówiłem jakimś obcym językiem, i zorientował się, że na jawie go nie znam, nic a nic z niego nie rozumiem.

Wyszedłem z windy do holu. W recepcji przez chwilę stałem nieruchomo, czekając, aż recepcjonistka zwróci na mnie uwagę. Była to ta sama kobieta, którą widziałem tu w poprzedni czwartek, więc kiedy spojrzała na mnie, posłałem jej uśmiech. Miała jednak taką minę, jakby zobaczyła mnie pierwszy raz w życiu.

- W czym mogę panu pomóc? Mówiła urzędowym, dość zimnym tonem.

- Eddie Spinola - przedstawiłem się - przyszedłem do pana Van Loona.

Zajrzała do terminarza i zaczęła kręcić głową. Wydawało się, że chce mi coś powiedzieć - może że pan Van Loon wyjechał z kraju albo że nie jestem wpisany do terminarza - ale właśnie wtedy z korytarza po lewej

178

stronie recepcji wyłonił się Van Loon we własnej osobie. Miał posępną minę, a kiedy wyciągnął rękę na powitanie, zauważyłem, że jest bardziej zgarbiony, niż mi się do tej pory wydawało.

- Eddie, jak się czujesz?

- Dobrze, Carl. Już o wiele lepiej. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Świetnie. Świetnie. Wejdz.

Weszliśmy do jego gabinetu. Van Loon usiadł za biurkiem i wskazał mi krzesło.

Westchnął i przez chwilę kręcił głową.

- Ten tekst z piątkowego „Post” to nic dobrego - powiedział. - Nie chcemy żadnego rozgłosu, rozumiemy się?

Skinąłem głową, niepewny, jaki będzie ciąg dalszy.

- Hank cię nie zna, a negocjacje nadal trzymane są w tajemnicy, więc na razie nie ma się czym martwić. Ale raczej nie powinieneś pokazywać się w Lafayette.

- Jasne.

- Trzymaj się w cieniu. Handluj u nas. Jak już mówiłem, prowadzimy własną salę maklerską. Tam będziesz miał zapewniony spokój i dyskrecję. - Uśmiechnął się. -1 żadnych zasranych baseballówek.

Ja też się uśmiechnąłem - ale tak naprawdę czułem się bardzo niewyraźnie, byłem podenerwowany, bałem się, że zaraz zacznę wymiotować.

- Później powiem komuś, żeby cię tam zaprowadził.

- Dobrze.

- Druga sprawa, o której ci chciałem powiedzieć, to ta, że Hanka nie będzie jutro w mieście. Może to i dobrze. Utknął w Los Angeles, więc nasze spotkanie trzeba będzie przełożyć na... może środek czy nawet koniec przyszłego tygodnia.

- W porządku - wymamrotałem, z trudem wytrzymując spojrzenie Van Loona. - Pewnie... masz rację, to nawet lepiej.

- Tak. - Wziął długopis z biurka i zaczął się nim bawić. - Ja też wyjeżdżam, więc to daje nam trochę czasu. W czwartek byliśmy trochę zagonieni, ale teraz możemy w spokoju doszlifować kwoty i razem przygotować naprawdę doskonały pakiet.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Van Loon coś mi daje. Wyciągnąłem rękę. Był to żółty notes, w którym w zeszły czwartek wyliczałem wartość opcji.

- Chcę, żebyś rozwinął te prognozy i podliczył wszystko na komputerze. - Odchrząknął. - A propos, przejrzałem je i mam do ciebie parę pytań.

179

Odchyliłem się i wbiłem wzrok w szeregi liczb i symboli ciasno upchane na pierwszej stronie notesu. Choć bez wątplenia napisane były moim charakterem pisma, niewiele mogłem z tego wszystkiego zrozumieć, czułem się, jakbym patrzył na jakieś dziwaczne hieroglify. Stopniowo zaczęły nabierać w moich oczach znajomych kształtów i uznałem, że gdybym skupił się na tym przez godzinę czy dwie, pewnie udałoby mi się je rozszyfrować.

Ale naprzeciwko mnie siedział Carl Van Loon i wiedziałem, że parę godzin nie wchodzi w grę. To była pierwsza poważna wskazówka, że przyjmowanie mniejszych dawek ma tylko jeden skutek: zapobiega bólom głowy. Poza tym nie działało się ze mną nic i byłem coraz bardziej świadom tego, co to znaczy być „normalnym”. Po pierwsze, nie mogłem wpływać na ludzi i sprawiać, by gorąco pragnęli coś dla mnie zrobić. Po drugie, nie mogłem niezawodnie polegać na instynkcie. No i nie potrafiłem przypomnieć sobie rozmaitych szczegółów i robić szybkich obliczeń.

- Widzę tu parę nieścisłości - powiedziałem, próbując zyskać na czasie. - Fakt, byliśmy zagonieni.

Przewróciłem kartkę i wstałem z krzesła. Udając, że koncentruję się na prognozach, chodziłem w tę i we w tę, szukając czegoś, co mógłbym powiedzieć -jak aktor, który zapomniał swojej kwestii.

- Chciałem cię spytać - powiedział Van Loon zza biurka - dlaczego okres ważności tej trzeciej opcji różni się od pozostałych?

Patrzyłem na niego przez sekundę, wymamrotałem coś i wbiłem wzrok w notes. Wpatrywałem się w skupieniu w moje własne wyliczenia, ale w głowie miałem pustkę i wiedziałem, że nie mogę liczyć na nagłe olśnienie.

- Trzeciej? - powiedziałem, przewracając kartki. Wreszcie zamknąłem notes i włożyłem go pod pachę.

- Wiesz co, Carl - mruknąłem, patrząc na niego - muszę to dokładnie przejrzeć. Podliczę wszystko w domu na komputerze, a wtedy może będziemy mogli...

- Trzecia opcja, Eddie - nagle podniósł głos. - O co, kurwa, chodzi? Nie odpowiesz mi na proste pytanie?

Stałem około pięciu metrów od człowieka, który gościł na okładkach wielu pism -miliardera, przedsiębiorcy, symbolu finansowego sukcesu-i człowiek ten na mnie krzyczał. Nie wiedziałem, jak zareagować. Byłem zagubiony. Bałem się.

Na szczęście zadzwonił telefon. Van Loon podniósł słuchawkę i warknął:

- Czego?

Odczekałem sekundę, po czym odsunąłem się, by mógł swobodnie rozmawiać. Lekko drżały mi ręce i znów poczułem mdłości.

180

- Nie, tych nie wysyłaj - mówił Van Loon - porozmawiaj z Mancu-so, zanim cokolwiek zrobisz... A co do terminów dostawy...

Z ulgą, że mam chwilę spokoju, podryfowałem przez ogromny gabinet w stronę okien. Sięgały podłogi i wychodziły na zachód; widok częściowo zasłaniały zawieszane na nich żaluzje. Kiedy Van Loon skończy rozmawiać przez telefon, powiem mu, że mam migrenę i nie mogę się skupić. Wszystkie obliczenia robiłem na jego oczach w czwartek i szczegółowo je omawialiśmy, więc nie mógł wątpić, że dobrze znam materiał. W tej chwili najważniejsze dla mnie było, aby stąd jak najszybciej wyjść.

Czekając, rozejrzałem się po gabinecie. Przypominał przestronną, surową poczekalnię na dworcu kolejowym zaprojektowanym w stylu art deco. Kiedy podszedłem do okna, odniosłem wrażenie, że Van Loon jest daleko za mną i że gdybym się obejrzał, byłby ledwo widoczną na horyzoncie figurką, niemal niesłyszalnym głosem mówiącą o terminach dostaw. Po mojej stronie gabinetu stały czerwone skórzane kanapy i niskie szklane stoliki, na których rozrzucone były pisma o tematyce biznesowej.

Kiedy wyglądałem przez przysłonięte żaluzjami okno, prawie od razu rzucił mi się w oczy połyskujący szpic Niebiańskiego na West Side. Z tego punktu widzenia wydawał się ściśnięty wśród kilkunastu innych drapaczy chmur, ale przyglądając się uważniej, można było zauważyć, że tak naprawdę stoi w głębi, z dala od pozostałych. Niesamowite wydało mi się to, że byłem tam przed paroma dniami i zastanawiałem się nad kupnem apartamentu - i to jednego z droższych...

Dziewięć i pół miliona dolarów.

- Eddie! Odwróciłem się.

Van Loon odłożył słuchawkę i ruszył w moją stronę. Zebrałem siły.

- Coś mi wypadło, Eddie. Muszę lecieć. Przepraszam. - Teraz przybrał przyjacielski ton. Skinął głową w stronę notesu, który trzymałem pod pachą. - Pogadamy, jak podliczysz to wszystko. Jak mówiłem, nie ma mnie do weekendu, więc chyba czasu ci starczy. - Klasnął w dłonie. -Może chcesz rzucić okiem na naszą salę maklerską? Zawołam Sama Wellesa, on ci wszystko pokaże.

- Wolałbym wrócić do domu i zająć się tymi obliczeniami, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziałem i ścisnąłem notes pod pachą.

- Ale to ci zajmie tylko... - Van Loon urwał i wpił się we mnie wzrokiem. Widziałem, że był zdziwiony i pewnie nadal czuł do mnie lekką niechęć, ale wyraźnie nie rozumiał, skąd ona się wzięła i jak sobie z nią poradzić. - Co jest z tobą, Eddie? Chyba nagle nie zmiękłeś, co?

181

-Nie, ja...

- Bo to gówno nie jest dla mięczaków.

- Wiem, tylko że...

- A ja narażam swój tyłek, Eddie. Nikt o tym nie wie. Jeśli nawalisz, jeśli komuś coś powiesz... moją wiarygodność szlag trafi.

- Wiem, wiem. - Wskazałem notes, który trzymałem pod pachą. -Po prostu chcę, żeby wszystko grało.

Van Loon przez chwilę patrzył mi w oczy, po czym westchnął, jakby chciał powiedzieć: „To miło”. Odwrócił się i ruszył w stronę biurka. Poszedłem za nim.

- Zadzwoni, jak skończysz - powiedział. Odwrócony do mnie plecami, zaglądał do czegoś, terminarza albo notesu. - Nie później niż w przyszły wtorek lub środę.

Zawahałem się, ale wtedy dotarło do mnie, że właśnie zostałem odprawiony. Wyszedłem z gabinetu bez słowa.

W drodze do domu wpadłem do Gristede's i kupiłem kilka piw i dużych paczek chipsów. Po powrocie do mieszkania usiadłem za biurkiem, wyjąłem grubą teczkę z materiałami, którą Van Loon przysłał mi w ubiegłym tygodniu, i zebrałem swoje notatki. Pomyślałem, że jeśli jakoś dojdę z tym wszystkim do ładu, nie będzie źle. Będę tak dobrze poinformowany jak wtedy, kiedy zaimponowałem Van Loonowi swoją propozycją dotyczącą struktury umowy.

Zacząłem od raportów kwartalnych MCL-Parnassus. Rozłożyłem je na biurku, otworzyłem pierwszą paczkę chipsów i butelkę piwa i zacząłem czytać.

Dopiero po ponad dwóch godzinach wytrwałego przewracania kartek przyznałem sam przed sobą, że ten materiał nie tylko przeraźliwie mnie nudził, ale i niewiele z niego rozumiałem. Cały problem polegał na tym, że nie mogłem sobie przypomnieć, jak interpretuje się tego rodzaju dane. Rzuciłem okiem na inne dokumenty. Choć okazały się nieco mniej nieprzystępne, były równie nudne. Nie

dałem jednak za wygraną i postarałem się przeczytać wszystko - a przynajmniej przebiec oczami po każdym słowie i każdej linijce, niczego nie opuścić.

Około dziesiątej skończyły mi się chipsy i piwo, zamówiłem więc chińszczyznę. Po północy wreszcie się poddałem i poszedłem spać.

182

Następnego ranka uzmysłowiłem sobie coś, co mnie przeraziło. Poprzedniego dnia przez osiem godzin męczyłem się z tym, co niedawno przeczytałem w czterdzieści pięć minut. Próbowałem sobie coś z tego przypomnieć, ale w pamięci miałem tylko jakieś fragmenty, ogólniki. Wcześniej pamiętałem wszystko, od pierwszej do ostatniej strony, znałem ten materiał na wylot.

Pokusa, by wziąć kilka tabletek MDT, była bardzo silna, ale jej nie uległem. Gdybym to zrobił, skończyłoby się kolejnymi zanikami pamięci i co by mi to dało? Dlatego przez następnych parę dni wszystko pozostawało bez zmian. Siedziałem w domu i z mozołem studiowałem setki stron dokumentów, wychodząc tylko po takie rzeczy, jak chipsy, cheeseburge-ry i piwo. Oglądałem sporo telewizji, ale z rozmysłem unikałem serwisów informacyjnych i programów publicystycznych. Wyłączyłem telefon. W głębi ducha łudziłem się, że jakoś sobie poradzę z materiałami od Van Loona, ale z upływem czasu musiałem przyznać, że bardzo niewiele z nich zapamiętywałem.

W środę wieczorem poczułem, że znów zaczyna mnie boleć głowa. Nie wiedziałem, jaka była tego przyczyna, może nadmiar piwa i niezdrowego żarcia, ale kiedy do czwartku rano nie poczułem się lepiej, postanowiłem zwiększyć dawkę MDT do jednej tabletki dziennie. Po mniej więcej dwudziestu minutach ból głowy ustał, a ja - rzecz jasna - zacząłem się niepokoić. Kiedy znów będę musiał zwiększyć dawkę? Ile czasu minie, zanim zacznę łykać trzy czy nawet cztery pigułki każdego ranka tylko po to, by zapobiec bólom?

Znów wyjąłem mały notes Yernona i przejrzałem go. Nie miałem ochoty przejść przez to samo co poprzednio, ale uznałem, że jeśli został mi choćby cień szansy, to należało go szukać właśnie tu. Postanowiłem zadzwonić do paru osób, których numery zostały wykreślone. Może okaże się, że należą do byłych klientów, którzy jeszcze żyją, a nawet są zdrowi, no i zechcą ze mną porozmawiać. A może - co bardziej prawdopodobne - dowiem się, że są byłymi klientami, bo już nie żyją. Ale warto było spróbować.

Wykręciłem pięć numerów. Pierwsze trzy były nieaktualne. Pod czwartym nikt się nie zgłosił, nie włączyła się też automatyczna sekretarka. Udało się dopiero za piątym razem.

- Słucham?

- Czy mógłbym rozmawiać z Donaldem Geislerem?

- Przy telefonie. Pan w jakiej sprawie?

183

- Byłem znajomym Yernona Ganta. Nie wiem, czy pan słyszał, ale niedawno go zamordowano, a ja...

Facet odłożył słuchawkę.

Ale przynajmniej miałem jakiś odzew. No i trafiłem na żywego człowieka. Odczekałem dziesięć minut i zadzwoniłem jeszcze raz.

- Słucham?

- Proszę nie odkładać słuchawki. Proszę.

Przez chwilę panowała cisza, ale Donald Geisler nie rozłączył się.

- Potrzebuję pomocy - zacząłem - a może informacji. Sam nie wiem.

- Skąd wziął pan ten numer?

- Był w notesie Yernona.

- Cholera!

- Ale poza tym nie było tam nic...

- Jest pan policjantem? Prowadzi pan śledztwo? -Nie. Yernon był moim starym znajomym.

- Nie podoba mi się to.

- Był też moim byłym szwagrem.

- To dla mnie żadna pociecha.

- Niech pan słucha, chodzi o...

- Proszę nie mówić o tym przez telefon. Znów mnie замуrowało. On wiedział.

- Dobrze, nie będę. Ale czy mógłbym z panem porozmawiać? Potrzebuję pańskiej pomocy. To znaczy, widzę, że wie pan...

- Potrzebuje pan mojej pomocy? Nie sądzę. -Ależtak, bo...

-Zaraz odłożę słuchawkę. Proszę więcej do mnie nie dzwonić. I niech pan nie próbuje się ze mną kontaktować ani...

- Panie Geisler, ja być może umieram.

- O Chryste. -I potrzebuję...

- Zostaw mnie w spokoju, dobrze? Rzucił słuchawkę.

Serce waliło mi w piersi.

Jeśli Donald Geisler nie chciał ze mną rozmawiać, nie mogłem nic na to poradzić. Pewnie i tak nie potrafiłby mi pomóc, ale frustrujące było to, że tak szybko straciłem kontakt z kimś, kto najwyraźniej wiedział, czym jest MDT.

Nie miałem ochoty dłużej tego ciągnąć, więc odłożyłem notes. Potem, szukając jakiegokolwiek zajęcia, wróciłem za biurko i wziąłem do ręki dokument, który wcześniej ściągnąłem z finansowej strony internetowej i wydrukowałem.

184

Otworzyłem go i zacząłem czytać.

Był to wysoce specjalistyczny artykuł o ustawodawstwie antymonopolowym i po przebrnięciu przez trzy strony zupełnie straciłem zainteresowanie. Po chwili przestałem czytać, odłożyłem go i zapaliłem papierosa. Siedziałem tak całe wieki, zaciągając się i patrząc pustym wzrokiem przed siebie.

Po południu wybrałem się do banku. Następnego ranka miał przyjść do mnie Giennadij po drugą ratę długu i chciałem być gotowy. Wybrałem przeszło 100 000 dolarów w gotówce, pragnąc oddać całą kwotę za jednym zamachem - włącznie z honorarium i tak dalej. W ten sposób pozbędę się go na dobre. Jeśli to on zabrał pięć tabletek MDT - a to było jedyne przekonujące wyjaśnienie ich zniknięcia - nie chciałem, by co piątek przychodził do mojego mieszkania.

Kiedy czekałem, aż przygotują gotówkę, kierownik banku Howard Lewis, łysiejący facet z dużą nadwagą, zaprosił mnie do swojego gabinetu na krótką pogawędkę. Ten chodzący atak serca wydawał się zaniepokojony faktem, że po moich początkowych licznych transakcjach w Klon-dike i Lafayette - których wynikiem było, trzeba przyznać, kilka całkiem sporych depozytów - sprawy jakoś...

-... cóż, przycichły.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- No i jest jeszcze kwestia tych dużych wypłat w gotówce, panie Spinola.

- To znaczy? - powiedziałem takim tonem, jakbym chciał dodać: „To nie twój zasrany interes”.

- Właściwie nic takiego, panie Spinola, ale... cóż, w świetle tego artykułu w piątkowym „Post” na temat...

- To znaczy?

- Wie pan, to wszystko bardzo... odbiega od norm. W dzisiejszych czasach nie można być zbyt...

- Dzięki licznym transakcjom, które zawierałem w Lafayette, panie Lewis - powiedziałem, z trudem powściągając złość - obecnie prowadzę rozmowy w sprawie objęcia stanowiska starszego maklera w Van Loon & Associates.

Spojrzał na mnie, jakbym właśnie potwierdził jego najgorsze obawy.

Zadzwonił telefon i Lewis podniósł szybko słuchawkę. Kiedy rozmawiał, rozejrzałem się. Moje oburzenie zachowaniem Lewisa osłabło, gdy zobaczyłem swoje odbicie w srebrnej ramie zdjęcia stojącego na

185

jego biurku. Byłem nieogolony, miałem na sobie stare dżinsy i T-shirt -starszy makler w Van Loon & Associates nie ubrałby się tak nawet w wolny dzień.

Howard Lewis skończył rozmawiać, wcisnął inny guzik w telefonie, przez chwilę słuchał, po czym spojrzał na mnie bez wyrazu. - Pieniądze są gotowe, panie Spinola.

Giennadij zjawił się u mnie o wpół do dziesiątej. Obudziłem się dwadzieścia minut przed jego przyjściem i byłem jeszcze półprzytomny. Zamierzałem wstać wcześniej, ale od około siódmej na przemian budziłem się i zasypiałem, dryfując między snem a jawą. Kiedy w końcu zwlokłem się z łóżka, zacząłem dzień od kolejnej dawki MDT. Potem zdjąłem miskę z półki nad komputerem, zaparzyłem kawę i czekałem na Giennadija w bokserkach i T-shircie.

Były dwie możliwości. Albo wziął tabletki - a wtedy na pewno na jednej nie poprzestał - albo z jakiegoś powodu tego nie zrobił. Uznałem, że kiedy go zobaczę, wszystko stanie się jasne.

- Dzień dobry - powiedziałem, przyglądając mu się uważnie, kiedy wyłonił się z przedpokoju.

Skinął głową, ale nie odezwał się ani słowem. Patrzyłem, jak w milczeniu rozgląda się po moim mieszkaniu. Początkowo myślałem, że szuka schowanej miski, ale zaraz zrozumiałem, że przede wszystkim nie może się nadziwić, jak wiele się tu zmieniło od jego ostatniej wizyty. Zauważyłem to dopiero teraz, kiedy podążyłem oczami za jego wzrokiem. W mieszkaniu panował nieopisany bałagan. Po podłodze walały się papiery, dokumenty i teczki. Na kanapie leżało puste pudełko po pizzy, a na biurku obok komputera kilka kartonów po chińszczyźnie. Gdziekolwiek spojrzeć, widać było puszki po piwie i kubki, pełne popielniczki, płyty kompaktowe i ich okładki, brudne koszule i skarpety.

- Co ty, kurwa, w chlewie żywiesz? Wzruszyłem ramionami.

- W dzisiejszych czasach trudno o dobre gosposie. Zmarszczył brwi, lekko zdziwiony, a ja od razu domyśliłem się, że

nie jest na MDT - przynajmniej nie w tej chwili.

- Gdzie forsa?

Zauważyłem, że mówiąc to, zerknął na półkę nad komputerem. Kiedy nie zobaczył tego, co spodziewał się zobaczyć, przysunął się bliżej biurka i kontynuował swoje dyskretne poszukiwania.

- Chcę od razu spłacić cały dług - powiedziałem.

186

I

Torba z całą kwotą w gotówce stała na jednym z regałów z książkami. Zdjąłem ją stamtąd.

Giennadij potrząsnął głową na jej widok.

- Co? - spytałem.

- Dwadzieścia dwa i pół.

- Chcę sptłaci całość.

- Nie mozesz. -Ale...

- Dwadzieścia dwa i pół.

Miałem powiedzieć coś jeszcze, ale to byłoby zupełnie bezcelowe. Westchnąłem, przeniosłem torbę na stół, zrobiłem trochę wolnego miejsca i zacząłem odliczać 22 500 dolarów. Kiedy skończyłem, dałem plik banknotów Giennadijowi, a on schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Czytałeś scenariusz? - zapytałem. Westchnął i pokręcił głową.

- Niet czasu. Mnogo roboty. Jeszcze raz zerknął na biurko.

- Może następnym razem - powiedział i wyszedł.

Po wyjściu Giennadija spróbowałem trochę posprzątać, ale szybko mi się to znudziło. Usiadłem na kanapie i usiłowałem przeczytać artykuł z ostatniego numeru „Fortune”, przegląd najciekawszych nowinek w handlu elektronicznym, lecz po jednym czy dwóch akapitach zapadłem w drzemkę i pismo wypadło mi z ręki na podłogę. Późnym popołudniem wziąłem prysznic i ogoliłem się. Ubrałem się, wyjąłem garść gotówki z torby, którą zostawiłem na stole w jadalni, i wyszedłem - właściwie po raz pierwszy od niemal tygodnia, nie licząc wypadów do sklepu po jedzenie. Zawędrowałem do West Yillage, zajrzałem do paru barów, które od czasu do czasu odwiedzałem, i zacząłem pić wódkę z martini.

Pod koniec wieczoru znalazłem się, pod sporym gazem, w cichym lokalu na rogu Drugiej Alei i Dziesiątej. Siedziałem przy kontuarze; kawałek dalej, nad kasa, był telewizor tkwiący na wbitych w ścianę wspornikach. Właśnie leciał jakiś film - sądząc z fryzur i ubrań aktorów, nakręcony w 1983 lub 1984 roku. Dźwięk był ściszony, ale barman podgłośnił go, kiedy tylko zaczął się serwis informacyjny.

Głos spikera zagłuszył wszystkie rozmowy i gwar natychmiast ucichł. Wszyscy jak na komendę wbili mętny wzrok w ekran i wysłuchali najważniejszych wiadomości.

187

- Rokowania w sprawie pokoju na Bliskim Wschodzie załamały się po dwóch tygodniach intensywnych negocjacji. Huragan Ju-lius nadciąga nad południowe wybrzeża Florydy, ' wyrządzając wielkie szkody. Dziś po południu zmarła Donatella Alvarez, od dwóch tygodni pozostająca w stanie śpiączki po brutalnej napaści w pokoju hotelowym na Manhattanie. Policja prowadzi szeroko zakrojone śledztwo w sprawie zabójstwa.

Zszokowany wpatrywałem się w ekran, podczas gdy spiker zaczął opowiadać o rozmowach pokojowych. Złapałem się krawędzi kontuaru i mocno ją ścisnąłem. Po paru sekundach coś wymamrotałem - może ktoś to usłyszał, może nie - i odwróciłem się, by zejść ze stołka.

Przez chwilę stałem w miejscu, chwiejąc się na nogach. Sala zaczęła wirować mi przed oczami, a ja, zataczając się, przeszedłem kilka metrów dzielących mnie od drzwi. Ledwie znalazłem się na zewnątrz, cała wypita przeze mnie tego wieczoru wódka z wermutem i oliwkami wylądowała na chodniku.

Piłem przez cały weekend, głównie wódkę i najczęściej w domu. Cóż innego miałem robić? Właśnie stałem się głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo - całe szczęście, że pod przybranym nazwiskiem - więc w tych okolicznościach jeden mały drink czy dwa jak najbardziej mi się należały. Przestałem też udawać, że czytam „materiały”, i znów zacząłem śledzić wiadomości w telewizji. Całymi godzinami oglądałem jakieś bzdurne programy, rzucając pijackie obelgi podczas oczekiwania na kolejne biuletyny.

Media nie miały wiele do powiedzenia na temat samej Donatelli Alva-rez - umarła i tyle. Większość komentatorów koncentrowała się na politycznych skutkach jej śmierci. Coraz głośniejsze domagano się rezygnacji sekretarza obrony. Napaść na Alvarez na nowo roznieciła wrzawę wywołaną uwagami Caleba Hale'a dotyczącymi Meksyku; jej śmierć dołączyła oliwy do ognia. Nie śledziłem tej historii zbyt uważnie, ale mniej więcej wiedziałem, o co chodzi - było to jedno z tych dziwnych zdarzeń, które zaczyna żyć własnym życiem i wnika w obieg informacji niczym jakiś wirus.

Przed mniej więcej sześcioma tygodniami Caleb Hale rzekomo powiedział na prywatnym spotkaniu, że Meksyk stał się ciężarem dla Sta-

188

nów Zjednoczonych i że „powinniśmy się zastanowić, czy po prostu nie dokonać inwazji na ten cholerny kraj”. Informator, który ujawnił to „Los Angeles Times”, twierdził, że Hale wymienił korupcję, walki wewnętrzne, załamanie prawa i porządku, kryzys zadłużeniowy i przemysł narkotyków jako pięć wierzchołków „pięciokąta niestabilności Meksyku”. Co więcej, zacytował podobno słowa Johna O'Sullivan'a o amerykańskim „boskim przeznaczeniu do zajęcia całego kontynentu” i wspomniawszy swój komentarz zamieszczony w jednej z gazet, zatytułowany Meksyk: Iran za miedzą. Caleb Hale natychmiast wystosował dementi, w którym tak naprawdę niczemu nie zaprzeczył, po czym w wywiadzie powtórzył mniej więcej wszystko to, czego rzekomo nie powiedział. Uważano, że prezydent stoi po stronie Hale'a, bo nie tylko nie zgodził się zdymisjonować sekretarza obrony, ale i nie potępił jego wypowiedzi - co, oczywiście, wywołało całą masę komentarzy i spekulacji. Początkowo wszyscy byli zaszokowani i zdezorientowani, ale z upływem czasu pewne wpływowe kręgi wyraźnie przekonały się do pomysłów sekretarza obrony i pierwsze komentarze podające w wątpliwość jego zdrowy rozsądek nieco złagodniały, a niektóre zmieniły się nawet w szeroką aprobatę dla - delikatnie mówiąc - twardszego kursu w polityce zagranicznej.

A teraz, kiedy doszło do zabójstwa, które uznano za popełnione z pobudek rasowych, debata stała się jeszcze bardziej zażarta. Telewizja pokazywała wywiady, dyskusje panelowe, krótsze i dłuższe wypowiedzi, meldunki zaaferyowanych reporterów z zakurzonych nadgranicznych miasteczek, zdjęcia Rio Grandę z lotu ptaka. Patrzyłem na to wszystko z mojej kanapy, ze szklanką w dłoni, i wciągnęło mnie to tak, jakbym oglądał operę mydlaną - ciągle zapominając w alkoholowej euforii, że może brakuje tylko jednego odcisku palca czy badania DNA, bym sam stał się jednym z głównych aktorów, że jestem niebezpiecznie blisko oka cyklonu.

W ciągu weekendu euforia przeszła najpierw w odrętwienie, potem w niepokój i wreszcie lęk. Przerzuciłem się na inne programy. Drastycznie ograniczyłem liczbę oglądanych serwisów

informacyjnych, a kiedy zbliżał się niedzielny wieczór, w ogóle zacząłem ich unikać. Łatwiej było przełączyć telewizor na kanały z powtórkami starych seriali.

W poniedziałek próbowałem zachować trzeźwość, ale niezbyt dobrze mi to wyszło. Po południu wypiliśmy kilka piw, a wieczorem otworzyłem butelkę wódki. Przez większość czasu słuchałem muzyki i w końcu zwałem się na łóżko w ubraniu. W ciągu poprzedniego tygodnia z dnia

189

na dzień robiło się coraz cieplej i praktycznie co noc zostawiałem okno otwarte, ale kiedy ocknąłem się około czwartej rano, natychmiast poczułem, że temperatura spada. Było o wiele chłodniej niż wtedy, gdy kładłem się spać. Dygocąc, wstałem z kanapy i zamknąłem okno. Usiadłem z powrotem na kanapie i wbiłem wzrok w niebieskawy mrok nocy, ale drżenie nie ustało. Uświadomiłem sobie, że kołacze mi serce i czuję nieprzyjemne mrowienie rąk i nóg, co na pewno nie było normalne. Próbowałem ustalić, co się właściwie ze mną dzieje. Jedną z możliwości była taka, że mój organizm domagał się alkoholu. Mogłem temu zaradzić na kilka sposobów - ubrać się i pójść do baru, wyskoczyć do koreańskiego sklepu w pobliżu i kupić parę sześciopaków bądź po prostu wypić sherry, którego używałem do gotowania. Tak naprawdę jednak nie sądziłem, by chodziło o alkohol, bo na samą myśl o wyjściu do oświetlonego neonami sklepu pełnego ludzi ogarniał mnie paniczny strach.

O to więc chodzi, pomyślałem, miałem pieprzony atak paniki. Oddychałem głęboko i waliłem dłonią w poduszkę. Była czwarta nad ranem. Nie mogłem do nikogo zadzwonić. Nie mogłem wyjść ani zasnąć. Czułem się jak szczur w potrzasku.

Jakoś to jednak wytrzymałem, nie podnosząc się z kanapy. To było jak rozległy atak serca, który trwał godzinę, ale nie skończył się śmiercią, nie miał nawet żadnych przykrych następstw; żaden lekarz nie wykryłby niczego, nawet gdyby poddał mnie całej serii badań.

Następnego dnia uznałem, że muszę coś zrobić. Za szybko się staczałem i wiedziałem, że jeśli tak będzie dalej, w końcu stracę wszystko -choć jak w tej sytuacji należało rozumieć słowo „wszystko”, było kwestią otwartą. Tak czy inaczej, musiałem coś zrobić. Ale co? Najpilniejsza w tej chwili była sprawa Donatelli Alvarez, tu jednak nie miałem żadnego pola manewru. Pozostawał jeszcze Carl Van Loon. Prawdę mówiąc, kontakty z nim wydawały mi się czymś, co zdarzyło się w zamierzczłej przeszłości. Trudno mi było przyjąć do wiadomości, że naprawdę z nim pracowałem, zwłaszcza nad czymś tak nieprawdopodobnym jak finansowe aspekty umowy o przejęcie firmy. Nasze spotkania - w Orpheus Room, w jego mieszkaniu, w biurze, w Four Seasons - w mojej pamięci bardziej przypominały majaki niż autentyczne wspomnienia i wydawało się, że rządzi nimi pokręcona logika snów.

Z drugiej strony, nie mogłem zignorować tej sytuacji. Już nie. Nie mogłem nie zauważać rzeczywistości, która kłuła mnie w oczy, ilekroć patrzyłem na swoje własne zapiski w żółtym notesie Van Loona. Jakkolwiek odległe wydawało mi się to wszystko, naprawdę z nim współpracowałem i naprawdę pomogłem w dograniu umowy między MCL a Abra-

190

xasem. Dlatego jeśli chciałem coś z tego ocalić, musiałem stanąć twarzą w twarz z Van Loonem, i to możliwie najszybciej.

Wziąłem prysznic i ogoliłem się. Wyjmując garnitur z szafy, nadal czułem się parszywie, a humor popsuł mi się jeszcze bardziej, kiedy spróbowałem go włożyć. Nagle okazało się, że z trudem dopinam spodnie. Był to jednak mój jedyny przyzwoity garnitur - nie miałem więc innego wyboru, jak tylko się weń wcisnąć.

Pojechałem taksówką na Czterdziestą Ósmą.

Kiedy szedłem przez hol Van Loon Building i jechałem windą na sześćdziesiąte pierwsze piętro, wzbierał we mnie strach. Wchodząc do dobrze mi znanej recepcji Van Loon & Associates, zorientowałem się, że to pierwsza oznaka nadchodzącego ataku paniki.

Przez kilka chwil kręciłem się po recepcji i udawałem, że sprawdzam coś na odwrocie dużej brązowej koperty, którą niosłem - nazwisko lub adres. W środku znajdował się żółty notes Van Loona, ale nic nie było na niej napisane. Zerknąłem na recepcjonistkę, która spojrzała na mnie i podniosła słuchawkę jednego z telefonów. Serce waliło mi jak młotem, ból w piersi stał się prawie nie do zniesienia. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę windy. Co ja właściwie zamierzałem - stanąć twarzą w twarz z Van Loonem? I co potem? Miałem oddać mu prognozy, których nawet nie tknąłem od naszego ostatniego spotkania? Pokazać, że jestem na diecie opartej na cheeseburgerach i pizzy?

Postąpiłem lekkomyślnie, przychodząc tu. Najwyraźniej nie myślałem logicznie.

Drzwi wreszcie się rozsunęły, ale ulga wywołana opuszczeniem recepcji trwała krótko, jako że teraz musiałem znieść przebywanie w kabinie windy, której klimatyzowane, wypełnione nieustającym szumem i wyłożone lustrami wnętrze wydawało się wręcz specjalnie zaprojektowane z myślą o wywoływaniu i podsycaniu ataków paniki. Towarzyszące jeździe doznania - uczucie spadania, faskotanie w żołądku, ciągłe zagrożenie mdłościami - praktycznie nie różniły się od charakterystycznych objawów lęku.

Zamknąłem oczy, ale wciąż dręczył mnie obraz ciemnego szybu windy. Wyobrażałem sobie, jak grube stalowe kable pękają i kabina pędzi w dół, ku ziemi...

Jednak zamiast tego niemal niezauważalnie zatrzymała się na dnie tej betonowej studni. Drzwi rozsunęły się cicho. Ku mojemu zaskoczeniu, stała za nimi Ginny Van Loon.

191

- Pan Spinola!

Kiedy nie zareagowałem, chwyciła mnie za ramię.

- Dobrze się pan czuje?

Poszliśmy razem do holu, który był zatłoczony, pełen ruchu i niemal równie przerażający - choć z innych powodów - jak kabina windy. Obląłem się zimnym potem i znów zacząłem dygotać.

- Mój Boże, panie Spinola, wygląda pan...

- Fatalnie?

- Cóż... - odparła po chwili - ..tak.

Przeszliśmy przez hol i zatrzymaliśmy się przy dużym oknie wychodzącym na Czterdziestą Ósmą,

- Co się stało?

Utkwiłem w niej wzrok i zauważyłem, że jej troska jest szczerą. Wciąż trzymała mnie za ramię i nie wiedzieć czemu sprawiło to, że poczułem się trochę lepiej. Dzięki temu znacznie się uspokoiłem.

- Byłem na... górze - wykrztusiłem - ale nie...

- Nie wytrzymał pan nerwowo, prawda? Wiedziałam, że nie jest pan biznesowym partnerem tatusia. To sami automaci.

- Automaty. Zdaje się, że miałem atak paniki.

-1 dobrze. Tylko ktoś nienormalny nie dostałby tam na górze ataku paniki. A w ogóle to można mówić „automaci”. Tak, jak „filomaci”.

- No dobrze - powiedziałem, próbując zaczerpnąć tchu - filomaci, zgoda, ale przecież nie powiedziałaabyś „bankomaci”?

Miała na sobie czarne dżinsy i czarny sweter, w ręku trzymała skórzaną torbę.

- Na pewno nie w rozmowie z panem. Zresztą, te słowa mają różne pochodzenie i stosują się do nich inne reguły, więc mam gdzieś pańskie rady. Jak się pan czuje?

Wzięłem kilka głębokich oddechów i przycisnąłem dłoń do piersi.

- Trochę lepiej, dziękuję.

Nagle przypomniało mi się, jak bardzo ostatnio przytyłem. Spróbowałem się wyprostować i wciągnąć brzuch. Ginny przyglądała mi się przez chwilę.

- Panie Śpi...

- Eddie, mów mi Eddie. Jezu, mam dopiero trzy...

- Eddie, jesteś chory? -Hmm?

- Źle się czujesz? Bo naprawdę źle wyglądasz. Jesteś... - szukała właściwych słów - ...jesteś... to znaczy, od czasu, kiedy widziałam cię u nas, trochę, jakby to powiedzieć... przybrałeś na wadze. I...

192

- Moja waga waha się.

- No dobra, ale to było ile, dwa tygodnie temu? Uniosłem dłonie.

- Czy człowiek nie może pozwolić sobie od czasu do czasu na parę kremówek?

Uśmiechnęła się, ale zaraz powiedziała:

- Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale myślę, że powinieneś lepiej o siebie dbać.

- Tak, tak, wiem. Masz rację.

Mój oddech był już bardziej regularny i czułem się o wiele lepiej. Spytałem ją, co tu robi.

- Idę do tatusia.

- Może wolałabyś skoczyć na kawę?

- Nie mogę. - Skrzywiła się. - Zresztą, jeśli dopiero co miałeś atak paniki, powinieneś raczej unikać kawy. Napij się soku czy czegoś zdrowego, co nie podniesie ci poziomu stresu.

Wyprostowałem się i oparłem o okno.

- No to chodź ze mną na szklaneczkę zdrowego soku. Spojrzała mi w twarz. Jej oczy były jasnoniebieskie - błyszczące,

lazurowe, niebiańskie.

-Nie mogę.

Chciałem ją przycisnąć, spytać, dlaczego odmawia, ale rozmyśliłem się. W ułamku sekundy odniosłem wrażenie, że nagle poczuła się lekko skrępowana, a przez to i mnie zrobiło się nieswojo. Pomyślałem też, że ataki paniki występują falami, i choć teraz wszystko było w porządku, to w każdej chwili mógł mi się zdarzyć następny. Nie chciałem, by stało się to tu, nawet u boku Ginny.

- No dobra - powiedziałem - bardzo ci dziękuję. Cieszę się, że cię spotkałem.

Uśmiechnęła się.

- Dasz sobie radę? Skinąłem głową.

- Jesteś pewien?

- Tak, czuję się dobrze. Dzięki. Poklepała mnie po ramieniu.

- No to na razie, Eddie.

Sekundę później już szła przez hol, z małą torbą zwisającą u boku. W mgnieniu oka rozplynęła się w tłumie.

13 -Dawkageniuszu

193

Zwróciłem się twarzą do wielkiego okna, przy którym stałem, i zobaczyłem swoje odbicie w zabarwionej na brązowo szybie; ludzie i samochody na Czterdziestej Ósmej przenikali przeze mnie, jakbym był duchem. Przybyło mi kolejne zmartwienie: choć wiedziałem, że to niestosowne, byłem zawiedziony, że córka Van Loona najwyraźniej widzi we mnie tylko sympatycznego współlnika jej ojca - a do tego pedanta, tchórza i grubasa. Wyszedłem z budynku i Piątą Aleją ruszyłem w stronę centrum. Mimo gnębiących mnie ponurych myśli jakoś udawało mi się panować nad sobą. Nie dawałem się. Wreszcie, kiedy przechodziłem przez Czterdziestą Drugą, coś mnie tknęło i pod wpływem impulsu machnąłem na taksówkę.

Po dwudziestu minutach jechałem już kolejną windą, tym razem na trzecie piętro Lafayette Trading na Broad Street. To tu jeszcze niedawno odnosiłem triumfy - to były dni pełne emocji i sukcesów - i doszedłem do wniosku, że nie ma już nic, co mogłoby mnie powstrzymać przed próbą ich powtórzenia. Owszem, nie mogłem liczyć na korzyści płynące z działania MDT, ale miałem to gdzieś. Moje poczucie własnej wartości zostało mocno nadszarpnięte i chciałem sprawdzić, jak poradzę sobie sam.

Moje wejście do sali wywołało mieszane reakcje. Niektórzy, w tym Jay Zollo, ostentacyjnie mnie ignorowali. Inni wręcz odruchowo uśmiechnęli się i zdjęli baseballówki na powitanie. Choć nie było mnie tam od dłuższego czasu i nie miałem żadnych otwartych pozycji, moje konto nie zostało zlikwidowane. Usłyszałem, że moje „zwykłe” miejsce jest zajęte, ale mam do wyboru wiele innych i mogę zacząć handlować od razu, jeśli tylko zechcę.

Kiedy usiadłem przy jednym z terminali i przygotowałem się, czułem, jak w sali narasta ciekawość co do moich zamiarów. Słysząc było gwar rozmów, niektórzy zaglądali mi przez ramię, inni uważnie obserwowali z drugiego końca pomieszczenia, co się dzieje. To był dla mnie duży stres, a gdy zorientowałem się, że właściwie nie wiem, od czego zacząć, musiałem przyznać przed sobą, że postąpiłem zbyt pochopnie przychodząc tutaj. Ale było już za późno, by się wycofać.

Przez pewien czas wpatrywałem się w ekran i stopniowo wszystko mi się przypomniało. Day-trading sam w sobie nie był skomplikowany - najtrudniejszą jego część stanowiło wybranie odpowiednich akcji. Ostatnio nie śledziłem zachowania rynków i tak naprawdę nie wiedziałem, gdzie czegokolwiek szukać. Strategia krótkiej sprzedaży, która opierała się przede wszystkim na wykorzystywaniu zebranych informacji, nie mogła mi się na wiele zdać, postanowiłem więc na razie nie szaleć i zgodnie z ogólną tendencją kupowałem akcje spółek wysokich technologii.

194

Zacząłem od Lir Systems, firmy oferującej usługi związane z zarządzaniem ryzykiem, a potem dorzuciłem do tego udziały w KeyGate Technologies - spółce zajmującej się zabezpieczaniem danych w Internecie oraz w różnych dot-comach: Boojum, Wotlarks!, @Ease, Dromio, PorkBar-rel.com, eTranz, WorkNet.

Kiedy zacząłem, nie mogłem przestać i z podszytą strachem lekkomyślnością opróżniłem swoje konto bankowe, wydając wszystko w ciągu paru godzin. Najgorsze było to, że elektroniczny obrót akcjami wydawał mi się czymś sztucznym, grą komputerową, no a poza tym miałem niebezpieczne poczucie, że pieniądze, które na to idą, nie są prawdziwe. Moje energiczne działania wzbudziły duże zainteresowanie w sali i choć kierowałem się nieoryginalną i standardową „strategią”, tempo i skala moich poczynań wyraźnie ją uatrakcyjniły, sprawiły, że nabrała charakteru. Dlatego inni wkrótce zaczęli mnie naśladować, obserwowali każdy mój ruch, przekazywać sobie wskazówki i informacje ściągnięte z mojego komputera. Wszystko to odbywało się w gorączkowym tempie - nikt nie chciał zostać z tyłu - i wkrótce odniosłem wrażenie, że większość maklerów wokół mnie bierze duże pożyczki albo reneocjuje limity wydatków.

Oszałamiający boom w branży internetowej najwyraźniej nadal potrafił zdezorientować i otumanić każdego, kto się z nim zetknął - ze mną włącznie, ponieważ choć dzięki dotychczasowym sukcesom

wyrobiłem sobie tu świetną markę, teraz zaczynało do mnie docierać, że tym razem nie tylko nie wiedziałem, co robię, ale i nie potrafiłem przestać...

W końcu jednak nie wytrzymałem ciśnienia. Dostałem kolejnego ataku paniki i nie miałem innego wyboru, jak tylko złapać kopertę i wyjść -nawet bez zamknięcia swoich pozycji. Wywołało to w sali pewną konsternację, ale że większość maklerów z Lafayette przywykła do moich wyskoków, udało mi się uciec stamtąd bez większych kłopotów. Duża część kupionych przeze mnie akcji już poszła lekko w górę, więc nikt się nie niepokoił - po prostu nie chcieli pozwolić, by opuścił ich człowiek, w którym widzieli supermaklera. Kiedy jechałem windą na dół, serce znów zaczęło mi kołatać, a po wyjściu na ulicę poczułem się naprawdę fatalnie. Poszedłem Broad Street do South Ferry Terminal, stamtąd zaś do Bartery Park, gdzie usiadłem na ławce, rozwiązałem krawat i wbiłem wzrok w Sta-ten Island.

Zostałem tam przez jakieś pół godziny, oddychając głęboko i odpędzając mroczne, niepokojące myśli. Pragnąłem być w mieszkaniu, na mojej kanapie, ale nie chciałem stawić czoła konieczności wędrówki ulicami, wśród ludzi i samochodów. W końcu jednak wstałem i zacząłem iść.

195

Poszedłem na State Street i od razu udało mi się złapać taksówkę. Ściskając w rękę kopertę, zważyłem się na tylne siedzenie. Kiedy wóz powoli przebiegał się przez ruch uliczny, za Bowling Green skręcając na Broad-way, a potem mijając Beaver Street, Exchange Place i samą Wall Street, miałem przelotne wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. Trudno było określić, o co dokładnie chodzi, ale na ulicach panowała bardzo nerwowa atmosfera. Ludzie zatrzymywali się i rozmawiali ze sobą, niektórzy konspiracyjnym szeptem, inni krzycząc nad dachami samochodów, ze schodów budynków albo do telefonów komórkowych - zachowywali się dziwnie, tak jak to zwykle bywa, kiedy zdarzy się jakaś tragedia, na przykład zamach na ważną osobistość czy niespodzianka w finale ligi baseballowej. Potem ruch uliczny przerzedził się i wyjechaliśmy z dzielnicy finansowej, pozostawiając z tyłu całe zamieszanie, czymkolwiek było wywołane. Wkrótce przecinaliśmy już Canal Street, a po paru chwilach skręciliśmy w prawo na Houston, gdzie wszystko wyglądało normalnie.

Po powrocie do domu od razu rzuciłem się na kanapę. Podróż taksówką była potwornie męcząca i raz czy dwa razy niewiele zabrakło, bym kazał kierowcy zatrzymać się i mnie wypuścić. Leżenie na kanapie było niewiele lepsze, ale przynajmniej znalazłem się w znajomym otoczeniu, gdzie miałem wszystko pod kontrolą. Przez następną godzinę to myślałem, że atak minie, to znowu że... nie, ja tu umrę - dziś, teraz, na tej zaszrajonej kanapie...

Kiedy jednak w końcu nie umarłem i zacząłem czuć się trochę lepiej, zwiesiłem rękę z kanapy, by podnieść z podłogi pilota. Włączyłem telewizor i zacząłem skakać po kanałach. Minęło trochę czasu, zanim skupiłem się na tyle, by zauważyć, że coś się dzieje. Przez chwilę oglądałem CNNfn, potem CNBC i znów wróciłem na CNNfn. Spojrzałem w róg ekranu, by sprawdzić, która godzina.

Była 14.35 i wyglądało na to, że od około pierwszej kursy akcji leciały na łeb, na szyję. Indeks Nasdaq spadł już o 319 punktów, Dow Jones o 185, a S & P o 93 i nie zanosilo się na to, by na tym miało się skończyć. Zarówno CNNfn, jak i CNBC nadawały na żywo z parkietu giełdy nowojorskiej oraz ze swoich studiów - najważniejsza wiadomość była taka, że balon ze spółkami wysokiej technologii zdawał się powoli pękać na naszych oczach...

Podszedłem do biurka i włączyłem komputer. Byłem zadziwiająco spokojny, ale kiedy sprawdziłem aktualne notowania i zobaczyłem, jak bardzo spadły ceny akcji, zakręciło mi się w głowie. Ukryłem twarz w dłoniach, próbując nie wpadać w panikę - i prawie mi się udało... pewnie dzięki temu, iż pomyślałem o tych wszystkich maklerach z Lafayette,

196

którzy przez to, że tak ślepo mnie naśladowali, na pewno też splukali się do cna. Byłem jednak gotów się założyć, że żaden z mcn nie stracił tyle co ja czyli prawdopodobnie około miliona dolarów...

21

Rano poszedłem po gazety, no i po prowiant do Gristede's i sklepu z alkoholem. Zobaczyłem całą gamę nagłówków: od AU! J KONIEC ZŁOTEGO WIEKU, po OSTROŻNOŚĆ INWESTORÓW W OBLICZU SPADKU KURSÓW. Późnym popołudniem Nasdaq odbił się od dna - po spadku o 9% - i tego ranka dalej szedł w górę. Było to wynikiem działań kilku domów maklerskich i otwartych funduszy, które wyczuły, że indeks osiągnął już dno, i w odpowiednim momencie zaczęły skupować akcje. Niektórzy komentatorzy wpadali w histerię, mówili o powtórce Czarnego Poniedziałku, a nawet krachu z 1929 roku. Ale inni podchodzili do tego z większym optymizmem, przekonując, że to tylko kres spekulacyjnego szaleństwa wokół akcji spółek wysokich technologii... czy też, że to czego świadkami byliśmy, to nie tyle znacząca korekta, co oczyszczenie co bardziej mętnych części Nasdaq. To wszystko dodawało otuchy dużym inwestorom, ale nie stanowiło pocieszenia dla milionów drobnych akcjonariuszy, którzy kupowali akcje na kredyt, a potem zostali zniszczeni podczas szału wyprzedaży.

Studiowanie komentarzy w gazetach me mogło jednak niczego zmienić a tym zwłaszcza faktu, że moje konto bankowe zostało opróżnione i że już nigdy nie będę miał wstępu do Lafayette.

Odkładając gazety, spojrzałem na torbę z gotówką na stole i przypomniałem sobie po raz pięćdziesiąty, że to wszystkie pieniądze, które mi zostały, i że muszę je oddać rosyjskiemu lichwiarzowi.

Wizyta Giennadija w piątek rano miała być następnym istotnym wydarzeniem w moim życiu, ale, rzecz jasna, nie wyczekiwałem jej z utęsknieniem. Dzielać mnie od niej dni spędziłem na picm i słuchaniu muzyki. Którejś nocy - po wysączeniu połowy absoluta - zacząłem myśleć o Ginny Van Loon. Ta dziewczyna była naprawdę intrygująca. Wszedłem więc do Internetu i przejrzałem archiwa rozmaitych gazet i magazynów, szukając wzmianek o niej. Znalazłem sporo materiałów; cytaty

197

z plotkarskich rubryk „New York Timesa”, wycinki, artykuły i nawet kilka zdjęć - szesnastoletnia Ginny nawalona jak stodoła w River Club z To-nym De Torrio, Ginny otoczona przez modelki i projektantów mody, Ginny z Nikki Sallis na przyjęciu w Los Angeles, pociągająca cristal z butelki. Jeden z ostatnich numerów magazynu „New York” zawierał znaną historię o tym, jak rodzice ujarzmili ją, grożąc wydziedziczeniem, ale i zapewnienia starych znajomych, że Ginny i bez tego bardzo spoważniała i „nie ma już z nią tak dobrej zabawy”. Ona sama wyjaśniła w wywiadzie, że kiedyś chciała być sławna, a teraz zależy jej tylko na tym, by wszyscy zostawili ją w spokoju. Próbowwała się jako aktorka i modelka, ale to była już historia - sława to choroba, stwierdziła, i tylko kretyn może jej pragnąć. Przeczytałem te artykuły po kilka razy i wydrukowałem zdjęcia, które przyczepiłem do tablicy.

Całymi godzinami nie robiłem nic, tylko bezmyślnie surfowałem po sieci lub siedziałem na kanapie i piłem. Stawałem się cikliwy, zagubiony, zgorzkniały.

Kiedy w piątek rano przyszedł Giennadij, miałem kaca. Bałagan w moim mieszkaniu stał się jeszcze gorszy, ale w tamtym czasie nie zwracałem uwagi na takie rzeczy. Byłem zbyt przygnębiony i zbyt fatalnie się czułem.

Gdy Giennadij stanął w drzwiach i obrzucił wzrokiem ten bajzel, moja najgorsza obawa - a przynajmniej jedna z najgorszych - spełniła się. Od razu się zorientowałem, że jest na MDT. Widziałem to po jego czujnym wyrazie twarzy, a nawet po pozie, jaką przybrał.

- Co z tobą, Eddie? - powiedział z wymuszonym śmiechem. - W depresji jesteś czy co? Może trzeba ci leków? - Pociągnął nosem i skrzywił się. - A może wystarczyłaby klimatyzacja.

Tych kilka zdań wystarczyło, by stwierdzić, że jego angielski radykalnie się poprawił. Nadal mówił z silnym akcentem, ale wyglądało na to, że błyskawicznie opanował strukturę języka - gramatykę i składnię. Byłem ciekaw, ile z tych pięciu tabletek zdążył już wziąć.

- Cześć, Giennadij.

Podszedłem do stołu, usiadłem i wyjąłem z brązowej papierowej torby plik banknotów. Zacząłem odliczać setki, wzdychając ciężko co kilka sekund. Giennadij wszedł do pokoju i przez chwilę chodził w tę i we w tę, oglądając bałagan. Zatrzymał się przede mną.

- Jesteś nieostrożny, Eddie - powiedział. - Nie powinieneś trzymać pieniędzy w zasranej papierowej torbie. Ktoś może tu wejść i je ukraść.

198

Znów westchnąłem i powiedziałem:

- Nie ufam bankom.

Podał mi dwadzieścia dwa i pół tysiąca. Wziął pieniądze i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Podszedł do mojego biurka, odwrócił się i oparł o nie.

- A teraz - oznajmił - chcę z tobą o czymś porozmawiać. Ścisnęło mnie w dołku, ale próbowałem udawać głupiego.

- Nie spodobał ci się scenariusz - powiedziałem i dodałem szybko: -To dopiero wstępna wersja.

- Sram na to. - Lekceważąco machnął ręką. -Nie o to mi chodzi. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Słucham?

- Te tabletki, które ukradłem. Może będziesz mi wmawiał, że nic nie zauważyłeś?

- Do czego zmierzasz?

-Ajak myślisz? Chcę dostać więcej.

- Już ich nie mam.

Uśmiechnął się, jakbyśmy prowadzili ze sobą jakąś grę - cóż, w końcu tak właśnie było.

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

- Naprawdę.

Odepchnął się od biurka i podszedł do mnie. Zatrzymał się w tym samym miejscu, gdzie poprzednio, i powoli wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Bałem się, ale nawet nie drgnąłem. Wyjął coś, czego dobrze nie widziałem. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się znowu, po czym szybkim ruchem dłoni wysunął ostrze długiego noża sprężynowego. Przystawił mi je do szyi i poruszył w górę i w dół, delikatnie drapiąc skórę.

- Chcę więcej - powiedział. Przełknąłem ślinę.

- A wyglądam, jakbym to miał?

Na chwilę znieruchomiał, ale nie cofnął noża.

- Wziąłeś to, prawda? - ciągnąłem. - Wiesz, jak to działa, co to z tobą robi. - Znowu przełknąłem ślinę, głośniejsze niż poprzednio. - Rozejrzyj się, czy tak wygląda mieszkanie kogoś, kto jedzie na tych prochach?

-No to skąd je wziąłeś? -Od jednego gościa, którego spotkałem... Dźgnął mnie nożem w szyję i szybko cofnął ostrze. -Au!

Podniosłem rękę do miejsca, w które mnie dźgnął, i potarłem je. Nie krwawiło, ale ból był naprawdę silny.

199

-Nie kłam, Eddie, bo... i słuchaj mnie uważnie, żeby nie było niedomówień. Jeśli nie dostanę tego, czego chcę, i tak cię zabiję... - przystawił ostrze noża tuż pod moim lewym okiem i zaczął delikatnie, ale stanowczo naciskać - ...i to powoli.

Naciskał coraz mocniej i kiedy poczułem, że gałka oczna zaczyna wychodzić mi na wierzch, szepnąłem:

- Dobra.

Przez chwilę trzymał nóż nieruchomo, aż wreszcie go cofnął.

- Mogę je zdobyć - powiedziałem - ale to zajmie kilka dni. Gość, który nimi handluje, jest bardzo ostrożny.

Giennadij cmoknął językiem, jakby chciał powiedzieć „mów dalej”.

- Dzwonię do niego i umawiamy się na dostawę. - Zawiesiłem głos i potarłem lewe oko, głównie po to, by zastanowić się, co powiedzieć. -A jeśli zwiertzy, że wmieszał się w to ktoś trzeci - ktoś, kogo on nie zna - to koniec, więcej się z nami nie skontaktuje.

Giennadij skinął głową.

- Jeszcze jedno - powiedziałem - to kosztuje.

Widziałem po nim, że jest podniecony na myśl o kolejnym kopie. Byłem też pewien, że choć zgrywa twardziela, przystanie na każdą moją propozycję i zapłaci każdą cenę.

-Ile?

- Pięćset za sztukę... Gwizdnął niemal radośnie.

- Dlatego mi się skończyły. Bo to nie jest jakaś tam trawka. Spojrzał na mnie, po czym wskazał pieniądze na stole.

- Wykorzystaj tę kasę. Załatw mi... hmm... - urwał i sprawiał wrażenie, jakby coś liczył w pamięci... pięćdziesiąt tabletek. Na początek.

Żeby dać mu cokolwiek, musiałem sięgnąć do własnych zapasów, więc powiedziałem:

-Za jednym razem mogę zdobyć najwyżej dziesięć.

- Kurwa!

- Pogadam z gościem, ale on jest chorobliwie nieufny. Nie możemy przeginać.

- No dobra, kiedy?

- Powinienem je zdobyć do następnego piątku.

- Do piątku? Mówiłeś o kilku dniach.

- Ja zostawiam gościowi wiadomość. On oddzwania po kilku dniach. Potem trzeba jeszcze kilku dni, żeby wszystko dokładnie uzgodnić.

Giennadij wyciągnął nóż i wymierzył go w moją twarz.

- Jeśli zrobisz mnie w chuja, Eddie, pożałujesz.

200

Schował nóż i podszedł do drzwi.

- Zadzwoń we wtorek. Skinąłem głową.

- Dobra, do wtorku.

Stojąc w drzwiach, odwrócił się i spytał:

- A co to właściwie za syf? Co w tym jest?

- To inteligentny lek - powiedziałem. - Tak naprawdę sam nie wiem, co zawiera.

-1 od niego się mądrzeje?

- No tak. Nie zauważyłeś? - Miałem powiedzieć coś o tym, jak poprawił się jego angielski, ale się rozmyśliłem. Mógł poczuć się urażony sugestią, że do tej pory nie mówił jak rodowity Amerykanin.

- Jasne - przyznał - jest niesamowity. Jak się nazywa? Zawahałem się.

- Hmm... MDT Nazywa się MDT. To chemiczna nazwa, ale... tak. -MDT?

- Tak. Rozumiesz, wziąć trochę MDT. Strzelić sobie MDT. Popatrzył na mnie z powątpiewaniem, po czym powiedział:

- Do wtorku.

Wyszedł na korytarz, zostawiając otwarte drzwi. Słuchałem jego kroków na schodach, a kiedy z dołu dobiegł trzask zamykanych drzwi, wstałem i podszedłem do okna. Wyrząłem i zobaczyłem, jak idzie Dziesiątą w stronę Pierwszej Alei. Choć znałem go słabo, lekki krok, delikatnie mówiąc, zupełnie do niego nie pasował.

Kiedy teraz patrzę wstecz - z pograżonego w martwej ciszy pokoju w Northview Motor Lodge - widzę, że wtargnięcie Giennadija w moje życie, jego próba dobrania się do mojego zapasu MDT zupełnie wytrąciły mnie z równowagi. Straciłem prawie wszystko i nie podobało mi się, że ktoś mógłby tak łatwo zniszczyć nędzne resztki, które mi zostały. Nie chciałem więcej brać MDT na pełny gaz, bo bałem się, że znów będę miał zaniki pamięci, wchłoną mnie ciemności i stanę się nieobliczalny. Z drugiej strony, nie zamierzałem się poddać i zostawić wszystkiego -zwłaszcza takiemu sępowi jak Giennadij. Szkoda było marnować MDT na kogoś takiego. Bo co, gość nagle nauczył się jako tako mówić po angielsku? Wielkie rzeczy. Nadal był zwykłym półgłówkiem, żułem. MDT nie mogło go zmienić. Nie tak, jak zmieniło mnie...

201

Uznałem, że muszę podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę. Może choć w części uda się uratować sytuację. Może nawet zdołam wszystko odkręcić. Dlatego musiałem ponownie zadzwonić do Donalda Geislera i ubłagać go, żeby zgodził się ze mną porozmawiać.

Co szkodziło spróbować?

Wyjąłem czarny notes Yernona, znalazłem właściwy numer i wykręciłem go.

- Tak?

Odczekałem sekundę i wyrzuciłem z siebie jednym tchem:

- To znowu ja, znajomy Yernona Ganta, proszę, niech pan nie odkłada słuchawki, pięć minut, chcę, by poświęcił mi pan tylko pięć minut, zapłacę panu... - zaproponowałem to pod wpływem impulsu - ..zapłacę pięć tysięcy dolarów, tysiąc za minutę, proszę tylko ze mną porozmawiać...

Kiedy zamilkłem, zapadła cisza. Wbiłem wzrok w brązową papierową torbę na stole. Westchnął ciężko.

- Jeezu!

Nie wiedziałem, jak to zinterpretować, ale przynajmniej nie rzucił słuchawką. Postanowiłem nie naciskać. Milczałem. W końcu powiedział:

- Nie chcę pańskich pieniędzy. - Znow zawiesił głos, po czym dodał: - Pięć minut.

- Dziękuję, bardzo dziękuję.

Podał mi adres kawiarni na Siódmej Alei w Park Slope w Brooklynie i powiedział, żebym przyszedł tam za godzinę. Dodał, że jest wysoki i będzie w żółtym T-shircie.

Wziąłem prysznic, ogoliłem się i ubrałem, w pośpiechu wypłem kawę i zjadłem grzanekę. Bez kłopotu złapałem taksówkę na Dziesiątej.

Kawiarnia była mała, ciemna i prawie pusta. Przy stoliku w kącie siedział wysoki mężczyzna w żółtym T-shircie. Pił kawę z ekspresu. Obok filiżanki leżała paczka marlboro, a na niej zapalniczka. Przedstawiłem się i usiadłem. Sądząc po siwiejących włosach i zmarszczkach wokół oczu, Donald Geisler miał około pięćdziesięciu pięciu lat. Znużony i szorstki, robił wrażenie człowieka, który w życiu niejedno przeszedł.

- No dobra - powiedział - czego pan chce? Przedstawiłem mu bardzo okrojony wersję wydarzeń.

- Dlatego przede wszystkim muszę wiedzieć, jaka jest odpowiednia dawka - zakończyłem. - A jeśli to niemożliwe, to może chociaż powie mi pan, czy słyszał o wspólniku Yernona o imieniu Tom albo Todd.

202

Pokiwał głową w zamyśleniu, po czym na chwilę wbił wzrok w swoją filiżankę. Kiedy czekałem, aż zbierze myśli - o ile to właśnie robił - wyjąłem paczkę cameli i zapaliłem jednego.

Wypaliłem ponad pół papierosa, zanim Geisler wreszcie się odezwał. Pomyślałem, że gdyby trzymać się ustaleń, według których nasza rozmowa miała trwać pięć minut, to czas już minął.

- Jakies trzy lata temu - powiedział - może trzy i pół, poznałem Yernona Ganta. Byłem wtedy aktorem w małym zespole, który założyłem z paroma innymi osobami pięć lat wcześniej. Wystawialiśmy Millera, Shepada, Ma-meta, tego rodzaju rzeczy. Mieliśmy kilka sukcesów, największym była inscenizacja American Buffalo. No i jeździliśmy w trasy po całym kraju.

Na podstawie tonu, jakim mówił, i długości wstępu, zorientowałem się, że mimo wcześniejszych obiekcji nie zamierzał szybko skończyć tej rozmowy.

Dyskretnie zamówiłem u przechodzącej kelnerki dwie następne kawy i zapaliłem kolejnego papierosa.

- Mniej więcej w tym czasie, kiedy poznałem Yernona, zespół postanowił obrać nowy kierunek i wystawić Makbeta, w którym miałem zagrać główną rolę. I reżyserować. - Odchrząknął. - Wtedy myślałem, że Yernon spadł mi z nieba, bo na samą myśl o braniu się za Szekspira srałem w gacie ze strachu, a ten człowiek proponował mi... sam pan wie, co.

Geisler mówił powoli, starannie dobierając słowa. Słuchając go, odniosłem wrażenie, że jeszcze nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Jego opowieść o pierwszych dniach brania MDT była o wiele bardziej szczegółowa od historii Melissy, ale, z wyjątkiem pewnych szczegółów, praktycznie identyczna. Uległ namowom Yernona i po kilku piętnastomili-gramowych dawkach nauczył się na pamięć całego Makbeta - czym wpędził w kompleksy całą obsadę i ekipę. Potem, w czasie pierwszych prób, wziął kilkanaście następných tabletek, łykał mniej więcej trzy na tydzień. Nie miały żadnych oznakowań, ale pewnego dnia Yernon przyprowadził swojego współnika Todda, który wyjaśnił Geislerowi, jaka powinna być prawidłowa dawka, i powiedział co nieco o składzie i działaniu MDT. Spytał też o jego reakcję na lek i o ewentualne niepożądane skutki uboczne. Geisler żadnych nie zauważył.

Dwa tygodnie przed premierą Geisler pod wpływem stresu wycofał wszystkie pieniądze z banku i zwiększył liczbę przyjmowanych tabletek do sześciu tygodniowo...

Chciałem zadać więcej pytań na temat Todda i tego, co mówił o dobieraniu odpowiedniej dawki, ale widziałem, że jest niezwykle skoncentrowany, a nie chciałem przerywać mu toku myślenia.

203

- Potem, w ciągu kilku dni przed premierą, moje życie się rozsypało. Między wtorkiem a piątkiem. Po prostu... się rozsypało.

Do tej chwili Geisler trzymał obie ręce pod stolikiem, więc dopiero kiedy sięgnął po filiżankę, zauważyłem, że jego dłoń lekko, ale wyraźnie drży. Początkowo uznałem to za objaw alkoholizmu, poranne drgawki czy coś takiego, ale kiedy zobaczyłem, jak pochyla się i ściska filiżankę, by podnosić ją do ust, nie uronić ani kropli, zrozumiałem, że prawdopodobnie cierpi na jakieś zaburzenia układu nerwowego. Bardzo ostrożnie odstawił kawę, po czym długo, z wyraźnym wysiłkiem zapalił papierosa. Robił to w milczeniu, ostentacyjnie nie komentując swoich kłopotów. Wiedział, że go obserwuję, co czyniło z tej sceny coś w rodzaju przedstawienia.

Kiedy wreszcie zapalił papierosa, powiedział:

- Żyłem w ciągłym stresie, próby trwały czternaście, piętnaście godzin dziennie... i nagle... ni stąd, ni zowąd zacząłem mieć zaniki pamięci.

Wpiłem się w niego wzrokiem, kiwając głową.

- Miałem przerwy w życiorysie trwające po kilka godzin. Z trudem panując nad sobą, powtarzałem:

- Tak, tak, proszę mówić dalej.

- Do tej pory nie wiem, co właściwie wyczyniałem w czasie tych... zaćmień, pewnie tak to można nazwać... wiem tylko, że w tamtym tygodniu, między wtorkiem a piątkiem, zostawiła mnie dziewczyna, z którą spotykałem się od dziesięciu lat, przedstawienie Makbeta zostało odwołane i straciłem mieszkanie. No i potrafiłem, i omal nie zabiłem jedenastoletniej dziewczynki na Columbus Avenue.

- Jezu.

Serce tłukło mi się w piersi.

- Poszedłem do Yernona i spytałem, co się ze mną dzieje. Początkowo nie chciał nawet rozmawiać, bał się, ale w końcu umówił mnie z Todd-em. Todd był specjalistą- pracował w firmie farmaceutycznej. Nie wiedziałem do końca, na czym polega ich układ, ale szybko stało się jasne, że Todd wynosi prochy z laboratoriów, a Yernon jest tylko figurantem. Okazało się też, że Gantowi pomieszały się tabletki i sprzedawał mi trzydziesto- zamiast piętnastomiiiigramowych, co znaczyło, że nieświadomie zwiększyłem dawkę. W każdym razie powiedziałem Toddowi, co i jak, a on stwierdził, że muszę połączyć MDT z innym lekiem, który przeciwdziałałby skutkom ubocznym. Tak nazwał te zaniki pamięci - skutkami ubocznymi...

-Jak się nazy...

204

- ...aleja mu powiedziałem, że nie zamierzam brać nic więcej, że chcę przestać i wrócić do normalnego stanu. Spytałem, czy mogę to zrobić, po prostu rzucić MDT bez żadnych przykrych konsekwencji, a on na to, że nie wie, nie jest Federalnym Urzędem do spraw Żywności i Leków, ale ponieważ brałem tego tak dużo, to nie polecałby raptownego odstawienia. Powiedział, że prawdopodobnie powinienem stopniowo zmniejszać dawkę.

Skinąłem głową.

- Tak też zrobiłem. Ale niesystematycznie, nie kierowałem się żadnymi zaleceniami.

-1 co się stało?

- Przez jakiś czas czułem się dobrze, ale któregoś dnia zaczęło się to... - podniósł dłonie - ...apodem... bezsenność, mdłości, infekcjedróg oddechowych i zatok, utrata apetytu, zaparcia, suchość w ustach, zaburzenia erekcji.

Uniósł dłonie do góry, tym razem w geście rezygnacji.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, i obaj milczeliśmy. Nadal pragnąłem uzyskać odpowiedzi na moje pierwsze dwa pytania, ale jednocześnie nie chciałem być gruboskórny.

Po chwili Geisler powiedział:

- Wie pan, winie za to tylko siebie, nikogo innego. Nikt mnie nie zmuszał do brania MDT. - Pokręcił głową. - Chyba byłem królikiem doświadczalnym, bo mniej więcej rok później Yernon powiedział mi, że wszystkie problemy z dobraniem dawki zostały rozwiązane, że trzeba ją ustalać indywidualnie, wedle potrzeb klienta. - Po jego twarzy przebiegł grymas złości. - Nawet zaproponował, żebym spróbował jeszcze raz, ale posłałem go do wszystkich diabłów.

Zamilkł.

Czekałem, czy powie coś jeszcze, ale nie odzywał się, więc spytałem:

- Czy zna pan nazwisko tego Todda? Wie pan coś o nim? W jakiej firmie pracował?

Geisler potrząsnął głową.

- Spotkałem się z nim dwa czy trzy razy. Był bardzo powściągliwy, ostrożny. Mówię panu, dobrali się z Yernonem jak w korcu maku... ale to Todd był mózgiem przedsięwzięcia.

Bawiłem się paczką cameli leżącą na stoliku obok mojej filiżanki.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedziałem. - Kiedy Todd poradził panu, by połączył pan MDT z lekiem, który miał przeciwdziałać skutkom ubocznym, zanikom pamięci, czy podał panu jego nazwę?

- Tak.

205

Serce zabiło mi mocniej.

- Co to było?

- Pamiętam to bardzo dobrze, bo mówił o tym i mówił, zapewniał, że to rozwiąże problem, że dopiero co na to wpadł. Chodziło o lek o nazwie dexeron. To antyhistamina stosowana w leczeniu niektórych alergii. Zawiera... jakiś składnik, który wchodzi w reakcję z określonym kompleksem receptorów w mózgu, a to, jak twierdził, miało zapobiegać zanikom pamięci. Nie wiem, dlaczego. Nie pamiętam szczegółów. Zresztą chyba nawet wtedy nic z tego nie rozumiałem. Podobno jednak można to dostać bez recepty.

- Ale pan tego ani razu nie zażył? •' -Nie.

- Rozumiem.

Pokiwałem głową, jakbym się nad tym zastanawiał, ale tak naprawdę chciałem tylko wynieść się stąd jak najszybciej i pobiec do najbliższej apteki.

- W każdym razie, potem Janinę zostawiła mnie i wyleciałem z zespołu - ciągnął Geisler. - Próbowałem się jakoś pozbierać, ale to nie było takie łatwe, bo...

Dopiłem kawę i rozpaczliwie próbowałem wymyślić jakiś pretekst, by wyjść. Choć współczułem Geislerowi, nie musiałem wysłuchiwać tej części jego opowieści, ale nie mogłem też ot tak go zostawić. Wypaliłem więc jeszcze dwa papierosy, zanim odważyłem się powiedzieć, że muszę już iść.

Podziękowałem mu i zapewniłem, że przed wyjściem ureguluję rachunek. Spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „No coś ty, siadaj, wypal jeszcze jednego papierosa, napij się kawy”, ale po sekundzie mruknął tylko:

- No dobra, idź pan już. I powodzenia.

Znalazłem aptekę na Siódmej Alei, niedaleko kawiarni, i kupiłem dwa opakowania dexeronu. Do domu pojechałem taksówką.

Zaraz po powrocie poszedłem do sypialni i wyjąłem z szafy tabletki MDT. Nie byłem pewien, ile wziąć, i zastanawiałem się nad tym przez dłuższy czas. W końcu zdecydowałem się na trzy. To była moja ostatnia szansa. Albo się uda, albo nie.

Poszedłem do kuchni i nalałem sobie wody. Połknąłem trzy tabletki MDT i poprawiłem dwoma dexteronami. Potem usiadłem na kanapie i zacząłem czekać.

206

Po dwóch godzinach moje kompaktki znów były ułożone w kolejności alfabetycznej. Z mieszkania zniknęły zgniecione pudełka po pizzy, puste puszkę po piwie i brudne skarpety, a wszystkie odsłonięte powierzchnie lśniły czystością...

IV

14-

Część IV

14-

22

Podczas weekendu trzymałem się nowej dawki i uważnie obserwowałem swój stan. Postanowiłem nigdzie nie wychodzić, na wypadek gdyby coś się stało - ale nie stało się nic. Nie zdarzył mi się żaden przeskok ani przebłysk i wyglądało na to, że cokolwiek było w dexteronie, naprawdę działało. Nie znaczyło to, rzecz jasna, że miałem święty spokój i że już nigdy nie miał mi się przytrafić kolejny zanik pamięci, ale świetnie się czułem ze świadomością, że wróciłem do formy. Znów byłem pewny siebie, zdolny do trzeźwego myślenia, miałem głowę pełną pomysłów i rozpierała mnie energia. Jeśli dexteron nadal będzie skuteczny, przyszłość stała przede mną otworem, musiałem tylko ku niej iść, nie zbaczając z kursu i wyzbywając się skrupułów. Na nowo zapoznałem się z materiałami dotyczącymi MCL i Abraxas, a potem udobrucham Carla Van Loona. Znów zajmę się grana giełdzie, zarobię trochę pieniędzy i przeprowadzę się do Niebiańskiego. Po jakimś czasie uwolnię się od takich ludzi, jak Van Loon i Hank Atwood, i rozkręcę własny interes - Spinola Corporation, SpinolaSystems, Edinvest, wszystko jedno.

Myśląc o tym wszystkim, nie mogłem wybić sobie z głowy Gumy Van Loon, więc spróbowałem znaleźć dla niej odpowiednie miejsce w moich planach. Ona jednak opierała się temu - czy raczej moje wyobrażenie o niej - a im większy był ten opór, tym bardziej mnie to irytowało. W końcu odłożyłem te uczucia na bok, schowałem do odpowiedniej szufladki i zająłem się materiałami dotyczącymi MCL i Abraxas.

Przeczytałem wszystkie dokumenty i nie mogłem się nadziwić, że wcześniej nie potrafiłem ich pojąć. Z pewnością nie była to najbardziej pasjonująca lektura na świecie, ale i nje najtrudniejsza. Przypomniałem sobie model wyceny Blacka-Scholesa i podliczyłem prognozy na komputerze. Uporałem się z wszelkimi trudnościami, włącznie z rozbieżnością

211

w trzeciej opcji, na którą Van Loon zwrócił mi uwagę podczas ostatniej wizyty w jego gabinecie.

Kolejnym moim zajęciem w ten weekend - nie licząc stu brzuszaków każdego ranka i wieczora - było uważne śledzenie wiadomości. Czytałem internetowe wydania gazet i oglądałem wszystkie programy publicystyczne. O śledztwie w sprawie morderstwa Donatelli Alvarez nie mówiło się prawie nic, poza

powtarzającym od czasu do czasu krótkim apelem do potencjalnych świadków o ujawnienie się - co najprawdopodobniej oznaczało, że policja nadal nie wpadła na trop Thpmasa Cole'a i zaczynała jej brakować pomysłów.

Najwięcej uwagi poświęcano Meksykowi. W ostatnim czasie zdarzyło się tam kilka głośnych napadów - na turystów i amerykańskich obywateli, głównie biznesmenów, mieszkających w Mexico City. Zastrzelono kierownika jednej z firm, a dwaj inni zostali uprowadzeni i ślad po nich zaginął. Wszyscy łączyli te incydenty z zaciekłymi sporami prasowymi na temat polityki zagranicznej - i już niemal nikt nie wzbraniał się przed użyciem słowa na „i”. Żeby do końca zrobić opinię publiczną - mimo deklarowanej troski o bezpieczeństwo obywateli amerykańskich, nie wspominając o meksykańskich groźbach wywłaszczenia firm zagranicznych - potrzebne było racjonalne uzasadnienie ewentualnej inwazji, ale nie ulegało wątpliwości, że prace nad tym trwają.

Sprawdziłem też zachowanie rynków od czasu wielkiej przeceny akcji spółek wysokich technologii z zeszłego wtorku i przygotowałem się do tego, by w poniedziałek rano ponownie otworzyć moje konto w Klondike.

W niedzielę późnym wieczorem nie mogłem wysiedzieć na miejscu, postanowiłem więc trochę się przewietrzyć. Dopiero kiedy poczułem na twarzy ciepłe nocne powietrze, zauważyłem, jak bardzo poprawiło mi się samopoczucie. Tym razem MDT wywołało u mnie silne fizyczne doznania, mrowienie w rękach, nogach i głowie, takie jak na haju. Jednocześnie nie czułem się w żaden sposób odurzony. Po prostu w pełni panowałem nad sobą - byłem silniejszy, bardziej czujny, bystrzejszy.

Zajrzałem do kilku barów. W każdym zaledwie po kilku minutach nawiązywałem z kimś rozmowę, a po kilku następnych zbierał się wokół mnie krąg słuchaczy - wyraźnie zafascynowanych rym, co miałem do powiedzenia, czy to o polityce, czy o historii, baseballu, muzyce czy na jakikolwiek inny temat. Podiływały mnie kobiety, a nawet kilku mężczyzn, ale nie byłem nimi zainteresowany, więc by taktownie odrzucić ich awanse,

212

podnosiłem polemiczną temperaturę prowadzonej właśnie dyskusji. Wiem, że mówiąc to, mogę wyjść na samolubną grającego na uczuciach innych, ale w tamtym czasie tak tego nie odbierałem. Kiedy z upływem czasu oni wszyscy stawali się coraz bardziej pijani lub naćpani i w końcu zaczynali się rozchodzić, ja wciąż czułem się pobudzony niczym - będę szczerzy " jakieś pomniejsze bóstwo.

Wróciłem do domu około 7.30 i od razu zacząłem przeglądać finansowe strony internetowe. Zapisując się do Lafayette, przelałem tam wszyst' kie swoje fundusze z Klondike - oprócz depozytu, który musiałem zostawić, by konto pozostało otwarte. Teraz byłem zadowolony, że go nie zlikwidowałem, ale kiedy w ciągu dnia stopniowo wróciłem do gry na gieł" dzie, zauważyłem, że brakuje mi towarzystwa innych maklerów i atmosfery „sali”. Z drugiej strony, zadziwiające było, jak szybko odzyskałem pewność siebie niezbędną do dokonywania dużych transakcji i podejmowani[^] sporego ryzyka. Do wtorkowego popołudnia - kiedy zadzwonił Giennadij - na koncie miałem już około 25 000 dolarów.

Zupełnie zapomniałem, że się z nim umówiłem, i kiedy zadzwonił telefon, właśnie pracowałem nad skomplikowaną strategią obrotu akcjami, którą miałem zastosować następnego dnia. Byłem w doskonałym n*1 stroju i nie chciałem żadnych kłopotów, więc powiedziałem Giennadij0' wi, że będę

miał na piątek dziesięć tabletek. Natychmiast spytał, czy nie mógłbym zdobyć ich wcześniej i czy nie mógłby po nie przyjść. Lekko zirytyowany odparłem, że nie, nie mógłbym, niech nie przychodzi - i zobaczymy się w piątek rano. Kiedy odłożyłem słuchawkę, zastanowiłem się, co z tym fantem zrobić. Przez Giennadija mogłem wpaść w poważne kłopoty i choć tym razem nie miałem wyboru i musiałem mu dać tych dziesięć pigułek, nie podobało mi się, że on przez cały czas będzie pewnie zajęty knuciem intryg mających umożliwić mu awans w Organizacji, a może nawet skierowanych przeciwko mnie. Będę musiał coś wymyślić - własną intrygę - i to już wkrótce.

W środę poszedłem kupić sobie trochę nowych ciuchów. Dzięki temu że nic nie jadłem i robiłem setki brzuszków, przez pięć dni trochę straciłem na wadze - uznałem więc, iż nadszedł czas, by odświeżyć swoją garderobę. Kupiłem dwa wełniane garnitury, jeden stalowoszary, a drugi ciemnogrnatowy - oba firmy Hugo Boss, a także bawełniane koszulki, jedwabne krawaty, chusteczki, bokserki, skarpety i buty.

Kiedy wracałem taksówką do domu, otoczony pachnącymi postrzelanymi torbami na zakupy, czułem się podekscytowany i gotowy

213

na wszystko. Ledwie jednak wszedłem na drugie piętro, ogarnęło mnie to samo uczucie, którego często doznawałem, będąc na MDT - że jestem osaczony, że mam za mało przestrzeni. Moje mieszkanie po prostu było za małe i musiałem coś z tym zrobić.

Wieczorem napisałem długi list do Carla Van Loona. Przeprosiłem w nim za swoje zachowanie i na usprawiedliwienie wspominałem o kuracji, której zostałem poddany, ale która już dobiegła końca. Zakończyłem prośbą, by zgodził się na rozmowę, a do listu dołączyłem schowaną w teczkę kartkę ze skorygowanymi prognozami. Początkowo zamierzałem wysłać list rano pocztą kurierską, ale po namyśle postanowiłem dostarczyć go osobiście. Jeśli natknę się na Van Loona w holu czy windzie, będzie świetnie, a jeśli nie, zaczekam i zobaczę, jak zareaguje na mój list.

Przez resztę wieczoru i większość nocy studiowałem ośmiusetstronicowy podręcznik o finansach spółek, który kupiłem kilka tygodni wcześniej.

Następnego ranka zrobiłem brzuszki, napiłem się soku i wziąłem prysznic. Wyjąłem z szafy niebieski garnitur, białą bawełnianą koszulę i rubinowy krawat. Ubrałem się przed dużym lustrem w sypialni i pojechałem taksówką do Van Loon Building na Czterdziestej Ósmej. Rzeźki i pewny siebie, wszedłem do holu i ruszyłem w stronę wind. Ludzie mijali mnie ze wszystkich stron i miałem wrażenie, że przedzieram się przez hałaśliwy gąszcz. Czekaając na windę, zerknąłem na ogromne okno, przy którym w ubiegłym tygodniu stałem z Ginny, zaspany i przerażony, ale wspomnienie to nie budziło we mnie żadnych emocji. Także w windzie mknącej na sześćdziesiąte pierwsze piętro nie zauważyłem u siebie żadnych oznak strachu, jaki jeszcze niedawno we mnie budziła. Przeglądałem się w lustrzanych płytach i podziwiałem krój swojego nowego garnituru.

W recepcji Van Loon & Associates panował spokój. Kilku młodych mężczyzn rozmawiało o czymś, od czasu do czasu wybuchając rubasznym śmiechem. Recepcjonistka patrzyła na coś na ekranie komputera i wydawała się tym całkowicie pochłonięta. Kiedy przed nią stanąłem, musiałem odkaslnąć, by zwróciła na mnie uwagę.

- Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc?

Zobaczyłem w jej oczach błysk świadczący o tym, że mnie poznała i zarazem była zdziwiona moim widokiem.

- Ja do pana Van Loona.

214

- Niestety, pan Van Loon wyjechał za granicę. Spodziewamy się go dopiero jutro. Gdyby mógł pan...

- W porządku - powiedziałem - chciałbym zostawić mu tę paczkę. Proszę mu ją wręczyć, kiedy tylko się zjawi. To pilne.

- Oczywiście, proszę pana. Uśmiechnęła się.

Skinąłem głową i odwzajemniłem uśmiech.

Powstrzymując się przed trzaśnięciem obcasami, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem z powrotem w stronę wind.

Wróciłem do domu i przez resztę dnia handlowałem akcjami w sieci,

zarabiając następne 10 000.

Jak dotąd, kombinacja MDT i dexeronu działała bez zarzutu i trzymałem kciuki za to, by było tak dalej. Zażywałem oba leki od prawie tygodnia i nie miałem w tym czasie nawet najmniejszego zaniku pamięci. Jednak przed wizytą Giennadija postanowiłem zrobić w mieszkaniu trochę bałaganu. Chciałem go przekonać, że zwiększanie dawki MDT nic nie daje, a wręcz jest autentycznie niebezpieczne. W ten sposób mogłem trochę ostudzić jego zapał i zyskać na czasie. Nadal nie miałem pomysłu,

co z nim zrobić.

Kiedy przyszedł w piątek rano, zauważyłem, że jest w nieco gorszym stanie. Bez słowa wyciągnął rękę i potrząsnął nią, jakby chciał powiedzieć „no, dawaj”.

Wyjąłem z kieszeni mały plastikowy pojemnik z dziesięcioma tabletkami MDT. Natychmiast go otworzył i zanim zdążyłem wspomnieć o właściwej dawce, tyknął jedną pigułkę.

Zamknął oczy i przez kilka chwil stał nieruchomo. Ja też nawet nie drgnąłem. Wreszcie otworzył oczy i rozejrzał się. Próbowałem narobić bałaganu, ale nie było to łatwe - w porównaniu z ubiegłym tygodniem mieszkanie zmieniło się nie do poznania.

- Brałeś? - spytał Giennadij, wskazując głową panujący wokół porządek.

-Tak.

- Czyli ty dostał więcej niż dziesięć.

Szlag by to trafił.

- Dwanaście - powiedziałem. - Udało mi się dostać dwanaście. Dwie ekstra dla mnie. Ale kosztowało mnie to tysiąc dolców. Na więcej mnie

nie stać.

- Dobra, za tydzień weźmiesz dwanaście dla mnie.

215

Chciałem powiedzieć „nie”. Chciałem powiedzieć „pierdol się”. Chciałem rzucić się na niego i sprawdzić, czy potrójna dawka MDT wystarczy, bym zdołał go obezwładnić i może udusić. Ale nie zrobiłem nic.

- Dobra.

No bo co by było, gdyby coś poszło nie tak i to ja zostałem uduszony - albo w najlepszym razie wzbudził zainteresowanie policji? I gdyby pobrano moje odciski palców, zatrzymano mnie i wciągnięto do rejestru? Potrzebowałem łatwiejszego i skuteczniejszego wyjścia z sytuacji. Takiego, które rozwiązałoby ją raz na zawsze.

Giennadij znów wyciągnął rękę.

- Siedemnaście i pół?

Bez słowa dałem mu uprzednio przygotowane pieniądze.

Schował je do kieszeni marynarki.

Na odchodnym rzucił:

- Za tydzień dwanaście. Nie zapomnij.

Carl Van Loon zadzwonił do mnie o siódmej wieczorem. Nie spodziewałem się tak szybkiej reakcji, ale ucieszyłem się - bo teraz mogłem zacząć działać. Byłem coraz bardziej zniecierpliwiony, dręczyło mnie poczucie, że muszę zaangażować się w coś, co pochłoniełoby cały mój czas i energię.

- Eddie.

- Carl.

- Długo jeszcze będziemy się tak miotać?

Uznałem, że ta stosunkowo powściągliwa uwaga dobrze mi wróży, i wygłosiłem płomienną mowę, którą zakończyłem prośbą o zgodę na ponowne zajęcie się umową MCL z Abraxas. Zapewniłem go, że palę się do działania, mam głowę pełną nowych pomysłów i jeśli tylko zechce dokładnie przyjrzeć się skorygowanym prognozom, to zobaczy, jak poważnie to traktuję.

- Przyjrzałem się im, Eddie. Są świetne. Jest tu Hank, jemu też je pokazałem. Chce cię poznać. - Zawiesił głowę. - Zamierzamy puścić sprawę w ruch.

Znów urwał, tym razem na dłużej.

- Carl?

-Ale, Eddie, będę z tobą szczery. Ostatnio mnie wkurzyłeś. Nie wiem, z kim - czy z czym - wtedy rozmawiałem. To znaczy, cokolwiek się z tobą dzieje, jakieś dwubiegunowe gówno, sam nie wiem... na tym poziomie nie można sobie pozwolić na taki brak stabilności. Kiedy fuzja zosta-

216

nie oficjalnie ogłoszona, będziemy pod dużym presją, media nie dadzą nam chwili spokoju... Nie możesz sobie tego wyobrazić, jeśli nigdy tego nie przeżyłeś.

- Carl, pozwól, że przyjdę i porozmawiam z tobą w cztery oczy. Jeśli nie uda mi się rozwiązać twoich wątpliwości, wycofam się. Nigdy więcej się z tobą nie skontaktuję. Podpiszę zobowiązanie do zachowania tajemnicy, czy co tylko zechcesz. Daj mi pięć minut.

Van Loon milczał przez pełne pół minuty. W ciszy słyszałem jego oddech. Wreszcie powiedział:

- Jestem w domu. Później mam spotkanie, więc jeśli chcesz przyjść, zrób to teraz.

Wystarczyło dziesięć minut, żeby obłaskawić Van Loona. Siedzieliśmy w jego bibliotece i przy szkockiej opowiedziałem mu zawiłą historyjkę o nieistniejącej przypadłości, na którą rzekomo cierpiałem. Była niegroźna, uleczalna przy zastosowaniu łagodnych leków, tyle że źle zareagowałem na jeden ze składników, co spowodowało moje nieobliczalne zachowanie. Kuracja została odpowiednio zmodyfikowana, zakończyłem ją teraz wszystko było w porządku. Nie brzmiało to zbyt wiarygodnie, ale zdaje się, że Van Loon słuchał mnie jednym uchem - sprawiał wrażenie zahinotyzowanego barwą mojego głosu, samą moją obecnością, ba, miałem uczucie, że nade wszystko pragnął mnie dotknąć, by naładować się moją energią. Była to jeszcze silniejsza reakcja od tej, jaką wywoływałem do tej pory - czy to u Paula Baxtera, czy też u Artiego Meltzera, Kevina Doyle'a, czy nawet samego Van Loona. Nie żebym się skarżył, ale musiałem to właściwie wykorzystać. Nie chciałem, by spowodowało to jakiegokolwiek zakłócenia czy naruszyło stan równowagi. Uznałem, że najlepiej będzie nad tym zapanować, znajdując zajęcie sobie i temu, na kogo wywierałem taki wpływ. Dlatego pośpiesznie przeszedłem do tematu negocjacji między MCL a Abraxas.

To delikatna sprawa, powiedział Van Loon, i liczy się każda minuta. Mimo pewnych drobnych trudności Hankowi Atwoodowi bardzo zależało na szybkim dojściu do porozumienia. Po zaprojektowaniu struktury cenowej następnym krokiem było przedstawienie kandydatów na najważniejsze stanowiska i struktury nowo powstałej firmy. A potem zostaną już tylko spotkania, negocjacje, zakulisowe rozmowy przedstawicieli MCL-Parnassus z ludźmi z Abraxas...

- .. a my będziemy w środku.

My?

217

Pociągnąłem łyk whisky. -My?

- Ja, i jeśli wszystko będzie grało, ty. Jim Heche, jeden z moich głównych wiceprezesów, wie, co i jak, moja żona też... i to już właściwie wszyscy. To samo dotyczy obu stron. Hank wprowadził we wszystkie szczegóły tylko kilku doradców, jest bardzo ostrożny. Dlatego chcemy wszystko zakończyć

w parę tygodni, góra miesiąc. - Wypił whisky do dna i spojrzał na mnie. - Niełatwo jest trzymać coś takiego w tajemnicy, Eddie.

Gawędziliśmy jeszcze jakieś pół godziny, aż wreszcie Van Loon powiedział, że musi wyjść. Umówiliśmy się na następny ranek w jego biurze. Pójdziemy na lunch z Mankiem Atwoodem, a potem na dobre weźmiemy się do roboty.

Ściskając mi dłoń na pożegnanie, powiedział:

- Mam szczerą nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Skinąłem głową.

W drodze z biblioteki do drzwi wyjściowych rozglądałem się za Gin-ny.

- Tylko mnie nie zawieź, Eddie, dobra?

- Nie zawiodę cię, Carl. Wszystko jest pod kontrolą, wierz mi. Nigdzie nie było ani śladu Ginny.

-Jasne. Wiem. Do zobaczenia jutro.

Lunch z Hankiem Atwoodem poszedł gładko. Atwood był pod wrażeniem nie tylko mojej znajomości materiałów związanych z planowaną umową, ale i mojej wiedzy o świecie biznesu. Bez trudu odpowiadałem na wszystkie jego pytania, a przy kilku z nich nawet zręcznie odwróciłem kota ogonem. Van Loonowi wyraźnie ulżyło, że wreszcie wszystko układało się po jego myśli, czułem też, że był zadowolony, iż tak dobrze wypadłem, bo to stawiało Van Loon & Associates w korzystnym świetle. Tym razem także poszliśmy do Four Seasons i kiedy rozglądałem się po sali, bawiąc się nóżką pustego kieliszka do wina, próbowałem sobie przypomnieć szczegóły mojej ostatniej wizyty w tej restauracji. Zaraz jednak ogarnęło mnie dziwne poczucie, że obrazy, które podsuwa mi pamięć, są nierzeczywiste niczym źle zapamiętany sen. Przyszło mi nawet do głowy, że tak naprawdę nigdy mnie tu nie było, że wspomnienie to wzięło się z czegoś, co ktoś mi powiedział albo co przeczytałem. Tak czy inaczej, wywołane tym poczucie dystansu wobec tamtego zdarzenia dobrze mi robiło - ponieważ teraz byłem tu na pewno i tylko to się liczyło.

218

Co więcej, dobrze się bawiłem - choć tylko dłuubałem w talerzu i nie zamówiłem nic do picia. Z upływem czasu Hank Atwood wyraźnie się odprężył i nawet zauważyłem u niego oznaki uzależnienia od mojego towarzystwa. Ale nie miałem nic przeciwko temu. Siedziałem w Four Seasons i upajałem się atmosferą; od czasu do czasu nachodziły mnie refleksje - kiedy przypominałem sobie, kim są ludzie, z którymi tu jestem - że to, czego doświadczałem, mogłoby być prototypem niezwykle wyrafinowanej gry toczącej się w rzeczywistości wirtualnej.

Tak czy inaczej, ten lunch okazał się początkiem pracowitego i ekscytującego okresu w moim życiu. Na następne dwa czy trzy tygodnie wpadłem w wir nieustających spotkań, lunchów, kolacji, nocnych dyskusji z wpływowymi opalonymi ludźmi w drogich garniturach - wszyscy dążyliśmy do tego, co Hank Atwood nazywał „splotem wizji”, chwili, gdy obie strony zgodzą się co do ogólnych zarysów umowy. Spotykałem rozmaitych ludzi - prawników, finansistów, firmowych strategów, paru kongresmanów, senatora - i potrafiłem przegadać każdego z nich. Co więcej, ku lekkiemu zaniepokojeniu Carla Van Loona, pod pewnymi względami stałem się kluczowym uczestnikiem negocjacji. Kiedy wizje obu stron zbliżały się coraz bardziej, z kilkoma innymi wtajemniczonymi

osobami utworzyliśmy pewnego rodzaju klikę, ale to ja grałem w niej pierwsze skrzypce. Tylko ja potrafiłem zminimalizować różnice między dwiema wyraźnie odmiennymi wizjami prowadzenia biznesu. W dodatku stałem się niezastąpiony dla samego Carla Van Loona. Jako że nie mógł dopuścić do pracy nad umową swoich ludzi, w coraz większym stopniu zdawał się na mnie, gdy chodziło o obserwację wydarzeń i przyswajanie i przetwarzanie niezliczonych informacji - od przepisów Federalnej Komisji Handlu po zawłość technologii szerokopasmowej, od terminów spotkań po imiona żon partnerów.

W tym czasie udawało mi się też robić inne rzeczy. Prawie codziennie chodziłem na siłownię Van Loon & Associates, by spalić choć część rozpierającej mnie energii; ćwiczyłem na różnych maszynach i próbowałem odbywać wszechstronny trening. Miałem też oko na mój portfel akcji w Klondike i nawet posiedziałem trochę w firmowej sali maklerskiej, o której mówił mi Van Loon. Kupiłem telefon komórkowy, co zamierzałem zrobić od lat, a oprócz tego masę ciuchów; codziennie wkładałem inny garnitur - a właściwie nosiłem na zmianę sześć czy siedem garniturów. Ponieważ sen nie odgrywał już istotnej roli w moim życiu, mogłem czytać gazety i zbierać materiały, nie wstając od komputera - późną nocą, często po świt...

219

Inną częścią mojego życia, i to taką, której, niestety, nie mogłem zignorować, był Giennadij. Czas biegł tak szybko, a ja byłem tak zajęty, że jego piątkowe wizyty stały się dla mnie rutyną, choć za każdym razem wmawiałem sobie, że teraz już muszę coś z tym fantem zrobić, jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Ale jak? Tego nie wiedziałem.

Ilekcroć przychodził, zaskakiwało mnie, jak bardzo się zmienił. Bładość heroinisty zniknęła bez śladu, jego cera przybrała zdrowy rumiany odcień. Obciął sobie włosy i zaczął nosić garnitury - choć nie tak eleganckie jak moje. Od pewnego czasu przyjeżdżał samochodem, czarnym mercedesem ileś tam, a jego ludzie czekali na do.le. Oczywiście musiał mi to pokazać, niemal zmusił mnie do tego, bym wyjrzał przez okno i zobaczył jego ekipę czekającą na Dziesiątej.

Giennadij robił coś jeszcze, co bardzo mnie irytowało. Kiedy tylko dostawał tabletki, wytrząsał jedną na dłoń i wrzucał do ust - na moich oczach, jakbym był dealerem koki, a on sprawdzał towar. Resztę chował do małego srebrnego pudełka, które nosił w kieszeni na piersi marynarki. Potem klepał ją i mówił: „Trzeba być zawsze przygotowanym”. Nie mogłem znieść obecności tego palanta w moim mieszkaniu. Byłem jednak bezsilny, bo facet bez wątpienia awansował w Organizacji, więc cóż mogłem zrobić?

W końcu odkładałem to na później i zajmowałem się czymś innym.

Ostatnio zdarzało mi się to coraz częściej.

Jednak najwięcej czasu spędzałem na poufnych naradach w rozmaitych gabinetach i salach konferencyjnych w Van Loon Building na Czterdziestej Ósmej, z Carlem, Hankiem Atwoodem i Jimem Heche albo z Car-lem, Jimem i Danem Bloomem, prezesem Abraxas i jego ludźmi.

Którejś nocy zostaliśmy z Carlem sami w sali konferencyjnej. Piliśmy drinki, a ponieważ byliśmy blisko zawarcia umowy, Van Loon poruszył temat pieniędzy, o którym nie wspomniał ani słowem od tamtego pierwszego wieczoru w jego apartamencie na Park Avenue. Rzucił jakąś uwagę na temat

pro wizji, jaką dostaniemy za doprowadzenie do zawarcia umowy, więc postanowiłem spytać go wprost, ile wyniesie moja działka. Nie mrugnawszy okiem, zajrzał od niechcienia do teczki leżącej na stole i powiedział:

- Cóż, biorąc pod uwagę twój wkład w całe przedsięwzięcie, Eddie, to będzie nie mniej niż czterdzieści. No nie wiem, powiedzmy, czterdzieści pięć.

Czekałem, aż powie coś więcej - bo nie byłem do końca pewien, co miał na myśli. On jednak milczał i wpatrywał się w teczkę.

- Tysięcy? - zaryzykowałem.

220

Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi. Wydawał się lekko zaskoczony. - Milionów, Eddie. Czterdzieści pięć milionów.

23

Nie spodziewałem się, że tak szybko dojdę do takich pieniędzy -w ogóle sobie nie wyobrażałem, że fuzja MCL z Abraxas może być tak lukratywna dla Van Loon & Associates. Kiedy jednak to przemyślałem, przyjrzałem się innym podobnym transakcjom i zorientowałem się, jak to wszystko funkcjonuje, zrozumiałem, że w tej sumie nie ma nic niezwykłego. Połączona wartość dwóch zainteresowanych firm wynosiła około dwustu miliardów dolarów. Biorąc to pod uwagę, nasza prowizja za pośrednictwo - ułamek procenta - będzie, no cóż... spora.

Pomyślałem sobie, że z takimi pieniędzmi mógłbym wiele zrobić. Myślałem o tym przez jakiś czas, ale dość szybko poczułem się zirytowany, że nie mam ich już w tej chwili. A jeszcze szybciej zacząłem urabiać Van Loona, by dał mi zaliczkę.

Kiedy odłożył teczkę i znów skupił uwagę na mnie, wyjaśniłem mu, że od sześciu lat mieszkam na rogu Dziesiątej i Alei A, ale czuję, że nadeszła pora na zmianę otoczenia. Uśmiechnął się niepewnie, jakbym powiedział, że przybyłem z Księżyca - ale wyraźnie się ożywił, kiedy dodałem, że niedawno oglądałem apartament w Niebiańskim w zachodniej części miasta.

- Słusznie. To już lepiej. Nie obraż się, Eddie... ale Aleja A? Co to, kurwa, jest?

- Chodzi o wysokość zarobków, Carl. Do tego się wszystko sprowadza. Nigdy nie miałem dość pieniędzy, by zamieszkać gdzie indziej.

Przekonany, że postawił mnie w niezręcznej sytuacji, Van Loon wymamrotał coś i przez chwilę wyglądał na zakłopotanego. Powiedziałem mu, że dobrze mi się mieszkało na rogu Alei A i Dziesiątej i że to wspaniała dzielnica, pełna starych barów i ekscentryków. Jednak już po pięciu minutach Van Loon tłumaczył mi, że bym się nie martwił, że niezwłocznie załatwi mi dofinansowanie kupna apartamentu w Niebiańskim. Będzie to rutynowa firmowa pożyczka, którą spłacę, kiedy mi będzie pasowało. Jasne, pomyślałem, dziewięć i pół miliona dolarów - rutynowa pożyczka.

Rano zadzwoniłem do Alison Botnick z Sullivan, Draskell, biura pośrednictwa w handlu nieruchomościami na Madison Avenue.

- Ach, pan Spinola, jak się pan miewa?

- W porządku.

Przeprosiłem ją za moją nagłą ucieczkę tamtego dnia, obracając to w żart. Och, nie ma o czym mówić, powiedziała. Spytałem ją, czy apartament nadal jest do kupienia. Tak, odparła, i wszystkie prace zostały już zakończone. Powiedziałem jej, że chciałbym obejrzeć go znowu, najlepiej jeszcze dziś, i porozmawiać z nią o złożeniu oferty.

Van Loon obiecał, że napisze mi list polecający, dzięki czemu firma Sullivan, Draskell będzie mogła oszczędzić sobie grzebania w moich deklaracjach podatkowych i dokumentach dotyczących kredytów - oznaczało to też, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę mógł podpisać umowy i wprowadzić się niemal od ręki.

To właśnie stało się podstawową siłą kształtującą moje życie - natychmiastowość, przyspieszenie, szybkość. Przemieszczałem się błyskawicznie z miejsca na miejsce, praktycznie bez poczucia ciągłości. Tego ranka musiałem spotkać się z kilkoma osobami w różnych częściach miasta - w biurze na Czterdziestej Ósmej, w hotelu poza centrum, w banku na Yesey Street. Potem zjadłem lunch z Danem Bloomem w Le Cirque. Na ponowne oględziny mieszkania udało mi się znaleźć czas po lunchu. Alison Botnick czekała na mnie na sześćdziesiątym siódmym piętrze - zupełnie jakby nie ruszyła się stamtąd od mojej ostatniej wizyty. W pierwszej chwili ledwo mnie poznała, po czym stała się nadzwyczaj wylewna. Już po pięciu minutach, a może nawet szybciej, złożyłem ofertę w niewielkim, ale przyzwoitym stopniu przewyższającą żądaną cenę i poszedłem z powrotem na Czterdziestą Ósmą i kolejne spotkanie z Carlem, Hankiem i Jimem, po którym wybieraliśmy się na koktajle do Orpheus Room.

Kiedy to ostatnie spotkanie dobiegało końca, Van Loon odebrał telefon. Byliśmy blisko zawarcia umowy i mieliśmy doskonałe humory. Wszystko szło po naszej myśli, a choć najtrudniejsze było dopiero przed nami -uzyskanie aprobaty Kongresu, Federalnej Komisji łączności i Federalnej Komisji Handlu - w sali panowało poczucie wspólnie osiągniętego sukcesu.

Hank Atwood wstał z krzesła i podszedł do mnie. Miał sześćdziesiąt parę lat, ale był szczupły, dobrze zbudowany i sprawiał wrażenie wysportowanego. Choć niskiego wzrostu, roztaczał wokół siebie władczą, niemal groźną aurę. Delikatnie trącając mnie w ramię, powiedział:

- Eddie, jak ty to robisz?

-Co?

- Mówię o tej twojej niesamowitej pamięci. To, jak twój umysł wszystko przetwarza. Wręcz widzę, jak pracuje.

Wzruszyłem ramionami.

- Panujesz nad sytuacją tak, że prawie mnie to... Zaczynałem czuć się nieswojo.

- ...prawie... to znaczy, robię w tym biznesie czterdzieści lat, Eddie, prowadziłem konglomerat spożywczy, wytwórnię filmową, widziałem wszystko, każdą sztuczkę, każdy układ, każdego człowieka, jakiego można spotkać...

Teraz patrzył mi prosto w oczy, stojąc nade mną.

- ...ale chyba jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty... Nie byłem pewien, czy to wyznanie miłości, czy zarzut, ale w tej

właśnie chwili Van Loon wstał od biurka i powiedział:

- Hank, ktoś chce się z tobą przywitać. Atwood obejrzał się.

Van Loon ruszył w stronę drzwi. Podniosłem się z krzesła i stanąłem za Atwoodem. Jim Heche wyszedł na środek pokoju i wyjął komórkę.

Odwrociłem się do drzwi.

Van Loon otworzył je i gestem zaprosił kogoś do środka. Słyszałem głosy, ale nie rozróżniałem słów. Nastąpiła krótka wymiana zdań, potem ktoś parsknął śmiechem i wreszcie - po paru sekundach - do pokoju weszła Ginny Van Loon.

Serce zabiło mi mocniej.

Pocałowała ojca w policzek. Hank Atwood rozłożył ręce.

- Ginny.

Podeszła do niego i uściskali się.

- No i jak, dobrze się bawiłaś? Skinęła głową i uśmiechnęła się szeroko.

- Jeszcze jak. Gdzie ona była?

- Skosztowałaś tej osterii, o której ci mówiłem? Włochy.

- Tak, była super. Smakowało mi też to... jak to się nazywało?... baccala?

Północny wschód.

Rozmawiali jeszcze przez jakąś minutę, Ginny skupiała całą uwagę na Atwoodzie. Kiedy czekałem, aż się od niego oderwie i -jak sędzę -zauważy mnie, bacznie jej się przyglądałem i zrozumiałem coś, co powinno być dla mnie od dawna oczywiste.

223

Zakochałem się w niej.

- ... i fajne jest to, że w nazwach ulic mają daty...

Miała na sobie krótką szarą spódnicę, popielatoniebieski sweter z dopasowanym topem i czarne skórzane czółenka; wszystko to pewnie kupiła w Mediolanie w drodze powrotnej z Yiceny czy Wenecji, czy gdziekolwiek była. Zmieniła też fryzurę - włosy nie sterczały jej już, były proste, z opadającym na oczy kosmykiem, który co chwila musiała odgarniać.

- ...ulica Dwudziestego Września, ulica Czwartego Listopada, to dopiero brzmi...

Spojrzała w moją stronę i kiedy mnie zauważyła, uśmiechnęła się -jednocześnie zaskoczona i nie. Van Loon powiedział:

- Pewnie historia jest dla nich ważna.

- Och, a my to co? - odparła Ginny, odwracając się do ojca. - Jesteśmy jednym z tych szczęśliwych narodów, które jej nie mają?

-Nie to miałem...

- Po prostu robimy różne rzeczy i liczymy, że nikt ich nie zauważy. -Chodziło mi...

-Albo wymyślamy coś, co pasowałoby do tego, co ludzie zauważyli.

- A w Europie niby jest inaczej? - wtrącił Hank Atwood. - O to ci chodzi?

- Nie, ale... cóż, sama nie wiem, weźmy całe to pieprzenie o Meksyku. Europejczycy nie mogą uwierzyć, że w ogóle myślimy o inwazji.

- Słuchaj, Ginny - powiedział Van Loon. - To złożona sytuacja. Mamy do czynienia z narko-państwem...

- Odmalował obraz powielany w niezliczonych komentarzach prasowych: wielką, jaskrawą panoramę niestabilności, chaosu i nieuniknionej katastrofy.

Jim Heche, który niepostrzeżenie podszedł do nich i uważnie przysłuchiwał się rozmowie, rzekł:

- To leży nie tylko w naszym, ale i ich interesie, Ginny.

- Napadamy na państwo po to, by je uratować? - burknęła, tracąc cierpliwość. -Nie wierzę własnym uszom.

-Czasem to...

- A co z deklaracją ONZ z 1970 - coraz szybciej wyrzucała z siebie słowa - według której żadne państwo nie ma prawa ingerować, bezpośrednio ani pośrednio, z jakiegokolwiek powodu, w sprawy wewnętrzne innego państwa?

Stała na środku pokoju, gotowa odeprzeć atak z każdej strony.

224

- Ginny, posłuchaj mnie - powiedział Van Loon pojednawczym tonem. - Handel z Ameryką Środkową i Południową zawsze był niezwykle ważny dla...

- O Jezuu, tatusiu, przecież to propaganda.

Z taką miną, jakby właśnie dostał kopniaka Van Loon uniósł ręce w górę.

- Chcecie wiedzieć, o co moim zdaniem w tym chodzi? - ciągnęła. -

O co tak naprawdę chodzi?

Twarz Van Loona wyrażała powątpiewanie, ale Hank Atwood i Jim Heche byli wyraźnie zaintrygowani opinią Ginny. Ja natomiast cofnąłem się pod wyłożoną dębiną ścianę za moimi plecami i oglądałem tę scenę z mieszanymi uczuciami - rozbawieniem, pożądaniem, zakłopotaniem.

- Nie ma w tym żadnego dalekosiężnego planu - powiedziała - żadnej strategii gospodarczej, żadnego spisku. To nie było w ogóle przemyślane. Moim zdaniem to tylko kolejny przejaw irracjonalnego... czegoś, nie tyle żywołowości, co...

Teraz i Van Loon jakby stracił cierpliwość.

- A cóż to niby znaczy? - spytał.

- Myślę, że tamtego wieczoru Caleb Hale wypił parę drinków za dużo, a może mieszał alkohol z triburbazine'em czy czymś podobnym

1 go poniosło. Teraz próbują zatuszować to, co powiedział, zatrzeć ślady, sprawić wrażenie, że to ich oficjalna polityka. Ale to, co robią, jest zupełnie irracjonalne...

- To absurd, Ginny.

- Przed chwilą rozmawialiśmy o historii; myślę, że w dużej mierze ona na tym właśnie polega. Ludzie u władzy tworzą ją na poczekaniu. Jest niechlujna i przypadkowa...

Moje zakłopotanie brało się z tego, że kiedy patrzyłem na Ginny -choć bardzo różniły się wyglądem i sposobem mówienia - miałem wrażenie, że widzę Melissę.

- Jesienią Ginny zaczyna studia - powiedział Van Loon. - Nauki polityczne... czy raczej paranoiczne?... Więc nie zwracajcie na nią uwagi, po prostu się rozgrzewa.

Ginny zastępowała, wybijając takt swoimi nowymi butami, i powiedziała:

- Goń się pan, panie Van Loon.

Odwróciła się i ruszyła w moją stronę. Hank Atwood i Jim Heche podeszli do siebie i jeden z nich zaczął coś mówić do Van Loona, który usiadł z powrotem za biurkiem.

Ginny przewróciła oczami, skreślając wszystko i wszystkich, którzy byli za jej plecami. Delikatnie szturchnęła mnie w brzuch.

15 - Dawka geniuszu

225

- No proszę. -Co?

- Gdzie się podziały te kilogramy?

- Mówiłem ci, że mam wahania wagi. Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Jesteś bulimikiem?

- Nie, jak już mówiłem... - Urwałem.

- No to może schizofrenikiem? Parsknąłem śmiechem i skrzywiłem się.

- Jesteś pewna, że nie idziesz na studia medyczne? Nic mi nie jest. Po prostu kiedy mnie ostatnio widziałas, miałem zły dzień.

- Zły dzień? -Tak.

- Hmm.

- Naprawdę. -A jak jest dziś?

- Dziś mam dobry dzień.

Poczułem pokusę, by dorzucić jakąś kretyńską uwagę typu „a kiedy cię zobaczyłem, stał się jeszcze lepszy”, ale jakoś udało mi się powstrzymać przed otwarciem ust.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której patrzyliśmy na siebie.

Nagle z drugiego końca pokoju dobiegło:

- Eddie?

- Tak?

To był Van Loon.

- O czym to wcześniej rozmawialiśmy? O miedzianych pętlach i... AD-coś tam?

Wychyliłem się lekko w lewo i wyjrzałem zza Ginny na Van Loona.

- ADSL - powiedziałem. - Abonencka Asynchroniczna Pętla Cyfrowa. -No i...?

- Pozwala na transmisję pojedynczego spakowanego sygnału wideo wysokiej jakości, z prędkością półtora megabita na sekundę. Oprócz zwykłej rozmowy telefonicznej.

— No właśnie.

Van Loon odwrócił się z powrotem do Hanka Atwooda i Jima Heche i dalej coś im tłumaczył.

Ginny spojrzała na mnie i uniosła brwi.

- To ja przepraszam.

- Chodźmy gdzieś na drinka - wyrzuciłem z siebie jednym tchem. -Tylko nie odmawiaj.

Po jej twarzy przebiegł cień niepewności. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Van Loon klasnął w dłonie i powiedział:

- No, Eddie, idziemy.

Ginny natychmiast odwróciła się i odeszła, zostawiając mnie samego.

- No to dokąd się, chłopcy, wybieracie? - spytała ojca. Osunąłem się na wyłożoną dębiną ścianę.

- Do Orpheus Room. Musimy omówić jeszcze parę spraw. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wzgardliwie wydeęła usta i powiedziała:

- Dobrej zabawy.

- A co ty będziesz robić?

Kiedy spojrzała na zegarek, ja wbiłem wzrok w jej plecy, w łagodny popielaty błękit jej kaszmirowego swetra.

- Później będę musiała coś załatwić, ale teraz idę do domu.

- Dobrze.

Przez następną krótką chwilę w pokoju słychać było tylko „do widzenia” i „do zobaczenia”.

Ginny podeszła lekkim krokiem do drzwi, pomachała mi, uśmiechnęła się i wyszła.

Kiedy po paru minutach szliśmy do Orpheus Room, musiałem otrząsnąć się z silnego poczucia zawodu i skupić na sprawach bieżących.

Moja oferta kupna apartamentu w Niebiańskim została przyjęta następnego dnia, a już dzień później podpisałem wszystkie dokumenty. List od Van Loona położył kres zainteresowaniu moimi sprawami podatkowymi, a ponieważ finansowanie zostało załatwione równie dyskretnie, wszystko poszło jak z płatka. Trudniej było podjąć decyzję co do wystroju. Zadzwoiłem do paru dekoratorów wnętrz, poszedłem do kilku sklepów meblowych i przeczytałem różne kolorowe magazyny, ale wciąż się wahałem; najpierw coś planowałem, potem zmieniałem zdanie, wybierałem jeden kolor, potem inny... i tak bez końca. Czy chciałem, żeby wystrój był oszczędny i surowy, na przykład ze szpizowoszarymi powierzchniami i segmentowymi meblami, czy też egzotyczny i fantazyjny, z fotelami w stylu Ludwika XV, japońskimi sitodrukami i czerwonymi lakierowanymi stołami?

Kiedy tamtego piątkowego ranka do mieszkania na Dziesiątej przyszedł Giennadij, byłem już w trakcie pakowania rzeczy do pudeł.

Powinienem być się spodziewać kłopotów, ale nie dopuszczałem do siebie czarnych myśli.

227

Wszedł do środka, zobaczył, co się dzieje, i niemal od razu wpadł w szał. Kopnął i wyrzucił parę pudeł, po czym powiedział, że to koniec.

- Mam dość ciebie i twojego dwulicowego makaroniarskiego pierdolenia.

Miał na sobie obszerny kremowy garnitur z wzorzystym różowo-żółtym krawatem. Jego włosy były gładko zaczesane do tyłu, a na czubku nosa tkwiły ciemne okulary w stalowych oprawkach.

- Co tu się, kurwa, dzieje?

- Spokojnie, Giennadij. Przeprowadzam się, to wszystko. -Dokąd?

Nadchodził najtrudniejszy moment. Kiedy zrozumie, gdzie się przenoszę, za nic nie zgodzi się, by nasz układ pozostał bez zmian. Spłaciłem już cały dług, więc stałem się dla niego po prostu dealerem, który opychał mu dwanaście tabletek MDT tygodniowo. Ja też nie chciałem, by tak to zostało, ale nasze pomysły co do charakteru ewentualnych zmian na pewno bardzo się różniły.

- Do domu w West Thirties, na Dwunastej Alei. Kopnął następne pudło.

- Kiedy?

- Na początku przyszłego tygodnia.

Nowe mieszkanie nie było jeszcze umeblowane, ale ponieważ zainstalowano już prysznic, linie telefoniczne i kablówkę, a ja nie miałem nic przeciwko temu, żeby przez jakiś czas zamawiać jedzenie przez telefon -no i naprawdę chciałem wynieść się z Dziesiątej - byłem gotów wprowadzić się tam już teraz.

Giennadij oddychał przez nos.

- Słuchaj - powiedziałem mu - masz mój numer ubezpieczenia społecznego i szczegółowe informacje o mojej karcie kredytowej. Przecież nie stracisz mnie z oczu. Zresztą to nie tak daleko stąd.

- Myślisz, że martwię się tym, że mi znikniesz z oczu? - Lekceważąco machnął ręką. - Mam dość tego...
- wskazał podłogę - .. przyłóżenia tutaj. Chcę poznać twojego dealera. Chcę kupować ten syf hurtowo.

Potrząsnąłem głową i cmoknąłem językiem.

- Przykro mi, Giennadij, ale to niemożliwe.

Przez sekundę stał nieruchomo, po czym wyskoczył naprzód i uderzył mnie w pierś. Poleciałem do tyłu, przewróciłem się o pudło z książkami, rozkrzyżowałem ręce i rąbnąłem głową w podłogę.

Minęła dłuższa chwila, zanim usiadłem; przez parę następnych sekund pocierałem głowę i rozglądałem się w zdumieniu; podniesienie się

228

na nogi też zajęło mi trochę czasu. Mogłem mu powiedzieć sto rzeczy, ale uznałem, że nie warto. Wyciągnął rękę.

- No, gdzie one są?

Zataczając się, podszedłem do biurka i wyjąłem tabletki z szuflady. Wróciłem do niego i dałem mu je. Połknął jedną i przez następnych parę minut ostrożnie przesypywał resztę z małego plastikowego

pojemnika do swojego srebrnego pudełka. Kiedy skończył, rzucił pojemnik na podłogę i schował pudełko do kieszeni na piersi marynarki.

- Nie powinienes brać więcej niż jedną dziennie - powiedziałem. -Nie biorę. - Spojrzał na zegarek i westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Spiesz mi się. Napisz adres tego nowego mieszkania.

Znów podszedłem do biurka, pocierając kark. Kiedy znalazłem kartkę i długopis, pomyślałem, czy nie podać mu fałszywego adresu, ale uznałem, że to byłoby bez sensu - w końcu i tak miał wszystkie najważniejsze informacje o mnie.

- No, szybciej. Mam spotkanie za piętnaście minut. Zapiłem adres i dałem mu kartkę.

- Spotkanie? - powiedziałem z nutą sarkazmu w głosie.

- Tak. - Uśmiechnął się z wyższością, najwyraźniej nie wyczuwając ironii w moim pytaniu. - Zakładam firmę eksportowo-importową. To znaczy próbuję. Ale w tym kraju jest tyle zasranych przepisów. Wiesz, ile się trzeba nachodzić tylko po to, żeby dostać zezwolenie?

Pokręciłem głową i spytałem:

- Co będziesz importował? Albo eksportował? Pochylił się lekko i szepnął:

- Nie wiem, rozumiesz... różne rzeczy.

- Rzeczy?

- Co się czepiasz, to skomplikowany przekręt... myślisz, że opowiem wszystko takiemu leszczowi jak ty?

Wzruszyłem ramionami.

- No dobra, Eddie - powiedział - a teraz słuchaj. Daję ci czas do przyszłego tygodnia. Umów mnie z tym kimś. Będziesz dostawał ode mnie prowizję. Ale jeśli zrobisz mnie w chuja, gołymi rękami wyrwę ci serce i usmażę je na patelni. Rozumiemy się?

Wpiłem się w niego wzrokiem.

-Tak.

Jego pięść wystrzeliła znikąd, niczym torpeda, i wylądowała na moim splocie słonecznym. Zgiąłem się wpół i znów zatoczyłem do tyłu, ledwo co omijając pudła.

229

- Oj, przepraszam, powiedziałaś „tak”? Coś mi się pomyliło. Kiedy szedł schodami na dół, wciąż słyszałem jego śmiech.

Gdy znów mogłem normalnie oddychać, podszedłem do kanapy Osunąłem się na nią i wbiłem wzrok w sufit. Od pewnego czasu Giennadij stawał się coraz bardziej nieobliczalny. Musiałem znaleźć jakieś

rozwiązanie, i to już, bo kiedy tylko zobaczy apartament w Niebiańskim, nie będę w stanie zrobić nic. Już nie. Będzie za późno. Giennadij będzie chciał w to wejść. Zażąda wszystkiego.

I wszystko zniszczy.

Po pewnym czasie — kiedy dokładniej przemyślałem sprawę - doszedłem do wniosku, że największym zagrożeniem wcale nie był Giennadij tylko to, że mój zapas MDT topniał w zatrważającym tempie. W ciągu ostatniego miesiąca sięgałem do niego kilka razy w tygodniu, bezmyślnie, nie zwracając sobie głowy liczeniem pozostałych tabletek. Obiecywałem sobie, że zajmę się tym przy następnej okazji, ale tego nie zrobiłem. Nie mogłem się do tego zabrać. Byłem zbyt pochłonięty różnymi sprawami, głowie kołatało mi zbyt wiele myśli - o umowie MCL z Abra-xas, o Niebiańskim, o Ginny Van Loon...

Poszedłem do sypialni. Wyjąłem z szary dużą brązową kopertę i wysypałem jej zawartość na łóżko. Policzyłem tabletki. Zostało około dwustu pięćdziesięciu. Jeśli dalej będą się rozchodzić w takim tempie - wliczając w to regularne dostawy dla Giennadija - starczami na parę miesięcy Nawet jeśli pozbędę się go, zyskam najwyżej kilka tygodni.

To było największym problemem, któremu musiałem stawić czoła a jego rozwiązania należało szukać - znowu - w małym czarnym notesie Yernona. Gdzieś na tej liście nazwisk i numerów telefonów musiał być ktoś, kto znał się na MDT, wiedział coś o jego pochodzeniu i dawkowaniu, a może nawet o potencjalnych dostawcach. Jeśli miało się spełnić wspaniałe, niespodziewane przeznaczenie, które rozciągało się przede mną, musiałem rozwiązać te problemy -jeden albo oba - i to już teraz.

Wyjąłem notes i znów go przejrzałem. Czerwonym długopisem wykreśliłem numery, pod które już dzwoniłem. Na oddzielnej kartce wypisałem całą resztę. Pierwszy należał do Deke'a Taubera. Wcześniej miałem opory przed dzwonieniem do niego, ponieważ nie sądziłem bym mógł do niego dotrzeć. W latach osiemdziesiątych handlował obligacja-

230

mi, był ważniakiem z Wall Street, ale ostatnio odrodził się jako tajemniczy przywódca sekty nazwanej od jego imienia Dekedelią.

Im dłużej o tym myślałem, tym większego nabierałem przekonania, że powinienem do niego zadzwonić. Bez względu na to, jak bardzo zdziwaczał, będzie wiedział, kim jestem. Znał Melisę. Mogłem powołać się na „stare dobre czasy”.

Wykręciłem numer i zaczekałem.

- Biuro pana Taubera.

- Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z panem Tauberem? Podejrzana przerwa.

Cholera.

- A kto mówi, jeśli wolno spytać?

- Proszę mu powiedzieć, że stary znajomy, Eddie Spinola. Następną przerwa.

- Skąd pan ma ten numer?

- Myślę, że to nie pani interes. To jak, mogę rozmawiać z panem Tauberem?

Trzask.

Nie lubię, kiedy ludzie, z którymi rozmawiam przez telefon, rzucają słuchawką- ale wiedziałem, że pewnie zdarzy mi się to jeszcze nieraz.

Znów spojrzałem na listę numerów.

„Kto mówi?”

„Czego pan chce?”

„Skąd pan ma ten numer?”

Myśl o dzwonienu do wszystkich po kolei i wykreślaniu numerów jeden po drugim była zbyt zniechęcająca, więc postanowiłem pozostać przy Tauberze. Wszedłem na stronę internetową Dekedelii i przeczytałem o ich kursach, książkach i kasetach wideo. Wyglądało to jak czysto handlowe przedsięwzięcie, obliczone na przyciąganie nowych rekrutów.

Przez jakiś czas surfowałem po Internecie i znalazłem linki do wielu innych stron. Wytropiłem na przykład spis marginalnych religii, grupę edukacyjną o nazwie CultWatch, rozmaite organizacje „zatroskanych rodziców” i witryny poświęcone takim tematom jak pranie mózgu i „odprogramowanie”. W końcu trafiłem na stronę wykwalifikowanego doradcy z Seattle pomagającego ludziom uwalniać się od wpływu sekt, który przed piętnastoma laty stracił syna na rzecz grupy o nazwie Jaśniejący Wenu-sjanie. Ponieważ człowiek ten wspomniał na swojej witrynie o Dekedelii, postanowiłem odszukać jego numer i skontaktować się z nim. Rozmawialiśmy przez kilka minut i choć niewiele mi pomógł, dostałem od niego numer „grupy zatroskanych rodziców” z Nowego Jorku. Porozmawiałem

231

z jej sekretarzem - zatroskanym i wyraźnie stukniętym rodzicem - i zdobyłem nazwę prywatnej agencji detektywistycznej prowadzącej dochodzenie w sprawie Dekedelii na zamówienie części członków grupy. Po kilku próbach i wielu krętowniach wreszcie udało mi się skontaktować z jednym z pracowników agencji, Kennym Sanchezem.

. Powiedziałem, że mam pewne informacje na temat Deke'a Taubera, które mogą go zainteresować, ale że w^zamian również chcę się czegoś dowiedzieć. Początkowo był nieufny, ale w końcu zgodził się ze mną spotkać - na lodowisku w Rockefeller Plaża.

Dwie godziny później chodziliśmy w tę i we w tę po Czterdziestej Siódmej. Potem zawędrowaliśmy na Szóstą Aleję, minęliśmy Radio City Music Hali i ruszyliśmy w stronę Central Park South.

Kenny Sanchez był niski, brzuchaty i nosił brązowy garnitur. Choć miał poważną minę i, co zrozumiałe, unikał mówienia o sprawach zawodowych, po dziesięciu minutach nieco się odprężył i nawet stał się dość wylewny. Z lekką przesadą powiedziałem mu, że w latach osiemdziesiątych przez pewien czas przyjaźniłem się z Dekiem Tauberem, ale nasze kontakty się urwały. Sanchez wydawał się tym

zafascynowany i zadał mi kilka pytań. Odpowiadając na nie bez żadnego wahania, stworzyłem wrażenie, że jestem skłonny podzielić się wszelkimi informacjami, jakie miałem - co znaczyło, że w chwili, kiedy to ja zacząłem zadawać pytania jemu, był już prawie całkowicie obłąskawiony.

- Najważniejsza zasada obowiązująca w tej sekcji - powiedział mi - jest taka: każdy musi uwolnić się od aberracji nieodłącznie związanych z matrycą rodziny i, posłuchaj tego, samodzielnie odtworzyć się w alternatywnym środowisku.

Zatrzymał się na chwilę i wzruszył ramionami, jakby chciał zdystansować się od tego, co przed chwilą powiedział. Potem ruszył dalej.

- Na początku Dekedelia była nie bardziej ani nie mniej dziwaczna od kilkunastu innych tego rodzaju grup. Rozumiesz, prowadziła wykłady, sesje medytacyjne, wydawała biuletyn. Tak jak wszystkie inne sekty, roztaczała aurę taniego, wyświechtanego mistycyzmu... ale to szybko się zmieniło i ni stąd, ni zowąd przywódca tego, cytuję, „ruchu duchowego” zaczął wydawać doskonale sprzedające się książki i kasety wideo.

Kiedy Kenny Sanchez mówił, od czasu do czasu zerkałem na niego z ukosa. Był wygadany i wszystkie szczegóły miał doskonale opanowane, ale czułem też, że nade wszystko pragnie mi dowieść, iż trzyma rękę na pulsie.

- Wkrótce potem zaczęły się kłopoty. Kolejne osoby - zawsze młode i w większości pozbawione perspektyw - po prostu rozpyływały się w sekcji. Nie było to jednak sprzeczne z prawem, bo nowi członkowie pamięć-

232

tali, by napisać „pożegnalne” listy do swoich rodzin, dzięki czemu... - uniósł palec wskazujący prawej dłoni - ...sprytnie zapobiegali wszczęciu przez policję dochodzenia w sprawie zaginięcia.

Wyjaśnił mi, że koncentruje się na poszukiwaniu trzech młodych ludzi, którzy zniknęli w ciągu ostatniego roku, i powiedział parę słów o każdym z nich - co nie było mi do niczego potrzebne.

- No i jak idzie śledztwo? - spytałem.

-Nie najlepiej, niestety. -Najwyraźniej wolałby tego nie mówić, ale wyglądało na to, że nie miał wielkiego wyboru. Jakby chcąc zatrzeć negatywne wrażenie, dodał: - Ale dzieją się dziwne rzeczy. W ciągu ostatniego tygodnia, dwóch pojawiły się plotki, że Dekę Tauber zachorował. Nie widziano go, nie wygłosił żadnych wykładów, nie podpisywał swoich książek. Nie można się z nim skontaktować. Jest faktycznie odcięty od świata.

-Hmm.

Uznałem, że nadszedł czas, bym odkrył swoje karty.

Powiedziałem, że mam powód, by sądzić, iż Dekę Tauber bierze dziwny, powodujący uzależnienie lek, i że przyczyną choroby może być fakt, iż jedyny dostawca tego środka... zniknął, pozostawiając wszystkich klientów na lodzie. Kenny Sanchez bardzo się tym zainteresował, choć mówiłem dość niejasno i niemal od razu wyjawiałem mu, czego potrzebuję - informacji na temat współnika Taubera,

Todda jakiegoś tam. Obiecałem, że jeśli mi pomoże w tej sprawie, przekażę mu wszelkie informacje na temat leku, jakie zdobędę.

Próbując zrobić na mnie wrażenie, Kenny Sanchez na jakiś czas zapomniał o zasadach obowiązujących w jego fachu, ale mimo to zdołał przekonująco wzdrygnąć się na myśl o ujawnieniu osobie trzeciej informacji uzyskanych podczas śledztwa.

- Informacje dotyczące współnika Taubera? Nie wiem, Eddie... to nie będzie łatwe. W końcu obowiązuje nas tajemnica zawodowa... - zawiesił głos - ... i etyka... i inne rzeczy...

Zatrzymałem się na rogu Szóstej i Central Park South i spojrzałem mu prosto w oczy.

- A skąd właściwie bierzesz swoje informacje, Kenny? To towar, jak wszystko, zgadza się? Waluta? To byłaby po prostu wymiana...

- Może...

- W końcu czym są źródła? -No tak, ale...

- Coś za coś.

Naciskałem na niego dotąd, aż zgodził się mi pomóc. Powiedział, że zobaczy, co się da zrobić, i dodał - z zakłopotaniem - że jeśli spróbuje,

233

prawdopodobnie uda mu się uzyskać dostęp do wykazu rozmów telefonicznych Taubera.

W weekend spakowałem resztę swoich rzeczy i przewiozłem większość z nich do Niebiańskiego. Poznałem recepcjonistę, Richiego, dyżurującego w holu głównym. Zajrzałem do kilku sklepów meblowych, a także rzuciłem okiem na najnowocześniejsze sprzęty kuchenne i zestawy kina domowego. Kupiłem całą bibliografię Dickensa, co planowałem od lat. Nauczyłem się również hiszpańskiego - to też od dawna zamierzałem zrobić - i przeczytałem Sto lat samotności w oryginale.

W poniedziałek rano zadzwonił Kenny Sanchez. Spytał, czy możemy się spotkać, i zaproponował kawiarnię na Columbus Avenue. Miałem zaprotestować i zasugerować jakiś lokal bliżej centrum, ale rozmyśliłem się. Skoro obyczaje prywatnych detektywów wymagały spotkań w miejscach publicznych, jak lodowiska i kawiarnie - niech tak będzie: Przed wyjściem zadzwoniłem do kilku osób. Umówiłem się z właścicielem mieszkania na Dziesiątej, by oddać mu klucze. Bez powodzenia próbowałem uzgodnić termin wizyty z facetem, który miał wyłożyć kafelkami łazienkę. Porozmawiałem też z sekretarką Van Loona i zaplanowałem parę spotkań na popołudnie.

Potem poszedłem na Pierwszą Aleję i wskoczyłem do taksówki.

To było w ostatni poniedziałek.

Kiedy teraz siedzę w pogrążonym w upiornej ciszy pokoju w North-view Motor Lodge, niewiarygodne wydaje mi się, że od tamtej pory minęło raptem pięć dni. Równie niewiarygodne - biorąc pod uwagę wszystko, co zdarzyło się potem - było to, co wówczas robiłem: ustalałem terminy spotkań w

interesach, przejmowałem się kafelkami, podejmowałem, jak mi się zdawało, rozsądne działania w sprawie MDT...

Światło za oknem zmieniło się niemal niezauważalnie. Ciemność stała się jakby mniej groźna, wkrótce zza horyzontu zaczęły się syczyć niebieska poświata. Kusi mnie, żeby odłożyć laptop, wyjść na zewnątrz, popatrzeć na niebo i napawać się tym bezbrzeżnym spokojem, który otacza tę małą polanę na skraju autostrady w Yermont.

Ale zostaję tu, gdzie jestem - wewnątrz, w wiklinowym fotelu - i piszę dalej. Ponieważ tak naprawdę zostało mi już niewiele czasu.

234

i

Kiedy jechałem taksówką do kawiarni, z boku mignęło mi Akcjum na Columbus Avenue - restauracja, w której siedziałem naprzeciwko Donatelli Alvarez. Była zamknięta i wyglądała dziwnie bezbarwnie i nierzeczywiście, jak opustoszały plan filmowy. Odtworzyłem w pamięci wszystko, co pamiętałem z tamtej kolacji i przyjęcia w pracowni Rodolfo Alvarez; ale wkrótce przed oczami miałem już tylko namalowane postacie, jaskrawe, bulwiaste, riamnażające się, i to było ponad moje siły. Żeby zająć czymś umysł, zacząłem czytać kartę praw pasażera przyczepioną do oparcia przedniego fotela.

Wszedłem do kawiarni. Kenny Sanchez siedział w boksie i jadł jajecznicę z szynką. Przy kubku z kawą leżała duża brązowa koperta. Usiadłem naprzeciw niego i przywitałem go dyskretnym skinieniem głowy.

Wytrzeł usta chusteczką i powiedział:

- Eddie, jak się masz? Zjesz coś?

- Nie, kawa wystarczy.

Złapał przechodzącą obok kelnerkę i zamówił kawę.

- Mam coś dla ciebie. — Postukał w kopertę. Serce zabiło mi mocniej.

- Świetnie. Co to jest? Napił się kawy.

- Wszystko w swoim czasie, Eddie. Najpierw musisz być ze mną szczerzy. Ten lek, o którym mówiłeś... ile w tym jest prawdy? To znaczy, skąd w ogóle o nim wiesz?

Najwyraźniej - kiedy nieco ochłonął i trochę się nad tym wszystkim zastanowił - doszedł do wniosku, że próbuję go wykiwać, wydębić od niego informacje, nie dając w zamian nic istotnego.

- On naprawdę istnieje - zapewniłem. Kelnerka przyniosła kawę, co dało mi chwilę do namysłu. Nie było jednak o czym myśleć. Potrzebowałem tych informacji.

Kiedy zostaliśmy sami, powiedziałem:

- Słyszałeś o środkach dopingujących, o których bez przerwy piszą gazety, tych, co to kalają dobre imię sportu? To jest coś podobnego, tyle że działa na mózg -jakby steryd pobudzający intelekt.

Patrzył na mnie, czekając na więcej.

- Mój znajomy sprzedawał to Tauberowi. - Kiwnąłem głową w stronę koperty. - Jeśli to billing Taubera, powinno w nim być nazwisko człowieka, o którym mówię. Yernon Gant.

Kenny Sanchez sięgnął po kopertę, otworzył i wyjął z niej papiery. Od razu zauważyłem, że to wydruk numerów telefonicznych wraz z nazwiskami, godzinami i datami połączeń. Przerzucił kartki, szukając czegoś.

- Jest - powiedział po chwili i wskazał nazwisko. - Yernon Gant.

235

iii.'

- Czyli jest tam też pewnie jakiś Todd?

- Tak. Tylko trzy czy cztery rozmowy, wszystkie mniej więcej o tej samej porze, w okresie paru dni.

- A potem nie ma już więcej rozmów z Yernonem Gantem. Spojrzał na kartki, przerzucił je jedna po drugiej, sprawdzając, czy

mam rację. W końcu skinął głową.

- Zgadza się. - Położył plik papierów na kopercie. - No i co to znaczy? Że zniknął?

- Yernon Gant nie żyje. -Aha.

- Był moim szwagrem.

- Aha. - Westchnął. - Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Był palantem.

Przez pewien czas obaj milczeliśmy. Potem świadomie podjąłem ryzyko. Wziąłem plik papierów do ręki i pytająco uniosłem brwi.

Skinął głową przyzwalająco.

Przez dłuższą chwilę studiowałem kartki, przerzucając je na chybił trafił. W końcu znalazłem rozmowy z Toddem. Na nazwisko miał Ellis.

- To numer z New Jersey, zgadza się?

- Tak, sprawdziłem. Należy do firmy o nazwie United Labtech, która ma siedzibę niedaleko Trenton.

- United Labtech?

- Tak. Chcesz tam skoczyć?

Samochód Sancheza stał obok kawiarni, więc po kilku minutach jechaliśmy już Henry Hudson Parkway. Przez Lincoln Tunnel dostaliśmy się do New Jersey i skręciliśmy na Turnpike. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, Kenny dał mi kopertę do trzymania, a ja po chwili wyjąłem z niej kartki i

zacząłem je przeglądać. Nie był z tego zadowolony, ale nic nie powiedział. Żeby nie mieć z nim żadnych kłopotów, bez przerwy go zagadywałem. Zadawałem mu pytania dotyczące spraw, nad którymi pracował, luk w prawie, jego rodziny i tak dalej. Nagle zacząłem go wypytywać o billing Taubera. Kim byli ci ludzie? Czy zidentyfikował wszystkich rozmówców? Jak to zrobił?

- Większość tych osób - powiedział - uczestniczy w biznesowej działalności Dekedelii; to wydawcy, dystrybutorzy, prawnicy. Ich obecność w wykazie rozmów jest zrozumiała i z tego powodu ich wyeliminowałem. Ale sporządziliśmy też listę około dwudziestu pięciu innych nazwisk, które zupełnie tu nie pasują.

236

- Ci ludzie dzwoniли do niego czy on do nich?

- Jedno i drugie, i to dość często. Wszyscy mieszkają w dużych miastach. Zajmują wysokie stanowiska w różnych firmach, ale żaden zdaje się nie mieć nic wspólnego z Dekedelią.

- Na przykład - powiedziałem, namierzając jeden z nielicznych numerów spoza stanu - ta... Libby Driscoll? Z Filadelfii?

-Tak.

- Hmm.

Wyjrzałem przez okno i patrząc na przemykające za szybą stacje benzynowe, fabryki, restauracje Pizza Hut i Burger King, zastanawiałem się, kim mogą być ci ludzie. Istniało kilka możliwych wyjaśnień, spróbowałem więc wybrać najsensowniejsze z nich. Zaraz jednak zaczęło mnie rozpraszać to, że Kenny Sanchez co parę sekund zerkał w lusterko wsteczne. Z niewiadomej przyczyny zmieniał też pasy - raz, potem drugi i trzeci.

- Coś nie tak? - spytałem w końcu.

- Chyba jesteśmy śledzeni - odparł, znów zmienił pas i przyspieszył.

- Śledzeni? - zdziwiłem się. - Przez kogo?

-Nie wiem. Może się mylę. Po prostu jestem ostrożny.

Spojrzałem do tyłu. Po wszystkich trzech pasach ciągnęły się sznury samochodów, a cała ruchliwa autostrada wiła się jak wąż przez pagórkowaty przemysłowy krajobraz. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak Sanchez mógł wypatrzeć wśród tych wszystkich aut jedno, które niby miało nas śledzić.

Nic nie powiedziałem.

Po kilku minutach skręciliśmy na zjazd do Trenton i wydawało się, że jechaliśmy całą wieczność, zanim wreszcie zatrzymaliśmy się pod niepozornym parterowym budynkiem. Był długi i niski, przypominał magazyn. Od frontu rozciągał się duży parking, wypełniony mniej więcej w połowie. Jedynym znakiem rozpoznawczym była mała tabliczka przy głównym wjeździe. Widniała na niej nazwa UNITED LABTECH, a pod nią logo, które zapewne miało budzić skojarzenia z nauką - coś w rodzaju poskręcanej helisy na tle falistej niebieskiej siatki. Wjechaliśmy do środka i zaparkowaliśmy.

Nagle dotarło do mnie, że może już niedługo spotkam wspólnika Yernona Ganta, i poczułem przyływ adrenaliny.

Wyciągnąłem rękę do drzwi, ale Sanchez położył mi dłoń na ramieniu i powiedział:

- Hola, dokąd to? -Co?

237

- Nie możesz tam tak po prostu wejść. Potrzebujesz jakiejś przykrywki. - Sięgnąłem do schowka. - Ja się tym zajmę. - Wyjąłem garść wizytówek, przejrzałem je i wybrałem jedną. - W takich sytuacjach najlepiej być agentem ubezpieczeniowym.

Niezdecydowany, przez chwilę przygryzałem dolną wargę.

- Słuchaj, zamierzam tylko sprawdzić, czy on tam jest - powiedział Sanchez. - To pierwszy krok.

Zawahałem się.

- Dobra.

Patrzyłem, jak Sanchez wysiada z wozu, podchodzi do wejścia i znika w środku.

Oczywiście miał rację. Musiałem być wobec Todda Ellisa bardzo ostrożny, bo gdybym podczas pierwszego spotkania wyskoczył z czymś niestosownym - zwłaszcza w jego miejscu pracy - mógłbym go odstraszyć albo zdemaskować.

Kiedy siedziałem w samochodzie, zadzwoniła moja komórka.

- Słucham.

- Eddie, tu Carl.

- Co słychać?

- Chyba się udało. Splot wizji. Hank z Danem. Zaprosiłem ich obu do mnie na kolację dziś wieczorem. Znosi się na uroczysty uścisk dłoni.

- Świetnie. O której?

- Wpół do dziewiątej. Odwołałem wszystkie twoje spotkania z dzisiejszego popołudnia, więc... a propos, gdzie jesteś?

- W New Jersey. -Co ty tam... -Nie pytaj.

-No to bierz dupę w troki i wracaj tu jak najszybciej. Mamy przed kolacją wiele spraw do omówienia. Spojrzałem na zegarek.

- Daj mi godzinę.

- Dobra. To na razie.

Kiedy schowałem telefon, kręciło mi się w głowie. Zbyt wiele rzeczy działo się naraz - poszukiwania Todda Ellisa, umowa, nowe mieszkanie...

W tej chwili z budynku wyłonił się Kenny Sanchez. Podszedł szybkim krokiem do samochodu i wsiadł.

Spojrzałem na niego, krzycząc w duchu: „No i?”

- Powiedzieli, że już tu nie pracuje. Zwrócił się twarzą do mnie.

238

- Wyjechał przed paroma tygodniami. Nie mającego nowego adresu ani numeru, pod którym można by go złapać.

24

W drodze powrotnej prawie w ogóle się nie odzywaliśmy. Na myśl, że Todd Ellis przepadł bez śladu, robiło mi się niedobrze. Nie podobało mi się też, że już nie pracował w United Labtech, bo jeśli to ta firma produkowała MDT, jakie miałem szansę na zdobycie większej ilości leku, nie mając w niej swojego człowieka. Mniej więcej w połowie Lincoln Tunnel powiedziałem do Sancheza:

-No to jak, myślisz, że uda ci się go namierzyć?

- Spróbuję.

Czułem po tonie jego głosu, że jest nieco zrezygnowany. Nie chciałem tak tego zostawić. Był mi potrzebny.

- Spróbujesz?

- Tak, ale wolałbym...

Urwał i westchnął ciężko. Nie chciał tego powiedzieć na głos, więc zrobiłem to za niego.

- Wolałbyś mieć coś więcej niż tylko moją niewiarygodną historyjkę.

Zawahał się, ale w końcu przyznał: -Tak.

Myślałem o tym przez chwilę i kiedy wyjeżdżaliśmy z tunelu, powiedziałem:

- Tych dwadzieścia pięć osób z listy, które ci nie pasują? Rozmawiałeś z którąś z nich?

- Z kilkoma, kiedy zaczęliśmy namierzać rozmowy.

- Kiedy to było?

- Jakieś trzy miesiące temu. Ale to był ślepy zaułek. Wyjąłem komórkę i zacząłem wystukiwać numer.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Libby Driscoll.

- Ale jak to możliwe, że...

- Mam dobrą pamięć... Proszę z Libby Driscoll. Po paru minutach położyłem telefon na kolanach.

- Od tygodnia choruje.

239

-No i?

Wyjąłem kartki z koperty i przejrzałem je. Znalazłem jeszcze jeden numer spoza stanu i po konsultacji z Sanchezem wystukałem go. Z tym samym skutkiem.

Na Czterdziestej Drugiej poprosiłem Sancheza, żeby wysadził mnie na Piątej Alei.

- Tak tylko zgaduję - powiedziałem - ale jeśli zadzwonisz do ludzi z tej krótkiej listy, prawdopodobnie dowiesz się, że wszyscy chorują. Co więcej, pewnie odkryjesz też, że są na niej te trzy osoby, których miałeś szukać - ci zaginieni członkowie sekty...

- Co takiego?

- ...którzy żyją szczęśliwie pod nowymi nazwiskami dzięki MDT-48 dostarczanemu im przez Dekę'a Taubera.

- Jezu.

- Ale dostawy leku ustały i stąd te choroby. Sanchez zatrzymał wóz tuż przed Piątą Aleją.

- Zgaduję - ciągnąłem - że wszyscy ludzie z tej listy nie są tymi, za których się podają. Jak sam powiedziałeś, odtwarzają się w alternatywnym środowisku.

-Ale...

- Pewnie nawet nie wiedzą, że biorą ten środek. Tauber podaje im go... nie wiem jak, ale w zamian najprawdopodobniej odbiera im część ich wysokich kierowniczych pensji.

Kenny Sanchez patrzył prosto przed siebie i wręcz słyszałem, jak pracuje jego umysł.

- Biorę się za to od razu - powiedział. - Zadzwonię, jak tylko czegoś się dowiem.

Wysiadłem z wozu, wciąż zmagając się z lekkimi mdłościami. Kiedy jednak ruszyłem Piątą Aleją w stronę Czterdziestej Ósmej, poczułem też coś w rodzaju satysfakcji wywołanej tym, jak sprytnie zapewniłem sobie dalszą współpracę Kenny'ego Sancheza.

Przez całe popołudnie omawialiśmy z Carlem Van Loonem sprawy, o których dyskutowaliśmy już setki razy, przede wszystkim strategię pu-blic relations związaną z ogłoszeniem fuzji. Był bardzo podekscytowany tym, że umowa wreszcie zostanie sfinalizowana, i nie chciał pozostawić nic przypadkowi. Cieszył się też, że do jej zawarcia dojdzie w jego apartamencie na Park Avenue, co zresztą - choć nie pamiętał o tym - było moim pomysłem. W ciągu ostatnich kilku gorączkowych tygodni Hank

240

Atwood i Dań Bloom tylko dwa razy spotkali się twarzą w twarz - przelotnie i przy oficjalnych okazjach. Dlatego zasugerowałem, że kolacja u Van Loona może być najwłaściwszą formułą ostatniego i najważniejszego spotkania, jako że w przyjemnej klubowej atmosferze, przy brandy i cygarach, łatwiej będzie zrobić to, co pozostało do zrobienia - czyli sprawić, by obaj prezesi spojrzeli na siebie nad stołem i powiedzieli: „Pieprzyć to, łączmy się”.

Opuściłem biuro około czwartej i poszedłem na Dziesiątą, gdzie umówiłem się z właścicielem mojego starego mieszkania. Oddałem mu klucze i zabrałem resztę swoich rzeczy - w tym kopertę z tabletkami MDT. Dziwnie się czułem, zamykając drzwi po raz ostatni i wychodząc z budynku, bo zostawiałem za sobą nie tylko mieszkanie, w którym spędziłem sześć lat, ale i w pewnym sensie samego siebie. Przez ostatnich kilka tygodni praktycznie stałem się innym człowiekiem i choć dało mi to sporo satysfakcji, myślę, iż podświadomie czułem, że dopóty, dopóki mieszkałem na Dziesiątej, w razie potrzeby mogłem odwrócić cały ten proces - jakby to mieszkanie zawierało niezatartą część mnie samego, jakąś formę kodu genetycznego zapisanego w deskach podłogowych i ścianach, za pomocą którego można by odtworzyć wszystko, co robiłem, moje nawyki, moją prawdziwą tożsamość. Kiedy wsiadałem do taksówki na Pierwszej Alei - z ostatnimi kilkoma rzeczami z mieszkania upchniętymi do nesesera - wiedziałem już na pewno, że od tej chwili zaczynam dryfować.

Nieco ponad godzinę później wyglądałem na miasto z sześćdziesiątego siódmego piętra Niebiańskiego. Otoczony nierozpakowanymi pudłami i drewnianymi skrzynkami, stałem w salonie w samym szlafroku i sączyłem szampana. Widok był wspaniały, a nadchodzący wieczór zapowiadał się równie wspaniale. Pamiętam, że myślałem wtedy, że jeśli tak wygląda dryfowanie, to pewnie jakoś się do niego przyzwyczaję...

Przyszedłem do apartamentu Van Loona na Park Avenue o ósmej i zostałem zaprowadzony do dużego salonu o kiczowatym wystroju. Van Loon pojawił się po kilku minutach i zaproponował mi drinka. Wydawał się nieco podenerwowany. Wyjaśnił, że jego żona wyjechała, a on czuje się niepewnie, organizując przyjęcie bez niej. Przypomniałem mu, że oprócz nas na kolacji będą tylko Hank Atwood, Dań Bloom i po jednym członku każdego zespołu negocyjnego. To nie miała być jakaś wystawna gala, lecz prosta, nieoficjalna kolacja, przy okazji której załatwimy pewne sprawy. Dyskretna, ale o daleko idących konsekwencjach.

16 - Dawka geniuszu

241

Van Loon poklepał mnie delikatnie po plecach.

-„Dyskretna, ale o daleko idących konsekwencjach”. To mi się podoba.

Pozostali goście przyszedli w dwóch grupach, w odstępie mniej więcej pięciu minut, i wkrótce staliśmy już w salonie, z kieliszkami w rękach, i rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o fuzji MCL z Abraxas. Ponieważ tego wieczoru obowiązywał strój nieoficjalny, miałem na sobie czarny kaszmirowy sweter i czarne wełniane spodnie, a wszyscy pozostali, z Van Loonem włącznie, byli w drelichach i koszulkach polo. To powodowało, że do pewnego stopnia czułem się obco - co z kolei potęgowało wrażenie, że uczestniczę w jakiejś superskomplikowanej grze komputerowej. Jako jej bohater, ubierałem się inaczej niż cała reszta - na czarno. Wrogowie w drelichach i koszulkach polo otaczali mnie ze

wszystkich stron i musiałem zagadać ich na śmierć, zanim się zorientują, że jestem oszustem, i zaczną mnie ignorować.

Poczucie alienacji nie opuszczało mnie przez pierwszą część wieczoru, ale w gruncie rzeczy nie było nieprzyjemne, a po pewnym czasie zrozumiałem, skąd się wzięło. Osiągnąłem cel. Doprowadziłem negocjacje do końca. Pomogłem nadać kształt niezwykle ważnej umowie i teraz było już po wszystkim. Ta kolacja to tylko formalność. Teraz chciałem zająć się czymś innym.

Jakby czytając mi w myślach, Hank Atwood i Dań Bloom niezależnie od siebie dyskretnie zasugerowali, że gdybym był zainteresowany -oczywiście w przyszłości - może znalazłaby się jakaś... rola, którą mógłbym odgrywać w ich nowo utworzonym medialnym gigancie. Reagowałem ostrożnie na te zawoalowane sugestie, podkreślałem, że najważniejsza dla mnie jest lojalność wobec Van Loona, ale naturalnie schlebiały mi te propozycje. Tak czy inaczej, nie wiedziałem, jakie miałem oczekiwania - oprócz tego, że chciałbym robić coś zupełnie innego niż do tej pory. Na przykład prowadzić wytwórnię filmową albo zaplanować nową globalną strategię jakiejś firmy.

A może w ogóle rozszerzyłbym i zróżnicował swoją działalność. Zajął się polityką. Kandydował do senatu.

Przenieśliśmy się do sąsiedniego pokoju i zasiedliśmy przy dużym okrągłym stole. Wciąż snując rozważania na temat mojej przyszłej kariery politycznej, jednocześnie toczyłem z Danem Bloomem rozmowę

O szkockich whisky. Przez całą kolację (tagliatelle z potrawką z zająca

1 groszkiem i sarnina zasmażana w kasztanach) byłem rozmarzony i roz-kojarzony, musiałem więc sprawiać wrażenie, jakbym miał wszystko gdzieś. Raz czy dwa zauważyłem nawet, że Van Loon patrzy na mnie z zaniepokojoną miną.

242

W połowie głównego dania - nie wspominając o dwóch butelkach Chateau Calon-Segur rocznik 1947 - przeszliśmy do właściwego powodu naszego spotkania. Nie trwało to jednak długo, ponieważ szybko stało się jasne, że wszelkie działania i gorączkowe wyliczenia z ostatnich kilku tygodni były w gruncie rzeczy zabiegami kosmetycznymi, a w tej chwili najbardziej liczyła się zgoda co do ogólnych zasad. Van Loon & Associates ułatwili jej zawarcie i na tym właśnie polegała istota pośrednictwa -na aranżowaniu zdarzeń, doprowadzaniu ich do pomyślnego końca. Teraz, kiedy sprawy toczyły się już własnym rytmem, czułem się, jakbym oglądał całą tę scenę z dużej wysokości albo przez kolorowe szkło.

Po uprzątnięciu nakryć zapadła pełna napięcia cisza. Rozmowa od pewnego czasu zmierzała do punktu kulminacyjnego, który, jak się wydawało, właśnie nadszedł. Odchrząknąłem i wtedy -jak na komendę -Hank Atwood i Dań Bloon wyciągnęli ręce nad stołem i ucisnęli sobie

dłonie.

Rozległy się oklaski, zaciśnięte w geście triumfu pięści powędrowały w górę, po czym na stole pojawiła się butelka Veuve Cliquot i sześć kieliszków. Van Loon wstał, z udawanym wysiłkiem otworzył butelkę i wznosił toast. Właściwie było ich kilka-jeden, ostatni, nawet adresowany do mnie.

Ostrożnie dobierając słowa, Dań Bloom podniósł kieliszek i podziękował mi za nieustającą czujność i bezgraniczne poświęcenie. Hank Atwood dodał, że byłem siłą napędową negocjacji. Sam Van Loon wyraził nadzieję, że my dwaj - po tym, jak wspólnie pomogliśmy doprowadzić do największej fuzji w historii amerykańskiego biznesu - nie uznamy, iż to osiągnięcie w jakimkolwiek stopniu ograniczyło nasze horyzonty.

Jego słowa zostały przyjęte głośnym śmiechem. Pozwoliło to zakończyć oficjalną część wieczoru i przejść do następnej - deseru (lukrowana masa migdałowa), cygar i godziny czy dwóch nieskrępowanej bonhomie. Brałem aktywny udział w rozmowie, która obejmowała wiele tematów i była dość chaotyczna, ale myśl o reprezentowaniu Nowego Jorku w senacie wciąż nie dawała mi spokoju, jakby zaczęła żyć własnym życiem - do tego stopnia, że postanowiłem w przyszłości postarać się o nominację Partii Demokratycznej na kandydata na prezydenta.

Oczywiście były to tylko marzenia, lecz im dłużej o tym myślałem, tym bardziej sensowna wydawała mi się myśl o zajęciu się polityką - byłem wszak dobry w zaskarbianiu sobie przychylności innych, dodawaniu im energii i skłanianiu ich do wykonywania moich poleceń. Skoro nawet ci miliarderzy w koszulkach polo rywalizowali między sobąo moje względy, to jakże łatwe musiało być oczarowanie amerykańskiego społeczeństwa. Ile wysiłku mogło mnie kosztować zyskanie poparcia, które

243

wystarczyłoby do wygrania wyborów? Postępując zgodnie z dobrze przemyślanym planem, w ciągu pięciu lat mógłbym zasiąść w podkomisjach i komisjach nadzwyczajnych, a potem, kto wie?

Tak czy inaczej, dobry plan pięcioletni był tym, czego potrzebowałem - czymś, co spaliłoby tę niesamowitą energię i zaspokoiłoby ambicję podsycaną przez MDT.

W pełni zdawałem sobie sprawę z faktu, że nie mam stałego źródła zaopatrzenia, a moje zapasy niepokojąco szybko się kurczą, ale mimo to byłem pewien, że w taki czy inny sposób, i raczej prędzej niż później, rozwiążę ten problem. Kenny Sanchez znajdzie Todda Ellisa. Ten będzie miał stałe dojsście do MDT. Ja zyskam nieograniczony dostęp do jego zapasów. Wszystko jakoś się ułoży...

Około jedenastej wszyscy zaczęli skłaniać się ku temu, by zakończyć spotkanie. Wcześniej ustaliliśmy, że następnego popołudnia odbędzie się konferencja prasowa, na której dojdzie do ogłoszenia proponowanej fuzji. Rano zaś nastąpi strategiczny przeciek do mediów. Wiedzieliśmy, że znajdziemy się w świetle reflektorów, ale wszyscy byli z tego zadowoleni.

Siedzieliśmy z Hankiem Atwoodem przy stole, w zamyśleniu kręcąc szklankami z brandy. Inni stali i rozmawiali, powietrze było gęste od dymu z cygar.

- Wszystko w porządku, Eddie? Odwróciłem się do niego.

- Tak, czemu pytasz?

- Bez powodu. Po prostu wydajesz się, sam nie wiem, jakiś przygaszony.

Uśmiechnąłem się.

- Myślałem o przyszłości.

- Cóż... - delikatnie stuknęła szklanką w moją szklankę - .. wypiję za to...

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi i Van Loon, który stał najbliżej, poszedł je otworzyć.

- .. za bliższą i dalszą...

Van Loon stanął przy drzwiach i wyjrzał na korytarz, po czym niecierpliwym gestem zaprosił kogoś do środka - ale ten ktoś najwyraźniej nie chciał wejść.

Usłyszałem jej głos:

-Nie, tatusiu, nie sądzę, żeby...

244

- To tylko trochę dymu z cygar, na litość boską. Wejź, przywitaj się. Spojrzałem na drzwi z nadzieją.

- .. tak czy inaczej - mówił Atwood - to ziemia obiecana. Upiłem łyk brandy.

- Co takiego?

- Przyszłość, Eddie, przyszłość.

Odwróciłem się, rozkojarzony. Ginny wchodziła niepewnie do salonu. Kiedy znalazła się tuż za drzwiami, stanęła na palcach i pocałowała ojca w policzek. Miała na sobie atłasowy top i sztruksowe spodnie, a w lewej ręce trzymała zamszową kopertę wkę. Uśmiechnęła się do mnie, podniosła prawą dłoń i pomachała - gest ten adresowany był chyba także do Hanka Atwooda. Zrobiła kilka kolejnych kroków i dopiero wtedy zauważyłem, że Van Loon wyciągał rękę do kogoś za jej plecami. Chwilę później - po raczej serdecznym powitaniu - w drzwiach stanął dwudziestokilkuletni mężczyzna.

Ginny wymieniła uprzejmy uścisk dłoni z Danem Bloomem i jego dwoma towarzyszami, po czym odwróciła się. Stanęła przy stole i położyła dłoń na oparciu pustego krzesła, które stało dokładnie naprzeciwko

mnie.

Młody mężczyzna i Van Loon rozmawiali ze sobą, śmiali się, i choć trudno mi było oderwać wzrok od Ginny, co chwila zerkałem na nich. Nowo przybyły był w bluzie z kapturem, czarnym T-shircie z wycięciem pod szyją i džinsach. Miał ciemne włosy i krótko przystryżoną bródkę. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że gdzieś go już wcześniej widziałem. W każdym razie miał w sobie - czy raczej roztaczał wokół siebie - coś znajomego. Wyglądało na to, że jest z Van Loonem w doskonałej komitywie.

Spojrzałem na Ginny. Wysunęła krzesło i usiadła. Położyła koper-tówkę na stole i splotła dłonie, jakby miała zaraz przeprowadzić wywiad.

- No to, panowie, o czym porozmawiamy?

- O przyszłości - powiedział Atwood.

- O przyszłości? A wiecie, co Einstein miał do powiedzenia na ten temat?

- Nie, co?

- Mówił, że nigdy o niej nie myśli. I tak wkrótce nadejdzie. - Spojrzała na mnie i dodała: - Właściwie zgadzam się z nim.

- Hank.

Van Loon gestem ręki przywołał Atwooda do siebie.

- Przepraszam, moja droga - powiedział Hank i wstając, zrobił zbolaną minę. Obszedł stół, a wtedy zorientowałem się, kim jest ten młody

245

człowiek. Ray Tyner. Jak to podobno bywa z gwiazdami filmowymi, w rzeczywistości wyglądał nieco inaczej. Właśnie wrócił ze zdjęć w Wenecji.

- Więc to tu spotyka się cała klika - powiedziała Ginny, rozglądając się. - Tajemniczy ludzie pociągający za sznurki w zadymionych pokojach.

Uśmiechnąłem się.

- A myślałem, że to twoja jadalnia. Wzruszyła ramionami.

- Tak, ale nigdy nie jadłam tu kolacji. Wolę kuchnię. Tu jest kwatery główna.

Skinąłem głową Rayowi Tynerowi. Atwood, Bloom i cała reszta stali wokół niego, wyglądało na to, że opowiadał im jakąś historię.

- No i kto tu teraz rządzi?

Odwróciła się na chwilę, by spojrzeć na niego. Wpatrywałem się w skupieniu w jej profil, zgrabną szyję, odsłonięte ramiona.

- Och, Ray nie jest taki - powiedziała, odwracając się z powrotem do mnie. - Jest słodki.

- Jesteście parą?

Odchyliła głowę, nieco zaskoczona moim pytaniem.

- Co, dorabiasz pisaniem do rubryk plotkarskich?

- Nie, po prostu jestem ciekaw. Może ta informacja przyda mi się w przyszłości.

- Jak mówiłam, panie Spinola, nie myślę o przyszłości.

- Czy to z jego powodu nie chciałaś pójść ze mną na drinka? Przez chwilę milczała. Wreszcie powiedziała:

- Nie rozumiem cię. Byłem zaskoczony.

- Czego nie rozumiesz? - spytałem.

-Nie wiem... - Szukała właściwych słów. Jej twarz zmieniła się. -Ale mam dziwne wrażenie, że patrząc na mnie, widzisz kogoś innego.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Skrępowany, wbiłem wzrok w szklankę brandy. Czy było to aż tak oczywiste? Ginny przypominała Melissę, to prawda, ale do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie wrażenie wywarło na mnie ich podobieństwo.

Z drugiej strony pokoju dobiegł wybuch śmiechu i grupa zaczęła się rozchodzić.

Znów spojrzałem na Ginny.

- A ja nie myślę o przeszłości - powiedziałem, próbując błysnąć dowcipem.

- A o teraźniejszości?

246

- Też nie.

- Pewnie słusznie - parsknęła śmiechem. -I tak wkrótce odejdziesz.

- Coś w tym stylu.

Ray Tyner stanął za nią. Odwróciła się i podniosła dłoń. Kiedy wziął ją za rękę, wstała z krzesła.

- Ray, to Eddie Spinola, mój przyjaciel. Eddie, to Ray Tyner. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Byłem niezmiernie zadowolony, że nazwała mnie przyjacielem.

Z bliska Ray Tyner był wręcz nieziemsko przystojny. Miał niesamowite oczy i uśmiech, którym potrafiłby zjednać sobie całą salę, nie otwierając ust.

Może zaproponuję mu, by został moim współkandydatem.

Wróciłem do Niebiańskiego po pomocy. Miała to być moja pierwsza noc w nowym mieszkaniu, ale nie miałem na czym spać. Co więcej, nie było w ogóle żadnych mebli, łóżka, sofy, regałów, niczego. Zamówiłem parę rzeczy, ale jeszcze nie zostały dostarczone.

Tak czy inaczej, nie zamierzałem długo spać, więc to nie miało znaczenia. Zacząłem chodzić po pokojach, po wielkim, pustym mieszkaniu, próbując wmówić sobie, że nie jestem zły, zazdrosny czy w jakikolwiek sposób urażony. Ginny Van Loon i Ray Tyner byli piękną parą- a na tle starych biznesmenów palących cygara i rozprawiających o liczbach wyglądali jeszcze lepiej.

Czemu miałbym się złościć?

Wyjąłem komputer z pudła i postawiłem go na drewnianej skrzynce. Wszedłem do Internetu i sprawdziłem aktualne wiadomości finansowe.

25

Następnego ranka około wpół do ósmej byłem z powrotem na Czterdziestej Ósmej, zajęty pisaniem przemówień i nanoszeniem ostatnich poprawek do komunikatu dla prasy. Ponieważ oficjalne

ogłoszenie fuzji miało nastąpić za parę godzin i nie trzeba już było trzymać wszystkiego w tajemnicy, Van Loon mógł wezwać swoich ludzi, by puścili w ruch maszynę public relations. Choć znacznie ułatwiło nam to pracę, biuro było bardziej zatłoczone niż stacja Grand Central.

247

Przed wyjściem z mieszkania wziąłem standardową dawkę, czyli pięć tabletek - trzy MDT i dwa dexterony - ale w ostatniej chwili wróciłem, pogrzebałem w neseserze i łyknąłem jeszcze dwie pigułki, po jednej każdego rodzaju. W wyniku tego funkcjonowałem na pełnych obrotach, ale zauważyłem, że moje przyspieszone tempo pracy peszyło niektórych pracowników Van Loona - ludzi, którzy pewnie mieli o wiele większe doświadczenie niż ja. Dlatego, chcąc uniknąć jakichkolwiek tarć, urządziłem sobie prowizoryczny gabinet w jednej z sal posiedzeń i pracowałem samodzielnie.

Około wpół do jedenastej na moją komórkę zadzwonił Kenny Sanchez. Siedziałem wtedy przy dużym owalnym stole, na którym był laptop i kilkadziesiąt rozłożonych kartek.

- Mam złe wieści, Eddie. Poczułem, że żołądek mi się kurczy.

- Jakie?

- Po pierwsze, znalazłem Todda Ellisa, ale niestety nie żyje. Cholera.

- Co się stało?

- Mniej więcej tydzień temu potrącił go samochód. Niedaleko jego mieszkania, na Brooklynie. Kierowca uciekł.

Kurwa mać.

Opadły mnie czarne myśli - jakie miałem szansę bez Todda Ellisa? Dokąd miałem pójść? Od czego w ogóle zacząć? Zorientowałem się, że Kenny Sanchez milczy.

- To było „po pierwsze” - zauważyłem. - Co jeszcze masz mi do powiedzenia?

- Przenieśli mnie. -Co?

- Zabrali mi tę sprawę i dali inną. Nie wiem, dlaczego. Narobiłem rabanu, ale nic nie mogę zrobić. To duża agencja. Taką mam pracę.

- A kto przejął śledztwo? -Nie wiem. Może nikt.

- Czy to normalne... to znaczy, taka ingerencja?

- Nie. - Sprawiał wrażenie mocno wkurzonego. - Wczoraj przez całe popołudnie, a nawet wieczór siedziałem przy telefonie. Dziś rano wezwali mnie, żebym złożył raport, i usłyszałem, że jestem potrzebny w innym śledztwie i że mam zdać wszystkie papiery.

Myślałem o tym przez chwilę, ale co mogłem powiedzieć?

- Czego jeszcze się dowiedziałeś? - spytałem w końcu. Westchnąłem i wyobraziłem sobie, jak kręci głową.

I

- Cóż, miałeś rację co do tej listy - odparł po chwili. - To niesamowite.

-Czemu?

- Pamiętasz te numery spoza stanu? Jest tak, jak mówiłeś. Wszystkie należą do członków sekty żyjących pod przybranymi nazwiskami. Większość choruje, ale z niektórymi udało mi się porozmawiać. - Urwał na chwilę i usłyszałem, jak wzdycha. - Z trzech osób, których miałem szukać, dwie leżą w szpitalu, a trzecia siedzi w domu i ma silne ataki migreny.

Wyczuwałem z jego tonu, że choć odebrano mu sprawę, był podekscytowany postępami, jakie poczynił.

- Musiałem się trochę pomęczyć, żeby skłonić kogokolwiek do mówienia, ale kiedy mi się udało... to było coś niesamowitego. Najdłużej rozmawiałem z dziewczyną nazwiskiem Beth Lipski. Wychodzi na to, że członkowie Dekedellii dostają zupełnie nową tożsamość - obejmującą chemicznie wspomaganą zmianę metabolizmu, operację plastyczną, nowych „krewnych” i tak dalej. I tak jak mówiłeś, miarą sukcesu jest rozwój kariery, a 60% dochodów trafia z powrotem do organizacji. Cholera, to jak krzyżówka masonów z programem ochrony świadków.

- Czemu zgodziła się z tobą rozmawiać?

-Bo się boi. Tauber zerwał z nią wszelkie kontakty, jest wystraszona i zagubiona. Bez przerwy boli ją łowa, nie może skupić się na pracy. Nie wie, co się z nią dzieje. Zdaje się, że nawet się nie domyśla, że brała jakiś lek - a ja wolałem o tym nie wspominać, bo nie chciałem jej dobić. Początkowo za nic nie chciała ze mną rozmawiać, ale kiedy zaczęła, ustaje się nie zamykały.

- To jak Tauber podawał im ten lek?

- Podobno wszystkim kazał łykać witaminy i preparaty uzupełniające dietę, więc pewnie mieszał go z nimi. Na pewno to właśnie jest źródłem jego władzy nad tymi ludźmi i rzekomej charyzmy. - Urwał. Usłyszałem, jak tupie w podłogę albo wali w coś pięścią. - Cholera! Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze nigdy nie pracowałem nad tak ciekawą sprawą.

Nie miałem czasu na wysłuchiwanie żalów Kenny'ego Sancheza. Nagle poczułem się nieswojo. Wziąłem głęboki oddech i spytałem go, czy znalazł coś na temat United Labtech.

Znów westchnął.

- Tak - odparł - właściwie tylko jedną informację. Jej właścicielem jest firma farmaceutyczna Eiben-Chemcorp.

Powiedziałem mu, że muszę kończyć, bo jestem w pracy. Podziękowałem mu, życzyłem powodzenia i rozłączyłem się.

Wstałem, powoli przeszedłem przez salę i stanąłem przy oknie. Na Manhattanie był bezchmurny, słoneczny dzień i z sześćdziesiątego pierwszego piętra widziałem wszystko jak na dłoni, każdą znaną budowlę, każde dzieło architektury - włącznie z tymi mniej rzucającymi się w oczy, jak Niebiański po prawej stronie czy stara siedziba Zarządu Portu w głębi, na Ósmej Alei, gdzie znajdowały się biura Kerr & Dexter. Stojąc w tym oknie, miałem wrażenie, że przede mną rozciąga się całe moje życie, niczym seria płytkich rowków na ogromnym mikroukładzie, którym było miasto - rogi uliczne, mieszkania, sklepy, kina. Jednak teraz, zamiast utworzenia głębszego i trwalszego nacięcia, te drobne ślady mogły lada chwila zostać wygładzone i wyrównane.

Odwróciłem się i wbiłem wzrok w nagie białe ściany po drugiej stronie sali, w szary dywan i nijakie meble biurowe. Jeszcze nie uległem panice - choć pewnie wkrótce się to stanie. Konferencja prasowa została zaplanowana na popołudnie i już teraz na samą myśl o niej ogarniał mnie strach. Wtedy jednak coś innego przyszło mi do głowy. Z desperacją skazańca uchwyciłem się tej myśli - i nie puściłem.

Sanchez wspomniał o firmie Eiben-Chemcorp. Wiedziałem, że niedawno gdzieś zetknąłem się z tą nazwą, i po paru minutach przypomniałem sobie, gdzie. Widziałem ją wtedy u Yernona - w „Boston Globe”. Najprawdopodobniej zainteresował go wtedy artykuł o zbliżającym się procesie w sprawie o odpowiedzialność za jakość towaru. O ile pamiętałem, chodziło o to, że młoda dziewczyna, która brała triburbazine, zabiła swoją najlepszą przyjaciółkę, a potem siebie.

Wróciłem za stół i usiadłem przy laptopie. Wszedłem do Internetu i przeszukałem archiwum „Globe”, chcąc poznać więcej szczegółów.

Rodzina dziewczyny wytoczyła firmie Eiben-Chemcorp proces o odszkodowanie. Firma miała bronić się przed zarzutami, że produkowany przez nią środek przeciwdepresyjny spowodował „utrata kontroli nad impulsami” i „samobójczą ideację”. Powodów reprezentował prawnik specjalizujący się w sprawach o obrażenia ciała, Dave Morgenthaler. Według jednego z artykułów, przez ostatnie pół roku zbierał zeznania ekspertów - w tym naukowców, którzy uczestniczyli w pracach nad triburbazine'em i jego produkcji, oraz psychiatrów skłonnych potwierdzić przed sądem, że środek ten może być szkodliwy dla zdrowia.

Mój umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Złapałem długopis i zacząłem mazać po kartce, próbując powiązać ze sobą wszystkie szczegóły.

Eiben-Chemcorp był właścicielem Labtechu, skąd pochodziło MDT. Innymi słowy, środek ten został wyprodukowany przez międzynarodową

250

korporację farmaceutyczną, która stała w obliczu głośnego - i potencjalnie mogącego jej bardzo zaszkodzić - procesu.

Co więcej - odwróciłem się z powrotem do komputera, wszedłem na jedną ze stron finansowych i znalazłem to, czego szukałem - kurs Eiben-Chemcorp mocno ucierpiał z powodu ataków w mediach; obecnie wynosił 697/8, gdy wcześniej doszedł do 87V4. Zainteresowanie opinii publicznej z pewnością będzie rosło w miarę zbliżania się procesu. Znalazłem wiele artykułów poruszających kwestię kluczową dla rozstrzygnięcia sprawy: jeśli zachowanie ludzkie sprowadza się do działania

synaps i seroto-niny, to co z wolną wolą? Gdzie kończy się osobista odpowiedzialność, a zaczyna neurochemia?

Krótko mówiąc, Eiben-Chemcorp był w bardzo niekorzystnej sytuacji.

Oczywiście ja też - ale zaraz zacząłem myśleć, jak wykorzystać moją wiedzę o MDT w celu wywarcia nacisku na Eiben-Chemcorp i uzyskania jakichś korzyści. Może zażądać dostaw MDT w zamian za obietnicę, że nic nie powiem Dave'owi Morgenthalerowi?

Wstałem i zacząłem chodzić po sali.

Uznałem, że gdyby podczas procesu wyszła na jaw informacja o nie-przetestowanej produkcji Eiben-Chemcorpu, który spowodował śmierć wielu osób, cena akcji firmy poleciałaby na łeb, na szyję. Niosło to za sobą spore ryzyko, ale w tych okolicznościach raczej nie miałem innego wyjścia.

Znów przeszedłem obok okna, ale tym razem nie wyjrzałem na zewnątrz. Po długim namyśle doszedłem do wniosku, że najrozsądniejszym pierwszym krokiem będzie nawiązanie kontaktu z Dave'em Morgenthalem. Wymagało to sporej ostrożności, ale by stanowić autentyczne zagrożenie dla Eiben-Chemcorpu, musiałem sprawić, by Morgenthaler zwietrzył świeżą krew. Musiałem mieć możliwość natychmiastowego spuszczenia go ze smyczy.

Po krótkich poszukiwaniach znalazłem numer jego bostońskiego biura. Natychmiast zadzwoniłem, ale akurat tego dnia nie było go w pracy. Zostawiłem numer swojej komórki i wiadomość, że mam sensacyjne informacje o Eiben-Chemcorp i chcę spotkać się z nim jak najszybciej, by o tym porozmawiać.

Kiedy znów odłożyłem telefon, próbowałem skupić się na umowie MCL-Abraxas i popołudniowej konferencji prasowej, ale okazało się to bardzo trudne. Bez przerwy odtwarzałem w pamięci ostatnich kilka tygodni i żałowałem, że nie zrobiłem tego czy owego - na przykład, że wcześniej nie zainteresowałem się Dekiem Tauberem, dzięki czemu mógłbym znaleźć Todda Ellisa przed jego odejściem z United Labtech...

251

Zacząłem się zastanawiać, czy coś łączy jego śmierć ze śmiercią Ver-nona. Ale co to miało za znaczenie? Czy Todd Ellis zginął w wypadku, czy nie, ten wątek był już dla mnie zamknięty. Musiałem szukać innego rozwiązania.

Znów podszedłem do okna i wyjrzałem na budynki naprzeciwko - wodziłem wzrokiem po tych wielkich, pionowych płytach ze stali i szkła, sięgających ulicy, i po wąskich strużkach ludzi i samochodów. Wkrótce całe miasto będzie mówić o zawartej umowie, a ja będę obecny przy jej ogłoszeniu. Jednak miałem wrażenie, że obserwuję to wszystko z dużego oddalenia, jakbym śnił dziwny sen, w głębi duszy świadom, że już nigdy się z niego nie obudzę...

To wrażenie nasiliło się, gdy zostałem wezwany do jednego z biur w celu zweryfikowania ostatnich ustaleń dotyczących konferencji prasowej. Zorganizowana w dużym pośpiechu przez jednego z pracowników Van Loona, miała odbyć się o piątej w jednym z hoteli w centrum miasta. Wiedziałem o tym już wcześniej, ale kiedy teraz zobaczyłem, o który hotel chodzi, znów poczułem ten silny ucisk w żołądku.

- Dobrze się pan czuje?

Pytanie to zadał jeden z pracowników. Podniosłem głowę i spojrzałem na niego, jednocześnie zauważając swoje odbicie w lustrze wiszącym na ścianie biura.

Moja twarz była śmiertelnie blada.

- Tak - powiedziałem. - Wszystko w porządku, to tylko... chwileczkę... Odwróciłem się, wypadłem z biura i pobiegłem do łazienki. Stałem nad urny walką i pochlapałem twarz zimną wodą.

Konferencja prasowa miała się odbyć w hotelu Clifden.

Dotarliśmy z Van Loonem na miejsce około wpół do czwartej. W hotelu panowało już spore zamieszanie. Media podejrzewały, że coś wisi w powietrzu, od chwili, gdy Van Loon zadzwonił do kilku starannie wybranych osób i powiedział im, by odwołały wszystko, co mają zaplanowane na popołudnie. Wymieniłem jednym tchem nazwiska Atwooda i Bloo-ma, a to wystarczyło, by wywołać lawinę plotek i spekulacji. Godzinę później rozestaliśmy komunikat do mediów. Wtedy rozdzwoniły się telefony i nie umilkły do tej pory.

Clifden, czterdziestoczeropiętrowa wieża wznosząca się z odrestaurowanego zabytkowego budynku na Pięćdziesiątej Szóstej, przy Madi-

252

son Avenue, był to luksusowy hotel z przeszło ośmiuset pokojami, oferujący wszelkie udogodnienia niezbędne do organizowania konferencji. Za głównym holem znajdowało się oszklone atrium, a za nim sala, w której miała się odbyć konferencja prasowa.

Kiedy Van Loon odebrał telefon, uważnie rozejrzałem się po holu, ale szczerze mówiąc, nic nie wydało mi się znajome. Choć wciąż dręczył mnie niepokój, doszedłem do wniosku, że jestem tu pierwszy raz w życiu.

Van Loon skończył rozmawiać. Weszliśmy do atrium i zanim dotarliśmy na jego drugi koniec, Van Loona zdążyło zaczepić trzech dziennikarzy. Powitał ich uprzejmie, przekomarzał się z nimi, ale nie powiedział nic, czego by już nie wiedzieli bądź nie wyczytali z oficjalnego komunikatu. W samej sali konferencyjnej był spory ruch; technicy ustawiali kamery i testowali na zapleczu sprzęt nagłaśniający. Nieco dalej pracownicy personelu hotelowego ustawiali w rzędach rozkładane krzesła; na środku wznosiło się podium z długimi stołami po obu stronach. Za nimi umieszczono pulpity; na jednym widniało logo MCL-Parnassus, a na drugim Abraxas.

Przez chwilę stałem z tyłu sali, gdy Van Loon na jej środku konsultował się ze swoimi pracownikami. Za plecami słyszałem głosy dwóch techników grzebiących się w przewodach i kablach.

- ... słowo honoru, rąbną j ą w tył głowy.

- Tutaj?

- Tępym narzędziem. Co, gazet nie czytasz? Była Meksykanką. Żoną jakiegoś malarza.

- A tak, już pamiętam. Kurde. To było tutaj?

Przesunąłem się w stronę drzwi - by nie słyszeć dalszego ciągu rozmowy. Potem powoli wyszedłem z sali konferencyjnej z powrotem do atrium.

Moim jedynym wyraźnym wspomnieniem z tamtej nocy - a przynajmniej z jej ostatniej części - było to, jak szedłem pustym hotelowym korytarzem. Wciąż widziałem to oczami duszy - niski sufit, wzorzysty szkarłatno-granatowy dywan, kremowobiałe ściany, dębowe drzwi po obu stronach...

Tyle że nie pamiętałem nic poza tym.

Przeszedłem przez atrium i znalazłem się w holu. Przybywało coraz więcej ludzi i panowała atmosfera wyczekiwania. Zobaczyłem kogoś, kogo znałem i chciałem uniknąć, więc prześliznąłem się w stronę wind znajdujących się po drugiej stronie recepcji. Jakby niesiony przez jakąś neodpartą siłę, wszedłem za dwoma kobietami do kabiny. Jedna z nich wcisnęła guzik i spojrzała na mnie pytająco, trzymając palec przy tablicy.

- Czternaste - powiedziałem - dziękuję.

253

Mdlący zapach drogich perfum podsycił mój niepokój i silne, choć zawsze skrzętnie maskowane poczucie intymności nieodłącznie związane z jazdą windą. Kiedy kabina ruszyła w górę, żołądek podszedł mi do gardła i musiałem oprzeć się o ścianę kabiny, by dojsć do siebie. Gdy na czternastym piętrze drzwi się rozsunęły, wyrzałem z niedowierzaniem na korytarz. Przeciskając się obok jednej z kobiet, wyszedłem nieco chwiejnym krokiem z kabiny i stanąłem na szkarłatno-granatowym dywanie.

- Miłego wieczoru.

Odwróciłem się i wymamrotałem coś w odpowiedzi.

Kiedy zostałem sam na pustym korytarzu, ogarnęło mnie przerażenie. Już tu kiedyś byłem. Wszystko wyglądało tak, jak w moim wspomnieniu - niski, szeroki korytarz... barwny, elegancki, głęboki i długi jak tunel. Ale to wszystko, co pamiętałem. Zrobiłem kilka kroków i zatrzymałem się. Stanąłem twarzą do drzwi pokoju i próbowałem wyobrazić sobie, co jest za nimi - ale nic nie przychodziło mi do głowy. Ruszyłem dalej, mijając kolejne drzwi po obu stronach, aż wreszcie przy końcu korytarza znalazłem jedne, które były uchylone.

Zatrzymałem się i z mocno bijącym sercem zajrzałem przez szczelinę do środka pokoju. Zobaczyłem kawałek podwójnego łóżka, zasłony, krzesło, wszystko w jasnych barwach.

Delikatnie pchnąłem nogą drzwi i cofnąłem się. Był to typowy pokój hotelowy, jakich wiele... ale nagle zobaczyłem wysoką, ciemnowłosą kobietę w długiej czarnej sukni, przechodzącą z lewej na prawą stronę. Trzymała się za głowę, a po jej policzku lała się krew. Serce mi zamarło, cofnąłem się chwiejnym krokiem i wpadłem na kremowobiałą ścianę. Wstałem i zataczając się, poszedłem korytarzem w stronę wind.

Po chwili usłyszałem za plecami jakiś dźwięk. Odwróciłem się. Z pokoju, do którego zaglądałem, wychodził mężczyzna, a za nim kobieta. Zamknęli za sobą drzwi i ruszyli w moją stronę. Kobieta była wysoką brunetką, miała na sobie płaszcz z paskiem. Oboje wyglądali na pięćdziesiąt parę lat.

Pogrążeni w rozmowie, przechodząc obok, zupełnie mnie zignorowali. Stałem i patrzyłem, jak idą korytarzem i znikają w windzie.

Minęło parę minut, zanim zdołałem cokolwiek zrobić. Nadal czułem się, jakby moje serce miało lada chwila przestać bić. Trzęsły mi się ręce. Oparłem się o ścianę i wbiłem wzrok w dywan. Jego intensywne barwy zdawały się pulsować, a wzór zmieniał się w moich oczach, jak żywy.

W końcu wyprostowałem się i poszedłem do windy, ale kiedy sięgnąłem do guzika „dół”, nadal drżała mi ręka.

254

W sali konferencyjnej było już dużo ludzi i panowała gorączkowa atmosfera. Poszedłem na środek, gdzie kilka osób z MCL toczyło ożywioną dyskusję.

Nagle usłyszałem za sobą głos Van Loona.

- Eddie, gdzie byłeś?

Odwróciłem się. Miał autentycznie zaskoczoną minę.

- Jezu, Eddie, co się stało? Wyglądasz, jakbyś... jakbyś zobaczył...

- Ducha?

- No, tak.

- Jestem lekko zestresowany, Carl, to wszystko. Trzeba mi trochę czasu.

- Słuchaj, Eddie, wyluzuj się. Nikt nie zasłużył sobie na przerwę bardziej od ciebie. - Zaciśnął pięść i wyciągnął ją do mnie w geście solidarności. - W każdym razie zrobiliśmy, co do nas należało. Na razie. Mam rację?

Skinąłem głową.

Wtedy jeden z podwładnych Van Loona zaciągnął go na drugi koniec podium, by z kimś porozmawiać.

Następne parę godzin minęło mi jak we śnie. Chodziłem po sali, rozmawiałem z ludźmi, ale nie pamiętam, o czym. Wszystko to wydawało się zaaranżowane, wręcz automatyczne.

Kiedy zaczęła się konferencja prasowa, znalazłem się na środku sali, za ludźmi z Abraxas, którzy siedzieli za stołem po prawej stronie podium. Pod przeciwległą ścianą - za morzem około trzystu głów - kłębił się tłum dziennikarzy, fotografów i kamerzystów. Transmisja była nadawana na żywo na kilku kanałach, a także w Internecie i przez satelitę. Kiedy Hank Atwood wszedł na podium, rozległa się prawdziwa kanonada z aparatów fotograficznych - trzaski, szумы, flesze - i ten hałas trwał przez całą konferencję, a nawet - z przerwami - w czasie, kiedy padały pytania z sali. Nie słuchałem uważnie żadnego z przemówień, z których część sam pomogłem napisać, ale od czasu do czasu dochodziły mnie znajome frazy i wyrażenia - choć nieustające powtarzanie takich słów jak „przyszłość”, „transformacja” i „okazja” tylko potęgowało poczucie nierzeczywistości wszystkiego, co działo się wokół mnie.

Kiedy Dań Bloom kończył przemawiać, zadzwoniła moja komórka. Szybko wyjąłem ją z kieszeni marynarki i odebrałem. - Halo, czy to... Eddie Spinola? Ledwo go słyszałem.

255

-Tak.

- Mówi Dave Morgenthaler z Bostonu. Dostałem pańską wiadomość. Zasłoniłem drugie ucho.

- Proszę chwilę poczekać.

Przekradłem się wzdłuż ściany i wszedłem w drzwi prowadzące do cichej części atrium.

- Panie Morgenthaler? -Tak?

- Kiedy moglibyśmy się spotkać?

- Ale kim pan właściwie jest? Jestem zajęty, dlaczego miałbym poświęcić panu czas?

Krótko wyjaśniłem mu, w czym rzecz - chodzi o silny, nieprzetestowany i potencjalnie śmiertelny lek produkowany w laboratoriach firmy, z którą miał zmierzyć się w sądzie. Nie podałem bliższych szczegółów, nie opisałem skutków jego działania.

-Nie przekonał mnie pan - powiedział. - Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan jakimś świrem? Że sobie pan tego wszystkiego nie wymyślił?

W skąpo oświetlonej części atrium oprócz mnie byli tylko dwaj starsi panowie pogrążeni w rozmowie. Siedzieli przy stoliku obok wysokich palm w donicach. Za plecami słyszałem głosy dobiegające z sali konferencyjnej.

- Panie Morgenthaler, MDT nie da się wymyślić. Ten syf istnieje naprawdę, proszę mi wierzyć.

- Jak pan powiedział?

- Mówiłem, że nie da się...

- Nie, chodzi o nazwę. Mógłby ją pan powtórzyć? Cholera - nie powinienem był podać mu nazwy. - Cóż, to...

- MDT... powiedział pan „MDT”. - W jego głosie brzmiało zniecierpliwienie. - Co to, jakiś inteligentny lek?

Zawahałem się. Wiedział o MDT, a przynajmniej coś o nim słyszał. I wyraźnie chciał dowiedzieć się czegoś więcej.

- Kiedy możemy się spotkać? - powtórzyłem. Tym razem nie zastanawiał się.

- Mogę wylecieć stąd jutro rano. Spotkajmy się, powiedzmy... o dziesiątej?

. - Dobrze.

- Gdzieś na dworze. Na Pięćdziesiątej Dziewiątej? Przed Plażą?

- Dobrze. -Jestem wysoki i...

256

- Widziałem pańskie zdjęcie w Internecie.

- Dobrze, a zatem do zobaczenia jutro rano.

Schowałem telefon i powoli wróciłem do sali konferencyjnej. Atwood i Bloom stali razem na podium i odpowiadali na pytania. Wciąż trudno mi było skupić się na tym, co się działo, bo miałem świeżo w pamięci ten drobny incydent na czternastym piętrze - przywidzenie, wizję czy jak to nazwać - który tłumił wszelkie inne myśli. Nie wiedziałem, co zaszło tamtej nocy między mną a Donatella Alvarez, ale teraz podejrzewałem, że ten atak poczucia winy i niepewności był tylko wierzchołkiem ogromnej góry lodowej.

Po zakończeniu konferencji prasowej tłum zaczął się rozpraszać, ale wkrótce zapanował jeszcze większy chaos. Dziennikarze z „Business Week” i „The Time” krążyli po sali, polując na chętnych do wygłoszenia komentarzy, a członkowie kadry kierowniczej poklepywali się po plecach i zanosili śmiechem. W pewnym momencie przechodzący obok Hank Atwood klepnął w plecy nawet mnie. Potem odwrócił się i wymierzył we mnie palec wskazujący.

-Przyszłość, Eddie, przyszłość.

Uśmiechnąłem się półgębkiem, a Atwood zniknął.

Pracownicy Van Loon & Associates planowali wyskoczyć gdzieś na kolację, by uczcić sukces, ale ja nie mogłbym tego znieść. Tyle przeżyłem tego dnia, że kolejny atak paniki wisiał na włosku, a nie chciałem zrobić czegoś głupiego, co mogłoby go wywołać.

Dlatego też, nie mówiąc nic nikomu, odwróciłem się i niespiesznie opuściłem salę konferencyjną. Ruszyłem przez atrium do holu głównego, po czym, nie zatrzymując się, wyszedłem z hotelu na Pięćdziesiątą Szóstą. Wieczór był ciepły, a powietrze wypełniał stłumiony hałas uliczny. Poszedłem na Piątą Aleję i stanąłem u stóp Trump Tower, patrząc w stronę Pięćdziesiątej Dziewiątej - na widoczny w oddali Grand Army Plaża i kawałek Central Parku. Dlaczego Dave Morgenthaler chciał spotkać się ze mną na ulicy?

Odwróciłem się i spojrzałem w drugą stronę, na strumienie samochodów, wznoszące się i opadające, i na równoległe rzędy budynków zbiegające się w jakimś niewidocznym punkcie.

Ruszyłem w tym kierunku. Przyszło mi do głowy, że Van Loon może mnie szukać, więc wyłączyłem komórkę. Szedłem Piątą Aleją i w końcu skręciłem w prawo na Trzydziątą C/wartą. Po przejściu kilku przecznic znalazłem się w -jakby nie było - mojej nowej dzielnicy... jak ona się

17 - Dawka geniuszu

257

właściwie nazywała? Chelsea? Garment District? Któż to, do cholery, mógł w ogóle rozróżnić w tych czasach?

Zatrzymałem się przed obskurnym barem na Dziesiątej Alei i wszedłem do środka.

Usiadłem przy kontuarze i zamówiłem Jacka Danielsa. Bar był prawie pusty. Barman nalał mi drinka i wrócił do oglądania telewizji. Telewizor był zamontowany na wspornikach w ścianie nad drzwiami męskiej toalety; właśnie leciał jakiś sitcom. Po mniej więcej pięciu minutach -i tylko jednym wybuchu śmiechu - barman wziął pilota i zaczął skakać po kanałach. W pewnej chwili mignęło mi logo MCL-Parnassus.

- Niech pan na sekundę wróci na tamten kanał - poprosiłem. Zrobił to i spojrzał na mnie, wciąż trzymając pilota wymierzonego

w telewizor. Trwał serwis informacyjny, właśnie mówili o ogłoszonej tego dnia fuzji i pokazywali zdjęcia z konferencji prasowej.

- Niech pan zaczeka minutę - powiedziałem.

- Najpierw sekundę, teraz minutę - burknął ze zniecierpliwieniem. Wpiłem się w niego wzrokiem.

- Tylko ten jeden materiał, dobrze? Dziękuję.

Odłożył pilota na kontuar i uniósł dłonie. Potem obaj utkwiliśmy oczy w ekranie.

Dań Bloom stał na podium i podczas gdy spiker opisywał skalę i znaczenie zaproponowanej fuzji, kamera powoli zwróciła się w prawo, obejmując wszystkich członków zarządu Abraxas siedzących przy stole. W tle wyraźnie widać było logo firmy, ale nie tylko to. Stało tam też kilka osób; jedną z nich byłem ja. Kiedy kamera przesuwiała się z lewa na prawo, przewinąłem się po ekranie i zniknąłem. Ale w ciągu tych kilku sekund widać mnie było jak na dłoni, jak na okazaniu na komendzie policji - moją twarz, oczy, niebieski krawat i grafitowy garnitur.

Barman spojrzał na mnie, jakby coś do niego dotarło. Potem zwrócił się z powrotem w stronę ekranu, ale program przeniósł się już z powrotem do studia. Znów popatrzył na mnie z tępąminą. Podniosłem szklankę i wypięłem do dna.

- Może pan już zmienić kanał -powiedziałem.

Położyłem na barze dwudziestkę, wstałem ze stołka i wyszedłem.

258

26

Następnego ranka pojechałem taksówką na Pięćdziesiątą Dziewiątą. W drodze powtarzałem sobie w duchu, co powiem Dave'owi Mor-genthalerowi. Żeby podtrzymać jego zainteresowanie i zyskać na czasie, będę musiał mu obiecać próbkę MDT. Wtedy moja pozycja stanie się na tyle mocna, bym mógł nawiązać kontakt z kimś z Eiben-Chemcorpu. Miałem też nadzieję, że Morgenthaler podsunie mi myśl, do kogo w tej firmie mógłbym się zwrócić. Za dziesięć dziesiąta dotarłem na Grand Army Plaża i zacząłem chodzić w tę i we w tę, od czasu do czasu patrząc na hotel. Zapomniałem już o Van Loonie i fuzji MCL z Abraxas — przynajmniej na razie.

Pięć po dziesiątej do krawężnika podjechała taksówka, z której wysiadł wysoki, chudy mężczyzna po pięćdziesiątce. Od razu poznałem go ze zdjęć dołączonych do artykułów z internetowych archiwów. Ruszyłem w jego stronę i choć mnie zauważył, rozejrzał się, wypatrując innych potencjalnych kandydatów. Potem zwrócił się do mnie.

- Spinoła? - spytał.

Skinąłem głową i wyciągnąłem rękę.

- Dziękuję, że pan przyjechał. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Oby mi się to opłacało.

Miał bujne czarne włosy i nosił okulary w grubych oprawkach. Sprawiał wrażenie zmęczonego, wyglądał, jakby coś go gnębiło. Był w ciemnym garniturze i płaszczu przeciwdeszczowym. Na niebie wisały chmury i wiał lekki wiatr. Zamierzałem zaproponować, żebyśmy poszukali jakiejś kawiarni czy nawet poszli do Oak Room w Plaża, skoro byliśmy w pobliżu - ale Morgenthaler miał inny pomysł.

- Chodźmy - powiedział i ruszył w stronę parku. Po chwili wahania dogoniłem go.

- Na spacer? - spytałem.

Skinął głową, ale nic nie powiedział ani nawet nie spojrzał na mnie.

W milczeniu zesłaliśmy szybkim krokiem po schodach do parku, okrążyliśmy staw, minęliśmy Wollman Rink i w końcu znaleźliśmy się na Sheep Meadow. Morgenthaler wybrał ławkę i usiedliśmy twarzą do panoramy Central Park South. Byliśmy na odkrytym, nieprzyjemnie wietrznym terenie, ale nie zamierzałem narzekać.

Morgenthaler spojrzał na do mnie i zapytał:

- No dobra, o co chodzi?

259

- Przecież mówiłem... o MDT.

- Co pan wie o MDT i gdzie pan o nim usłyszał po raz pierwszy? Był bardzo bezpośredni i najwyraźniej zamierzał przesłuchać mnie

jak świadka. Uznałem, że pozwolę mu na to, przynajmniej do chwili, kiedy sytuacja rozwinie się na tyle, że nie będzie mógł po prostu odejść. Na jego pytania odpowiadałem tak, by zrozumiał parę istotnych rzeczy. Po pierwsze, że wiem, o czym mówię. Opisałem skutki działania MDT w najdrobniejszych szczegółach. Był tym zafascynowany i zadał kilka rzeczowych pytań - co dowodziło, że on też wiedział, o czym mówi, przynajmniej jeśli chodzi o MDT. Dałem mu do zrozumienia, że mogę podać nazwiska kilkudziesięciu osób, które brały ten środek, odstawiły go i w wyniku tego ciężko zachorowały. Było ich zbyt wiele, by uznać to za zbieg okoliczności. Zasugerowałem, że mogę też dostarczyć nazwiska śmiertelnych ofiar MDT. Wreszcie powiedziałem, że mogę załatwić próbki samego leku do analizy.

W tym momencie Morgenthaler bardzo się ożywił. Wszystko, co mu powiedziałem, byłoby prawdziwą bombą, gdyby mógł to ujawnić w sądzie - choć oczywiście z drugiej strony pewnie irytowało go, że unikałem wchodzenia w szczegóły. Gdyby teraz odszedł, nie miałby nic oprócz ciekawej historyjki - a mnie właśnie o to chodziło.

- No to co teraz? Co zrobimy? - spytał, po czym dodał z lekką nutą pogardy w głosie: - A co pan chce na rym zyskać?

Rozejrzałem się. Zobaczyłem kilka osób uprawiających jogging, spacerowiczów z psami i wózkami. Musiałem podtrzymać jego zainteresowanie, nie dając mu właściwie nic - a przynajmniej jeszcze nie. Musiałem też sprawdzić, co wie.

- Wszystko w swoim czasie - odpowiedziałem, powtarzając słowa Kenny'ego Sancheza - ale najpierw proszę mi powiedzieć, gdzie usłyszał pan o MDT.

Skrzyżował nogi i odchylił się na oparcie ławki.

- Natknąłem się na tę nazwę - wyjaśnił - w trakcie dochodzenia w sprawie triburbazine'u.

Czekałem na coś więcej, ale wyglądało na to, że już skończył.

- Panie Morgenthaler, odpowiedziałem na pańskie pytania. Zasłużyłem chyba na odrobinę zaufania.

Westchnął, z trudem skrywając zniecierpliwienie.

- No dobrze - rzekł. - Zbierając zeznania w sprawie triburbazine'u, rozmawiałem z wieloma byłymi i obecnymi pracownikami Eiben-Chem-corporu. Opisuując procedury prób klinicznych, ilustrowali je przykładami, robili porównania z innymi lekami.

260

Znów wychylił się do przodu, wyraźnie niezadowolony, że musi o tym mówić.

- Kilka osób wspomniało w tym kontekście o serii prób ze środkiem przeciwdepresyjnym, przeprowadzonych na początku lat siedemdziesiątych - prób, które skończyły się tragicznie. Człowiekiem za nie odpowiedzialnym był niejaki doktor Raoul Fursten. Pracował w dziale badań naukowych firmy od końca lat pięćdziesiątych i uczestniczył w próbach z LSD. Ten nowy lek rzekomo zwiększał zdolności poznawcze, przynajmniej w pewnym stopniu, i w tamtym okresie Fursten wiązał z nim wielkie nadzieje. Mówił o polityce świadomości, o doborze najlepszych i najinteligentniejszych, o patrzeniu w przyszłość i innych takich bzdurach. Proszę pamiętać, że było to na początku lat siedemdziesiątych, czyli w gruncie rzeczy jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Morgenthaler znów westchnął i jakby się skurczył. Potem poruszył się niespokojnie i usiadł wygodniej.

- W każdym razie - ciągnął - lek wywoływał też niebezpieczne skutki uboczne. Powodował agresywne i irracjonalne zachowanie, a nawet długotrwałe zaniki pamięci. Jedna z osób dała mi do zrozumienia, że były nawet ofiary śmiertelne i że to zatuszowano. Próby zostały przerwane i zaniechano dalszych prac nad lekiem, który nazywał się MDT-48. Fursten przeszedł na emeryturę i w ciągu roku zapisał się

na śmierć. Żaden z moich rozmówców nie może niczego udowodnić ani potwierdzić. Cała ta historia ma status pogłoski, a jako taka, biorąc pod uwagę moje cele, jest zupełnie nieprzydatna.

-Rozmawiałem jednak z ludźmi z niesamowitego, cudownego świata neuropsychofarmakologii - niech pan spróbuje to wymówić po kilku głębszych - ludźmi, którzy pozostaną anonimowi, i okazuje się, że w połowie lat osiemdziesiątych pojawiły się plotki, że badania nad MDT zostały wznowione. Oczywiście, były to tylko plotki... - Odwrócił się i spojrzał na mnie - A teraz pan twierdzi, że to cholera jest praktycznie sprzedawane na ulicach.

Skinąłem głową, myśląc o Yernonie, Deke'u Tauberze i Giennadiju. Ponieważ unikałem mówienia o swoich źródłach informacji, nie wspominałem też o Toddzie Ellisie i o nieoficjalnych próbach, które prowadził w United Labtech.

- W połowie lat osiemdziesiątych, mówi pan? - spytałem.

- Tak.

- I te próby były... nieoficjalne?

- Na to wygląda.

- Kto teraz jest szefem działu badań naukowych w Eiben-Chemcorp?

261

- Jerome Hale, ale nie wierzę, by miał z tym cokolwiek wspólnego. To przyzwoity człowiek.

- Hale? - zdziwiłem się. - To jakiś krewny?

- Och, tak - powiedział i parsknął śmiechem. - Są braćmi. Zamknąłem oczy.

- Na początku pracował z Raulem Furstenem - ciągnął Morgenthala-ler. - Ba, zajął jego stanowisko. Ale za tą aferą musi stać któryś z jego podwładnych, bo Hale teraz głównie siedzi za biurkiem. W każdym razie to nie ma znaczenia, tak czy inaczej chodzi o Eiben-Chemcorp, firmę farmaceutyczną, która dla zysku ukrywa wybrane informacje. To staramy się udowodnić. Manipulowali informacjami w czasie prób z triburba-zine'em, a jeśli udowodnię, że tak samo postępowali w przypadku MDT i wykażę, że jedno wiąże się z drugim... to mamy z górki.

Morgenthaler dał się ponieść emocjom, podekscytowany myślą o wygraniu procesu, ale nie mogłem uwierzyć, że zupełnie zlekceważył fakt, iż Jerome Hale i Caleb Hale są braćmi. Dla mnie ta informacja miała kolosalne znaczenie. Caleb Hale rozpoczął karierę w CIA w połowie lat sześćdziesiątych. W czasie prac nad Nakręcaniem przeczytałem wszystkie dostępne materiały o Biurze Badań Naukowych w ramach CIA i o projektach MK-Ultra, obejmujących tajne finansowanie programów badawczych prowadzonych przez amerykańskie firmy farmaceutyczne.

Cała ta historia zaczynała mnie przytłaczać, przyprawiać o ból głowy. Zdałem sobie sprawę, że porwałem się na coś, co mnie przerasta.

- Dlatego też, panie Spinola, potrzebuję pańskiej pomocy. A czego potrzebuje pan?

Westchnąłem.

- Czasu. Trochę czasu. -Na co? -Namyślenie.

- A o czym tu myśleć? Ci dranie są...

- Rozumiem, ale nie o to chodzi.

- No to o co, o pieniądze?

- Nie - powiedziałem z naciskiem i pokręciłem głową.

Nie spodziewał się tego, najwyraźniej od samego początku zakładał, że zależy mi na pieniądzach. Wyczułem, że jest coraz bardziej zaniepokojony, jakby nagle zrozumiał, że lada chwila może mnie stracić.

- Jak długo zamierza pan tu zostać? - spytałem.

- Muszę wrócić dziś wieczorem, ale...

- Zadzwoń jutro albo pojutrze. Zawahał się, niepewny, jak zareagować.

262

- Niech pan posłucha, może po prostu...

Postanowiłem go spławić. Nie podobało mi się to, ale nie miałem wyboru. Naprawdę musiałem wszystko przemyśleć.

- Jeśli będzie trzeba, przyjadę do Bostonu. Ze wszystkim. Po prostu... zadzwonię do pana jutro albo pojutrze, dobrze?

- Zgoda.

Wstałem, on też. Ruszyliśmy z powrotem w stronę Wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej.

Tym razem to ja rozmyślnie milczałem, ale po kilku chwilach coś mi się przypomniało i postanowiłem go o to spytać.

- A propos sprawy, którą pan się zajmuje - powiedziałem - to znaczy, chodzi o tę dziewczynę, która brała triburbazine...

-Tak?

- Czy ona... czy naprawdę była morderczynią?

- To właśnie będzie chciał wykazać Eiben-Chemcorp. Będą szukać w jej rodzinie przejawów patologii, skłonności do przemocy, wszystkiego, co da się przedstawić jako potencjalny motyw. Ale prawda jest taka, że ci, którzy ją znali - a mówimy tu o dziewiętnastoletniej dziewczynie, studentce - twierdzą, że była najśladszym, najinteligentniejszym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić.

Poczułem ucisk w dołku.

- Czyli krótko mówiąc, pan twierdzi, że winny jest triburbazine, a oni, że winna jest ona.

- Do tego to się sprowadza, owszem... determinizm chemiczny kontra moralność.

Był dopiero środek dnia, ale ponieważ na niebie wisiały ciężkie chmury, wszystko wokół wydawało się skąpane w dziwnej, niemal złowrogiej poświacie.

- Wierzy pan, że to możliwe? - spytałem. - Że jakiś lek może wziąć górę nad naszą naturą... i zmusić nas do robienia rzeczy, na które nie zdobylibyśmy się w innych okolicznościach?

- To, co myślę, nie ma znaczenia. Liczy się to, co pomyśli ława przysięgłych. Chyba żeby Eiben-Chemcorp poszedł na ugodę. Wtedy nie będzie miało znaczenia, co ktokolwiek myśli. Ale jedno powiem panu gratis, nie chciałbym zasiadać w tej ławie przysięgłych.

— Dlaczego?

- Wie pan, jak to jest: człowiek zostaje wybrany na przysięgłego i myśli sobie, fajnie, wreszcie kilka tygodni odpoczynku od mojej gównianej roboty, a potem dowiaduje się, że musi podjąć decyzję tak wielkiej wagi. Daj pan spokój.

263

Dalej szliśmy w milczeniu. Kiedy znaleźliśmy się na Grand Army Plaża, jeszcze raz zapewniłem go, że wkrótce zadzwonię.

- Jutro albo pojutrze, dobrze? - powiedział. -1 proszę nie zapomnieć, bo to może mieć naprawdę wielkie znaczenie. Nie chcę naciskać, ale...

- Wiem - odparłem stanowczym tonem. - Wiem.

- W porządku. - Uniósł dłonie. - Proszę tylko... by pan zadzwonił. Zaczął rozglądać się za taksówką.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedziałem. -Tak?

- Po co cała ta szopka ze spotkaniem na ławce w parku? Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Ma pan pojęcie, jak potężnym przeciwnikiem jest Eiben-Chem-corp? I jak duże pieniądze wchodzi w grę?

Wzruszyłem ramionami.

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: bardzo. - Wyciągnął rękę i zatrzymał taksówkę. - Jestem pod nieustanną obserwacją. Ci ludzie śledzą każdy mój krok, podsłuchują rozmowy telefoniczne, czytają moje e-maile, plany podróży. Myśli pan, że teraz nas nie widzą?

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Wsiadając, Morgentha-ler zwrócił się do mnie i powiedział:

- Wie pan, panie Spinola, być może ma pan mniej czasu, niż się panu wydaje.

Patrzyłem, jak taksówka odjeżdża i znika w sznurze samochodów na Piątej Alei. Powoli ruszyłem w tę samą stronę, wciąż czując lekkie mdłości - głównie przez to, że rozumiałem, iż mój plan nie ma szans

powodzenia. Morgenthaler może i lekko dramatyzował, ale to w niczym nie zmieniało faktu, że rzucenie wyzwania wielkiej firmie farmaceutycznej nie było dobrym pomysłem. Zresztą, do kogo miałbym się zwrócić? Do brata sekretarza obrony? Po pierwsze, to strasznie skomplikowałoby sytuację, a po drugie, nie wyobrażałem sobie, by taka firma jak Eiben-Chem-corp, dysponująca takimi środkami, mogła ulec szantażowi. Pomyślałem o śmierci Yernona i o tym, jak Todd Ellis odszedł z United Labtech i wkrótce niby przypadkiem wpadł pod samochód. Jak to wyjaśnić? Czyżby ktoś odkrył, że Yernon i Todd podkradają i handlują MDT? Może Morgenthaler wcale nie dramatyzował; jeśli tak było, to musiałem wymyślić inny plan - mniej zuchwały, mówiąc delikatnie.

Przechodząc przez Pięćdziesiątą Siódmą, rozejrzałem się. Przypomniałem sobie, że to tu nastąpił jeden z moich pierwszych zaników pa-

264

mięci, po rozmowie z Van Loonem w jego bibliotece na Park Avenue, oddalonej stąd o kilkaset metrów. Nagle zakręciło mi się wtedy w głowie, potknąłem się i nie wiedzieć jak znalazłem się całą przecnicę dalej, na Pięćdziesiątej Szóstej. Pomyślałem o wydarzeniach z następnego wieczoru, kiedy film urwał mi się na dłużej - o tym, jak przyłożyłem jakiemuś facetowi w restauracji Kongo w Tribeca, o tej dziewczynie w kabinie ubikacji, o Donatelli Alvarez i czternastym piętrze hotelu Clifden... Tamtej nocy stało się ze mną coś naprawdę złego i na samą myśl

O tym poczułem ucisk w dołku.

Wtedy jednak coś pojąłem... cała ta sekwencja - branie MDT, zwiększenie zdolności poznawczych, zaniki pamięci, utrata kontroli nad impulsami, agresywne zachowanie, dexteron na zapobieganie zanikom pamięci, więcej MDT, większe zdolności poznawcze - to nic innego, jak majstrowanie przy mózgu. Może redukcjonistyczny pogląd na ludzkie zachowanie, który Morgenthaler miał przedstawić przysięgłym, był słuszny, może wszystko sprowadzało się do reakcji międzycząsteczkowych, może rzeczywiście byliśmy tylko maszynami.

Ale jeśli tak było, jeśli umysł był tylko chemicznym oprogramowaniem mózgu - a takie środki farmakologiczne jak triburbazine i MDT służyły wyłącznie do jego modyfikacji - co mogło mi przeszkodzić w poznaniu zasad, najakich to wszystko funkcjonowało? Wykorzystując resztki zapasów MDT-48 mogłem przez następnych kilka tygodni skoncentrować się na mechanice ludzkiego mózgu. Mogłem wziąć się za neurologię, chemię, farmakologię, a nawet - do licha - neuropsychofarmakologię...

I co wtedy mogłoby mnie powstrzymać przed wyprodukowaniem własnego MDT? W okresie największej popularności LSD wielu chemików zakładało własne laboratoria w łązienkach i piwnicach całego kraju, oszczędzając sobie kłopotów związanych z pielęgnowaniem kontaktów z dostawcami z branży medycznej lub farmaceutycznej. Rzecz jasna, nie byłem chemikiem, ale zanim wziąłem MDT, nie byłem też maklerem giełdowym. Podeksytowany, przyspieszyłem kroku. Najbliższa księgarnia była na Czterdziestej Ósmej. Postanowiłem kupić kilka podręczników

1 pojechać taksówką prosto do Niebiańskiego.

Przechodząc obok kiosku, zauważyłem nagłówek odnoszący się do proponowanej fuzji MCL z Abraxasem i przypomniałem sobie, że ciągle mam wyłączoną komórkę. Nie zwalniając kroku, wyjąłem ją i sprawdziłem, czy są jakieś wiadomości. Były dwie od Van Loona, za pierwszym razem zaskoczonego, za drugim lekko poirytowanego. Wkrótce będę musiał z nim porozmawiać i wymyślić jakieś usprawiedliwienie mojej

265

nieobecności w najbliższych tygodniach. Nie mogłem go ot tak zignorować. W końcu byłem mu winny prawie dziesięć milionów dolarów.

W księgarni przez godzinę przeglądałem podręczniki dla studentów - olbrzymie tomy napisane drobnym drukiem, z wykresami, diagramami i zatrzęsieniem łacińskich i greckich terminów wyróżnionych kursywą. W końcu wybrałem osiem książek o tytułach w stylu Biochemia zachowań, Podstawy neurologii i Kora mózgowa, zapłaciłem za nie kartą kredytową i wyszedłem ze sklepu objuczony dwiema ciężkimi torbami. Złapałem taksówkę na Piątej Alei i w tej samej chwili zaczęło padać. Kiedy podjechaliśmy do Niebiańskiego, lało już jak z cebra i w ciągu dziesięciu sekund, które zajęło mi przejście przez plac do głównego wejścia, przemokłem do suchej nitki. Ale miałem to gdzieś - byłem podekscytowany i nie mogłem się doczekać, kiedy wejdę do mieszkania i zabiorę się do lektury.

W holu pomachał do mnie recepcjonista, Richie.

- Panie Spinola. Dzień dobry. Tego... byli tu ci ludzie.

- Słucham?

- Wpuściłem ich. Wyszli jakieś dwadzieścia minut temu. Podszedłem do niego.

- O czym ty mówisz?

- No, o tych ludziach, co mieli coś panu przynieść. Sam pan mówił, że przyjdą. Byli tu.

Postawiłem torby na podłodze i spojrzałem na niego.

- Nie rozmawiałem z tobą o żadnych ludziach. O czym ty mówisz? Przełknął ślinę i na jego twarzy ukazał się niepokój.

- Panie Spinola... godzinę temu zadzwonił pan do mnie i powiedział, że jacyś ludzie mają coś przynieść i że mam im dać klucz...

- Ja dzwoniłem?

- Tak.

Woda ściekała mi z włosów za kołnierz.

- Tak - powtórzył, jakby chciał dodać sobie pewności. - Połączenie było kiepskie, sam pan mówił, że to wina pańskiej komórki...

Podniosłem torby i bardzo szybko ruszyłem w stronę wind.

- Panie Spinola? Zignorowałem go.

- Panie Spinola? Czy... czy wszystko gra?

Wsiadłem do windy i wcisnąłem guzik. Kiedy jechałem na górę, serce waliło mi tak mocno, że musiałem oddychać głęboko i kilka razy ude-

266

rzyć pięścią w ścianę, by się uspokoić. Przeczesałem włosy palcami i potrząsnąłem głową. Krople wody rozbryznęły się na wszystkie strony.

Na sześćdziesiątym siódmym piętrze chwyciłem dwie torby i wyśliznąłem się z windy, zanim drzwi otworzyły się do końca. Pobiegłem korytarzem do swojego mieszkania, upuściłem torby i zacząłem grzebać w kieszeni, szukając klucza. Kiedy go wreszcie wyjąłem, miałem kłopoty z trafieniem nim do dziurki. W końcu udało mi się otworzyć drzwi, ale ledwie wszedłem do mieszkania, wiedziałem, że wszystko jest stracone. Wiedziałem to już na dole, w holu. Wiedziałem to w chwili, kiedy usłyszałem, jak Richie mówi „byli tu ci ludzie”.

Obejrzałem szkody. Pudła i drewniane skrzynki na środku salonu zostały przewrócone i rozwalone, a ich zawartość leżała na podłodze. Padłem na kolana i zacząłem grzebać w stosie książek, ubrań i sprzętów kuchennych w poszukiwaniu neseseru, w którym trzymałem kopertę z zapasem MDT. Po chwili go znalazłem - ale był pusty. Koperta z tabletkami zniknęła, mały czarny notes Yernona też. Łudząc się, że może jednak gdzieś tu jest - że może tylko wypadła z torby - przetrząsnąłem wszystko raz, potem drugi. Bez skutku. MDT przepadło.

Podszedłem do okna i wyjrzałem. Wciąż padało. Na tak dużej wysokości deszcz wyglądał dziwnie, jakby wchodząc kilka pięter wyżej można było znaleźć się ponad nim i patrzeć przez promienie słońca na szarą zasłonę chmur.

Odwróciłem się i oparłem o okno. Pokój był tak duży i jasny, a ja miałem tak mało rzeczy, że panujący w nim bałagan nawet nie był bałaganem z prawdziwego zdarzenia. Mieszkanie nie zostało zdemolowane, bo praktycznie nie było w nim czego demolować. O wiele lepiej poszło im u Yernona.

Stałem nieruchomo przez dłuższy czas - pewnie w szoku - nie myśląc o niczym. Zerknąłem na otwarte drzwi. Dwie torby z książkami wciąż tkwiły na korytarzu jedna obok drugiej, jakby cierpliwie czekały, aż ktoś wniesie je do środka.

Nagle zadzwonił telefon.

Miałem nie odbierać, ale kiedy zauważyłem, że w odróżnieniu od telewizora i komputera nadal podłączony jest do gniazdka, podszedłem do niego. Pochyliłem się i podniosłem słuchawkę. Powiedziałem „halo”, ale połączenie natychmiast zostało przerwane.

Wstałem. Wepchnąłem torby nogą do mieszkania. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie. Wzięłem kilka głębokich oddechów, przetknąłem ślinę, zamknąłem oczy.

267

Znów zadzwonił telefon.

Podniosłem słuchawkę, ale i tym razem połączenie urwało się. Ledwie ją odłożyłem, zadzwonił ponownie.

Tym razem się nie odezwał. W słuchawce panowała cisza. W końcu usłyszałem głos mówiący:

- No cóż, Eddie, to koniec.

- Kto mówi?

- Posunąłeś się za daleko, rozmawiając z Dave'em Morgenthalerem. To nie był dobry pomysł...

- Coś ty, kurwa, za jeden?

-.. dlatego zdecydowaliśmy się to przerwać. Ale... postanowiliśmy dać ci o tym znać. W końcu tak dzielnie się spisywałeś.

Głos był bardzo cichy, niemal szepczący. Mówił beznamiętnie, bez śladu akcentu.

- Oczywiście, nie powinienem z tobą ogóle rozmawiać, ale po tym wszystkim czuję się, jakbym cię znał.

- Jak to „przerwać”?

- Cóż, na pewno już zauważyłeś, że odebraliśmy ci to, co nasze. Dlatego poczynając od tej chwili, możesz uważać eksperyment za zakończony.

- Eksperyment?

Na chwilę zapadła cisza.

- Obserwowaliśmy cię od twojej wizyty u Yernona, Eddie. Serce zamarło mi w piersi.

- Jak myślisz, dlaczego policja dała ci spokój? Początkowo nie byliśmy pewni, ale kiedy zorientowaliśmy się, że zabrałeś zapasik Yernona, postanowiliśmy sprawdzić, co się stanie, przeprowadzić, że tak powiem, małą próbę kliniczną. Wiesz, nie mieliśmy wielu ludzi, na których można by eksperymentować...

Wbiłem wzrok w przeciwległą ścianę, próbując przebiec pamięcią ostatnie miesiące, sprawdzić, co przeoczyłem...

- ...i mówię ci, okazałeś się znakomitym obiektem badań! Jeśli jest to dla ciebie jakieś pocieszenie, Eddie, to jeszcze nikt nie wziął tyle MDT, co ty, nikt nie posunął się tak daleko.

- Kim jesteś?

- To znaczy, kiedy zacząłeś szaleć w Lafayette, wiedzieliśmy, że musisz brać tego sporo, ale potem podczepiłeś się pod Van Loona... to było coś.

-Kim jesteś?

- Cóż, zdarzył ci się ten drobny incydent w Clifdenie...

- Kim jesteś? - powtórzyłem bezbarwnym tonem, niemal machinalnie.

- ...powiedz, co się tam właściwie stało?

Odłożyłem słuchawkę, ale nie zabrałem z niej dłoni, przyciskałem ją mocno do widełek, jakbym w ten sposób mógł sprawić, by człowiek na drugim końcu linii - kimkolwiek był - zostawił mnie w spokoju.

Kiedy telefon znów zadzwonił, natychmiast odebrałem.

- Słuchaj, Eddie, bez urazy, ale te twoje kontakty z prywatnymi detektywami, o rosyjskich lichwiarzach nie wspominając, to dla nas za duże ryzyko. Wiedz tylko, że byłeś... bardzo pożytecznym obiektem badań.

- Proszę - powiedziałem z narastającą desperacją- czy nie ma sposobu, żeby... to znaczy, przecież nie muszę...

- Słuchaj, Eddie...

-Niczego Morgenthalerowi nie dałem, nic mu nie powiedziałem... - mój głos zaczynał się łamać -.. .czy nie mógłbym choć dostać... jakiegoś zapasu, kilku...

- Eddie...

- Mam pieniądze - powiedziałem i mocno ścisnąłem słuchawkę, by opanować drżenie dłoni. - Mam na koncie dużo pieniędzy. Mógłbym...

Połączenie urwało się.

Trzymałem dłoń na słuchawce, tak jak poprzednio. Czekałem całe dziesięć minut. I nic.

W końcu podniosłem rękę i wstałem sztywno. Przez chwilę przestę-powałem z nogi na nogę. Przynajmniej dzięki temu miałem wrażenie, że coś robię.

Dlaczego odłożył słuchawkę?

Bo wspomniałem o pieniądzach? Czy za jakiś czas zadzwoni i poda mi kwotę? Czy powinienem się przygotować?

Ile ja właściwie miałem na koncie?

Odczekałem jeszcze mniej więcej dwadzieścia minut, ale nic się nie działo.

W ciągu następnych dwudziestu minut wmówiłem sobie, że odkładając słuchawkę, ten człowiek chciał mi przekazać jakąś zaszyfowaną wiadomość. Zaproponowałem mu pieniądze, a teraz będę musiał cierpliwie czekać, aż oddzwoni i poda kwotę - którą powinienem uprzednio przygotować.

Wbiłem wzrok w telefon.

Nie chciałem blokować linii, więc wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Howarda Lewisa, kierownika mojego banku. Właśnie z kimś rozmawiał, więc zostawiłem wiadomość, by do mnie zadzwonił na ten numer.

269

Powiedziałem, że to pilne. Odezwał się po pięciu minutach. W sumie, uwzględniając to, co ostatnio zarobiłem na giełdzie i pożyczkę od Van Loona na urządzenie mieszkania, na koncie miałem nieco ponad 400 000 dolarów. Ponieważ Van Loon osobiście zajął się moimi finansami, Lewis znów stał się usłużny. Kiedy powiedziałem, że potrzebuję pół miliona dolarów gotówką- i to jak najszybciej - był nieco zbity z tropu, ale jednocześnie tak gorliwy, że obiecał przygotować pieniądze na jutro rano.

Powiedziałem: „Dobra, przyjdę tam”. Złożyłem komórkę, wyłączyłem ją i schowałem z powrotem do kieszeni.

Pół miliona dolarów. Kto mógłby odrzucić taką propozycję?

Zacząłem chodzić po pokoju, omijając bałagan na środku. Od czasu do czasu zerkałem na telefon na podłodze.

Kiedy znów zadzwonił, jednym płynnym ruchem przypadłem do niego, pochyliłem się i podniosłem słuchawkę.

- Słucham?

- Pan Spinola? Mówi Richie, wie pan, recepcjonista? Cholera.

- Czego? Zajęty jestem.

- Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko w porządku. To znaczy, chodzi o...

- Tak, tak, wszystko gra. Nic się nie stało. Odłożyłem słuchawkę.

Serce waliło mi jak młotem.

Znów wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Zastanowiłem się, czy nie posprzątać, ale nie miałem na to ochoty. Usiadłem na podłodze, oparłem się plecami o ścianę i czekałem, patrząc pustym wzrokiem przed siebie.

Przez następnych osiem godzin nie ruszyłem się z miejsca.

W normalnych okolicznościach wziąłbym MDT po południu, ale ponieważ to stało się niemożliwe, późnym wieczorem ogarnęło mnie zmęczenie - wiedziałem, że to pierwszy objaw odstawienia. W wyniku tego udało mi się nawet trochę przespać - choć co chwila się budziłem. Nie miałem łóżka, więc rzuciłem na podłogę kilka koców i kołdrę, i położyłem się na nich. Kiedy się obudziłem - około piątej rano - czułem tępy ból głowy i drapanie w gardle.

Bez przekonania spróbowałem posprzątać, by mieć jakieś zajęcie, ale strach przyćmiewał wszystkie moje myśli i niewiele zdołałem zrobić.

Przed wyjściem do banku wziąłem dwie tabletki excedrinu. Wygrzebałem z jednej z rozwalonych drewnianych skrzynek moją automatyczną

270

sekretarkę. Wyglądało na to, że nie została poważnie uszkodzona, i kiedy podłączyłem ją do telefonu, na oko działała jak należy. Z drugiej skrzynki wyjąłem teczkę, włożyłem płaszcz i wyszedłem - unikając wzroku Richiego siedzącego w recepcji.

Kiedy jechałem taksówką do banku, z pustą teczką na kolanach, ogarnęła mnie rozpacz, poczucie, że nadzieja, której tak kurczowo się trzymam, jest nie tylko żalosna, ale i najzupełniej pozbawiona podstaw. Kiedy widziałem przewijające się za szybą samochody i fasady budynków na Trzydziestej Czwartej, myślałem, że nawet teraz wszystko jeszcze można odkręcić, nagle zaczęła mi się wydawać, coś... pobożnym życzeniem.

Gdy jednak patrzyłem, jak kasjer chowa do mojej teczki pliki banknotów - pięćdziesięcio- i studolarowych - odzyskałem nieco pewności siebie. Podpisałem wszystkie niezbędne dokumenty, uśmiechnąłem się uprzejmie do przymilnego Howarda Lewisa, życzyłem mu miłego dnia i wyszedłem.

W drodze powrotnej, z pełną teczką na kolanach, czułem się lekko podekscytowany, wierzyłem, że nowy plan nie może się nie powieść. Kiedy ten człowiek zadzwoni, od razu złożę mu ofertę... będziemy negocjować, wszystko się zgrabnie ułoży.

Zaraz po powrocie postawiłem teczkę obok telefonu na podłodze. Była otwarta, żebym mógł widzieć pieniądze. Nikt nie nagrał się na sekretarce, włączyłem więc komórkę i sprawdziłem pocztę głosową. Miałem jedną wiadomość - od Van Loona. Rozumiał, że potrzebuję przerwy, ale takie sprawy załatwia się inaczej. Żądał, bym do niego zadzwonił.

Wyłączyłem komórkę.

Około południa ból głowy nasilił się. Dalej brałem excedrin, ale już na mnie nie działał. Wziąłem prysznic i długo stałem pod strumieniem gorącej wody, próbując rozluźnić napięte mięśnie szyi i ramion.

Ból głowy zaczął się od ucisku w czole i za oczami, ale po południu obejmował już całą moją czaszkę i czułem się, jakby ktoś rozłupywał mi ją od środka młotem pneumatycznym.

Całymi godzinami chodziłem po pokoju, próbując poradzić sobie z bólem - wpijając się wzrokiem w telefon, zmuszając go siłą woli, by zadzwonił. Nie mogłem zrozumieć, czemu ten facet jeszcze się nie odezwał. Przecież tu, na podłodze, leżało pół miliona dolarów, i tylko czekało, aż ktoś przyjdzie i je zabierze...

271

Wczesnym wieczorem stwierdziłem, że chodzenie w kółko już nie pomaga. Miałem nawracające ataki mdłości i dygotałem na całym ciele, prawie bez przerwy. Lżej mi było po prostu leżeć na prowizorycznym pościaniu z koców i kołdry, przewracać się z boku na bok i od czasu do czasu ścisnąć się za głowę, bezskutecznie usiłując złagodzić ból. Kiedy się ściemniło, zapadłem w przerywany, gorączkowy sen. W pewnej chwili obudziłem się, miotany torsjami - rozpaczliwie próbowałem

opróżnić pusty już żołądek. Wykrztusiłem krew na podłogę, po czym położyłem się na plecach i wbiłem wzrok w sufit.

Ta noc - czwartkowa - ciągnęła się w nieskończoność, a mimo to w pewnym sensie nie chciałem, by się skończyła. W miarę jak podnosiła się zasłona MDT, ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Męcząca niepewność niszczyła mi żołądek, raz po razie myślałem: „Co ja zrobiłem?” Miałem sugestywne sny, niemal halucynacje, w których zdawało mi się, że jestem bliski zrozumienia tego, co zdarzyło się tamtej nocy w hotelu Clifden - ale ponieważ nie potrafiłem odróżnić majaków rozgorączkowanego umysłu od rzeczywistych wspomnień, nigdy nie zobaczyłem pełnego obrazu. Widziałem Donatellę Alvarez spokojnie idącą przez pokój, tak jak poprzednio, w czarnej sukni, z krwią lejącą się po twarzy -ale to było w moim mieszkaniu, nie w hotelu, i pamiętam, że myślałem, że skoro ma rozwaloną głowę, to nie powinna być spokojna, ba, w ogóle nie powinna chodzić. Śniło mi się też, że oboje leżeliśmy na kanapie, spleceni w uścisku, a ja patrzyłem jej w oczy, napalony, podniecony, trawiony płomieniami jakiegoś nienazwanego uczucia - tyle że to była moja stara kanapa, ta z mieszkania na Dziesiątej, a Donatella szeptała mi na ucho, kazała sprzedawać krótko akcje spółek wysokiej technologii, już, już, już. Później siedziała naprzeciwko mnie za stołem w jadalni Van Loona, paliła cygaro i mówiła z ożywieniem: „... .bo wy norteamericanos nie rozumiecie niczego, ni-cze-go...”, a ja sięgałem w złości po najbliższą butelkę wina...

Różne wersje tego spotkania przewijały mi się przed oczami przez całą noc, każda z nich nieco inna - zamiast cygara papieros albo świeca, zamiast butelki wina laska albo statuetka - każda niczym kawałek kolorowego szkła, który po eksplozji w zwolnionym tempie przemierza kosmos, każda łudząca tym, że w końcu przerodzi się we wspomnienie, coś obiektywnego, nadającego się do odtworzenia w pamięci... i wiarygodnego...

W którymś momencie sturlałem się z kołdry, trzymając się za brzuch, i przeczołgałem przez lśniąca ciemność do łazienki. Po kolejnym ataku torsji, tym razem spędzonym z głową w sedesie, udało mi się podnieść na nogi. Nachyliłem się nad umywalką, przez chwilę siłowałem się z kurka-

272

mi i w końcu ochlapałem twarz zimną wodą. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem swoje widmowe, ledwo widoczne odbicie; tylko błyszczące oczy dowodziły, że nadal żyję.

Powlokłem się z powrotem do salonu, gdzie niewyraźne kształty na podłodze - rozwalone pudła, pogniecione ubrania, otwarta teczka pełna pieniędzy- wyglądały jak nieregularne formacje skalne na jakiejś dziwnej, ukrytej w mroku niebieskiej ziemi. Oparłem się o ścianę przy telefonie i osunąłem do pozycji siedzącej. Nie ruszyłem się stamtąd przez następnych parę godzin, aż wreszcie światło dzienne zaczęło sączyć się ze wszystkich stron i pokój na nowo nabrał znajomych kształtów.

Nawet oswoiłem się z bólem głowy - dopóki tkwiłem w całkowitym bezruchu, posłusznie łagodniał, przechodząc w tępy, łupiący, prymitywny rytm...

27

Kiedy tuż po dziewiątej zadzwonił telefon, poczułem się, jakby przez mózg przeszedł mi tysiącwołtowy ładunek elektryczny. Skrzywiłem się, wyciągnąłem drżącą rękę i podniosłem słuchawkę.

- Halo?

- Pan Spinola? Mówi Richie, recepcjonista.

- Hmm.

- Jest tu pan... Giennadij, chce się z panem widzieć. Mam go wpuścić?

Piątek rano.

Dziś rano. To znaczy, teraz już wczoraj.

Milczałem przez chwilę.

- Tak.

Odłożyłem słuchawkę. A niech mnie zobaczy - przekona się, co go wkrótce czeka.

Z trudem dźwignąłem się z podłogi - przy każdym ruchu czułem się, jakby mózg przeszywał mi kolejny ładunek elektryczny. Kiedy w końcu się podniosłem, zauważyłem, że stoję w małej kałuży własnego moczu. Na koszuli miałem plamy krwi i śluzu i dygotałem na całym ciele.

Spojrzałem na teczkę pełną pieniędzy, a potem na telefon. Jak mogłem być tak głupi, tak próżny? Zerknąłem w okno. Świeciło słońce. Bardzo powoli podszedłem do drzwi i otworzyłem je.

18-Dawka geniuszu

273

Odwróciłem się, zrobiłem kilka kroków i znów stanąłem twarzą do drzwi. U moich stóp leżało duże, rozwalone pudło, jego zawartość - rondle, garnki, różne sprzęty kuchenne - walała się po podłodze jak ludzkie wnętrzości.

Nagle poczułem się jak starzec - słaby, zgarbiony, zdany na łaskę wszystkiego wokół mnie. Usłyszałem szum otwierającej się windy, potem kroki i w drzwiach stanął Giennadij.

-O... kurwa!

Rozejrzał się, zaszokowany - moim wyglądem, bałaganem, wielkością mieszkania, okien - najwyraźniej niezdecydowany, czy jest bardziej zniesmaczony czy zafascynowany. Miał na sobie dwurzędowy garnitur w prążki i czarną koszulę bez krawata. Był ostrzyżony na zero, a jego wyrazistą twarz pokrywał trzydniowy zarost.

Kilka razy obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- A tobie co się, kurwa, stało? Wymamrotałem coś w odpowiedzi.

Wszedł nieco dalej do pokoju. Omijając bałagan, skierował się do okien, jakby ciągnęła go tam jakaś nieodparta siła - tak jak to było ze mną podczas pierwszej wizyty w tym mieszkaniu z Alison Botnick.

Nie ruszyłem się z miejsca. Było mi niedobrze.

- No, to zupełnie co innego niż ta twoja nora na Dziesiątej. -Tak.

Słyszałem za plecami, jak chodzi wzdłuż okien.

- Cholera, wszystko widać. - Zawiesił głos. - Słyszałem, że znalazłeś sobie niezłą chatę, ale to jest dopiero coś.

I cóż to miało znaczyć?

- O, Empire State Building. World Trade Center. Brooklyn. Nieźle. Wiesz, może i ja kupię tu sobie mieszkanie. - Po jego głosie poznałem, że się odwrócił w moją stronę. - Może nawet wezmę ten lokal, wprowadzę się tutaj. Co ty na to, piżdziaku?

- Świetny pomysł, Giennadij - powiedziałem, odwracając się lekko. - Wiesz, właśnie miałem szukać współlokatora, który pomógłby mi spłacić kredyt.

- No proszę, komik w obsranych gaciach. Dobra, Eddie, co tu jest grane?

Przeszedł na drugą stronę sterty rozwalonych pudeł i znalazł się w moim polu widzenia. Zatrzymał się na widok teczki z pieniędzmi.

- Jezu, ty naprawdę nie ufasz bankom, co?

Odwrócony do mnie plecami, pochylił się i zaczął oglądać pieniądze, wyjmować pliki banknotów i bawić się nimi.

274

- Jest tego ze trzysta, czterysta tysięcy. - Gwizdnął. - Nie wiem, w co się pakujesz, Eddie, ale jeśli masz tego więcej, to powinieneś w coś zainwestować. Niedługo ruszy moja firma importowa, więc gdybyś chciał w to wejść... wiesz, możemy pogadać o cenie.

Pogadać o cenie?

Giennadij jeszcze nie wiedział, że wkrótce umrze - za kilka dni, po tym, jak skończy mu się MDT.

- No dobra - powiedział, prostując się i odwracając do mnie - kiedy poznam tego twojego dealera?

Spojrzałem na niego i odparłem:

- Nie poznasz go.

- Że co?

-Nie poznasz go.

Stał nieruchomo, oddychając przez nos. Patrzył na mnie przez mniej więcej dziesięć sekund. Miał minę niezadowolonego dziecka - ale niezadowolonego dziecka z nożem sprężynowym w kieszeni. Powoli wyjął go

i rozłożył.

- Spodziewałem się tego - powiedział - więc odpowiednio się przygotowałem. Dowiedziałem się o tobie paru rzeczy, Eddie. Miałem cię na oku.

Przełknąłem ślinę.

- Ostatnio nieźle ci szło, nie? Jeśli chodzi o wspólników w interesach i umowy o fuzję. - Odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju. - Ale Van Loon czy Hank Atwood raczej nie będą zadowoleni, jak dowiedzą się o twojej znajomości z rosyjskim lichwiarzem.

Spojrzałem na niego; sam zaczynałem być lekko niezadowolony.

- Albo o tym, że kiedyś ćpałeś. W gazetach też nie wyglądałoby to najlepiej.

Kiedyś ćpałem? To już historia. Skąd on mógł o tym wiedzieć?

- Nie do wiary, ile można się dowiedzieć o człowieku, nie? - powiedział, jakby czytał mi w myślach. - Przebieg zatrudnienia, wzięte kredyty - a nawet sprawy bardziej osobiste.

- Pierdol się.

- Wolałbym nie.

Mówiąc to, odwrócił się i szybko podszedł do mnie. Przystawił mi nóż do nosa i poruszył nim na boki.

- Mógłbym ci przemodelować twarz, Eddie, ładnie i twórczo, ale chcę, żebyś najpierw odpowiedział na moje pytanie. - Wpił się w moje oczy i powtórzył, tym razem szeptem: - Kiedy poznam tego twojego dealera?

275

Nie miałem dokąd uciekać, nie zostało mi wiele do stracenia. Od-szepnąłem:

- Nigdy.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Giennadij uderzył mnie lewą ręką w brzuch - tak szybko i skutecznie, jak kiedyś w moim starym mieszkaniu. Zgiąłem się wpół i upadłem na pudła, z trudem łapiąc powietrze.

Giennadij znów zaczął chodzić po pokoju.

- Chyba nie myślałeś, że zacznę od twarzy, co?

Ból był okropny, ale zarazem dziwnie odległy. Chyba bardziej zdenerwowało mnie naruszenie mojej prywatności, fakt, że Giennadijowi udało się odgrzebać moją przeszłość.

- Mam całą teczkę na twój temat. Taaką grubą. Wszystkiego można się dowiedzieć, Eddie, i to z takimi szczegółami, że aż trudno uwierzyć.

Podniosłem głowę. Był odwrócony do mnie plecami i gestykulował zawzięcie. Wtedy coś rzuciło mi się w oczy - coś, co wystawało z leżącego przede mną pudła ze sprzętami kuchennymi.

- Ciekaw jestem, Eddie, jak zamierzasz wyjaśnić wszystkie te lata przeciętności swoim nowym kolegom z wyższych sfer? Pisanie tego napuszonego gówna dla K & D? Nauczanie angielskiego we Włoszech bez zezwolenia na pracę? Zjebanie kolorystyki w magazynie „Chrome”?

Kiedy mówił, wyciągnąłem rękę do pudła. Wystawała z niego drewniana rączka długiego stalowego noża do krojenia mięsa. Chwyciłem ją i wysunąłem z pudła, głowa pękała mi od wysiłku, jaki kosztowało mnie zapanowanie nad drżeniem ręki - nie wspominając o tym, że najpierw musiałem wychylić się do przodu. Z trudem dźwignąłem się z podłogi, chowając nóż za plecami.

Giennadij odwrócił się.

- No i kiedyś byłeś żonaty, zgadza się?

Przeszedł przez pokój w moją stronę. Kręciło mi się w głowie, widziałem go podwójnie na białym pulsującym tle. Jednak mimo to miałem wrażenie, że wiem, co robię - gniew, upokorzenie, strach, wszystko to wydawało mi się jasne i podporządkowane jednemu celowi. Była w tym jakaś logika, nieuchronność. Czy to samo czułem wtedy, na czternastym, piętrze hotelu? Nie bardzo potrafiłem to sobie wyobrazić, ale wiedziałem też, że nigdy się tego nie dowiem.

- Z tego też nic nie wyszło, prawda?

Zatrzymał się na chwilę, po czym podszedł kilka kroków bliżej.

- Jak ona miała na imię?

Podniósł nóż i pomachał mi nim przed oczami. Czułem na sobie jego oddech. Serce i głowa łomotały mi w jednolitym rytmie.

276

- Melissa.

- Tak - powiedział - Melissa... i ma, ile, dwójkę dzieci...? Nagle otworzyłem szeroko oczy i spojrzałem nad jego ramieniem.

Kiedy odwrócił się, by sprawdzić, na co patrzę, wziąłem głęboki wdech i wysunąłem nóż zza pleców. Jednym szybkim ruchem wbiłem mu ostrze w brzuch, a drugą ręką złapałem go za kark, by zwiększyć siłę uderzenia. Wepchnąłem nóż tak głęboko, jak tylko się dało, próbując ciągnąć go w górę. Usłyszałem głośny bulgot i poczułem, jak ręce Giennadija poruszają się w górę i w dół, bezradnie, jakby zostały odcięte od reszty ciała. Pchnąłem po raz ostatni i musiałem go puścić. To wszystko kosztowało mnie mnóstwo sił, zatoczyłem się do tyłu, próbując złapać oddech. Oparłem się o okno i patrzyłem, jak Giennadij stoi, chwieje się i patrzy na mnie. Miał otwarte usta i zaciskał dłonie na drewnianej rączce noża -jego jedynej wystającej części.

Ból głowy był tak dotkliwy, że nawet nie miałem siły poczuć moralnej odrazy z powodu tego, co widziałem czy co zrobiłem. Poza tym niepokoiłem się, co stanie się teraz.

Giennadij zrobił kilka kroków w moją stronę. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie i wściekłość zarazem. Myślałem, że będę musiał odsunąć się na bok, by na mnie nie wpadł, ale niemal w tej samej chwili potknął się o rozerwane pudło i runął na stertę dużych albumów z dziełami sztuki i

fotografiami. Upadając, musiał wbić sobie nóż jeszcze głębiej - i to śmiertelnie - bo więcej już się nie ruszył.

Zaczekałem kilka minut, patrząc na niego i nasłuchując - ale nie drgnął ani nie wydał żadnego dźwięku.

W końcu bardzo powoli podszedłem do Giennadija. Nachyliłem się i sprawdziłem puls na jego szyi. Nic nie wyczułem. Wtedy coś przyszło mi do głowy i sięgając do ostatnich rezerw adrenaliny, wziąłem go za rękę i przewróciłem na plecy. Nóż tkwił pod ostrym kątem w jego brzuchu, a czarna koszula była przesiąknięta krwią. Wziąłem kilka głębokich oddechów, usiłując nie patrzeć na jego twarz.

Jedną ręką uniosłem prawą poję jego marynarki, a drugą ostrożnie wsunąłem do wewnętrznej kieszeni. Grzebałem w niej przez chwilę i kiedy już myślałem, że nic tam nie ma, wymacałem coś twardego, zawiniętego w kawałek materiału. Chwyliłem to czubkami palców i wyciągnąłem. Trzymałem ten przedmiot przez pewien czas w ręku - serce tłukło mi się w piersi - po czym potrząsnąłem nim. Rozległ się cichy, ale miły dla ucha grzechot.

Wstałem i podszedłem z powrotem do okna. Przez kilka sekund stałem nieruchomo, na próżno usiłując stłumić łupanie w mojej głowie.

277

Oparłem się o okno i osunąłem na podłogę. Dłonie nadal mi się trzęsły, więc żeby nic nie zgubić, postawiłem pudełko między nogami. Koncentrując się ze wszystkich sił, zdjąłem zakrętkę, odrzuciłem ją na bok i zajrzałem do środka. Było tam pięć tabletek. Wciąż zachowując pełną ostrożność, wyjąłem trzy i położyłem je na dłoni.

Zamknąłem oczy i mimowolnie przebiegłem pamięcią ostatnich kilka minut - wszystko widziałem w jaskrawych barwach niczym w kalejdoskopie. Kiedy znów otworzyłem oczy, pierwszym, co zobaczyłem - półtora metra ode mnie - była ogolona głowa Giennadija, podobna do starej skórzanej piłki, a potem jego ciało, rozwalone na stercie książek.

Podniosłem rękę, wrzuciłem trzy tabletki do ust i połknąłem je.

Siedziałem w bezruchu przez następnych dwadzieścia minut, patrząc przed siebie. W tym czasie ból głowy powoli minął, przestały mi też drżeć ręce. Poczułem, że stopniowo wracam - przynajmniej w granicach wyznaczonych przez MDT - do pewnego rodzaju normalności. Wiedziałem, że moje dni są policzone. Wiedziałem też, że ekipa Giennadija pewnie czeka na niego na dole i jeśli będę dłużej zwlekał, w końcu zainteresują się, co jest grane, może się nawet zaniepokoją - a wtedy sprawy mogłyby się skomplikować.

Zamknąłem pudełko i wsunąłem je do kieszeni spodni. Kiedy wstałem, znów zauważyłem plamy na mojej koszuli, a także inne oznaki mojego ogólnego upadku. Poszedłem do łazienki, po drodze rozpinając koszulę. Zdjąłem ubranie i wziąłem szybki prysznic. Włożyłem czyste ciuchy, dżinsy i białą koszulę - pamiętając, by przełożyć pudełko do kieszeni dżinsów. Podszedłem do telefonu stojącego na podłodze, zadzwoniłem do informacji i dostałem numer lokalnej agencji wynajmu samochodów. Wykręciłem go i zamówiłem wóz - polecając, by czekał na mnie pod tylnym wejściem. Potem

wrzuciłem do nesesera parę rzeczy, w tym laptop. Złapałem teczkę z pieniędzmi i zaniósłem wraz z neseserem pod drzwi.

Przez chwilę stałem przy drzwiach i patrzyłem na pokój. Giennadija prawie nie było widać w ogólnym bałaganie, który tworzyły moje rzeczy - pudła, książki, ubrania, rondle, okładki płyt. Nagle jednak zauważyłem strużkę krwi płynącą po podłodze. Na widok następnej zrobiło mi się niedobrze i musiałem oprzeć się o drzwi, by nie stracić równowagi. W tej chwili ze środka pokoju dobiegł głośny pisk. Serce skoczyło mi w piersi, ale kiedy wysoki, lekko stłumiony dźwięk przeszedł w elektroniczną wersję głównego tematu I Koncertu Fortepianowego Czajkowskiego, dotarło do

278

mnie, że to dzwoni komórka Giennadija. Żuliki z dołu najwyraźniej zaczynały się niecierpliwic, pewnie niedługo wejdą na górę. Nie mając innego wyboru, odwróciłem się i zamknąłem za sobą drzwi.

Zjechałem windą do podziemnego parkingu i przemierzyłem tę rozległą przestrzeń, mijając niezliczone rzędy betonowych filarów i zaparkowanych samochodów. Wszedłem po krętej rampie na plac na tyłach budynku. Pięćdziesiąt metrów na lewo trwał rozładunek dwóch ciężarówek - pewnie zaopatrujących jedną z kilku restauracji w Niebiańskim. Czekałem przez jakieś pięć minut w ukryciu, aż wreszcie pojawił się czarny, nieoznakowany wóz. Pomachałem na kierowcę i zatrzymał się. Wgramoliłem się na tylne siedzenie z teczką i neseserem, i odpocząłem chwilę. Kiedy wziąłem kilka głębokich oddechów, kazałem szoferowi jechać na Henry Hudson Parkway w kierunku północnym. Okrążył budynek i skręcił w lewo. Na następnym skrzyżowaniu paliło się czerwone światło i kiedy samochód stanął, obejrzałem się. Zobaczyłem mercedesa zaparkowanego przy krawężniku. Obok, na chodniku, stało kilku facetów w skórzanych kurtkach. Palili papierosy, jeden z nich patrzył w górę na budynek.

Zapaliło się zielone światło. Ledwie ruszyliśmy, nagle jak spod ziemi wyskoczyły trzy wozy policyjne. Zatrzymały się przy krawężniku i zanim zniknęły mi z pola widzenia, zdążyłem jeszcze zauważyć pięciu czy sześciu umundurowanych policjantów biegnących w stronę głównego

wejścia do Niebiańskiego.

Odwróciłem się w stronę kierowcy. Nie rozumiałem, co się dzieje. Od chwili, kiedy wyszedłem z mieszkania, nie mogło upłynąć dość czasu, by ktokolwiek zdążył wejść na górę, dostać się do środka i zadzwonić na policję; zresztą, policja nie mogłaby tak szybko przyjechać...

To nie miało sensu.

Napotkałem spojrzenie kierowcy w lusterku wstecznym. Przez parę

sekund patrzył mi w oczy.

Potem obaj odwróciliśmy się.

28

Jechaliśmy dalej na północ.

Na autostradzie lekko się odprężyłem. Odchyliłem się na oparcie i patrzyłem przez szybę na przemykające obok kilometry jezdni zlewające się w jeden hipnotyczny strumień. Pozwoliło mi to na pewien czas zapomnieć

279

O ostatnich dniach, godzinach, a zwłaszcza o tym, co zrobiłem Giennadi-jowi. Ale po jakichś czterdziestu minutach moje myśli nieuchronnie skierowały się ku temu, co zrobię teraz, ku najbliższej przyszłości -jedynej, jaką miałem.

Kazałem kierowcy zjechać z autostrady i wysadzić mnie w Scarsdale albo White Plains. Po dłuższym namyśle zabrał mnie do centrum White Plains. Zapłaciłem mu i - w złudnej nadziei, że dzięki temu zamknę mu usta - dorzuciłem studolarowy napiwek.

Z neserem w jednej ręce i teczką w drugiej krążyłem przez pewien czas po okolicy, aż wreszcie złapałem na Westchester Avenue taksówkę, którą pojechałem do najbliższego biura wynajmu samochodów. Wynająłem pathfmdera i zapłaciłem kartą kredytową. Wyjechałem z White Plains

1 ruszyłem dalej na północ autostradą numer 684.

Minąłem Katonah i w Croton Falls skręciłem w lewo, na Mahopac. Teraz, kiedy zostawiłem autostradę za sobą i jechałem przez tę cichą, pagórkowatą, zalesioną okolicę, czułem się obco, a zarazem byłem dziwnie spokojny-jakbym przeniósł się już do innego wymiaru. Zmieniające się widoki potęgowały narastające we mnie poczucie nierzeczywistości. Nie siedziałem za kierownicą od niepamiętnych czasów - a już na pewno nie poza miastem, nie przy takiej szybkości i nie na tak dużej wysokości w wozie sportowo-terenowym...

Zbliżając się do Mahopac, musiałem zwolnić. Ponowne skupienie się na tym, co robiłem i co zamierzałem zrobić, kosztowało mnie trochę wysiłku. Po dłuższym namyśle przypomniałem sobie adres, który Melissa podała mi w barze na Spring Street. W mieście zatrzymałem się na stacji benzynowej, by kupić mapę okolicy i zorientować się, jak trafić do jej domu.

Znalazłem go po dziesięciu minutach.

Skręciłem w prawo na Milford Drive i zatrzymałem się przed trzecim domem po lewej stronie. Pusta ulica tonęła w cieniu drzew. Sięgnąłem na tylne siedzenie, gdzie zostawiłem neser. Otworzyłem boczną kieszeń i wyjąłem mały notes i długopis. Wziąłem teczkę z fotela pasażera i położyłem ją sobie na kolanach. Wyrwałem kartkę z notesu i szybko napisałem kilka zdań. Otworzyłem teczkę, przez chwilę patrzyłem na pieniądze, po czym włożyłem do niej list i tak go przyczepiłem, by był wyraźnie widoczny.

Wysiadłem z wozu, zabrałem teczkę i ruszyłem wąską ścieżką w stronę domu. Po obu jej stronach były trawniki, na jednym z nich leżał mały rower. Dom był parterowy, szary, drewniany, ze schodami prowadzącymi do drzwi i gankiem od frontu. Przydałoby się go nieco odmalować i może położyć nowy dach.

280

Wszedłem na schody i przez chwilę stałem na ganku. Próbowałem zajrzeć do środka, ale na drzwiach była siatka, więc niewiele mogłem zobaczyć. Zastukałem palcem wskazującym we framugę.

Serce waliło mi jak młotem.

Drzwi otworzyły się i przede mną stanęła chuda siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka. Miała długie ciemne proste włosy i ciemnobrązowe oczy. Musiałem mieć zaskoczenie wypisane na twarzy, bo zmarszczyła brwi i powiedziała uprzejmym tonem:

-Tak?

- Jesteś Ally, zgadza się?

Po chwili namysłu skinęła głową. Miała na sobie czerwony sweter i różowe legginsy.

- Jestem starym znajomym twojej mamy. Nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia.

- Mam na imię Eddie.

- Chce pan rozmawiać z moją mamą?

Jej głos i mowa ciała dowodziły, że jest lekko zniecierpliwiona, jakby chciała, żebym szybciej przeszedł do rzeczy, by mogła wrócić do tego, co robiła, zanim jej przerwałem.

Z głębi domu dobiegł kobiecy głos:

- Ally, kto przyszedł?

To była Melissa. Nagle poczułem, że nie pójdzie mi tak łatwo, jak się spodziewałem.

-Tojakiś... pan.

- Zaraz... - zamilkła na chwilę, niezdecydowana, może nawet lekko poirytowana- ...zaraz przyjdę. Powiedz mu... żeby zaczekał.

Ally poinformowała mnie:

- Mama myje włosy mojej młodszej siostrze.

- Jane, zgadza się?

- Tak. Ona sama nie umie. I to strasznie długo trwa.

- Czemu?

-Bo są takie długie.

- Dłuższe od twoich?

Prychnęła cicho, jakby chciała powiedzieć: „No, mój panie, wcale nie jesteś tak dobrze poinformowany, jak ci się wydaje”.

- Wiesz co? - powiedziałem. - Wygląda mi na to, że jesteście bardzo zajęte. - Zawiesiłem głos, spojrzałem jej prosto w oczy i poczułem coś jakby zawrót głowy, ale stałem twardo na ziemi. - To ja może po prostu zostawię to... a ty powiesz mamie, że tu byłem... i że to jest dla niej.

281

Starając się nie wyjść na natręta, nachyliłem się lekko i postawiłem teczkę na dywanie za drzwiami.

Dziewczynka nawet nie drgnęła. Spojrzała podejrzliwie na teczkę. Zrobiłem kilka kroków do tyłu. Znow podniosła na mnie oczy.

- Mama mówiła, żeby pan zaczekał.

- Wiem, ale spiesz mi się.

Zastanowiła się, czy mi uwierzyć, coraz bardziej zaintrygowana - to, co robiła przed moim przyjściem, najwyraźniej straciło dla niej znaczenie.

- Ally, już idę.

Słyszając niepokój w głosie Melissy, poczułem ukłucie w sercu i wiedziałem, że muszę odejść, zanim się zjawi. Miałem powiedzieć jej, by nie otwierała teczek, zanim nie odjadę. Teraz to już było nieistotne.

Zszedłem po schodach na dół, nie odwracając się.

- Muszę już iść, Ally. Miło było cię poznać.

Znow zmarszczyła brwi, niepewna, o co w tym wszystkim właściwie chodzi.

- Mama już idzie - powiedziała cicho. Nie przestając się cofać, spytałem:

- Pamiętasz, jak mam na imię?

- Eddie - odparła jeszcze ciszej. Uśmiechnąłem się.

Mógłbym gapić się na nią godzinami, ale musiałem oderwać wzrok i odwrócić się. Wróciłem do samochodu i usiadłem za kierownicą. Włączyłem silnik.

Odjeżdżając, kątem oka zauważyłem ruch w drzwiach domu. Na najbliższym skrzyżowaniu, zanim skręciłem w lewo, zerknąłem w lusterko wsteczne. Melissa i Ally stały na środku ulicy, trzymając się za ręce.

Ruszyłem w stronę Newburgh i wróciłem na autostradę numer 87, kierując się ku północy. Postanowiłem dojechać aż do Albany, a potem zastanowić się, co dalej.

Wczesnym popołudniem dotarłem na przedmieścia. Trochę pokręciłem się po okolicy, po czym zaparkowałem wóz na bocznej ulicy odchodzącej od Central Avenue. Przez dwadzieścia minut siedziałem w samochodzie, wpatrując się w kierownicę.

No to co dalej?

Wysiadłem i ruszyłem przed siebie szybkim krokiem, bez jakiegoś określonego celu. Idąc, raz po razie odtwarzałem w pamięci rozmowę z Ally. Była niesamowicie podobna do Melissy i wciąż nie mogłem otrzą-

282

snąć się z oszołomienia wywołanego jej widokiem - poraziła mnie wizja nieskończoności, wstrząsały mną nagłe, niespodziewane spazmy życzliwości i nadziei.

Jednak kiedy tak szedłem, czułem w kieszeni spodni srebrne pudełko Giennadija. Wiedziałem, że za kilka godzin otworzę je i wyjmę dwie ostatnie tabletki - prosta, banalna czynność, która skończy się aż za szybko i nie będzie miała nic wspólnego z życzliwością ani nadzieją.

Wciąż krążyłem po mieście bez celu.

Po mniej więcej półgodzinie uznałem, że nie ma sensu dalej iść. Zanosilo się na deszcz, a poza tym zaczynałem czuć się niepewnie na tych obcych, ruchliwych ulicach.

Zatrzymałem się i już miałem ruszyć z powrotem do samochodu, kiedy w oczy rzuciła mi się wystawa sklepu ze sprzętem elektronicznym, na której stało piętnaście telewizorów, w trzech rzędach po pięć. Z każdego ekranu patrzyła na mnie twarz Donatelli Alvarez. Było to zdjęcie en face. Pochylała się lekko do przodu, jeden policzek ginął w cieniu długich brązowych włosów.

Stałem na chodniku jak wryty, przechodnie mijali mnie z obu stron. Przysunąłem się do szyby i zobaczyłem na ekranach zdjęcia restauracji Akcjum i hotelu Clifden. Przeszedłem wzdłuż wystawy i wśliznąłem się do sklepu, by usłyszeć komentarz - ale dźwięk był dość cichy i przez hałas samochodów przejeżdżających za mną przebijały się tylko urywki. Gdy na ekranie pojawiło się ujęcie Czterdziestej Ósmej ulicy, doszło mnie coś o „komunikacie wydanym dziś popołudniu przez Carla Van Loona”. Potem „przeanalizowanie umowy w konsekwencji niepożądanego rozgłosu”. No i -teraz to już naprawdę wyczułem słuch - coś jakby „niekorzystny wpływ na ceny akcji”.

Rozejrzałem się z irytacją.

We wnęce w głębi była druga wystawa z telewizorami włączonymi na ten sam kanał. Szybko przeszedłem przez sklep, mijając magnetowidy, odtwarzacze DVD, wieże i radiomagnetofony. Kiedy znalazłem się na drugim końcu, na ekranach pojawił się fragment materiału nagranych na konferencji prasowej MCL i Abraxas, ten nakręcony przez kamerę przesuwającą się z lewa na prawo. Czekałem z bijącym sercem i po kilku sekundach... zobaczyłem siebie w garniturze, przewijającego się z prawej strony ekranu na lewą, patrzącego przed siebie. Miałem dziwnie nieobecny wyraz twarzy, którego nie zauważyłem, kiedy widziałem to nagranie po raz pierwszy...

283

Słuchałem komentarza, ale trudno mi było to wszystko ogarnąć. Ktoś, kto tamtego wieczoru był w Akcjum - pewnie ten tysy krytyk ze szpakowatą brodą - zobaczył materiał w wiadomościach i to odświeżyło mu pamięć. Rozpoznał we mnie Thomasa Cole'a, człowieka, który siedział naprzeciwko Donatelli Alvarez w restauracji i który rozmawiał z nią później na przyjęciu.

Po materiale z konferencji prasowej na ekranie pojawił się dziennikarz stojący przed Niebiańskim.

- Ten nowy trop - mówił- doprowadził policję do mieszkania Eddiego Spinoli na West Side. W środku, zamiast głównego lokatora, znajdowało się ciało niezidentyfikowanego mężczyzny, prawdopodobnie członka rosyjskiej organizacji przestępczej. Człowiek ten zginął od ciosu nożem, co oznacza, że Eddie Spinola... -znów pokazali zdjęcia z konferencji praso wej - ...jest poszukiwany przez policję w związku z dwoma głośnymi zabójstwami...

Odwrociłem się i szybko wyszedłem ze sklepu, nie patrząc na nikogo. Za drzwiami skręciłem w prawo. Przechodząc obok wystawy, byłem boleśnie świadom tego, że na ekranach po raz kolejny odtwarzane jest nagranie konferencji prasowej.

W drodze do samochodu wstąpiłem do apteki i kupiłem duże pudełko paracetamolu. Zajrzałem też do sklepu z alkoholem i wziąłem dwie butelki Jacka Danielsa.

Potem ruszyłem w dalszą drogę, nadal kierując się na północ, i wyjechałem z Albany najszybciej, jak mogłem.

Unikając autostrad, przejechałem bocznymi drogami przez Schenec-tady, Saratoga Springs, aż znalazłem się w górach Adirondack. Wybierałem trasę na chybił trafił, ale kierowałem się w stronę jeziora Schroon. Nie zważałem na otaczające mnie piękno natury, głowę wypełniała mi niekończąca się seria rozmazanych obrazów. Skręciłem do Yermont, i nadal trzymając się bocznych dróg, przejechałem przez Yergennes i Burlington, kierując się ku Morrisville i Barton.

Przez siedem czy osiem godzin podróży zatrzymałem się tylko raz, po paliwo, i wtedy wziąłem dwie ostatnie tabletki ze srebrnego pudełka.

Okolo dziesiątej dotarłem do Nortłwiew Motor Lodge. Dalsza podróż nie miała sensu. Panowały nieprzeniknione ciemności, a zresztą dokąd miałbym pojechać? Do Maine? Nowego Brunswiku? Nowej Szkocji?

284

Wynająłem pokój w hotelu pod fałszywym nazwiskiem i zapłaciłem gotówką. Z góry.

Za dwie noce.

.Kiedy minął mi szok wywołany wystrojem i kolorystyką pokoju, położyłem się na łóżku i wbiłem wzrok w sufit.

Z tego, co mówili w telewizji, wynikało, że jestem poszukiwanym przez policję mordercą. Uważałem, że nie do końca słusznie, ale wiedziałem, że w tych okolicznościach trudno byłoby mi kogokolwiek o tym przekonać.

Na początek powiedziałbym, że to długa historia.

A potem musiałbym ją opowiedzieć.

Bez względu na to, czy wtedy zdawałem sobie z tego sprawę, czy nie, zrozumiałem, że to właśnie dlatego wziąłem ze sobą laptopa. Ostatnie chwile świadomości poświęcę na spisanie swojej historii;

niech ktoś ją znajdzie i przeczyta. Przez jakiś czas leżałem bez ruchu i myślałem. W końcu jednak przypomniałem sobie, że tych chwil świadomości zostało mi już niewiele.

Wstałem z łóżka i włączyłem telewizor, ale ściszyłem dźwięk. Wyjąłem z torby laptop i jedną z butelek Jacka Danielsa. Na stoliku przy łóżku położyłem plastikowy pojemnik z tabletkami paracetamolu. Potem usiadłem w wiklinowym fotelu i przy wtórze buczenia generatora lodu wziąłem się do pracy.

Teraz jest sobota, wczesnie rano, i zaczynam czuć zmęczenie. To jeden z pierwszych objawów odstawienia MDT- więc dobrze, że w gruncie rzeczy już skończyłem.

Ale co skończyłem?

Czy jest to prawdziwa i wierna relacja o tym, jak bliski byłem dokonania rzeczy niemożliwej, osiągnięcia tego, co nieosiągalne... wejścia na sam szczyt? A może to tylko opowieść o złudzeniu, sen o doskonałości? Czy też po prostu historia ludzkiego królika doświadczalnego, kogoś, kto był oznakowany, śledzony i fotografowany, by potem zostać odrzucony? A może - co byłoby jeszcze prostsze - to spowiedź mordercy?

Sam nie wiem. Zresztą, jakie to w ogóle ma znaczenie?

Poza tym jestem senny i trochę osłabiony.

Chyba położę się na chwilę.

Przez kilka godzin spałem niespokojnie, przewracając się z boku na bok. Miałem wrażenie, że dręczy mnie nieustający koszmar, a kiedy się

285

w końcu obudziłem, poczułem ból za oczami, który szybko rozszerzył się na całą czaszkę. Zdezorientowany, półprzytomny, nękanym mdłościami, wstałem z łóżka, wróciłem tu, na wiklinowy fotel i położyłem komputer na kolanach.

Teraz, około południa, telewizor nadal jest włączony, ustawiony na CNN.

Wygląda na to, że wczoraj wieczorem albo dziś rano zaczęło dziać się coś ważnego. Widzę zdjęcia okrętów wojennych w Zatoce Meksykańskiej, wojsk lądowych rozmieszczanych na terenach przygranicznych, sekretarza obrony Caleba Hale'a na nadzwyczajnym spotkaniu z szefem Komisji Połączonych Sztabów.

Na dole ekranu przewija się zapowiedź, że za chwilę rozpocznie się przemówienie prezydenta, transmitowane na żywo z Gabinetu Ovalnego.

Zamykam na chwilę oczy, a kiedy otwieram je ponownie, widzę prezydenta siedzącego za biurkiem. Nie mogę zdobyć się na to, by podgłośnić dźwięk, i kiedy wpatruję się w niego uważnie i widzę czujny, przesycony MDT wyraz jego oczu, stwierdzam, że nie mogę dłużej na niego patrzeć. Sięgam po pilota i przełączam telewizor na kanał z kreskówkami.

Spoglądam na klawiaturę laptopa. Ból głowy jest coraz silniejszy. Pora wyłączyć komputer. Patrę na stolik przy łóżku i na plastikowy pojemnik zawierający sto pięćdziesiąt tabletek paracetamolu. Potem

jeszcze raz spoglądam na klawiaturę i pragnąc, by to samo dało się zrobić z moim życiem - zapisuję tekst na twardym dysku.

Pragnę podziękować następującym osobom za pomoc i wsparcie, tak moralne, jak i redaktorskie: Eithne Kelly, Declanowi Hughesowi, Douglasowi Kenne-dy'emu, Antony'emu Harwoodowi, Andrew Gordonowi, Liamowi Glennowi, Eimear Kelly, Kate O'Carroll i Tifowi Ecclesowi.